

**Long Julie Anne**

**Pennyroyal Green 03**

**Dawna miłość**

*Nieustraszony bohater bezbronny wobec niebezpiecznej tajemnicy i pasji odnalezionego uczucia. List z prośbą o spotkanie jest zagadkowy, a wyznaczone miejsce – tajemnicze. Największym jednak zaskoczeniem dla kapitana Eversea okazuje się autorka rozpaczliwego wezwania. Rozalinda to kobieta, którą kiedyś kochał skrycie i o której nigdy nie zapomniał. Teraz musi jej pomóc rozwiązać zagadkę, która porwie oboje w wir ryzykownej przygody i rozpali na nowo ogień w sercach...*

# 1

Został wygnany.

Chase Eversea - kapitan Charles Eversea - czerpał przewrotną, ale i słuszną satysfakcję z tych słów. Wygnany z Pennyroyal Green w hrabstwie Sussex, z własnego domu, z grona bliskich, tylko dlatego, że w gospodzie Pod Świnką i Ostem nie dalej jak cztery dni temu wymamrotał kilka słów nad kuflem mocnego piwa. Z pewnością nie chciał, by ktokolwiek je słyszał. Nawet nie miał zamiaru wypowiedzieć ich na głos. Wymknęły mu się jednak, choć - uczciwie mówiąc - nie rozumiał, jak można go było za nie zganić w tych okolicznościach.

Wszystkiemu był winien Colin, jego brat. Tak zazwyczaj sprawy się miały w rodzinie Eversea. Chase spojrział z nienawistnym grymasem na drzwi wejściowe londyńskiego pensjonatu, wyglądającego dość przyzwoicie, ale wyraźnie podupadającego. Z pewnością niektórzy uznaliby, że podobne określenie dobrze pasuje teraz do samego Chase'a.

W pensjonacie tym miał ponoć mieszkać niejaki Adam Sylvaine, daleki kuzyn rodziny Eversea, a Chase został tu w trybie natychmiastowym i bezwzględnie wyekspediowany - innymi słowy, wygnany - by stwierdzić, czy ów Sylvaine byłby odpowiednim pastorem w Pennyroyal Green. Zadanie, do którego on, Chase, nadawał się chyba najmniej ze wszystkich ludzi na świecie. Podejrzewał, że to jedynie podstęp wymyślony przez rodzinę, żeby się go pozbyć z Sussex.

Zasnute gęstymi chmurami letnie niebo, jakby świadome jego fatalnego nastroju, spuściło na ziemię strugi ulewnego deszczu. Chase stał na ulicy, a deszczowe krople bębniły w jego kapelusz i spływały mu z ramion wprost do butów, upodabiając go do całkiem niestosownej w tym miejscu fontanny, którą przechodnie zmuszeni byli omijać. Bawiło go, że im przeszkadza. Można by pomyśleć, że z nie-ba leje się ukrop, widząc, jak wymachują nad głową rękami!

Jakiś skulony młodzieniec, ujrawszy jego groźną minę, zeszywniał niczym pies myśliwski wietrzący zwierzynę, po czym ruszył pospiesznie przed siebie, potykając się o własne nogi.

Chase parsknął. Niegdyś tym spojrzeniem tłumił każdy sprzeciw albo psuł humor całemu regimentowi. Uśmiechem mógł zaś, przeciwnie, natchnąć zgębionych żołnierzy niezwykłym duchem walki. Lub zmiękczyć serce każdej kobiety.

Nie był teraz skory do uśmiechu, jakby wojna wciąż jeszcze trwała. A jednak uśmiechnął się do umykającego młodzieńca. I choć trudno byłoby to nazwać miłym uśmiechem, kobieta, która towarzyszyła młodemu człowiekowi, zwolniła kroku, ryzykując zrujnowanie kapelusika przez deszcz, jakby tym lekkim wygięciem warg Chase przyciągnął ją do siebie niczym zarzuceniem sieci.

Poświęciła więc to, co zostało z nakrycia głowy, byle tylko zerknąć na kapitana Charlesa Eversea, który udawał, że tego nie zauważył, a ona kilka sekund później znów znalazła się u boku swego towarzysza.

Deszcz, jak to zwykle w lecie, raptownie ustał, a ze wszystkiego wokół zaczęła parować wilgoć. Chase westchnął i wsparł się mocno na lasce, żeby ruszyć przed siebie. Wciąż jeszcze potrzebował tej przeklętej laski do postawienia pierwszego kroku po dłuższym bezruchu i wciąż jeszcze wpadał z tego powodu w złość. Rozzłoszczony zaś, tak szybko docierał do szczytu jakiegoś pagórka lub, dajmy na to, schodów, że niemal nie widać było, iż utyka, a ból stawał się prawie nieodczuwalny.

Prawie.

Ból nękał go nieustannie. Stał się nieodłącznym składnikiem jego życia, niczym myślenie. Przyplływał, odpływał, dokuczał. Po prostu był. Trochę jak jego przeklęta rodzinka.

Zrobił kolejny krok i nagle poczuł, że nie może ruszyć dalej, bo coś złapało go za płaszcz.

- Hej, panie ładny! - powiedziało to zdyszane coś najczystszy londyńskim żargonem, gdzieś na wysokości jego bioder. Chase spojrział w dół. Umorusany chłopiec wpatrywał się w niego parą zdumiewająco błękitnych oczu.

- Mam tu coś dla pana! - Druga brudna piątka, ta, która nie trzymała poły jego płaszcza, rozwarła się, ukazując złożony w kilkoro skrawek papieru.

Chase przyjrzał się liścikowi podejrzliwie, a potem ujął go w palce. Papier, ciepły i zwilgotniały, wewnątrz też był zapewne brudny, a pismo rozmazane. Chase wyszarpnął płaszcz z dłoni malca i trzymając papier w jednej ręce, drugą sięgnął w tył, chwytając urwisa

za kołnierz koszuli właśnie w chwili, gdy ten chciał uciec. Kołnierz niemalże został mu w palcach, złapał zatem chłopca za gołe ciało i zakręcił nim wokoło.

- Oddaj to!

Chłopiec, zaskoczony, mruknął:

- Ja tylko...

- Dawaj to! - powtórzył Chase groźnym tonem.

Ktoś mniej spostrzegawczy, lub bardziej roztargniony, może by nawet nie poczuł, że drobne palce chciały oderwać guzik od jego płaszcza. Urwis najwyraźniej na to liczył. Chase rzadko jednak bywał roztargniony, niezależnie od wysiłku, z jakim sam pragnął oderwać się od rzeczywistości.

- Przecież to tylko guzik! - jęknął chłopiec.

- Ale mój.

Cóż za nonsensowna kłótnia! Powinien z miejsca złapać tego przyszłego szubienicznika za uszy sterczące z jego okrągłej głowy. Włosy miał tak brudne, że nie dało się określić ich koloru - zapewne były jasne - a minę mocno kwaśną, ale z niebieskich jak niezapominajki bystrych oczu wyzierał strach. Deszcz wyłobił w brudnej skórze dziecinnych policzków wąskie smugi podobne pręgom na sierści dzikiego zwierzątka. Mogłyby uchodzić za barwy ochronne. Być może zapowiadały przyszły wygląd tego smarkacza za prętami więziennych krat.

Przeklęty Londyn. Ledwie tu przybył, a już go chcą obrabować!

Chase wciąż wpatrywał się groźnie w chłopca, póki brudna piastka nie rozwarła się i nie puściła poły płaszcza. Urwis spojrział na nią ze zdumieniem jak na zdrajczynię. Lśnił w niej guzik. Dobry, mosiężny guzik. Wart przynajmniej ze cztery szylingi.

Chase odebrał go chłopcu.

- Przecież bym ci zapłacił - mruknął gniewnie.

- Ale nie spieszyło się panu - pisnął posłaniec i złodziejasek w jednej osobie już mniej pewnym siebie tonem, energicznie próbując się uwolnić.

Chase, niezdecydowany, czy oddać malca w ręce władz, czy też nie, nadal trzymał go za ramię jedną ręką, a drugą usiłował rozłożyć papier, by sprawdzić, czy to istotnie list, czy też jedynie pretekst do rabunku. Dziwnie się czuł, biorąc jeńca, choćby nawet chodziło o małego brudasa. Od dawna już nie uczynił nic równie stanowczego, by kogoś przed czymś powstrzymać. Przeczytał:

*Kapitanie Eversea, proszę się ze mną spotkać w Montmorency Museum o pierwszej, tam gdzie wiszą włoskie pejzaże pastoralne. To sprawa niesłychanie pilna.*

*PS Obrazy pastoralne to te z krowami i tym podobnymi rzeczami.*

Podpisu nie było.

Montmorency Museum? Włoskie obrazy pastoralne? No i najgorsze ze wszystkiego: krowy! Patrzył na to słowo z niedowierzaniem. Ćmiło mu się przed oczami.

Znalazł się bowiem w Londynie głównie z powodu krów. Gdybyż przeklęty Colin nie zaczął tamtego wieczoru w gospodzie Pod Świnką i Ostem mówić właśnie o nich...

Wzdrygnął się i zaczął myśleć o Montmorency Museum. Nigdy nie miał powodu, by udać się do Bloomsbury, za Covent Garden, nigdy go więc nie odwiedził. Jeśli dobrze pamiętał, powstało, gdy pewien zamożny i ekscentryczny (a czy w ogóle istnieją inni?) przyrodnik zapisał w przeddzień śmierci bogatą kolekcję rozmaitych obiektów - sarkofagów, papirusów, sprzętów - zaskoczonemu i niezbyt tym zachwyconemu brytyjskiemu rządowi. Ten zaś długo i sumiennie je sortował, a potem umieścił w zabytkowej rezydencji odkupionej od arystokraty - wspomnianego Montmorency'ego - który dawno już zrezygnował z tej siedziby na rzecz nowego, wytworniejszego i modniejszego adresu.

Trudno sobie było wyobrazić lepsze miejsce na umówione spotkanie, jeśli istotnie o nie chodziło. Pismo wyraźnie wyglądało na kobiece, ale nie potrafił go rozpoznać. Pochyłe, pełne zawijasów, niecierpliwie biegnące naprzód. Papier z jednego boku był wystrzępiony, jakby kartkę pospiesznie wyrwano z jakiejś książki, co mówiło, że sprawa jest rzeczywiście bardzo pilna.

- Leciałem za panem od samego St. James's Square - odezwał się nagle bez pytania chłopiec. Całkiem jakby byli starymi przyjaciółmi. - Okrutnie prędko pan gania, jak na kuternogę.

Chase zmierzył go takim spojrzeniem, że poufałość ustąpiła miejsca o wiele stosowniejszemu zmieszaniu.

- Kto ci dał ten list? - warknął.

- Jedna damulka. - Chłopiec był na tyle wystraszony, że nie zwlekał z odpowiedzią. Ale mogła być kłamliwa.

- Co za dama?

- Dała mi szylinga - Chase usłyszał po chwili wahania. - Powiedziała, że od pana dostanę drugiego.

Coś niesłychanego! Szyling był królewską zapłatą dla ulicznika. A ta kobieta w dodatku obiecała mu też pieniądze od Chase'a! Albo zbyt ufna, albo nieroztropna.

A może to wszystko tylko podstęp?

- Kim jest ta dama? No i skąd wiedziałeś, że akurat o mnie chodzi?

Urwis chciał uciec, ale Chase trzymał go mocno. Chłopiec spróbował uwolnić się z jego uścisku.

- Nie znam jej nazwiska, ale wiedziała, gdzie pan mieszka, a jak pan wyszedł i wsadził na głowę ten kapeluch - tu chłopiec jedną ręką wykonał taki ruch, jakby naśladował mężczyznę wkładającego z ważną miną cylinder - to za panem poleciałem, aż pan się zatrzymał. Nareszcie.

Chase część drogi od rodzinnej rezydencji w Londynie przebył w dorożce, a pozostałą część przeszedł, bo nie chciał, żeby jego noga uznała, iż zanadto się o nią troszczy. Ostatecznie przez większość spędzonych w hrabstwie Sussex pięciu lat nic nie robił poza tym, że ją kurował (i pił, i liczył na to, że Colin go jakoś rozerwie). Chłopiec



mógł jednak poruszać się szybciej niż dorożka na zatłoczonych pojazdami ulicach.

Musiał przyznać, że smarkacz jest wytrwały.

- A skąd wiedziałeś, że tej damie chodziło właśnie o mnie? Czy ci opisała, jak wyglądam?

Jak też mógł wyglądać ten opis? „Wysoki, zarozumiały, kulawy i patrzy spode łba?”

- Nie. Mówiła tylko, jaki to dom. Miałem fart, no nie? - Chłopiec był najwyraźniej dumny z siebie. - No i udało mi się! Nieraz mi się udaje - dodał bardzo zadowolony.

Chase uznał, z niejakim zaskoczeniem, że on sam też byłby tego zdania.

- Jak ta pani wyglądała?

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Stara, całkiem jak pan, i gadała tak samo wytwornie. Nie gruba. Niezadowolenie Chase'a z powodu niedokładnego opisu wyraziło się w takim spojrzeniu, że chłopiec cały się skulił.

- No i? - warknął Chase.

- I co? No i miała... - urwis się zająknął.

- Co miała?

- Ła... ładny kapelusz - wystękał zakłopotany malec, przerażony, że nie może odpowiedzieć Chase'owi jak należy. - Z takim piórem na czubie. - Urwis machnął ręką nad głową.

Wytworna, dobrze ubrana, smukła młoda kobieta miałaby wysyłać mu wiadomość przez ulicznika?

Chase zrobił w myśli przegląd wszystkich „dam”, z jakimi miał do czynienia w ciągu pięciu lat od powrotu z wojny. Prawdę mówiąc, tylko nieliczne z nich zasługiwały na to miano. Z niezwykłym trudem mógł sobie wyobrazić jakąś prawdziwą znaną mu damę, która mogłaby wysłać zagadkowy anonimowy liścik przez malca śmierdzącego niczym samo dno statku.

Chase utkwiał w posłańcu wzrok, jakim wpatrywał się w przesłuchiwanym przez siebie żołnierzy, by wyciągnąć z nich słowa prawdy. Chłopiec zamrugnął, jakby mu przyśnięto w oczy gorącą wodą.

- Czemu ta dama wysłała z listem właśnie ciebie?

- No, bo akurat tam byłem i już - stwierdził chłopiec rzeczowo. - Na dziedzińcu muzeum. Przytrzymuję konie, kiedy ludzie wysiadają z powozów, a ona tam przyjechała dryndą. Niektórzy mi coś za to dają, ale nie wszyscy.

Był to uświęcony tradycją zwyczaj: oddawano komuś całkiem niepotrzebną przysługę, a potem spodziewano się, że tamten poczuje się na tyle zobowiązany, by za nią zapłacić.

- Oni ci płacą raczej za to, żebyś sobie poszedł w diabły. Uśmiech urwisa był całkiem niespodziewany.

- Nie dbam o to! Ta damulka poszła do muzeum, a potem zaraz z niego wyszła i rozglądała się za dryndą, ale drynda już odjechała. Nie miałem żadnej forsy, a tu ona mnie pyta, czy nie chcę zarobić szylinga. Całego szylinga! I znowu weszła do muzeum, a potem wyszła z niego z tym listem, no i posłała mnie do pana.

- Przyjechała dorożką? - spytał Chase ostrym tonem.

- Ano tak. Nie żadnym powozem z herbem, tylko dryndą. Wynajęła ją.

Interesująca odpowiedź, bo właśnie tego chciał się dowiedzieć. Spojrzał malcowi w oczy, szukając w nich dowodów kłamstwa czy szelmostwa. Chłopiec skulił się jak owad złapany za skrzydełko i spojrzał gdzieś w bok.

Dama. Tylko jeden raz w życiu stracił rozum z powodu kobiety. Był to doprawdy najbardziej niehonorowy czyn, jakiego się kiedykolwiek dopuścił. A także najbardziej lubieżny. Los tak chciał. Jak na ironię wszystko to stało się za sprawą honoru i oczywiście skończyło katastrofą. Ale nie miał wówczas żadnego wyboru.

Teraz jednak było inaczej. Zmrużył oczy. Spojrzał na liścik, a potem na posłańca. Czy była ładna? Czy była sama? Czy wydawała się niespokojna? Czy to podstęp? Jakiego rodzaju? A może pułapka? Jaka pułapka?

Niech to wszyscy diabli. Chciał sam odkryć całą prawdę.

Oprzytomniał. Wyjął szylinga, ujmując go w dwa palce, i jednocześnie poluzował chwyt.

- A teraz zejdz mi z oczu.

Łobuziak capnął szylinga niczym ryba haczyk, gdy tylko Chase go puścił.

- Cześć! - wrzasnął przez ramię i popędził na bosaka przez cuchnące londyńskie kałuże.

Chase'a nie nękało poczucie winy, gdy obrócił się tyłem do domu, gdzie mieszkał jego kuzyn. Szkoda, że nie odjechał sprzed rodzinnej

rezydencji konno, zamiast odbywać tę drogę częściowo w dorożce, a częściowo na piechotę. Chodził jednak tak często, jak tylko mógł, i najdalej, jak tylko mógł.

A nocą cierpiał z tego powodu. Albo pił.

Powinien jednak wziąć dorożkę, by dotrzeć do muzeum. Postanowił, że tym razem będzie miał wzgląd na nogę i całą tę drogę przejedzie.

Miejsce, w którym się teraz znajdował, nie leżało w obrębie dzielnicy zwanej Seven Dials, słynnej z kradzieży i rozbojów, ale najwyraźniej się nią inspirowało. Na niewielu sklepach wywieszono tu szyldy. Na sznurach rozciągniętych między piętrami stojących po obu stronach ulicy pensjonatów huśtały się rzędy koszul i spodni. Deszcz przemoczył je całkowicie, ale w ciepłym powietrzu wyschną i będą potem sztywne niczym deska. Nigdzie nie widział dorożki. Pewnie dlatego, że żadna tu nie zajeżdżała, bo nikogo z tutejszych mieszkańców nie było stać, żeby nią stąd odjechać.

Zrobił kilka kroków. Minał sklep z serami, pracownię modystki, warsztat szewski, knajpę, następną knajpę. Jak w wielu miejscach Londynu, w zaułkach odchodzących od ulic, które mijał, świadczone wiadome usługi. W głębi jednego z nich błysnęły białą kobiece pośladki, które energicznie poruszały się tam i z powrotem pod zadartą do góry suknią. prostytutka obsługiwała jakiegoś klienta.

No, no, nieźle.

I nagle się zorientował, że ktoś go obserwuje. A raczej... śledzi. To było całkiem odmienne odczucie.

W ułamku sekundy zrozumiał dlaczego. Dał pieniądze ulicznikowi, a ktoś dostrzegł jego lekkie utykanie, wytworny ubiór i pomyślał sobie: hojny dżentelmen, kuternoga z laską i kieszenią pełną szylingów. Łatwa zdobycz.

Było ich, jak zauważył, dwóch. Zachodzili go z obu boków. Jeden po lewej stronie ulicy, drugi po prawej. Dostrzegł kątem oka, jak się zbliżają do niego.

Skłębione chmury przesłoniły słońce i ziemię zrosił deszcz, wzmagając odór londyńskiej ulicy: woń uryny, końskiego nawozu, błota, resztek jedzenia. Gdzieś unosił się także słaby zapach czegoś świeżego i zielonego. Trawy, drzew. Niezbyt dalekich od miejsca, gdzie się znajdował.

W jaskrawym słonecznym świetle, które rozblysło po deszczu, ujrzał, że obydwaj napastnicy mają w dłoniach noże. Wysunęli je z rękawów. W promieniach słońca zalśniły ostrza. A niech to!

Chase uznał, że nie zdoła na czas sięgnąć po pistolet schowany w cholewie buta. Zaklął w duchu. Dlaczego wziął dziś ze sobą tylko ten jeden, podczas gdy z czystego umiłowania broni nie ruszał się zwykle bez drugiego, odbezpieczonego i ukrytego pod płaszczem?

Krew zatętniła mu gwałtownie w żyłach.

Czas, jak zwykle w chwilach zagrożenia, zwolnił bieg: sekundy rozciągały się powoli, jak upleciony wełniany pled, i ukazywały mu każdy, najmniejszy nawet ruch jego prześladowców.

Tylko dwóch na mnie jednego?

Gdyby mogli teraz dostrzec jego uśmiech, zdołaliby może uświadomić sobie dokładnie, co się z nimi stanie. Nie dostrzegli. Był z tego wręcz diablo zadowolony.

Zrównali się z nim. Szli obydwaj równolegle do siebie na tyle blisko, że dostrzegł kolor oczu jednego z napastników. Były żółtobrazowe, jak koński nawóz.

Zaatakowano go.

Chase brutalnie zdzielił łotra laską na odlew przez tułów. Napastnik zgiął się we dwoje, co pozwoliło Chase'owi na zadanie mu kolejnych ciosów łokciem, które powaliły opryszka na ziemię. Gdy na nią runął, Chase kopnął go w pachwinę, następnie zakręcił laską i rąbnął nią drugiego napastnika w przedramię, potem zaś chwycił go szybko za rękę, unikając ciosu nożem między oczy. Cóż to za podła bestia!

Chase nadal trzymał rękę oprycha w mocnym uchwycie. Rozluźnił go na moment, tylko po to, żeby przeciwnik, łudząc się nadzieją zwycięstwa, lekko się odprężył. Wtedy zaś Chase ścisnął go znów za nadgarstek ręki trzymającej nóż i wygiął ją do tyłu raz, drugi i trzeci, póki napastnik nie ryknął ochryple i nie wypuścił noża. Ostrze błysnęło w słońcu i padło z brzękiem na mokry chodnik. O tak, to był bardzo dobry nóż.

Chase kopnął mężczyznę mocno w kolana i ten rozpląszczył się z głuchym plaśnięciem na ziemi. Chase wyszarpnął pistolet z cholewy i bez ceremonii wymierzył go prosto w twarz napastnika.

- Wybieraj - powiedział, jakby wiedli z sobą jakieś negocjacje. - Albo zmiążdżę teraz butem twoją krtani, albo zdechniesz raczej powolną niż szybką śmiercią. - Dyszał ciężko.

W brązowych oczach, pozbawionych wyrazu, widoczne było zdumienie, a nie strach.

- Prze... przepraszam, szefie.

Chase zaśmiał się gwałtownie i z niedowierzaniem, aż zapiekło go w gardle. Zbir przeprasza za napad z nożem. „Przepraszam, to było jakieś nieporozumienie!”

Teraz zamiast zdumienia w oczach leżącego pojawił się strach. Chase wyjaśnił cierpliwie:

- Popeliłeś błąd. Sądziłeś, że jestem dżentelmenem. Zdziwiłbyś się, jak wielu dżentelmenów stało się dzikusami. Zdziczeleli na wojnie. Zabijałem bez mrugnięcia okiem lepszych od ciebie. Dwa razy się zastanów, zanim znów zechcesz napaść na kogoś z nas. Niektórym podobnym do mnie zabijanie mogło wejść w krew.

Drugiemu ze zbirów nie trzeba było niczego wyjaśniać ani mierzyć w twarz z pistoletu, bo tarzał się po wilgotnej ziemi zwinięty w kłębek, mamrocząc coś od rzeczy.

Chase przyglądał mu się przez chwilę z zaciekawieniem, jakby to było jakieś pożałowania godne zwierzę. A potem odwiódł kurek, ukląkł ostrożnie - choć noga odmawiała mu posłuszeństwa - i podniósł z ziemi przekłętą drugi nóż.

Całkiem niezłe się oba prezentowały. Jako były kapitan artylerii wciąż jeszcze potrafił docenić solidną broń, niezależnie od okoliczności. Kto wie, może mu się kiedyś przydadzą?

Przeszukał kieszenie leżącego, znalazł w nich futerał i zdołał jakoś wepchnąć do niego obydwie noże. Kiedy wstawał, wspierając się na lasce, i poprawiał jedną ręką przekrzywiony na bakier kapelusz, wyglądał jak ów przedrzeźniany przez małego ulicznika dżentelmen. Skłonił się lekko i niedbale grupce gapiów, a potem skinął na przejeżdżającą dorożkę, której woźnica nie przejął się ani zamieszaniem na ulicy, ani też tym, że wsiada do niej dżentelmen uzbrojony w noże i pistolet.

Chase uchylił drzwiczki. Dorożka była pusta, ale zionęło z niej wonią wszystkich poprzednich pasażerów.

Nagle do niego dotarło, że jest spocony i przemoczony. Rozparł się na siedzeniu i wyciągnął z kieszeni chustkę. Siostra, Olivia, wyhaftowała na niej jego monogram, a prócz tego trzy małe kwiatki. Nie miał sumienia wyjaśniać jej, że nie chce na chustce żadnych kwiatków. Olivia uważała, że powinna się wprawiać w wyszywaniu tego kwietnego wzorku. A tymczasem tym, co naprawdę powinna zrobić, było zaprzestanie uprzejmego dawania kosza każdemu mężczyźnie, który próbował się do niej zalecać, odkąd zniknął ten łobuz, Lyon Redmond. Chase przetarł chustką twarz, przesunął ją po karku i włożył z powrotem do kieszeni. Świetnie.

Lekko dygotał: i ze zdenerwowania, i z uciechy, że uszedł cało, i z powodu wszystkich zmian, jakie zaszły w jego życiu w ciągu



ostatnich pięciu lat. I nagle ogarnęło go zaniepokojenie; poczuł się dziwnie oddalony od spraw tego świata, jakby nie miał kraju ani rodziny.

Na jego ustach pojawił się niewesoły uśmiech. Później zniknął.

Chase westchnął, wyciągnął przed siebie chorą nogę i oparł piętę na przeciwległym siedzeniu. A potem zacisnął z całej siły pięści, żeby przetrzymać skurcz bólu. Powtórzył ten ruch i zamknął oczy. Czekał.

Odetchnął głęboko raz i drugi.

Trzeci oddech był bardziej podobny do westchnienia.

- Powinieneś się ożenić, Chase! - namawiał go Colin z tą nieznośnie tajemniczą miną, jaką mają członkowie tajnego świętego zakonu. Jeśli tylko nie mówił o krowach. Całkiem jakby małżeństwo było kamieniem z Rosetty, czymś, co wreszcie nadało sens radosnemu chaosowi życia Colina.

- Gotów jestem chlusnąć na ciebie piwem, które mam w kuflu - warknął wtedy do brata. Ha, ha!

Dzięki Colinowi Chase przekonał się, że można mówić przez zaciśnięte zęby. Wściekał się, gdy ktoś mu mówił, co powinien zrobić. Ale nie tylko to wyгнаło go z domu. Colin i Madeleine ciągle się śmiali. Bez przerwy.

W tajemnicy przed rodziną napisał więc do Kompanii Wschodnioindyjskiej z prośbą o zatrudnienie, żądając, by odpowiedź przesłano mu bezpośrednio do Londynu.

Teraz, unikając poruszania nogą, w której ból nieco zelżał, zdjął kapelusz i strzepnął z runda krople deszczu, uderzając o niego dłonią.

Potem ściągnął z ramion płaszcz i potrząsnął nim. Krople wody rozprysnęły się po całym powozie. Przygładził włosy dłonią i ponownie nasadził na głowę kapelusz.

Wyjął z kieszeni pognieciony list i przeczytał go ponownie, a następnie, z niejakim zdziwieniem, powąchał go.

Przysięgłby, że poczuł słaby zapach róż.

## 2

Montmorency Museum przypominało Chase'owi porzuconą kochankę, być może Francuzkę: elegancką, ale starzejącą się, pełną urazy, niechętną wizytom sąsiadów. Wpływ architektury francuskiej widoczny był w mansardowym dachu, w małej, dziwacznej kopułce nad środkowym wejściem, świadczyły też o nim boczne okna w wykuszach. Dziedziniec, o którym wspominał chłopiec, otaczało ogrodzenie z ostro zakończonych żelaznych prętów. Ono również nie zachęcało do zwiedzania. Chase zdołał wspiąć się po marmurowych schodach dzięki uporowi i lasce, a potem pchnął ogromne drzwi.

Zatrzymał się zakłopotany. Westybul był obszerny, wyłożony marmurem i cichy jak pokój chorego, oświetlenie zaś przydawało mu pewnej teatralności. Światło dzienne musiało tu niegdyś docierać przez półokrągłe zakończone okna umieszczone wysoko w ścianach, lecz wokół pałacu w ciągu następnego stulecia wyrosły wysokie budowle i teraz wnętrza oświetlały dobre woskowe świece wetknięte w mnóstwo eleganckich kinkietów ciągnących się wzdłuż labiryntu korytarzy i sal.

Gdy ochłonął, spostrzegł, że całe to miejsce pachnie tak samo jak mały, wiekowy kościółek w Pennyroyal Green z jego wszystkimi starymi drewnianymi klęcznikami, błyszczącymi od nacierania ich olejem lnianym i przez stulecia polerowanymi w niedziele przez odświętnie przyodżiane pośladki wiernych.

Co oczywiście przypomniało mu o obowiązku, którego zaniedbał z powodu tej kłopotliwej przygody. Pozbył się jednak wyrzutów sumienia o wiele łatwiej niż przedtem napastników i wszedł głębiej do muzeum.

Ktoś z obsługi, w pozie świadczącej o znużeniu, tkwił za niezwykle wręcz prostym biurkiem. Podparł brodę jedną ręką i z niepokieszoną miną przewracał karty księgi drugą, czytając coś bezmyślnie. Dużo większa księga leżała otwarta koło niego, a przy niej pióro i kałamarz. Rejestr zwiedzających. Chase uznał, że jej potężne rozmiary napawają optymizmem. Całkiem jakby muzeum oczekiwało legionów gości.

Podszedł z zaciekawieniem bliżej. Na otwartej stronie ujrzał tylko cztery nazwiska; trzy z nich były męskie; żadnego z tych ludzi nie znał. Czwarte należało do kobiety, pani Smithson. Rozpoznał charakter pisma i kolor atramentu. A więc tutaj napisała ten list. Przewrócił oczami. Pani Smithson! Rzeczywiście, bardzo sprytny pseudonim! Kiepski fortel.

- Gdzie mogę znaleźć włoskie obrazy? - spytał.

Mężczyzna poderwał się tak gwałtownie, jak marionetka pociągnięta za sznurki przez lalkarza. Książka, którą wertował, spadła

na posadzkę. Spojrzał na Chase'a z zaskoczeniem. Na twarzy miał różowawy odcisk od dłoni, którą się podpierał.

Chase dopiero teraz spostrzegł, że to, co powiedział, zabrzmiało raczej jak rozkaz niż pytanie. No cóż, taki nawyk. Wybaczył to sobie natychmiast.

Mężczyzna oprzytomniał.

- Włoskie obrazy, sir? Chodzi panu o widoki Włoch czy też o malowidła włoskich artystów, lub może...

- O krowy.

Tamten nawet nie mrugnął okiem. Godne podziwu. Chase przyjrzał mu się uważniej. Pod jego skórą dojrzał ziarenka prochu. Tak jak podejrzewał, ten mężczyzna był kiedyś żołnierzem.

- Włoskie krowy, sir? Czy też krowy na włoskich malowidłach?

- Włoskie krowy - wycodził Chase. Zabrzmiało to jak wyzwanie.

Mężczyzna odstał w tył, akceptując wyzwanie. Spojrzał w górę, uniósł jedną brew, zapewne chcąc się skoncentrować, i w wyobraźni przemierzał korytarze muzealne.

Gdzieś zaczął bić jakiś stary zegar. Uderzył raz i drugi.

- We wschodnim skrzydle! - Mężczyzna zarumienił się z satysfakcji. - Proszę pójść prosto przed siebie i skręcić na prawo przy ekspozycji lalek. To nieduża sala. Przylega do drugiej, z wyposażeniem szesnastowiecznej sypialni.

Och, Boże. Informacja o ekspozycji lalek była bardzo przykra.

- Wiszą tam włoskie pejzaże malowane przez włoskich artystów, a na nich zobaczy pan krowy oraz inne zwierzęta hodowlane, jeśli również chciałby je pan obejrzeć.

Mężczyzna mówił to wszystko bez śladu ironii. Bez wątpienia przywykł do najdziwniejszych pytań i dość szczególnych żądań arystokratycznych gości.

- Serdeczne dzięki - odparł szczerze Chase, bo zawsze sprawiało mu autentyczną przyjemność wysłuchiwanie kogoś, kto znał się dobrze na swoim fachu. Nieodmiennie też lubił pod tym względem wypróbowywać ludzi, podobnie jak lubił, by również i jego poddawano próbom.

Mężczyzna z uznaniem skinął głową.

- Czy zechciałby pan wpisać się do księgi?

Chase wpisał swoje nazwisko i rangę: kapitan Charles Sylvaine Eversea, zajmując całą szerokość strony. Ukradkiem przerzucił kilka stron i odnalazł miejsce, gdzie wydarto stronicę. Na pozostałych nie było żadnych wpisów.

- Czy wymaga się tego od wszystkich zwiedzających?

- Tak, sir.

W jaki sposób, u licha, muzeum mogło usprawiedliwić własne istnienie, skoro prawie nikt go nie odwiedzał? Był jednak poniedziałek, początek nowego tygodnia, i być może dobre towarzystwo nie otrzeźwiało jeszcze należycie po pijaństwie zeszłej nocy.

A potem poszedł tam, gdzie mu wskazano. Mężczyzna, po odejściu Chase'a, spojrzął na podpis.

I oniemiał.

Olej lniany ani wosk nie mogą całkowicie zabić woni zbutwiałego drewna i obić starych mebli oraz innych staroci stłoczonych w mrocznym wnętrzu. Chase przeszedł przez salę pełną zabytków egipskich. Widział ustawione pod ścianami sarkofagi i maleńkie szklane flaszeczki połyskujące słabo spoza nowszego od nich szkła gablot, kamienne płyty z wyrytymi na nich hieroglifami, fragmentami jakichś historii mówiących o cudzym życiu lub może zbiorami praw.

Kolejna sala sprawiła, że drgnęło jego żołnierskie serce: były tam zbroje, przeznaczone i dla ludzi, i dla koni. Od razu rozpoznał włoski pancerz z XII wieku. Rodzina Eversea miała w posiadaniu kilka podobnych; był to zapewne spadek po przodkach. Wszystkie stały w najważniejszych punktach domu, polerowane i naoliwiane przez służbę.

Jedną z takich zbroi uszkodzono, próbując wydobyć z niej trzynastoletniego Colina, ale trzeba uczciwie zaznaczyć, że to jego bracia ośmielili się go tam wpakować. Sądząc po rozmiarach tej zbroi, mężczyźni z rodu Eversea byli kilkaset lat temu znacznie mniejsi. Bez wątplenia konieczność bronienia się przed Redmondami sprawiła, że nabrali większej tężyzny. Rozbawiła go ta myśl.

Będzie się musiał kiedyś lepiej rozejrzeć po tej sali, jeśli się tu jeszcze znajdzie...

A potem zobaczył kukielki.

Próbował nie patrzeć na nie, ale cóż, były tam. Całe ich rzędy wypełniały specjalnie sporządzone dla nich półki. Małe pacynki miały ciężkie głowy i drobne rączki. Niektóre wisiały na hakach niczym torturowane ofiary.

A potem z kolei ujrzał marionetki.

Kiedy był mały, stryjowie opowiadali im - bo i on, i bracia błagali ich o to, jakby w naturze chłopców leżały mordercze instynkty - różne rzeczy o średniowiecznych torturach. Jak stopniowo rozciągano oskarżonych na stole tortur, przytroczonych do niego rzemieniami, póki kości nie wyszły ze stawów, a kończyny nie zwisły bezwładnie.

Właśnie to mu przyszło na myśl, gdy ujrzał marionetki.

Nienaturalne twory, podrygujące i podskakujące, przemawiały piskliwym falsetem, głosem niewidzialnych osób pociągających za sznurki. Najwyraźniej ludzie przez całe stulecia cenili sobie tę rozrywkę. Pierwszy spektakl z udziałem marionetek, jaki obejrzał w wieku sześciu lat, wydał mu się koszmarem, i odtąd unikał ich, jak tylko mógł.

Gdyby się z tym zdradził, bez wątpienia bracia wydaliby ostatnie pieniądze, byle mu tylko kupować marionetkę na każde urodziny; nigdy też nie mógłby się kłaść do łóżka bez podejrzenia, czy mu jej czasem nie wetknięto pod kołdrę; natykałby się również od czasu do czasu na teatrzyk kukiełkowy nawet w drodze do łazienki, co by oznaczało, że zacząłby wówczas wrzeszczeć ze strachu i zasikał wszystko naokoło.

Braci Eversea cechowała pod tym względem wręcz niewyczerpana inwencja, Chase był jednak inteligentny i miał doskonały instynkt samozachowawczy. Nigdy go nie bawił Punch tłukący laską Judy, ale inne marionetki były o wiele obrzydliwsze, a tutaj jedna z nich, wręcz olbrzymia, siedziała wysoko na krześle, jakby tronując nad całym tym skrzydłem muzealnym.

Bez wątpienia był to stary i cenny przykład czeskiego rzemiosła, ale lalka miała wyłupiaste oczy, białe z maleńkimi ciemnymi źrenicami, wydatne czerwone wargi i nos o wyglądzie ziemniaka, ogromny i bezkształtny. Sterczała na nim brodawka. Na wyrzeźbionej z drewna twarzy zastygł groźny grymas. Nogi i ręce zwisały jej bezwładnie, a ciało ubrane było w białą koszulę i skórzane krótkie spodenki. Chase posłał okropnej kukle mordercze spojrzenie, a potem zaczął sam przed sobą udawać, że jej tam wcale nie ma, choć czuł na plecach wzrok lalki.

I wreszcie znalazł to, co najwyraźniej było wschodnim skrzydłem, bo ujrzał przed sobą cherubiny i anioły.

W sali tej stała nieruchomo jedna jedyna samotna kobieta.

Pozornie wpatrywała się pilnie w malowidło, które zajmowało trzy czwarte ściany. Była wysoka, smukła i sprawiała wrażenie kogoś, kto tłumi przyrodzony temperament, jakby stanie bez ruchu było dla niej czymś nienaturalnym. Pelisa spływała jej z ramion w niewymuszony sposób. Taki kunszt kroju i szycia umieją osiągnąć tylko nieliczne krawcowe. Chase miał siostry i jedną czy dwie kochanki, potrafił więc to ocenić.



Zapewne cały zastęp usługowych szwaczek musiał się biedzić nad odpowiednim wymodelowaniem tej tkaniny. Na głowie miała kapelusz z piórem - kapelusz był wytworny, pióro także, brązowe i puszyste, ale bynajmniej nie przesadnie wyrafinowane. Ładny kapelusz, jak powiedział ten urwis, i miał rację. Od kapelusza po pantofle jej strój był utrzymany w głębokich odcieniach brązu, od czekolady do starego złota w obszyciu pelisy.

Mogłoby się to wydawać kamuflażem, z uwagi na zbutwiałe drewno i przyćmione światło otoczenia. Była jednak typem kobiety, która nie może się spodziewać, by jej nie zauważono, obojętne, gdzie by stała, choćby i bez ruchu. Prezentowała się wspaniale. On z kolei nie mógł się spodziewać, że pozostanie niezauważony, ze względu na to, jak się poruszał.

Zrobił krok do przodu. Posadzka irytująco zatrzeszczała pod naciskiem jego laski.

Kobieta się nie odwróciła.

Całkiem jakby była pochłonięta kontemplacją malowidła. Chase niby to przypadkiem zatrzymał się przed obrazem pod tytułem *Cud*, bo tak przynajmniej głosiła mosiężna tabliczka przymocowana do ramy. Włoski artysta miał imiona i nazwisko równie długie jak samo płótno, a składały się one głównie z samogłosek. Chase uznał, że malowidło mogło uchodzić za pastoralne, bo były tam kępy drzew rozsiane po łące, dwie potężne, czarne krowy, a niżej dwie niebywale wręcz kędzierzawe owce.

Na niebie zaś unosiły się dwa uskrzydłone cherubiny, tak pulchne, że bez wątpienia za cud należało uznać sam fakt utrzymywania się przez nie w powietrzu. Chase pomyślał z irytacją, że powinny były raczej mieć skrzydła o rozpiętości skrzydeł albatrosów zamiast tych bzdurnych, małych skrzydełek wyrastających im z ramion. Jedna z krów zwracała łeb ku górze, w stronę cherubinów, jakby z wyrazem zaskoczenia i zagrożenia. Z pewnością on sam również by zrobił taką minę, gdyby nagle dostrzegł unoszące się nad nim dwa tłuste amorki.

Wisiały tam również piękny obraz z koniem, pędzla Jamesa Warda, i scena wojenna Antoine'a-Jeana Grosa. Mimo że ukazywała Bonapartego z trędowatymi, przedstawiała coś rzeczywistego, przejmującego, coś wziętego z prawdziwego życia...

Choć bez wątpienia Colin nie byłby zachwycony tą krową, pomyślał sardonicznie.

Rozejrzył się pospiesznie naokoło. A to ciekawe: pióro na kapeluszu drgnęło nieznacznie, jakby jego właścicielka westchnęła. Czyżby nie spostrzegł, że spojrzała na niego? Nie wydało mu się to prawdopodobne.

Wzrok miała nadal wbity w obraz i stała plecami do Chase a, niby wrośnięta w ziemię. Pocztał, że musi spojrzeć na jej twarz.

Usłyszał coś, co brzmiało jak stłumiony śmiech. Kobięcy śmiech. Ulotny. Trochę tajemniczy, podobnie jak całe to cholerne miejsce. Bez wątpienia jakaś sprzątaczką pozwoliła sobie na taki wyskok, bo w księdze gości nie podpisała się żadna inna kobieta prócz „pani Smithson”.

Przyjrzał się uważnie malowidłu, które tak panią Smithson fascynowało. Duże, z wielką połacią błękitnego nieba, ale pełne też odcieni innych barw, różowych, złocistych i perłowych. Czegóż tu nie było! Drzewa, bydło, no i te cherubiny. Roiły się na nim rozmaite inne stworzenia niczym pszczoły. Jego siostra, Genevieve, była ekspertem od wszelkich malarzy, zarówno sławnych, jak i nieznanych. Z pewnością by wiedziała, dlaczego ten Włoch umieścił tu aż tyle rzeczy naraz. Może powinien ją o to spytać po powrocie do domu?

Jeżeli będzie miał po co do niego wrócić.

Był na tyle dżentelmenem, by się zastanowić, jak nawiązać rozmowę z samotną kobietą, najwyraźniej z dobrego towarzystwa, gdy wreszcie się poruszyła. Dyskretnie, ale dostrzegalnie: przechyliła głowę, lekko wzruszyła ramieniem.

Równie dobrze mogłaby go kopnąć obcasem w żebra.

Zaparło mu boleśnie dech. Wpatrzył się w nią, usiłując zachować równowagę, z dłonią zaciśniętą na uchwycie laski, a fala wspomnień niosła go przez całe lata, ku Waterloo, ku Brukseli, do czasów, kiedy widział ją wykonującą dokładnie ten sam gest.

No i, nieuchronnie, do ostatniego razu, kiedy dotykał Rozalindy March. Róże. Powinien był się wcześniej zorientować.

### 3

Rozalinda March wiedziała, że kapitan Eversea się do niej zbliża, nim jeszcze usłyszała skrzypnięcie posadzki. Zapomniała, że potrafił całkowicie odmienić atmosferę miejsca, w którym się znalazł,

podobnie jak burza. Jeżyły się jej wtedy włoski na karku, a ramiona drętwiały ze zdenerwowania.

Przyszedł. Odniosła zwycięstwo. Tak przynajmniej uważała.

Jednak teraz poczuła niepokój. Postanowiła, że pozwoli mu do siebie blisko podejść. Czy też raczej wmawiała sobie, że na to pozwoli. Wołała to od sytuacji, w której zabrakłoby jej odwagi, żeby do nie-go przemówić, choć przecież ośmieliła się wysłać mu liścik.

- Pani... posłaniec przekazał mi niezupełnie ściśle dane co do naszego spotkania, pani March. A może raczej... pani Smithson?

W jego słowach wyczuwało się energię oficera strofującego wojskowego niższej rangi. Była w nich ironia. Tylko że... och. Ten głos. Jakże mogła się nie przygotować na to, że znów go usłyszy? Zwodniczo łagodny, niski, aksamitny: obezwładniał niczym dym opium, gdy jego właściciel wdawał się w zdawkową konwersację podczas walca lub z osobą zasiadającą obok niego przy stole na przyjęciu.

Ale gdy rozkazywał, każde słowo brzmiało niczym wystrzał z pistoletu.

Głos był jego bronią. Pobrzmiwała w nim ironia, bo nie miał wątpliwości, dlaczego zwracała się do niego za pośrednictwem posłańca: gdyby wiedział, że to ona posłała po niego, prawdopodobnie by nie przyszedł.

Nie mylił się. Z Rozalindą March będą kłopoty.

- Dzień dobry, kapitanie Eversea. Miło mi pana ponownie ujrzeć.

Wyciągnęła ku niemu na powitanie rękę.

Był, jak zawsze, dżentelmenem - przestrzegał drobnych rytuałów, obowiązujących w całej jego sferze - nie zawahał się więc i bez mrugnięcia okiem ujął lekko jej palce w swoje.

Właściwie nie można tego było nawet nazwać dotknięciem.

Spojrzała na jego palce. Zakręciło się jej w głowie. Wspomnienia sprzed lat przewinęły się przed jej oczami. Widziała jego ręce, jak czyściły broń, jak machinalnie ścierały proch z warg po ładowaniu muszkietu, jak zarzucały go na ramię podczas ćwiczeń, jak unosiły głowę umierającym żołnierzom, by mogli się napić wody. Jak ujmowały kieliszek brandy, klepały jej męża poufale po ramieniu, pomagały wystrojonym w jedwabie kobietom wsiadać do powozu lub z niego wysiadać.

Znała ich siłę i ciepło, gdy ujmowały ją w pasie podczas tańca. Wiedziała, co czuła, gdy błędziły w jej włosach, gdy kołysały jej głowę, przechyloną w tył...

Szybko uwolniła palce z jego uścisku, opierając się wspomnieniom. Stała wyprostowana. Spojrzała w jego twarz, a nie na dłoń, zaciśniętą na rękojeści laski w kształcie końskiego łba. Pamiątka po Waterloo. Wparł laskę mocno w posadzkę, jakby chcąc ukarać ten przedmiot za to, że był mu niezbędny.

Zawsze wydawało się jej, że uczyniono go z dużo mocniejszej materii niż zwykle ludzkie ciało. Zawsze też wyróżniał się spośród wszystkich innych, gdziekolwiek przebywał. Nie zdziwiło jej, że ma rysy jeszcze twardsze niż niegdyś. Czas, słońce, ból i długie noce Bóg jeden wie jakich męskich rozrywek wyłobiły bruzdy w kącikach

oczu, zaostrzyły kąty i pogłębiły zagłębienia pociągłej twarzy, nadały ustom nieprzejednany wyraz. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że gdyby się uśmiechnął, skóra na jego twarzy by z trzaskiem popękała.

A jego oczy... nadal mogłyby ciąć diament. I mogłyby rozświetlać mrok kopalni.

Niebieskie oczy.

Nie. „Niebieskie” to nieodpowiednie słowo.

Odwróciła się od niego i spojrzała na obraz. W jego rogu widniał podpis: „Rubinetto”. Drobne, nierówne literki. Sporo ją kosztowało to niby obojętne powitanie i potrzebowała nieco czasu, żeby zebrać siły.

- Ohydny - powiedział z absolutną pewnością siebie. Miał na myśli obraz, któremu przyglądał się z surową miną.

Nie pocieszyło jej stwierdzenie, że okazał się dokładnie taki sam, jakim był niegdyś. Zawsze słyszała, jak wyrażano się o nim w samych superlatywach. Odważny. Lojalny. Godny zaufania. Błyskotliwy. Nieugięty. Nieustępliwy. Zdyscyplinowany. Nic dziwnego, że jego sądy - wzięwszy to wszystko pod uwagę - były stanowcze, a wypowiadał je z zapierającą dech szybkością.

Jej mąż, pułkownik March, lubił go szczerze i darzył absolutnym zaufaniem. Bezwzględna pewność siebie kapitana Eversea wzbudzała zaufanie. Jego wyczucie w sprawach dotyczących wojska i ludzi było nieodmiennie bezbłędne. Przypuszczała, że świadczy to o wrodzonej dobroci, która nie miała nic wspólnego z litością czy pobłażaniem.

Wszystko to świadczyło również o tym, że dla kapitana Eversea wybaczenie sobie jest nie do przyjęcia. Już dawno temu uznała samooskarżanie się za zbyteczne. Znała jednak jego słabości, podobnie jak on znał jej, i właśnie dlatego wiedziała też, że nigdy jej nie wybaczy. Ani sobie samemu.

Czyniło to zamiar, z którym tu przyszła, jeszcze trudniejszym do zrealizowania.

- Sądzę, że powinnam spytać, jak się pan miewa, nim poproszę o pomoc, kapitanie Eversea.

Nie tłumiała już w sobie chęci mówienia prosto z mostu; nie czuła już potrzeby czarowania ani jego, ani nikogo innego. Nie była już tamtą dziewczyną.

Zapadła cisza.

A potem, cóż za niesłychany cud, jeden kącik jego warg się uniosł. Zdało się jej, że usłyszała lekki trzask. Było to coś w rodzaju uśmiechu. Co za piękne usta. Lepiej na nie nie patrzeć.

Zignorował jej pytanie, bo zapewne uznał je za zbędne.

- Czemu potrzebuje pani mojej pomocy? I dlaczego jesteśmy... właśnie tutaj? - Wypowiedział słowo „tutaj” z intonacją, z jaką mógłby wypowiedzieć słowa „francuskie więzienie”. Jeszcze raz spojrzął niechętnie na obraz, a potem, znacząco, na nią, jakby ją oskarżał, że sprowadziła go tu właśnie.

Nie wiedziała, od czego zacząć i co ma powiedzieć. Nie mówiła o tym z nikim poza rodziną. Wypowiedziane słowa zabrzmiały jej w

uszach z przeraźliwą wręcz nierealnością. Zaczerpnęła głęboko tchu. -  
Moja siostra zniknęła.

Zareagował błyskawicznie. To ją pokrzepiło.

- Ta gadatliwa czy ta blondynka?

- Blondynka. - Jenny rzeczywiście usta się nie zamykały, nie było więc o co się kłócić. - Lucy. Jenny wyszła za mąż, w tym miesiącu miną dwa lata. Jej dziecko ma rok i właśnie wyrznął mu się pierwszy ząbek...

Zachnął się zniecierpliwiony, co - jak wiedziała - znaczyło: „Proszę tylko o istotne informacje”. Znów się jej przypomniało, jak trudno było go lubić. Nie mówiąc już o tych jego budzących lęk wystających kościach policzkowych.

- Przepraszam za zbędne szczegóły, kapitanie. Lucy zatrzymano za drobne przestępstwo i osadzono w więzieniu Newgate, gdzie miała czekać na proces. A tymczasem zniknęła z więzienia, nie ma jej tam już od tygodnia i nikt najwyraźniej nie wie, co się z nią stało.

Była to najbardziej zbliżona do meldunku wojskowego przemowa, jaką kiedykolwiek wygłosiła. Poczula się lekko zbita z tropu. Uwielbiała szczegóły.

Oczy jego pojaśniały jednak, a nacisk na rękojeść laski zelżał. Ten przekorny, uparty, pełen przeciwności człowiek czuł się szczęśliwy, mając do pokonania przeciwności.

Zawsze najbardziej mu się podobała wtedy, gdy mu się odcinała.

- Cóż u licha zrobiła Lucy?



Wydawał się raczej skonsternowany niż zaniepokojony, co ją pocieszyło i przypomniało jej, dlaczego go lubiła. Poza tym pochodził z rodu Eversea, gdzie roiło się wręcz od czarnych owiec. Młodszy brat kapitana, barwna postać, zyskał nie tak dawno spory rozgłos jako najsłynniejszy przestępca Londynu, a o jego wyczynach śpiewano skoczną piosenkę na ulicach, w pubach i na scenach teatrzyków - po prostu wszędzie. Jakoś udało mu się uniknąć publicznej egzekucji na szubienicy.

- Oskarżono ją o to, że chciała ukraść cenną bransoletkę wykonaną z karneolu i onyksu... - Po raz drugi się zachnął. Rozalinda powściągnęła irytację. - Przymierzała ją u jubilera i podeszła ku drzwiom, żeby obejrzeć bransoletkę w dziennym świetle, a potem zrobiła jeszcze kilka kroków i wyszła ze sklepu, doprawdy tylko na moment. Po prostu chciała lepiej się jej przyjrzeć, bo w sklepie było ciemnawo. Jubiler interpretuje ten incydent inaczej, no a potem doszło do... nieprzyjemnego zajścia. Lucy nie miała złych zamiarów.

- Hm...

W tym „hm” usłyszała niedowierzanie, ale nie potępienie.

Nic nie odpowiedziała. Niedowierzanie było usprawiedliwione, musiała to szczerze przyznać. Siostry, prócz tego, że były bardzo ładne, nie przynosiły jej specjalnej chluby i nikt nie wiedział o tym lepiej od kapitana Eversea, może tylko pułkownik March, który wziął je pod swój dach, gdy się z nią ożenił, bo zgodziła się na małżeństwo z nim pod tym warunkiem.

Ryzykowała, stawiając taki warunek, a pułkownik przystał na ów warunek, będąc ślepo zakochany w Rozalindzie. A i sam pułkownik, który mógł poślubić, kogo mu się żywnie podobało, i pod względem finansowym wiodło mu się doskonale, nie bał się ryzyka. Stracił dla niej głowę i się zgodził. Dorastały w lęku przed nędzą, przed brakiem środków do życia, w wiecznej niepewności. Wiedziała, że daremne zapewne aspiracje Lucy do poprawienia swojej pozycji społecznej czyniły ją bardziej nierozważną, niż powinna być. Rozumiała, dlaczego bransoletka tak kusila Lucy. A także wiedziała, że Lucy miała trochę pstro w głowie.

Rozalinda wolałaby, żeby ta bransoletka nie wywabiła Lucy ze sklepu, ale teraz nie miało to znaczenia. Wolałaby też mieć mniej niesforną siostrę, ale obydwie - Jenny i Lucy - bezgranicznie kochała i nigdy nie przestała się o nie troszczyć. Od śmierci męża były przecież jej jedyną rodziną.

Nie zostawi teraz Lucy na łasce losu. Zniknęła. Myśl o utracie siostry przyprawiła ją o zimny dreszcz. Gdyby myślała o tym dłużej, zrobiłoby się jej słabo, a ona musiała teraz być silna. Chciała oprzeć się chęci potarcia zziębniętych dłoni o pelisę. Na próżno. Nigdy, przenigdy nie podda się bez walki. Zawsze, przez całe życie, robiła dokładnie to, co trzeba.

- Dlaczego chciała się pani ze mną widzieć? - Kolejne energiczne pytanie.

Potrzebowała całej siły i odwagi, jakich nabyła od czasu, gdy się ostatni raz spotkali, żeby odpowiedzieć.

- Bo sędzę, że William Kinkade mógłby wiedzieć, co się z nią stało.

Twarz mu zeszywniała tak nagle, że Rozalinda aż cała ścierpła. Jakby uderzyła głową w coś twardego. Spodziewała się tego. Zapomniała tylko, jak zachwycające było to doznanie. Kinkade, towarzysz broni Chase'a, był tak blisko z nim związany jak jej mąż.

- Na pewno pomówiłby z panem, gdyby tylko zechciał pan być tak uprzejmy i go o to zapytał.

Jego twarz była równie nieruchoma jak oblicze posągu Williama III na St. James's Square, a spojrzenie nieodgadnione.

- Piekielnie trudno się z nim zobaczyć - ciągnęła spokojnym tonem, mimo że ścisnęła ją boleśnie w dołku. - Próbowałam się z nim porozumieć, posyłając list do jego biura, ale otrzymałam oficjalną odpowiedź, że nic mu nie wiadomo o tym, gdzie może teraz przebywać panna Lucy Locke. Gdy udałam się osobiście do tego biura, usłyszałam, że nie można się z nim widzieć. Nie wybrałam się jeszcze do jego domu, co, zapewniam pana, byłoby raczej desperackim posunięciem, ale byłby to następny krok w moich próbach skontaktowania się z nim. Nie poszłam też szukać siostry w więzieniach urządzonych na statkach, ale po cóż mieliby ją tam przenieść? Minał już cały tydzień, odkąd znikła. Z pewnością ktoś musi wiedzieć, co się z nią stało.

W jej głosie coraz wyraźniej słychać było spowodowane lękiem napięcie.

Jego milczenie zaczęło jej wręcz dzwonić w uszach. W sali muzealnej było zresztą wyjątkowo cicho i duszno, zarówno wskutek izolacji zapewnianej przez stare mury, jak i tego, że kapitan Eversea zawsze, wydawało się, zużywa więcej powietrza, niż mu przypada w udziale.

Doznała dziwnego wrażenia, że on równie uważnie ją obserwuje, jak jej słucha, i że to, co widzi, w żaden sposób nie pasuje mu do tego, co słyszy.

Co też pan widzi, kapitanie Eversea? Czy wydają się panu tak odmieniona, albo może taka sama, jak pan mnie?

- Lucy obracała się w towarzystwie, do którego i on należał - ciągnęła, jakby ta rozmowa toczyła się na dwóch różnych płaszczyznach. - A raczej na marginesie tego towarzystwa. Zamożnego, o swobodnych obyczajach, a nawet trochę... zepsutego. Odkryłam to poniewczasie. - Zająknęła się przy ostatnim słowie. Wymagało odwagi powiedzenie tego temu człowiekowi o kamiennej twarzy. - Ona... wręcz go uwielbiała, wiedziałam o tym. Wyznała mi coś, co pozwala domniemywać, że mógłby wiedzieć...

- Piekielnie? - Chase przerwał jej wywód tak nagle i ostro, że aż podskoczyła. - Czy użyła pani słowa „piekielnie”? A co dalej? Może zacznie pani jeszcze palić cygara, pić brandy, kłaść nogi na stole i spluwać?

- Z pewnością nie będę spluwać!

Zapadła chwila ciszy.

A potem, bardzo powoli, oba kącki jego warg się uniosły. Uśmiechnął się, a w tym uśmiechu znalazła wyraz cała jego fascynująca osobowość. Wyglądał teraz o dwadzieścia lat młodziej - a był już po trzydziestce. Jej serce, ten zdrajca, zabiło gwałtownie, jakby zamierzała rzucić mu się a prośbą do stóp. Niegdyś wiele by dała, by zasłużyć na jego uśmiech. Potem zaś musiała się nauczyć, jak pozostać na niego obojętna. Ta nauka nie przyszła jej łatwo, podobnie jak komuś, kto musi się nauczyć poskromienia w sobie lęku wysokości.

Jakże była wtedy niemądra.

Zacisnęła zęby i się wyprostowała. Nie potrzebowała teraz ani nie chciała jego aprobaty. Potrzebowała jego pomocy. Obydwoje wiedzieli, że na nią nie zasługiwała.

Uśmiech na jego twarzy przygasł. Kapitan przyglądał się jej. Wytrzymała ten nie całkiem beznamiętny, badawczy wzrok. Uniosła dumnie głowę. Może sobie patrzeć, ile tylko chce, ale już w niej nie odnajdzie tamtej dziewczyny. Dziewczyny, która nigdy nie przypuszczała, że rola żony pułkownika - rola, która dobiegła końca - może być poniekąd rolą wszystkich kobiet. Rola matki, siostry, kochanki.

Tamta dziewczyna była za młoda i zbyt zaprzątnięta troską o przeżycie, by stworzyć własny, jakże użyteczny kodeks życiowy, na wzór takiego, jakim kierował się kapitan Eversea. Poszukiwała takiego kodeksu uporczywie, po omacku, aż wreszcie doszła do wniosku, że powinna wykorzystywać swój urok, zawsze i wszędzie.

Zadziwiająca, ale ów urok był równie nieodparty, jak ukryty. Każdy był nią zbyt urzeczony - co, jak musiała przyznać, raczej ją cieszyło - by dostrzec, że jest załęczona i nie dająca sobie rady, a często znudzona, podczas gdy powinna była być miła, wdzięczna losowi i zachowywać się dojrzałe. Nikt tego nie dostrzegał poza, oczywiście, kapitanem Eversea. Aż wreszcie nierozmyślnie uczyniła z własnego uroku pułapkę, w którą wpadła i ona i kapitan Eversea.

- Czy pan nadal uważa Kinkade'a za swego przyjaciela, kapitanie Eversea?

- Oczywiście. Będę się z nim dziś wieczór widział na przyjęciu u lorda Callendera. Dlaczego jednak sądzi pani, że Kinkade miał z tym coś wspólnego?

Doszedł do tego wniosku, gdy się jej uważnie przyglądał. Powiedział to tonem, który ustanawiał między nimi dystans: był chłodny, oskarżający.

Nie poddała się lękowi.

- Bo pracuje w ministerstwie spraw wewnętrznych i mógłby przejrzeć prośby o uwolnienie skazanych przestępców. A choć Lucy jeszcze nie miała procesu, on bardzo dobrze zna różnych ludzi związanych z więziennictwem, z policją, z sędziami pokoju. Z pewnością mogłabym się dzięki niemu dowiedzieć, co się z nią stało. Obawiam się, że Lucy miała zbyt wygórowane ambicje towarzyskie i że je w niej rozbudzano, bo jest ładna i trzpiotowata, a tych ludzi to bawiło. Dopuszcili ją do swego grona wcale nie dlatego, że im na niej naprawdę zależało. Kiedy poszłam się z nią zobaczyć w... - musiała

odchrząknąć, bo to słowo nie chciało jej przejść przez gardło -...  
więzieniu, powiedziała mi: „Nie martw się, Rozalindo. Billy pomoże”.  
Wyglądała jednak na zdenerwowaną.

Po dłuższej chwili milczenia się odezwał:

- Czy według pani Kinkade jest zamieszany w to zniknięcie,  
ponieważ dziewczyna, której zawrócił w głowie, liczyła na jego  
pomoc?

Mówił beznamiętnie, ale w jego głosie pobrzmiwało  
niedowierzenie. To ją rozwścieczyło. Jak śmiał! Lucy była jej siostrą,  
a nie przypadkiem „zniknięcia”! W specyficzny sposób dawał  
wyraźnie do zrozumienia, że jej insynuacje są zniewagą dla Kinkade'a  
i dla własnego bezpieczeństwa powinna ich zaniechać.

- Nie chciała mi powiedzieć nic więcej. Wydawała mi się...  
przestraszona. Przybita.

- Tylko ostatni cymbał mógłby nie być przestraszony i przybity,  
gdyby się znalazł w Newgate.

- Ale ja myślę, że to właśnie jego się bała. Kinkade'a. - Nie mogła  
już opanować gniewu.

- Nie wyobrażam sobie, żeby to była prawda. - Odpowiedź padła  
szybko, wygłoszona obojętnym, wręcz znudzonym tonem.

Miała ochotę warknąć na niego.

Wyczuł bezbłędnie, w jakim jest nastroju, i najwyraźniej mu to  
odpowiadało. W jego spojrzeniu dostrzegła wręcz zachętę do podjęcia  
wyzwania. Zapiekły ją uszy. Jak dobrze wiedziała z przykrego  
doświadczenia, niebawem rumieniec obleje całą jej twarz.

- Myślę, że nie powiedziała mi nic więcej, bo chciała ochronić zarówno mnie, jak i siebie, gdyż zażądałabym wtedy wyjaśnień, a głupia nie jestem. Lucy z natury nie jest osobą ostrożną, ale wtedy właśnie zachowywała ostrożność i dlatego sędzę, że należy brać jej słowa poważnie. Nie powinnam tego panu wyjaśniać, ale ja ją znam, kapitanie Eversea. Przecież sama ją wychowałam. Znam ją tak dobrze, jak pan zna własnych braci i siostry. Wyczułabym, że coś tu jest nie w porządku. Proszę mi powiedzieć: czy rozpoznałby pan, że jedna z pańskich sióstr się boi, niezależnie od tego, co by panu mówiła?

Bardzo dobrze wiedziała, ile dla niego znaczą bracia i siostry. Tylko że apelowanie do jego uczuć rzadko kiedy przynosiło skutek. Nie miała zaś pojęcia, co ona dla niego znaczyła. Dziewczyna, którą niegdyś znał, także nie była z natury ostrożna. Impulsywne zwrócenie się do niego o pomoc również było czymś, co zrobiłaby dawna Rozalinda. Nagle odwrócił się twarzą do obrazu.

Brunatny wół, którym można byłoby nakarmić wioskę, gdyby go nadziano na rożen i upieczono, spoglądał wielkimi, łagodnymi oczami na marsową minę kapitana Eversea. Zadzierał do góry ogon, jakby szykował się do zrobienia czegoś, co woły często robią. Jakaś krowa i koń o rozumnym spojrzeniu zwieszały wielkie łby nad płotem, zza którego wyzierały drzewa obsypane nieokreślonymi owocami - Rozalinda nie miała pewności, czy to pomarańcze, choć były to owoce okrągłe.

Kwiaty niebieskie i czerwone bujnie porastały ziemię, wychylały się zza płotu, wspinały na drzewa. Chmara cherubinów unosiła się nad



pastwiskiem. Niebo było błękitne, ale odcień tego błękitu przywodził na myśl raczej zmierzch niż pełnię dnia, o czym świadczył też zauważony przez Rozalindę półksiężyc. U samej góry, w rogu obrazu, widniał anioł, a właściwie anielica trzymająca w wyciągniętej ręce harfę, na której brzdąkała z rozmarzoną miną. Zdumiewająco duże piersi z wyraźnie zaznaczonymi brodawkami nie najlepiej się kojarzyły z niebiańskim charakterem tej postaci.

Cały obraz tchnął spokojem. Każda przedstawiona na nim postać, każde stworzenie było zadowolone, radowało się życiem, cokolwiek się wokół działo. Rozalinda poczuła osobliwe ukłucie zazdrości.

- Dlaczego chciała się pani spotkać ze mną właśnie tutaj? - Ton kapitana wciąż nasuwał na myśl przesłuchanie. - No i dlaczego... - Nagle i niespodziewanie westchnął. - Dlaczego akurat przed obrazem z krowami? - spytał, a ostatnie słowo wypowiedział z lekką desperacją.

Znowu odwrócił się w jej stronę.

- Dlatego że kiedy ostatni raz rozmawiałam z Lucy, a zaraz potem ją wyprowadzono, usłyszałam od niej, żebym poszła do Montmorency Museum. Powiedziała to, kiedy ją poprosiłam, żeby mi wyjaśniła, co miała na myśli, mówiąc o Williamie Kinkadzie. I powtórzyła to jeszcze raz. „Montmorency, Rozalindo! Sala malarstwa włoskiego!” A jej...

- Może uważała, że wykorzysta pani swoją wszechstronną znajomość sztuki?

- ...ton dał mi wiele do myślenia. Spytałam tego człowieka, który siedzi przy wejściu...

- Bardzo chętny do pomocy. Wie, gdzie się co znajduje. Uporządkowany umysł.

Z czego wynikało, że jej umysł uporządkowany nie był. Och, jakże znakomicie umiał to rozgrywać. Nie powinna dopuścić do tego, żeby gniew wziął nad nią górę. Ale czy potrafi temu zapobiec? Znowu poczuła, że za chwilę cała jej twarz obleje się szkarłatnym rumieńcem.

- ...i on mi powiedział, że Kinkade podarował ostatnio muzeum trzy obrazy, między innymi ten, który pan tutaj widzi, myślałam więc, że może... wie pan coś o jego zainteresowaniach związanych ze sztuką i że dowiem się, co one mogły mieć wspólnego z Lucy... i właśnie dlatego zwróciłam się do pana.

Nagle zdała sobie sprawę, jak absurdalnie i niespójnie to zabrzmiało.

- Tylko człowiek o nieposzlakowanym charakterze mógłby mieć tyle zdrowego rozsądku, żeby pozbyć się tego malowidła, gdyby, na nieszczęście, wszedł w jego posiadanie, i tyle szczodrości, by darować go instytucji publicznej, która gwarantuje, że mało kto będzie ten obraz oglądał.

Rozalinda spurpurowiała, a jej oczy zwięziły się w dwie wąskie szparki.

Kolor skóry na twarzy kapitana się nie zmienił. Patrzył teraz na nią, tak pewny siebie i tak niewzruszony, że nie zdziwiłaby się, gdyby wyjął z kieszonki zegarek, żeby sprawdzić, ile czasu stracił na tę

nudną rozmowę. Nieporuszony jak skała Gibraltaru. Jak klify w Dover.

Czekał jak ktoś, kto pragnie się upewnić, że jego wróg, do którego strzelał z bliskiej odległości, naprawdę nie żyje. A potem powiedział:

- Rozumiem pani troskę o siostrę. Życzę jak najlepiej pani i jej rodzinie, ale pani podejrzenia wydają się bezpodstawne. Obawiam się, że nie mogę tu w niczym pomóc.

Wiedziała, że to znaczy „nie chcę”. I wiedziała dlaczego. Chętnie by mu krzyknęła w twarz: „Chciałabym cofnąć to, co się wtedy stało, ale nie mogę!”

Tylko że, na Boga, nie była wcale pewna, czy powiedziała prawdę. Nawet teraz. Nawet jeśli szło o Lucy.

Skończył z nią. Jak we śnie widziała, że przykłada dłoń do runda kapelusza w geście pożegnania, że odwraca się od niej. Ale nim zdołała pomyśleć, czy to mądre - nim zresztą w ogóle zdołała cokolwiek pomyśleć - jej ręka dotknęła jego ramienia. Żeby nie pozwolić mu odejść.

Nie było to łagodne dotknięcie.

Zatrzymał się, zaskoczony, i gwałtownie zaczerpnął tchu z oczami utkwionymi w jej ręce. Przez chwilę stał tak nieruchomo, aż odczuła ten bezruch własnym ciałem. Jakby był mieczem wbitym przez nią w ziemię.

Od razu zrozumiała, że popełniła błąd. Pod miękką wełną płaszcza ramię jego było tak sztywne i nieugięte, jak on sam. Ramię

zdolne poruszyć kulę ziemską. I poruszyło ją niegdyś, zdaniem niektórych ludzi.

Spojrzał na nią z bliska, a potem szybko opuścił powieki. Och, nie tak znów szybko. Nie na tyle szybko, żeby nie dostrzegła, co kryło się w jego oczach. Pożądanie. Dzikie pożądanie. I coś, co było tak bliskie podatności na zranienie, że zapragnęła chronić go przed tym, przeprosić...

To samo ujrzała na jego twarzy pięć lat temu. Tamtego dnia. W tamtym momencie.

Gdy spojrzał na nią chwilę później, miał twarz zmienioną, pobladłą, zacisnął usta. Był wściekły, bo mu przypomniała, że jest mężczyzną z krwi i kości. I, ostatecznie, tylko człowiekiem. Był też wściekły na siebie, bo pozwolił jej zobaczyć to, co - dobrze o tym wiedział - zobaczyła na jego twarzy.

Nie miała pojęcia, co zdradza jej twarz. Wiedziała jednak, że nie różni się od tej sprzed lat. Po kilku sekundach bardzo powoli cofnęła dłoń, jakby nagły ruch mógł sprawić, że straciłby ją bez ceremonii.

Bez słowa, niczym zwierzę oswobodzone z więzów, odwrócił się i szybko odszedł. Obcasy jego butów stukały na muzealnej posadzce w rytmie marsza wraz z laską, która zrosła się wręcz z jego postacią.

Ujęła w drugą dłoń tę, którą go dotknęła, jakby w geście pocieszenia. Spojrzała na nią. W głowie miała zamęt, twarz jej płonęła. Patrzyła w ślad za nim, póki nie zniknął w drzwiach wejściowych.

Patrzyła długo. Nawet kiedy go już tam nie było.

Nie była zdolna się ruszyć. Nie chciała się ruszyć, póki nie zniknie wszelki ślad po jego obecności.

Zdobyła się na słaby uśmiech. Nawet najtwardsze skały kruszeją, kapitanie Eversea. Morze napiera na nie i przemienia ich kształt. Nie daje im pod tym względem wyboru.

Nie liczył się z kobietą, jaką się stała.

Ona, Rozalinda March, nie jest skałą, na którą napiera morze.

## 4

Brudny mały urwis czekał na zewnątrz muzeum. Chase spojrzął na niego jak na dymiący niedopałek cygara i ruszył przed siebie, nie zwracając na chłopca uwagi.

A potem zatrzymał się i obejrzał.

- Gdzie mogę się napić czegoś mocniejszego w tej podłej dzielnicy Londynu?

- W Mumford Arms. - I urwis już wyciągał rękę po monetę. - Tam dalej, gdzie przy ładnej pogodzie urządza się jarmarki, naprzeciwko skweru. Trzeba pójść Black Cat Lane.

Chase udał, że nie zauważa rozpostartej dłoni i przeciął dziedziniec, postukując laską, w beznadziejnie powolnym tempie. Przemierzył całą jego przestrzeń, nie przypatrując mu się wcale, a potem zapuścił się w ponure ulice. Parę jardów dalej zaczynał się skwer. Świadczyły o tym splachetek zeschniętej trawy i kilka sympatycznych, ale cherlawych drzewek.

Przeklęty ulicznik szedł za nim niczym cień. Chase słyszał, jak jego bose stopy plaskają o bruk i taplają w kałużach po wczesnym deszczu.

- Widziałem, jak pan urządził tych dwóch łobuzów - wreszcie przemówił.

- Naprawdę? - spytał obojętnie Chase.

- Oj, było na co popatrzeć!

Kątem oka dojrzał, jak chłopiec imituje w biegu kopniaki i ciosy zadawane laską.

- Nigdy żem czegoś takiego nie oglądał! Z pana to istny diabeł! Całe lata będą o tym gadać!

Chase udał, że nie słyszy.

- A widział pan tę damulkę? - dopytywał się urwis przyjaźnie. Jakby to był jego interes.

- Widziałem - mruknął niechętnie Chase.

W rzeczywistości uciekł przed nią. Zwolnił jeszcze bardziej kroku, żeby samemu sobie udowodnić, że wcale tak nie jest.

Daremnie. Myśl o niej nękała go uporczywie, działała na zmysły. Rozalinda. Jej imię wzbudziło w nim dreszcz, który niczym prąd przebiegł przez ciało. W głowie poczuł mrowienie, jakby czyjeś palce w miłosnej pieśczoście igrały w jego włosach. Uniósł kapelusz, żeby przeciągnąć ręką po włosach, a potem gwałtownie nasadził go z powrotem na głowę, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co robi.

Do diabła, co się z nim dzieje?!

Znów ruszył naprzód, tak samo gwałtownie. Szedł, ale niczego wokół siebie nie widział. Wyraźnie ujrzał oczami wyobraźni jej drobną, białą dłoń na swoim ramieniu.

Nadal obgryzała paznokiec małego palca lewej ręki. Dlaczego taki głupi fakt powoduje dotkliwy ból w jego piersi?

Odetchnął głęboko i szedł dalej.

Niskie, ostro zakończone ogrodzenie z kutego żelaza otaczające skwer zdawało się ciągnąć bez końca, uniemożliwiając dostęp do mitycznego Mumford Arms. Wiedział, że to złudzenie, zrodzone ze złej pogody i złego nastroju. Nędzne, źle utrzymane kwiaty późnego lata, smagane deszczem, wyzierały zza metalowych prętów niczym więźniowie zza krat.

Nasunęło mu to myśl o Lucy Locke, siostrze Rozalindy.

Nie mógł sobie wyobrazić Lucy w więzieniu. Lucy była śliczna, miała pstro w głowie, a jej biust był wypięty niczym dziób okrętu. Nie dziwiło go wcale, że Kinkade włączył ją do grona swoich dobrych znajomych, choć ani razu nie wspomniał mu o tym w swoich listach. Oczywiście śmiechu warta była myśl, że Kinkade mógł mieć coś wspólnego z jej zniknięciem, a jeszcze bardziej groteskowe wydawało się twierdzenie, że kiepski obraz z krowami i cherubinami też się z tym jakoś łączy.

A jednak Rozalinda bała się o siostrę. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu ta myśl wydała mu się nie do zniesienia.

Ścisnął gałkę laski tak mocno, że wyrzeźbiony na niej koński łeb wbił mu się w dłoń.

Ostatni raz usłyszał o Rozalindzie March kilka lat po wojnie, od jednego z żołnierzy. Powiedział mu on, że błąkała się wśród zwłok na pełnym krwi polu bitwy, nawołując męża, póki nie odnalazła go, ciężko rannego. Ze potem odwiedzała wszelkie lazarety w Mont St. Jean i Quatre Bras, gdzie tylko powstawały: w wiejskich chatach, w stodołach, na ulicach, w zamożnych domach, i wysłuchiwała ostatnich słów umierających, że trzymała ich za rękę, że zmieniała im pościel. Mąż, jak wielu innych dzielnych ludzi, odniósł ciężkie obrażenia i umierał powoli. Była przy nim, gdy wydawał ostatnie tchnienie.

Odważna kobieta.

Nieistotne.

Nigdy by nie zdradził po raz kolejny przyjaciela z jej powodu, przyjmując, choćby na moment, że Kinkade jest w jakiś niegodny sposób zamieszany w sprawę zniknięcia Lucy Locke.

Powinna była znać go na tyle dobrze, by go o nic nie prosić. Ale przecież go znała. I oczywiście dlatego napisała do niego ten tajemniczy list przesłany przez ulicznika, depczącego teraz mu po piętach. Co, jak uznał, bynajmniej nie świadczyło o odwadze.

O chytrości, tak. Ale nie o odwadze. Już się zaczynał uśmiechać, ale zwalczył w sobie tę pokusę. Z pewnością dobrze go znała.

- Nie żelgałem o tej damie, prawda? - spytał triumfalnie urwis. -  
Dała mi zarobić całego szylinga!

Chase nie powiedział ani tak, ani nie.

- A zafunduje mi pan coś mocniejszego? - próbował wziąć go pod włos smarkacz.



- Nie.

- Bo ja już piłem gin - pochwalił się malec.

- Nie wątpię, ale wiesz, to jest trucizna. Nie rób tego więcej. Bo ci jeszcze wyrosną piersi jak dziewczynie.

Zdjęty zgrozą chłopiec zamilkł, zgodnie zresztą z przewidywaniami Chase'a. Kapitan miał nawet nadzieję, że ulicznik, przerażony, ucieknie. Niestety, tu się przeliczył. Szedł więc dalej - on sam, jego zdrowa noga, jego chora noga, jego laska i towarzyszący mu wytrwale jak cień mały brudas.

Nieco dalej, za skwerem, ktoś, stojąc na palcach, zawieszał latarnię na żelaznym haku, sposobiąc się do wieczornego interesu. Chase uznał, że tam się właśnie musi mieścić Mumford Arms, i przyspieszył tempo.

- Czy ta damulka to pańska kobita?

- Nie! - parsknął Chase i nagle stanął jak wryty.

To samo zrobił chłopiec. Chase odetchnął ciężko, westchnął i przymknął oczy, tym razem po to, by uporządkować nawałę wspomnień. Podobnie jak tej nocy, kiedy stała się dla niego konkretną osobą, a nie tylko późną namiętnością podstarzałego pułkownika.

Z początku Chase był ubawiony faktem, że Rozalinda została nową żoną pułkownika. Śmiała się za dużo, tańczyła za długo i flirtowała zawzięcie z mężczyznami, którzy z równą łatwością mogli ją unicestwić, jak poddać się jej urokowi. Takim mężczyzną był ognisty, mający reputację niebezpiecznego uwodziciela kapitan Eversea. Każdy się w niej kochał.

Chase wolał jednak znacznie bardziej wyrafinowany rodzaj flirtu, a w Belgii ten wyrafinowany flirt z przystojnym kapitanem często kończył się w łóżku.

Albowiem w tygodniach poprzedzających krwawą łaźnię, która zakończyła tę przekłętą wojnę, mnóstwo frywolnych flirtów zawiązywało się w domach arystokracji belgijskiej, wypełnionych po brzegi angielskimi arystokratami, którzy zjechali tam, żeby gapić się na wojnę niczym na teatrzyk kukiełkowy, i Chase zmuszony był tańczyć ze wszystkimi żonami, w tym także z panią March.

Młodą panią March szczególnie zaś polubiła niejaka lady d'Aligny, belgijska hrabina, młoda, ładna i nieznośnie wręcz wyrafinowana, która potrafiła prowadzić pełne ironii rozmowy w pięciu różnych językach Europy kontynentalnej. Obydwie młode kobiety spędzały niemało czasu na poufnej, błyskotliwej konwersacji pod osłoną wachlarzy z kości słoniowej zdobionej malowidłami. Wachlarz Rozalindy był prezentem od lady d'Aligny. Obie też brały udział w rozlicznych herbatkach, przejażdżkach i obiadach.

Chase podejrzewał, że małżonkowie d'Aligny mogą być szpiegami. Nie ufał w bezinteresowną przyjaźń między nimi a panią March, którą uważał za kogoś niewiele rozumniejszego od dziecka.

Rozglądał się właśnie za wazą z ponczem na jednym z przyjęć wydawanych przez d'Alignych w ich wspaniałym pałacu, gdy usłyszał, jak Rozalinda rozmawia z jakimś mężczyzną przy drzwiach wiodących na taras. Niewątpliwie flirtowali ze sobą. Bezwstydnie

ukrył się za jednym z filarów flankujących te podwójne drzwi, żeby ich podsłuchać.

Rozalinda i tamten wojskowy śmiali się z cicha, a gdy śmiech ustał, mężczyzna powiedział:

- To śmieszne, ale pułkownik March jest takim aroganckim, starym sukinsynem, że on...

- Sierzancie Maris...

Powiedziała to spokojnie, ale ton jej głosu był lodowaty. To niezwykle. Nie spodziewał się tego po pani March. Po niej, trzpiotce, raz po raz wybuchającej śmiechem...

Chase nadstawił ucha.

- Co panu pozwala sądzić, że mogłabym tolerować podobne opinie o moim mężu? - spytała cichym, opanowanym głosem.

Na moment zapadła cisza, przzerwana pełnym zaskoczenia, krótkim śmiechem sierżanta Marisa. Najwyraźniej uznał, że ona żartuje.

Gdy jednak milczała - co można było uznać po prostu za oczekiwanie na odpowiedź - wyjąkał:

- Ależ... ależ... ja myślałem... że on przecież jest tak...

Chase zapamiętał, jak niezwykle uprzejmym tonem wówczas mówiła. Był to rodzaj uprzejmości typowy dla osób, które potrafią trzymać się w ryzach. Rozalinda zachowywała się uprzejmie, ponieważ ponosiła ją wściekłość. Zafascynowała go.

- To, co pan myślał, nie było słuszne, sierzancie Maris - ciągnęła nadal tym samym niezwykle uprzejmym tonem. - On jest moim

mężem, a także pańskim zwierzchnikiem, i jako takiemu należy mu się szacunek. Zawsze też powinien się pan o nim wyrażać z należyty szacunkiem. Lubiałam z panem rozmawiać, bo dotąd był pan wręcz uosobieniem szacunku. Wybaczam więc panu to jedno wykroczenie i nie powiem o nim mojemu mężowi. Jeśli jednak usłyszę, że znów mówi pan o nim w taki sposób, nie uniknie pan kary chłosty.

I wszystko to mówiła tonem niemal przepraszającym. Bardzo łagodnie. Tylko że jednocześnie spopieliała Marisa wzrokiem.

Przez dłuższą chwilę sierżant nie mógł się wręcz ruszyć. Wreszcie wyniósł się chyłkiem, lękliwie, kłaniając się i mamrocząc słowa przeprosin, jakby Rozalinda była uzbrojona w pikę.

Spoglądała za nim; jej oczy błyszczały, policzki się zaróżowiły. Wyglądała na pogrążoną w myślach. Aż wreszcie nabrała tchu i westchnęła głośno. Gdy uniosła wzrok, zaskoczył ją widok Chase'a. Od razu zrozumiała, że był świadkiem tej sceny.

Stała spokojnie, a na jej twarzy uwidoczniły się kolejno różnorodne uczucia, jakby nie wiedziała jeszcze, na które z nich ma się zdecydować. Wreszcie zrezygnowała. Trudno, dała się przyłapać. Wzruszyła ramionami, a potem uniosła podbródek i wytrzymała przez chwilę spojrzenie Chase'a, czekając na jego reakcję, jego werdykt.

Nie był w stanie się powstrzymać: uśmiechnął się krzywo i złożył dłonie do oklasków w geście cichej aprobaty.

- Brawo - mruknął. Zrobiła dokładnie to, co zrobiłby on.

Stłumiła uśmiech. Białymi zębami przygryzła pełną, miękką dolną wargę. Zapamiętał ten widok na długo.

A potem złożyła mu głęboki, teatralnie przesadny ukłon, na co uśmiechnął się jeszcze szerzej, i poszła w stronę jednej ze swoich siostr, która trochę zbyt ostentacyjnie flirtowała z innym wojskowym przez większą część tego wieczoru. Flirtowała zresztą podczas wszystkich wieczorów. Wtedy zdał sobie sprawę, że Rozalinda March zawsze czuwała nad swoimi siostrami.

Zapanowało między nimi swoiste odprężenie. A że Chase był zaufanym człowiekiem jej męża, wciąż się spotykali - na balach, na obiadach zarówno oficjalnych, jak i prywatnych - i odprężenie przeistoczyło się w przyjaźń. Jeśli można tak nazwać ostrożną uprzejmość, pod którą kryje się świadomość erotycznego przyciągania.

Chase przyłapał się na katalogowaniu najdrobniejszych związków z nią szczegółów. Przechylenie głowy, wzruszenie ramionami - robiła to, gdy sądziła, że nikt na nią nie patrzy; wiedział, że w ten sposób pozbywa się maski uprzejmości i powagi, przybranej, gdy została żoną pułkownika. Nosila ją chętnie, ale nigdy się w niej dobrze nie czuła.

Chase miał pewność, że tylko on jeden zauważył, jak ta maska ją męczy. Maleńkie znamię na obojczyku, mające kształt wachlarzyka. Szybko gasnący błysk w zielonych oczach, gdy ktoś robił niemądrą uwagę, zdradzający - co go zaskoczyło - bystrość jej umysłu. Respekt, jaki zawsze okazywała mężowi. Miriady subtelnych odcieni jej włosów, od... powiedzmy, lnianego, w braku bardziej ścisłego określenia, po miodowy połysk.

Obgryziony paznokieć u małego palca lewej ręki, jedyna oznaka przygnębienia Rozalindy March. No i ujawniany dzięki zdradzieckiemu światłu świec, chłodzie pokoju, upuszczeniu szala, jedwabnemu stanikowi sukni oraz spojrzeniu na to w odpowiednim momencie - wdzięczny zarys jej piersi.

Wiedział, że otaczają delikatny różany zapach.

Pewnej nocy tańczył z nią i poczuł, że pachnie - bardzo słabo - wodą różaną oraz mydłem do golenia męża. Jak kobieta, którą mąż całował - a zapewne nie ograniczył się tylko do pocałunków - zanim wybrała się na ten raut. Gwałtowne ukłucie zazdrości odebrało mu mowę; na moment stracił oddech.

Nie rozmawiał z nią podczas tego tańca. Czerpał perwersyjną przyjemność z pozbawienia jej okazji do konwersacji. Okno, od którego odbijają się rzucane przez kochanka o północy kamyczki.

Wiedział, że to jest infantylne. Wiedział, że to jest niewybaczalnie nieuprzejme. Może nawet tchórzliwe, choć za to słowo mógłby kogoś wyzwać na pojedynek, gdyby ów ktoś okazał się na tyle niemądry, by odnieść do niego ten epitet. Nawet jego bracia nie byli aż tak głupi.

Przeczytał książkę o królu Arturze jeszcze w dzieciństwie i choć zachwycały go pogonie i bitwy, zawsze uważał to, co zaszło między Arturem, Lancelotem i Ginewrą za dramat. Męczarnie! Dobry Boże, jakież to niepraktyczne. Z pewnością należało tego unikać.

Mówiąc prawdę, nie wiedział, co ma uczynić.

Znalazł się na łasce czegoś, czego nie pojmował. Poczuł się wówczas jak dziecko, a nie zahartowany w bojach żołnierz.

A w jej bladozielonych oczach dostrzegł urazę. Potem gniew. I wreszcie - urażoną dumę. Gdy duma ustąpiła miejsca zrozumieniu, pojął, że znalazł się w fatalnej sytuacji. Ze ta dziewczyna jest bardziej bystra, niżby chciał. I że ona, z jakichś sobie tylko wiadomych powodów, zechciała, by każdy o tym wiedział. I nagle niewymuszona swoboda, z jaką się do siebie odnosili, znikła. Jakby jej nigdy nie było. Spojrzała na niego tak, jak on patrzył na nią. I z tych samych powodów. Odseparowało ich od siebie milczenie. Łączyła fascynacja. To on zawinił, wyłącznie on.

Znał siebie samego, znał też ją, a więc powinien był wiedzieć, jak się to wszystko skończy.

To było dawno temu. Ocknął się i powrócił myślą do tego, co teraz stało się palącą koniecznością. Do szukania Mumford Arms.

- Woda różana - wymamrotał posepnie i ruszył przed siebie.

Mógł równie dobrze obwiniać wodę różaną, jak i cokolwiek innego.

- Co to takiego woda różana? Czy pan to pije?

Przeklęty ulicznik nadal się za nim włókł. Chase rzucił mu pełne złości spojrzenie.

- Jeszcze byś po niej dostał wysypki. Tym się skrapiają dziewczyny, żeby pachnieć, jak kobiecie przystoi. Niczym kwiaty.

Chłopiec spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Nie znam żadnej takiej, co by pachniała niczym kwiat.

- Nie wątpię.

- Ja tam dziewczyn nie lubię.

- To z ciebie rozumny chłopak.

Urwisa ucieszył ten przejaw męskiej solidarności i bynajmniej go nie odstraszył ton Chase'a.

- Pił pan kiedy tę różaną wodę?

- Nie byłem na tyle głupi.

- A whisky?

- To i owszem.

- Żytniówkę.

- Także.

- A gin?

- Tak.

Smarkacz mógł go w ten sposób nękać cały dzień!

- A brandy?

- Tak.

- A krew?

- Jeden czy dwa razy.

- To ci dopiero!

Chłopiec zaczął gwałtownie podskakiwać. Chase spojrzał na niego groźnie i podskoki ustały, a malec z miejsca go dogonił.

- Krew!

- Nie zrobiłem tego umyślnie. Było to pod Waterloo. Na polu bitwy leżało pełno już martwych albo umierających żołnierzy, ale zapasy wody właśnie się skończyły i wszyscy ci żołnierze niemal przez cały dzień byli pozbawieni picia i jedzenia. Wielu z nich chętnie by jeszcze raz stoczyło całą bitwę za choćby jeden łyk wody, nawet



gdyby się okazała zmieszana z krwią. Tak, ja chciałem żyć, ale choć woda, którą znalazłem, miała smak krwi, niejeden z nas ją pił.

Urwis zamarł w nabożnym milczeniu.

Chase zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy opowiada komuś o tym wszystkim ze szczegółami. Dopiero teraz pojął, dlaczego ojciec i stryjowie tak bardzo lubili opowiadać o swoich wojennych przygodach. Przekazując synom legendę, łagodzą grozę wydarzeń. Łatwiej się wówczas pamięta o odwadze niż o rzezi, za którą nieraz przychodziło ciężko zapłacić. A jemu samemu przypomniało to czasy, kiedy czuł się niezbędny.

- Dostał pan w nogę pod Waterloo?

- Można tak powiedzieć.

- Czy mi ją pan pokaże? Znaczy się nogę?

- Nie.

- A jak to wyglądało?

Chase zaczął mu opowiadać, nie przerywając marszu:

- Ocknąłem się i czułem, że coś mnie przygniata, ale nic nie widziałem, bo miałem ciemno przed oczami. Myślałem, że oślepnę. Słyszałem jęki i krzyki wszędzie dokoła, różni ludzie coś wrzeszczeli po angielsku i francusku. Przetarłem oczy i zrozumiałem, że nie jestem ślepy, tylko miałem w nich pełno krwi, która mi ciekła z rany na głowie, bo tam mnie trafiła kula.

Chase uniósł kapelusz, odgarnął włosy i pokazał białą bliznę, ciągle idąc.

Chłopiec spojrzał na niego z podziwem i dwukrotnie podskoczył, żeby się jej przyjrzeć z bliska.

- Ale nie przestrelili panu głowy na wylot?

- Nie, zranili mnie tylko, a rana na głowie dość mocno krwawi, o czym sam się przekonasz, jeśli kiedyś ciebie to również spotka.

Chłopiec przyłożył rękę do czoła, jakby chciał się upewnić, że z jego głową jest wszystko w porządku.

- A kiedy rękami otarłem z oczu tę krew, już wszystko widziałem. I zobaczyłem, że tym, co mnie przygniatało, jest ciało francuskiego żołnierza. Był martwy i leżał na mnie, a jego oczy patrzyły prosto w moje.

Mówił do chłopca, jakby ten był dorosłym mężczyzną, bo - jak wiedział z własnego doświadczenia - chłopcy wolą, żeby ich tak właśnie traktować. On także wolał niezafałszowaną prawdę. Nie był jedynym, który tego dnia ocknął się pod czyimś trupem. Nie był już wtedy bohaterskim kapitanem Eversea, tylko jeszcze jednym angielskim żołnierzem powalonym na ziemię, gdy spełniał obowiązek wobec swej ojczyzny.

Chłopiec zamarł bez ruchu, porażony jego krwawą opowieścią. Chase skorzystał z tego, żeby przyspieszyć kroku. Urwis - niech go diabli porwą! - dogonił go.

- Czy to pan go zabił? - spytał i z zapartym tchem czekał na odpowiedź. - Tego zabójca, co upadł na pana?

- Pewnie tak. Moim obowiązkiem było zabijanie Francuzów, zanim oni zdołają zabić nas.

- Uch, ja bym ich zabijał setkami! - I urwis wymierzył niewidzialny muszkiet w Bogu ducha winnego przechodnia. - Buum! - Przechodzień drgnął i spojrzał na niego ze strachem, przykładając rękę do serca. Chłopiec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Człowiek zabity przez widmowy muszkiet popatrzył na Chase'a z politowaniem. Chase przyjął to obojętnie, bo sam o sobie myślał z politowaniem.

- Ach, to nie było takie łatwe. Francuscy żołnierze strzelali bardzo celnie, a nas wcale nie cieszyło zabijanie, walczyliśmy jedynie za swój kraj. Kiedy już było po bitwie, służba sanitarna odwiozła wszystkich rannych, jakich tylko mogła zebrać, do szpitali: Francuzów i Anglików, bez żadnej różnicy. Byliśmy tam wszyscy równi. Wszyscy jednakowo walczyliśmy.

Chase wiedział, że szacunek okazywany wrogowi jest czymś całkiem niepojętym dla malca. Liczył jednak na to, że chłopak się znudzi, przestanie go zasypywać pytaniami, a w końcu zostawi samego z bolesnym, chaotycznym rojem wspomnień.

Wyglądała teraz dojrzej, ale nie starzej. Subtelne rysy stały się bardziej... wyraziste. Nie było już w nich dziewczęcej miękkości. Miała dwadzieścia pięć lat.

Przypomnił sobie, że jej skóra była niewiarygodnie gładka.

Doznał tak gwałtownego przyływu pożądania, że niemal mu zaparło dech. Och, Boże. Gdy w myślach wciąż na nowo wracał do wspomnień, z nieufnością, zachwytem i zniechęceniem, jego ciało czuło, że to za jej sprawą.

A jego noga wybrała sobie akurat ten moment, żeby mu przypomnieć, że nie jest już tym, kim był niegdyś. Zaciśnął zęby, czując, jak wzbiera w nim fala bólu, ale nadal parł do przodu. Nie zwolnił kroku.

Urwis także tego nie zrobił.

- Czy miał pan ładnego konia? I duży karabin?

- Jedno i drugie. Byłem kapitanem artylerii pod rozkazami pewnego pułkownika.

- Widział ją pan? Tę damę? Czy to była jego żona? Kiedy leżał pan na ziemi i myślał, że umrze?

Owszem, przypuszczał, że tam umrze.

- Nie.

To wyznanie sprawiło mu przykrość.

Boże, ileż by dał, żeby mógł ją wtedy zobaczyć. Zdawało mu się, że ją słyszy, że czuje jej zapach, woń wody różanej na ziemi pełnej błota i końskich trupów, wśród ostrego odoru krwi, potu i strzelniczego prochu. Po tym poznał, że umiera, bo było to coś niesłychanego. Jakby ktoś w piekle otworzył okno i pozwolił mu wdychać woń niebios.

Zrozumiał wtedy, że jeśli już tylko ona działa na jego zmysły, to jej utrata - fakt, że nigdy jej nie będzie miał - byłaby czymś niewyobrażalnym.

- A czemu jej pan nie widział?

- W dniu bitwy nie służyłem już pod rozkazami tego pułkownika.

Noga jeszcze raz dała o sobie znać, przypominając mu o haniebnym incydencie, który do tego doprowadził. Sprawilo mu to - ku jego zaskoczeniu - satysfakcję.

A teraz potrzebowała jego pomocy.

Chyba coś jej się roi, jeśli sądzi, że krowa na okropnym malowidle ma cokolwiek wspólnego z siostrą.

- Aha. - Chłopiec przestał się interesować tym zagadnieniem. Znalazł sobie jeszcze gorszy temat.

- No a dlaczego pan kuleje?

- Przestrzelono mi nogę na wylot. Chcieli mi ją odjąć taką wielką piłą, ale się nie zgodziłem.

- O, psiajucha! - stęknął chłopiec. - Czy bolała i krwawiła? A kości z niej nie wyłaziły?

- I bolała, i krwawiła, ale nikt mi nie mówił, czy mam kości na wierzchu, a ja ich nie widziałem. Pozszywali mnie jednak i zostałem w Quatre Bras, gdzie wiejska rodzina dobrze się mną opiekowała, póki nie mogłem znowu chodzić, no a potem wróciłem do domu, do Anglii.

Ale wcześniej nie dopuścił, żeby któryś z jego ciężko rannych ludzi umierał samotnie. Słuchał ich wyznań, a gdy leżeli w malignie, siadał koło nich, jak zrobiliby ich najbliżsi. Gdy nie byli już w stanie nawet mówić, mogli mieć pewność, że docenił ich własny dowódca. Wkrótce jednak i on sam stał się zbyt chory, żeby przychodzić do żołnierzy, i wszystko zlało się w jedną mętą mgławicę bólu i gorączki.

Odlamek szrapnela do dziś starał się wydostać z jego ciała na zewnątrz. Podobnie jak wspomnienia. Waterloo nadal w nim tkwiło, a razem z nim Rozalinda March.

Chłopiec przyglądał mu się wręcz z uwielbieniem. Chase mógłby teraz zakończyć swoją opowieść słowami bajki: „I żyli potem długo i szczęśliwie”.

- Chciałbym być żołnierzem - mruknął w końcu malec z cichym podziwem.

Chase parsknął jedynie i szedł dalej, a chłopiec biegł za nim niczym paż za królewskim powozem.

- Mógłbym dla pana pracować. Mówić, gdzie jest coś mocnego do picia, nosić listy i tak dalej.

Ciekawe określenie pracy.

- Nie potrzeba mi na razie nikogo takiego. Szukam whisky i dziw... to znaczy dobrego mocnego piwa.

Dopiero teraz uznał, że celem jego poszukiwań może być kobieta.

- Przecież chciał pan tylko piwa. Celną uwagę.

- No i znajdę je, zapamiętaj to sobie - odparł zgryźliwie Chase. - Gdzież, do diabła, jest ten przeklęty pub? Czy naprawdę tam, gdzie mi wskazałeś?

Chłopiec zignorował jego pytanie.

- Nauczy mnie pan się bić?

- Nie. - Chase uznał, że urwis już zapewne doszedł do tej umiejętności na własną rękę.

Spojrzał na brudnego oberwańca. Jakież niebieskie miał oczy! Jakby pochodził z rodu Eversea. Może jednak wydawały się takie tylko przez kontrast z umorusaną buzią? Przyglądał mu się przez chwilę.

- Jak ty się nazywasz? - spytał i zaraz tego pożałował. Chłopiec był równie spragniony rozmowy jak pieniędzy, a on miał go już dość.

- Odważniak - odparł mały, zadzierając dumnie głowę.

- Nie chodzi mi o przezwisko, tylko o imię.

- Liam.

Liam wydawał się wręcz podziwiać własną niezdolność do odmowy odpowiedzi na jego pytania. Chase odwrócił od niego wzrok i spojrzał ku fatamorganie, jaką wydawała się knajpa Mumford Arms.

- Czy masz jakichś braci, Liam? - spytał cierpko.

Pewnie oni go właśnie nauczyli się bić.

- Całe mnóstwo.

- A siostry?

- Mnóstwo.

Chase westchnął.

- Jak dużo naprawdę masz rodzeństwa?

- Jedną siostrę - przyznał mały z przygnębieniem.

Chase wiedział, że nie postępuje uczciwie, mówiąc do dziecka głosem kapitana. Brakło mu jednak cierpliwości do dalszego znoszenia jego łgarstw.

- A matkę? Ojca?

Chłopiec wzruszył kościstym ramieniem. Mogło to oznaczać wszystko albo nic.

Chase nagle poczuł ogromne znużenie. Był znużony urwisem, do którego trzeba było mieć anielską cierpliwość, a także sobą samym, dniem dzisiejszym, dniem wczorajszym, przedwczorajszym, jutrzejszym i w ogóle wszystkim. Tęsknił za solidnym napitkiem, o którym przedtem wspomniał, a także... tak, za kobietą. Właśnie za kobietą. W tym jednym dniu zdarzyło się za wiele, a tymczasem on, szczerze mówiąc, pragnął tylko tego, żeby go zostawiono w spokoju.

Wyszarpnął z kieszeni monetę i podał Liamowi.

- Idź sobie teraz - powiedział szorstko.

Liam jakby wrósł w ziemię.

- No, idź.

Tym razem jego ton był spokojniejszy, ale ze słów biła bezosobowa moc bezwzględного rozkazu. A Liam z całej duszy pragnął właśnie słuchać kogoś. Kogokolwiek, kto miałby niezachwianą pewność.

Niezachwianą pewność. Ha!

Liam zawahał się, obracając w palcach monetę, bo wiedział, że dostał ją po to, żeby się wyniósł. No i usłuchał.

Zakreślił się jak fryga i odbiegł, wdeptując po drodze w kałużę, przy czym opryskał błotem przechodnia, który spojrzał w ślad za nim i zaklął. Liam bez namysłu zagrał mu na nosie i wymijając zaprzęzione w konie wózki, straganiarzy, a także przechodniów, niewinnych i mniej niewinnych, popędził Bóg wie dokąd.



Chase uznał, że dość ma szukania Mumford Arms. Pragnął zapomnienia, które uśmierzyłoby jego ból i sprawiło mu wielką przyjemność. Wiedział dokładnie, gdzie je znajdzie.

## 5

Rozalinda pozostała w muzeum po odejściu Chase'a jak ktoś, kto chce ochłonać z szoku po trzęsieniu ziemi. Gdy skądś odchodził, wewnątrz zawsze wydawało się bardziej puste niż przed jego przyjściem. Jakież nienaturalny spokój panował teraz w Montmorency Museum! Do czasu...

Słyszała syk wosku kapiącego ze stopionej świecy w jednym z kinkietów. I to było wszystko. Żadnego skrzypienia drewna, jakim budynek zwykle reaguje na zmiany pogody czy też starzejąc się, żadnego echa kroków na marmurowej posadzce, żadnego głosu. Grube stare mury nie przepuszczały tu żadnych odgłosów z ulicy. Ani też przeciągów.

Montmorency Museum znów wydało się jej pozbawione uroku, oddalone od miasta. Nie dorównywało innym tego typu muzeom.

Po raz ostatni rzuciła okiem na obraz, na wielką, spokojną krowę, piersiastą anielicę, i westchnęła. Cóż u licha mogło to mieć wspólnego z Lucy? Z Lucy, aż nadto skora do śmiechu, spragnioną zbytku, nieustannie dążącą do czegoś, co - jak uważała - uczyniłoby ją szczęśliwą, gdyby tylko mogła rozpocząć od nowa życie, z całym mnóstwem rzeczy, które by jej to umożliwiły. Lucy, jej mała siostrzyczka.

Ale Lucy nie była już dzieckiem. Była bardzo ładną kobietą, która nigdy nie wykazywała najmniejszych oznak rozsądku. Po części, wiedziała Rozalinda, była to jej wina. Przypadło jej bowiem w udziale bycie rozsądną za wszystkie trzy. Powinna była lepiej strzec Lucy, ale od czasu bitwy pod Waterloo przebywała w Derbyshire, ciesząc się samotnością. Obserwowała też, jakby z oddalenia, jaki kierunek przybrało jej życie po zakończeniu wojny.

Powiodła zwilgotniałą dłonią po elegancko skrojonej pelisie. Miotła się w poszukiwaniu wskazówek, niczym ktoś, kto spada z wysoka i rozpaczliwie chce się czegoś uchwycić. Nienawidziła swojej nagłej niepewności, lecz kapitan Eversea mówił z typową dla niego pewnością siebie, od której biła siła. Kusiło ją, żeby się temu poddać i przyznać przed sobą, że jest na błędnym tropie. A nawet że okłamuje samą siebie.

Właśnie dlatego nie powiedziała mu o liście, który otrzymała tydzień temu. Mogła sobie wyobrazić, jaką by zrobił wtedy minę.

Nie był podpisany i składał się z jednego zdania. Przestraszył ją, bo nadszedł tuż po rozpoczęciu przez nią poszukiwania przyczyn zniknięcia Lucy. Gdyby jednak kapitan Eversea potraktował list ze swoją zwykłą chirurgiczną precyzją i chłodem, wszystko, co uważała za wskazówki, wydałoby się jej nieistotne. Obawa o Lucy niewątpliwie sprawiła, że łatwiej teraz było ją przestraszyć.

Rozalinda westchnęła i postanowiła opuścić muzeum. I wtedy dostrzegła kątem oka mężczyznę, który szybko wszedł do pobliskiej sali. Tak się przeraziła, że nie zdołała nawet krzyknąć.

W końcu wydała jakiś zenujący jęk. Serce tak mocno tłukło się jej w piersi, że musiała się oprzeć o ścianę, żeby nie stracić równowagi.

Przysięgłaby, że ten człowiek miał na sobie... pikowany kubrak. A także pelerynę, której połę elegancko odrzucił w tył, gdy szedł. A także... bufiaste, krótkie spodnie, innymi słowy - pludry. Była pewna, że usłyszałaby zbliżanie się każdego, ktokolwiek by to był.

Po kilku głębokich wdechach wróciła jej przytomność umysłu. Kierowały nią teraz tylko dwa impulsy: przekonać się, kim ów człowiek był, i uciec. Ciekawość, ten cudowny lek na wszelkie lęki, kazał jej wejść do tamtej sali i zrobić dwa kroki. Zatrzymała się i doszła do gorzkiego wniosku, że wrodzona ciekawość wymaga braku rozsądku.

Nigdy jednak nie była ani nie będzie tchórzem, choćby nie wiem co. Stała w miejscu, nasłuchiwała i próbowała wyczuć, czy jest tu ktoś jeszcze prócz niej. I znów nikogo nie usłyszała ani nie wyczuła.

Ośmieliła się rozejrzeć po sali. Wypełniały ją sprzęty należące jakoby do Henryka VIII, jak głośiły mosiężne plakietki na ścianach. Stało tu ogromne, bogato rzeźbione biurko, istna kakofonia spirali z połyskującego drewna, wsparte na złoconych nogach. Z pewnością do najwyższych jego szuflad trzeba się było wspinać po drabinie.

Na wierzchu umieszczono pulpit pisarski, równie wymyślny i lśniący jak reszta sprzętów, wzorzysty niczym grzbiet lamparta, z kałamarzem i piórem. Wydawało się, że czeka na właściciela, by zasiadł przy nim i spisał najważniejsze wydarzenia tego dnia:

„Kazałem wychłostać sługę za nieposłuszeństwo. Pożarłem udziec jeleni. Zniewoliłem kochankę”.

Musiało się to stać, jak uznała, w łożu z baldachimem i kotarami, wielkim jak karoca, które znajdowało się na środku sali. Zionęło z niego męską arogancją. Zastony przyjemnie podniecały, osłaniając materace, które z pewnością setki razy doświadczyły królewskiej ekstazy. Łoże to było równie aroganckie jak kapitan Eversea. I równie pewne siebie.

Nim zdała sobie sprawę z tego, co robi, zapragnęła dotknąć tego łoża, przyciągana jego magnetyzmem.

W gruncie rzeczy nie czuła się osobą uprawnioną do przebywania w pobliżu mebla o tak zmysłowym charakterze. Spoglądała na nie przez chwilę, przygryzając wargę. Potem ostrożnie wyciągnęła ku niemu rękę. Od razu ją zresztą cofnęła. A potem nabrała nagle tchu, śmiałym ruchem chwyciła za dekadentkie, aksamitne zastony i powoli je szarpnęła. Gwałtownie odetchnęła. Zamknęła oczy.

A wtedy sobie przypomniała.

Niejeden raz tęskniła za mężowskim dotykiem. Kochał się z nią z zapalem i w niewymyślny sposób, czego można się było spodziewać po muskularnym, choć podstarzałym wojskowym. Nie mogła z całą szczerością uznać, że tego nie cierpi, bo miała dla niego wiele wdzięczności i lubiła w nocy czuć koło siebie jego ciepłe ciało. Gdyby jednak przeżył wojnę, spędziłaby resztę życia przytłoczona brzemieniem okrutnego... nienasycenia. Świadomość istnienia nieskończonych możliwości zmysłowego spełnienia, których nigdy

nie będzie jej dane poznać lub im pofolgować, żeby potem nie żałować, że się tego nie zrobiło, była nie do zniesienia.

Nie żał jej było nierozważnych czynów. Żałowała, że umrze, nie wiedząc, czy pożądanie ma coś wspólnego z miłością. Właśnie to jej zostawił w spadku Chase. Nie mogła powiedzieć, by mu była za to wdzięczna.

Tłumione pragnienia ciążyły jej niczym zdrętwiała we śnie kończyzna. Potrząsnęła głową, żeby oprzytomnieć, bo nie mogła sobie teraz na to pozwolić, i ujrzała swoje odbicie w lustrze. Lustro było doskonale wypolerowane, ale nieco krzywe, w ramie splecionej z gałęzi i satyrów. Dostrzegła, że bardzo zbladła, odkąd zobaczyła tamtego człowieka.

Nagle ją olśniło. Widocznie wtedy zobaczyła samą siebie w lustrze, a nie żadnego mężczyznę czy widmo. Pelisa wydała się jej zapewne peleryną, gdy zafalowała wokół jej ciała. Musiała doznać zawrotu głowy, bo zjadła tylko pokruszoną grzanekę z herbatą zamiast porządnego śniadania. Musi się porządnie posilić dzisiejszego wieczoru.

Chociaż nabrała już przekonania, że jest zupełnie sama, trudno się jej było pozbyć wrażenia, że wdarła się w czyjąś prywatną sferę, która, musiała przyznać, była elegancka.

- Przepraszam za niepożądane wtargnięcie - mruknęła.

- Och, nie było to żadne wtargnięcie - odezwał się łagodny głos gdzieś za jej plecami.

Tym razem krzyknęła, i nie miała z tym najmniejszych trudności.

Aksamitna Rękawiczka była odpowiednia dla każdego mężczyzny, który tam wszedł. Komfort sugerowała już sama jej urocza nazwa. Było tam tylko tyle światła, żeby zagwarantować intrygujące cienie w zakamarkach. Całe wnętrze wybito jedwabiem, atlasem oraz aksamitem różowymi, beżowymi i kremowymi, te zaś kolory i faktura tkanin przywodziły na myśl wspaniałe kształty nagiej kobiety.

Dywany, fotele, sofy, no i oczywiście materace kusiły miękkością jak łono właścicielki zakładu, zwanej Księżną. Naprawdę nazywała się Maggie Trotter, ale prawie nikt już o tym nie pamiętał. Nikt też nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego otrzymała tak arystokratyczne miano, ale Aksamitna Rękawiczka skłaniała do zapomnienia o różnych rzeczach.

Chase miał nadzieję, że podtrzyma dziś tę piękną tradycję dzięki mocnym i szybko podanym trunkom oraz jakiejś kobiecie.

- Witamy, kapitanie Eversea! - Księżna powitała go z dyskretną rewerencją, rezerwowaną dla królewskich gości.

Chase nie poczuł się przesadnie uhonorowany, bo każdy mężczyzna, który wchodził do Aksamitnej Rękawiczki, był przyjmowany podobnie, ale wciąż sprawiało mu to niekłamana przyjemność.

- O wiele za długo pana tu nie było. Rok? Dwa lata?

Chase nie mógł temu zaprzeczyć, nie odpowiedział więc na pytanie.

- Witam panią, Księżno. - Skłonił się przed nią nisko, co było częścią rytuału, a potem cmoknął kobietę w policzek, bo ją lubił. Poczł pod wargami puder. Pachniała różem i mnóstwem innych kobiecych ingrediencji.

- Zawsze miło mi panią ujrzeć. Wygląda pani wręcz promiennie. - Było to częściowo zasługą różu i przyćmionego światła, ale ani wiek, ani jej proceder nie zadawały kłamu tej promienności. -Dobrze pani w tym uczesaniu z diademem - dodał.

Skinęła głową z godnym królowej majestatem i dotknęła dłonią skomplikowanej fryzury z uczernionych henną włosów, spiętych ryzykownie na czubku.

- Dziękuję, kapitanie Eversea. Diadem jest nowy. I prawdziwy. No, niemal prawdziwy. To prezent od wielbiciela.

- Jednego z bardzo licznych.

- Naturalnie.

- Może mnie pani włączyć w ich liczbę.

Księżna przechyliła głowę i przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

- Proszę mi wybaczyć, kapitanie Eversea, jeśli powiem, że pański komplement wydał mi się nieco ograny. Czy nie czuje się pan dziś całkiem dobrze? A może potrzeba panu trochę rozrywki?

Chase się roześmiał. A gdy się śmiał, wszystkie kobiece głowy zwróciły się szybko i zgodnie ku niemu, jak poruszone wiatrem. Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że coś tu jest nie w porządku. Jego

śmiech był jedynym męskim śmiechem, jaki usłyszał, odkąd tutaj wszedł.

Frontowy salon Aksamitnej Rękawiczki wypełniały przedtem, jak pamiętał, męsko-damskie pary lub nawet tria, które chichotały i szeptały, a flirtowi towarzyszyły pobrzękiwanie kieliszków i bulgot nalewanych bez końca trunków oraz skrzypienie schodów, po których wspinał się jakiś mężczyzna, często w pośpiechu.

Teraz jednak rozbrzmiewały tam wyłącznie chaotyczne damskie rozmowy. Ujrzał też - coś podobnego! - mieszkanki tego przybytku zajęte grą w faraona. Dziewczęta siedziały wokół stołu, a pomijając już to, że ich wystawiony na sprzedaż „towar” był tak widoczny poprzez przejrzyste szaty, jak smakołyki w witrynie sklepowej, mogłyby śmiało uchodzić za matrony przy stolikach do gry w karty u Almacka. Jedna kołysała z nudów pantofelkiem na czubku stopy. Druga podpierała podbródek ręką i skubała dolną wargę w zamyśleniu, ze zmarszczonymi brwiami wpatrując się w swoje karty.

- Dobry wieczór paniom - powitał je uroczyście.

Od razu każda przyjęła najkorzystniejszą dla niej pozę, a karty poszły w niepamięć. Niektóre postanowiły przybrać nadaśaną minę, z czym było im najbardziej do twarzy. Dwie zdecydowały się na uśmiech. Spojrzał ku Księżnej i uniósł brwi, a potem wskazał na dziewczyny pytającym gestem.

- Dziwne, jak tu się zrobiło spokojnie - stwierdziła, ścisząc głos, jakby siedział tu cały tłum gości i ktoś mógł ją przypadkowo



podszuchać. - Widocznie gdzieś na wsi musi być jakieś wielkie przyjęcie myśliwskie lub coś w tym rodzaju.

- Może i tak. Powiem pani tylko, że przynajmniej w hrabstwie Sussex o niczym podobnym nie słyszano, kiedy stamtąd wyjeżdżałem. Dopiero co przybyłem do Londynu i nie byłem nawet u White'a, nie mogłem się więc znikąd dowiedzieć o żadnym myśliwskim przyjęciu, które mogłoby odwieść mężczyzn od bywania tutaj, ani o skandalach, które by im kazały tkwić w domach zamiast w burdelach. Będę jutro na przyjęciu u Callendera, spotkam się tam więc z kilkoma kompanami. Może się czegoś dowiem.

- No i tuż po przyjeździe do Londynu przyszedł pan do nas. To mi pochlebia.

- Ależ tak właśnie powinno być - przyznał, co sprawiło, że się zaśmiała. - Czy to jakieś przykre plotki dotyczące pani zakładu odstraszyły dziś wieczór gości?

- Nie bardziej niż zwykle. Nie słyszano o niczym takim, co by przeszkodziło naszym niezwykłym klientom wpaść tu na chwilę.

Księżna utrzymywała swój dom publiczny w takim porządku i czystości, jak kapitan Eversea swój regiment.

- To się zaczęło jakiś tydzień temu, no, może dzień czy dwa wcześniej. Proszę powiedzieć lordowi Kinkade'owi, że Marie-Claude usycha z tęsknoty za nim. To jej ulubiony gość.

Gość. Cóż za uprzejmy eufemizm na określenie kogoś, kto regularnie przyduszał Marie-Claude do materaca. Chase zaczął się nagle zastanawiać, czy on też chciałby przydusić ją do materaca. Była

jedną z tych dziewcząt, które zdecydowały, że z nadąsaną minką będzie im do twarzy. I niewątpliwie miały rację. Pulchne usteczka mogą kogoś skłonić do umieszczenia ich właścicielki w swoim testamencie, ale też do popełniania czynów nierozważnych i szaleńczych, gdyby tylko zechciała do tego za ich pośrednictwem doprowadzić.

- Dobrze... powtórzę mu to.

Księżna zauważyła, w jakim kierunku patrzył.

- Co dziś możemy dla pana zrobić, kapitanie Eversea?

W użyciu przez nią liczby mnogiej było coś z pociągającej dekadencji, o czym wiedziała. Chase przyświadczył temu uniesieniem brwi i półuśmiechem. Próbował sobie wyobrazić, jak ta czwórka pięknych dziewcząt przeniesie swoje zainteresowanie z faraona na zaspokojenie potrzeb jego ciała. Było to jednak podobne do próby pochwylenia własnego odbicia w wodzie: im bardziej pragnie się je ujrzeć, tym gorszy rezultat, bo obraz się mąci.

Nagle poczuł, że ogarnia go gniew na Rozalindę. Bo gdyby nawet czterdzieści kobiet przez czterdzieści nocy usiłowało tego dokonać, nie ukoiłoby potrzeby, która przywiodła go tutaj. Przyszedł tu, żeby o Rozalindzie zapomnieć. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że przede wszystkim potrzebował zapamiętać. Wszystko, jak było.

- Wybieram whisky - powiedział do Księżny - i proszę dopilnować, żeby mi ją szybko przyniesiono.

## 6

Co u diaska?!

Rozalinda kręciła głową niczym chorągiewką na wietrze, szukając źródła głosu. A potem zobaczyła kogoś. Kogoś... czy coś?

Ramiona pokryła jej gęsia skórka. Na szczycie przystawionej do ściany drabiny, tuż obok olbrzymiej marionetki, siedział człowiek. Na pierwszy rzut oka trudno go jednak było odróżnić od kukły. Ręce miał tak sękaty i zbrązowiałe, że wyglądały jak wyrzeźbione z drewna, a jaskrawoczerwone policzki tak twarde i kragłe, że mogłyby służyć do tłuczenia orzechów. Natomiast dolna szczęka mu zwisała. Zauważyła również, że uszy sterczące po obu stronach twarzy także upodobały go do marionetki.

Oczy, duże, w dziwnym krystalicznie przejrzystym odcieniu błękitu, kryły się w fałdach skóry. Uśmiechał się, ale był to uśmiech znużony.

W każdym razie nie był z drewna.

Zdała sobie sprawę, że chwyciła się za serce. Opuściła ręce pospiesznie, zakłopotana i wyraźnie zirytowana. To dziwne muzeum wyraźnie działa jej na nerwy.

W oczach mężczyzny błysnęło rozbawienie.

- Najmocniej przepraszam, madame. Nie chciałem pani przestraszyć. Pomyślałem sobie, że zwraca się pani ze słowami przeprosin do mnie, bo nikogo innego tu nie ma.

Nic dziwnego, że tak to zrozumiał, skoro była na tyle niemądra, żeby mówić do siebie. Może by go wcale nie zauważyła, gdyby się nie

odezwał i nie poruszył. To ją również zdenerwowało. Całkiem jakby wejście do Montmorency Museum narażało człowieka na ryzyko, że stanie się częścią ekspozycji.

Czekając na jej odpowiedź, mężczyzna wrócił do przerwanej zajęcia - konserwacji kukiełek. Badał, czy ich kończyny swobodnie poruszają się w stawach, i robił to tak delikatnie, jakby były ludzkimi istotami, a nie kawałkami drewna, którym celowo nadano szkaradne formy.

Rozalinda złagodniała, gdy patrzyła, jak ostrożnie to czynił.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny - zdołała w końcu wykrztusić słabym głosem. - Zazwyczaj nie zachowuję się tak niemądrze. Wszystko dlatego, że tak tu cicho, a ja... ja myślałam, że jestem sama, i zaczęłam myśleć na głos.

Nie wspomniała ani słowem, że sądziła, iż uległa halucynacji czy też zobaczyła widmo.

Mężczyzna skinął głową, jakby ją całkowicie rozumiał.

- To muzeum jest bardzo cichym miejscem, ktoś może więc nabrać ochoty do myślenia na głos.

O Boże. „Nabrać ochoty” to za mało powiedziane.

- Czy pan jest tu stróżem?

Mężczyzna jednym energicznym ruchem wygładził spodenki marionetki na jej cienkich drewnianych nogach.

- Niby tak, ale pilnuję głównie kukiełek, madame. Moja rodzina to lalkarze od pokoleń. A wykonuję też dla muzeum trochę prac ciesielskich. Podobał się pani ten obraz?

Czyżby ją obserwował? Zaraz, zaraz: ją samą, czy też rozmawiającą z Chase'em? Czy słyszał, co do siebie mówili?

Zjeżyły się jej włosy na karku. To okropne! Nie znosiła być podglądana, zwłaszcza teraz, po tym, co się ostatnio wydarzyło. Musiała jednak przyznać, że najprawdopodobniej wcale by go nie zauważyła, gdyby sam się do niej nie odezwał, tak zręcznie się potrafił maskować.

- Przyglądałam mu się - ustąpiła bez walki.

- A kapitan Eversea? Czy on też mu się przyglądał?

Musiał usłyszeć, jak się zwracała do Chase'a. Spojrzała swojemu rozmówcy w twarz.

- Tak - przyznała w końcu ostrożnie.

- Co pani się w nim podoba?

Pytanie wydawało się błahe. Zadał je, kiedy się od niej odwrócił i zaczął sprawdzać giętkość szyi marionetki. Ujął ją w obydwie ręce i tak ostro nią pokręcił, że dłonie Rozalindy odruchowo uniosły się do gardła. Szybko je opuściła.

- Przypomina mi... o mojej siostrze.

Mężczyzna, najwyraźniej zadowolony ze stanu głowy marionetki, wyjął z torby na narzędzia szmatkę, podwinął szpetnej kukle koszulę i posmarował jej drewniany kadłub jakimś olejem o przenikliwym zapachu. Rozalinda miała szczerą ochotę odwrócić oczy od tego widoku. Ulżyło jej, kiedy opuścił koszulę lalki. - Ciekawe - mruknął w zadumie. - Bo mnie to malowidło przypomina moją córkę.

Nie zdradziła mu, dlaczego jej ono przypomina siostrę.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

A potem mężczyzna wrócił do swojej pracy. Wytarł szmatką kanciastą drewnianą twarz marionetki. Skrzywiła się, gdy wetknął palce do dziurek w nosie lalki i zaczął nimi obracać.

- Czy... czy panu się ten obraz podoba? - Nagle zaczęło ją ciekawić, co też ten rzemieślnik myśli o malowidle Rubinetta. Wytarł sękate palce szmatką wyciągniętą zza paska spodni.

- Nie.

Powiedział to bez wahania i stanowczo.

A potem zszedł z drabiny. Każdy jej szczebel trzeszczał pod jego ciężarem. Wziął stojącą na podłodze skrzynkę z narzędziami, złożył Rozalindzie na pożegnanie krótki ukłon i, nie odwracając się, przeszedł koło niej w głąb muzeum.

Przy drugiej whisky w Aksamitnej Rękawiczce Chase przypomniał sobie ten dzień, kiedy angielski wywiad potwierdził, że małżonkowie d'Aligny szpiegują dla Francuzów.

Lady d'Aligny, jak mu powiedziano, to siostrzenica francuskiego dostojnika wysokiej rangi, który był uchem Napoleona i źródłem informacji o przypuszczalnym rozlokowaniu angielskich oddziałów. Bez wątpienia uzyskiwała informacje, flirtując z jakimś angielskim wojskowym, a Chase zastanawiał się, którego z nich powinien ukarać chłostą. Albo jeszcze ostrzej.

Nie był na tyle naiwny, by w przypadku d'Alignych czuć się zdradzony. Odczuwał jedynie pełne przygnębienia rozczarowanie.

Wojna była wojną, Anglicy zaś też mieli swoich ludzi, dyskretnie i wygodnie ulokowanych nawet w kręgach najbliższych Bonapartemu. Jedni z nich udawali przyjaciół, inni przyjaciół zdradzali i przesyłali informacje, zarówno użyteczne, jak i banalne, Wellingtonowi.

No i oczywiście tańczyli z żonami Francuzów. Tak zawsze bywało na wojnie.

Pułkownik March był z usposobienia filozoficznie nastawionym smętnym żartownisiem. Ten zaprawiony w bojach żołnierz, któremu dawała się już nieco we znaki stara rana, oko miał bystre, ale nie chciał nikogo nękać. Widok przyjaciela bez kapelusza wzruszył nagle Chase'a do głębi. Włosy, których niewiele mu już zostało, były wątle jak pajęczyna.

- Oczywiście nie możemy nagle odrzucać wszystkich zaproszeń, bo ujawnilibyśmy w ten sposób, co nam wiadomo, i narazilibyśmy naszych ludzi na niebezpieczeństwo - powiedział mu pułkownik. - Mają też najlepszą kuchnię w całej Belgii. Lepiej jednak wiedzieć swoje, prawda?

- Tak, ale co będzie z pańską żoną? Jest szczególnie mocno zaprzyjaźniona z lady d'Aligny.

- Powiem Rozalindzie, żeby rzadziej ją odwiedzała, i dam jej do zrozumienia, że mam powody. Czeka ją... wielkie rozczarowanie. - Pułkownik za nic nie chciał narazić żony na rozczarowanie. - A ona jest taką wrażliwą dziewczyną.

Nie byłoby to słowo, jakiego by Chase użył na początku, charakteryzując Rozalindę. Pułkownik w ocenie żony nie był tak przenikliwy jak Chase. A może widział ją taką, jaką chciał widzieć?

Dlatego też powierzył Chase'owi obowiązek czuwania nad Rozalindą, choć ten rzadko z nią rozmawiał w tych tygodniach.

Dwa dni później, gdy wyszedł z wczesnego spotkania z pułkownikiem i dwoma innymi oficerami, w tym z Kinkade'em, w domu pułkownika, zobaczył panią March idącą korytarzem w takim pośpiechu, że aż powiewała jej suknia. Rozejrzała się ukradkiem po korytarzu, zanim weszła w wąski pasaż wiodący do kuchni, w której znajdowały się drzwi na zewnątrz budynku, przeznaczone dla służby.

Chase natychmiast zrozumiał, że zamierza wymknąć się z domu. W ręce trzymała zmiętoszoną kartkę papieru. Dwoma wielkimi krokami znalazł się przy niej.

- Dzień dobry, pani March. Dokąd pani idzie?

Wyraźnie ją zaskoczył. Zatrzymała się. A potem ramiona opadły jej sztywno, z rezygnacją. Bardzo wolno odwróciła się ku niemu. Oczy jej płonęły, gdy ich spojrzenia się spotkały.

Postawił jej bardzo obcesowe pytanie. Był zresztą bardzo obcesowy. Wiedziała o tym.

- Wydaje się, że jest pan wszędzie obecny, kapitanie Eversea. A jednak ostatnio bardzo rzadko rozmawiamy ze sobą, prawda?

Co za imponujący gambit. Próba zepchnięcia go do defensywy.

- Czy nie chce pani odpowiedzieć na moje pytanie?

Zawahała się. Mógł przewidzieć tok jej myśli.



- Czy to, dokąd się wybieram, naprawdę powinno pana obchodzić, kapitanie Eversea?

Próbowała być władczą. W końcu była żoną oficera, pod którego rozkazami służyła.

On się jednak tylko uśmiechnął, powolnym, smutnym uśmiechem świadczącym o całkowitym zrozumieniu, który musiał u niej wywołać nerwowe zaniepokojenie. Nadal trzymała kartkę w dłoni. Była bystra, ale młoda, i bez wątpienia nie umiała jeszcze kłamać. Kłamstwo nie leżało w jej naturze. Innymi słowy, powinna była wiedzieć, że wymijający charakter jej odpowiedzi jest równoznaczny z przyznaniem się do winy.

- Jak najbardziej mnie obchodzi, jeśli zamierza pani odwiedzić lady d'Aligny, choć pułkownik prosił panią, żeby tego nie robić.

Znieruchomiała. Musiał przyznać, że nie zaprzeczyła. Ujrzał jednak w jej oczach błysk dojmującego bólu. Kartka zaczęła szeleścić: trzęsła się jej ręka. Gdzieś na zewnątrz, w ogrodzie, jakiś ptak wydał z siebie serię tryli.

- Ale ona jest moją przyjaciółką.

Próbowała być opanowana, ale słyszał w jej głosie ból, a jej palce nieświadomie zacisnęły się w pięść. Wyciągnęła w jego stronę list, jakby miał być dowodem przyjaźni.

- Zaprosiła mnie na herbatę. Tęskni za moim towarzystwem, jak pisze, a ja za jej, choć widziałam się z nią ledwie trzy dni temu. Przecież to tylko herbatka...

Coś podobnego do zawziętego oporu usztywniło jej piękne rysy.

- Cóż może być złego w herbatce towarzyskiej, kapitanie Ever...  
Urwała na widok wyrazu jego twarzy, zimnej i nieprzejednanej.

- Ona nie jest pani przyjaciółką. Wykorzystuje panią. Mamy wojnę. Pułkownik bez wątpienia ujawnił pani, czego sobie życzy w przypadku lady d'Aligny. Niech pani nie będzie dzieckiem.

Powiedział to stanowczo, ale i łagodnie. Jakby ta trzymana przez nią kartka była odbezpieczonym i wycelowanym w niego pistoletem, a on próbował ją skłonić, żeby go opuściła.

Spojrzała szybko na list, a jej piękne brwi się uniosły. Usiłowała ukryć ból, rozczarowanie i zakłopotanie. Widział zresztą to wszystko.

I w tejże chwili odczuł jej ból, tak dotkliwie, jakby był jego własnym. A wówczas, co było zresztą absurdalne, właśnie to odczucie wywołało w nim wściekły gniew na państwa d'Alignych.

Jakiż był z niego żołnierz, skoro ni stąd, ni zowąd dobro pani March zaczęło dla niego więcej znaczyć od zdrady d'Alignych?

Znów uniosła głowę. Patrzyli na siebie przez chwilę bez słowa. Jej bladozielone oczy wydawały się nienaturalnie błyszczące. Dwie różowe plamki wykwitły na policzkach.

- Skąd pan wie, że ona nie jest moją przyjaciółką? A może zależy jej na mnie, bo cieszy ją moje towarzystwo, a nie tylko dlatego że mogę być użyteczną dla niej osobą, która zdradza sekrety brytyjskiej armii. Przysięgam panu, że nigdy tego nie zrobiłam.

Było to tak rozpaczliwe, niewiarygodnie naiwne i, o dziwo, zaprawione ironią, że przez chwilę nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Wiem, że pani by nigdy tego nie zrobiła, pani March. Pułkownik ma pewność, że nie byłaby pani do tego zdolna, a on nigdy by nie dopuścił, by jego żona znalazła się w takim położeniu. Obawiam się, że pani lojalność wobec lady d'Aligny jest godna podziwu, ale nierozważna, pani March i musi pani jej poniechać.

Nie cieszyło go, że sprawia jej tymi słowami rozczarowanie. Zawiodł ją. Może był pierwszym człowiekiem, na którym się zawiodła.

Nagle jednak oczy jej zaiskrzyły, a rumieniec na policzkach stał się jaskrawszy. Aha. Tym właśnie się objawiał temperament pani March, który tak dzielnie starała się ukryć.

- Wbrew temu, co mógłby pan myśleć, ciągle nazywanie mnie panią March nie wytwarza należytego dystansu między nami... kapitanie Eversea. Czyżby próbował pan przypominać sobie samemu, iż jestem już... czyjąś żoną?

Chase zdrętwiał.

Rozalinda March okazała się bezwzględny przeciwnikiem. Wycelowwała i trafiła go w najsłabszy punkt, jak nikt inny przed nią. Odebrało mu mowę i po raz pierwszy w życiu poczuł się bezradny. Na nieszczęście ta jego słabość była i jej słabością. Wiedziała, że posunęła się za daleko. Spojrzała mu w oczy. Usta rozwarły się jej lekko. Była w szoku. Przeleżała się swojej nierozwagi.

Chase nie mógł jednak wydobyć z siebie ani słowa. Był przeraźliwie zażenowany, że ona się nie myliła.

I wściekły, że dał się położyć na obie łopatki kobiecie. Nigdy nie zapomniał sukni, jaką miała na sobie tego dnia: z białego muślinu w drobne, również białe cętki, z dekoltem obszytym wytworną koronką. Ramiona pozostawały odsłonięte, bo rękawy były krótkie i bufiaste. Kilku kosmyków włosów nie zdołała ująć w sploty na karku i zwisały teraz luźno wzdłuż policzków. Wargi miała pełne, jędrne, bladoróżowe, dolną bardziej wydatną niż górna. Na przepasce z kremowego jedwabiu, zawiązanej powyżej talii, lśniło światło, podobnie jak na jej skórze.

To, że jej rozumne słowa i łagodny głos mogły go tak głęboko zranić, wydało mu się niepojęte. Była przecież samą delikatnością. Wreszcie odwróciła od niego wzrok. Wyrosła jednak między nimi zapora już nie do przebycia. Próbowwała jeszcze zbyć go pojednawczym śmiechem. Ale nie udało się jej zaśmiać beztrząsco. Zaśmiała się krótko i nerwowo.

- Och, proszę się nie obawiać, waleczny kapitanie. Uważam, że zostałam należycie ostrzeżona. Potrafię okazać posłuszeństwo. Nie musi się pan o to troszczyć.

A potem uniosła rękę, żeby go lekko dotknąć, w geście pieszczoty lub uśmierzenia niepokoju, albo ułagodzenia. Tak sądził. Pochwycił jej dłoń w pół drogi, jakby to była jadowita kobra. Nawet nie miała czasu nabrać tchu. Jasnozielone oczy pociemniały, źrenice rozszerzyły się ze zdziwienia. Była zbyt zaskoczona, żeby się go przestraszyć. A jednak...

Trzymał ją mocno za nadgarstek. Może za mocno.

O Boże, jakże jej skóra była delikatna. Wprost niewyobrażalnie. Miękka. Gładka. Jak zdołała przetrwać całą tę wojnę bez żadnego skaleczenia? Czy było mu przeznaczone dotknięcie jej?

Bezsensowne, zdradzieckie myśli. Ale zawładnęły nim. Dręczyły go. Poraził go fakt, że dotknął jej skóry, choć nie było ku temu dozwolonej przez dobre wychowanie okazji. Powinien był teraz coś powiedzieć lub przynajmniej puścić jej dłoń.

Czuł, że nie jest w stanie zrobić ani jednego, ani drugiego. Cisza zaczęła pulsować.

Rozalinda przełknęła głośno ślinę. A on patrzył na nią, zafascynowany. Miała rozszerzone źrenice, tęczęwki z bladozielonych stały się teraz szare jak popiół. Nie odrywała wzroku od jego twarzy. Szybki oddech unosił kilka kosmyków, które przylgnęły do jej policzków.

To Rozalinda przerwała milczenie, szepcząc:

- Czemu pan się mnie boi?

W ustach bardziej doświadczonej kobiety te słowa zabrzmiałyby jak insynuacja albo drwina. Ale ona taką kobietą nie była. Jeszcze nie. Sprawilo jej szczerą przykrość to, co między nimi zaszło, czuła się tym zażenowana. Słyszał to w jej głosie. Słyszał w nim również strach.

Nie potrafiła jednak ukryć fascynacji. Jakaż prawdziwa, obdarzona temperamentem kobieta nie byłaby zafascynowana odkryciem, że może mieć tak wielką władzę nad mężczyzną takim jak on?

Chase nagle zdał sobie sprawę, że znajdują się w korytarzyku zupełnie sami. To miejsce wydawało się tak dobrze ukryte, tak dokładnie odseparowane od reszty domu, jak ich uczucia przed światem. To pani powinna się bać mnie, pomyślał. Ponieważ się boję samego siebie.

Ale nie był kimś, kto marnuje słowa, a ona знаła odpowiedź na własne pytanie, zatem nie powiedział nic. Zamiast tego, jak we śnie, zobaczył siebie, jak z wolna obraca jej rękę dłonią ku górze. I z wolna unosi do ust.

A potem na jej dłoni złożył pocałunek, który z pewnością musiał ją palić, musiał parzyć jawnie cielesną czułością. Oto moja odpowiedź.

Oddech jej stał się wyraźnie urywany. Ramię drgnęło nieznacznie.

A że w żadnym razie nie był tchórzem, tylko wojskowym, choć bez kompasu i mapy na tym szczególnym terenie, uniósł usta znad jej dłoni i spojrzał w oczy, żeby ocenić konsekwencje tego, co właśnie zrobił.

Nie puścił jednak jej ręki. A ona nie próbowała jej cofnąć.

Rumieniec oblał jej szyję, policzki i dekolci, zabarwiając śmietankową biel skóry na różowo. W błyszczących oczach wirowały emocje zbyt złożone, by Chase mógł je rozpoznać. Skonfundowana, osłoniła oczy opuszczeniem długorzęsych powiek, ale szybko je znów uniosła, siłą woli, i jednocześnie zadarła dumnie podbródek. Popis zuchwalstwa. Chciała, żeby wiedział, że ona też nie jest tchórzem. Nadal nic nie mówili.

A że to milczenie zaczynało być coraz bardziej absurdalne, on zaś wciąż trzymał jej dłoń w swojej, znowu uniósł jej rękę, na tyle powoli, żeby rozpoznała, iż jest to wyzwanie, i żeby miała czas na cofnięcie ręki.

Nie cofnęła. Stała jak zahipnotyzowana.

Czubki jego palców, niczym zwiadowca, ostrożnie, delikatnie przesunęły się wzdłuż błękitnej żyłki na jej przedramieniu do zgięcia w łokciu. A za nimi wargi. Zapach róż był w tym miejscu intensywniejszy.

I to tam pocałował ją kolejny raz.

Gorący, leniwy, zmysłowy pocałunek dorosłego mężczyzny. Takim pocałunkiem on, doświadczony kochanek, obdarzał partnerkę, gdy oboje, wyczerpani miłosnymi zmaganiem, spoczywali w łóżu. Teraz dotykał wargami jej skóry i rozchylił je, by językiem smakować słoność, słodycz, jedwabistość. Jego usta zatrzymały się na tyle długo, że wyczuł pulsowanie tętna. Jej rozpalona skóra zdradzała, że ogarniają płomień namiętności, że krew w niej zawrzała.

Upajał się tym żarem, wiedząc, co się z nią teraz dzieje: że twardnieją brodawki jej piersi, że między udami słodko, rozkosznie wilgotnieje. Upajał się też tym, co działo się z jego ciałem. I on cały płonął, jak w gorączce. Członek zesztyniał i nabrzmał. Nie zrobił niczego, by to ukryć. Nie panował już nad sobą.

Oddychała teraz ciężko. Była przerażona albo podniecona. Zapewne i jedno, i drugie.

Zsunął dłoń z jej łokcia na nadgarstek i przytrzymał go, delikatnie obejmując tylko dwoma palcami: kciukiem oraz wskazującym.

Żeby dać jej możliwość cofnięcia ręki.

Spojrzał jej w oczy. Chciał, żeby cofnęła rękę. Dała po twarzy. Powiedziała coś, cokolwiek, najlepiej coś bzdurnego lub na tyle pogardliwego, żeby go z tego wyleczyć, żeby go powstrzymać, żeby się obydwójce powstrzymali.

Ale ona stała niemo, zarumieniona.

Zerknął na dekolt: brodawki przebijały spod muślinu sukni. Zatrzymał na nich wzrok dłużej. Był pewien, że jego oczy mówią -bez słów, ale wymownie - co chciałby z nimi robić. Lizać. Dotykać. Ssać.

Nie obchodziło go, czy dostrzegła, co jego wzrok wyrażał. Dostrzegła jednak to, co on. Jej dłoń ścisnęła się nieznacznie. Chciała uwolnienia jej. Puścił ją natychmiast.

Uniosła rękę. Czekał na spoliczkowanie. Dłoń jej zawisła jednak w powietrzu. A potem - jakby nie ośmielając się tego zrobić - dotknęła jego podbródka. Przesunęła po nim koniuszkami palców delikatnie, jakby się obawiała, że głaskana przez nią dzika bestia je pochwyci.

Znów na nią spojrzał. Serce łomotało w nim niczym werbel. Wiedział, że zrobiła to tylko po to, by poddać go próbie, podła kobieta. Żeby się przekonać, czy wyraz jego twarzy się zmieni, kiedy ona go dotknie.



Był pewien, że tak się stało, bo w jej twarzy zobaczył coś, co go zdenerwowało. Prócz prób obrony, prócz dumy, prócz pożądania... dojrzał jeszcze coś. Współczucie. Zrozumiała go.

Kiedy Jej Palce spoczęły na jego policzku, wtulił twarz w tę dłoń. Nie był w stanie postąpić inaczej. Nienawidził się za to.

Przez chwilę, króciutką chwilę, nie odrywała dłoni od jego policzka. A potem musnęła dłonią jego kark, bardzo lekko. Rękę miała chłodną, zachwycająco gładką, boleśnie wręcz kobiecą. Drugą położyła na jego piersi i przesunęła powoli w górę, ku ramieniu. Jej intencje były jednoznaczne.

Czyniła się współwinną zdrady męża. Miała poczucie honoru.

Szybkim, instynktownym ruchem Chase objął ją wpół ramieniem i przyciągnął do siebie, a jej ciało równie instynktownie przylgnęło do jego ciała. Jedną ręką, którą przytrzymał jej kark, prześlizgnął się po pokrywającym go delikatnym meszku i przytulił do siebie jej głowę. Drugą położył na jej plecach.

Naparł na nią całym ciałem i stwardniałą męskością i poczuł, że jej nogi rozchylają się, żeby mogła przywrzeć do niego jeszcze mocniej, jeszcze ciaśniej, bliżej. Tak blisko, że sprawiało im to ból, ale był to najśłodszy ból, jaki można sobie wyobrazić.

Odchylił jej głowę ku tyłowi. Rozalinda objęła go.

Ten pocałunek był zmysłowym starciem, szybkim, gniewnym i niedoskonałym, bo obydwójce byli rozgniewani na siebie i spięci. Pożądania, które ich ogarnęło, nie mogliby w pełni zaspokoić. Doznawała nieznanych jej dotąd wrażeń. Była cała sprężona i drżąca.

Jego palce zsunęły się po jej karku, zaplątały w koronkach dekoltu i powędrowały niżej, aż natrafiły na atlas jej piersi, a potem na nabrzmiące brodawki. Ujął je w palce i mocno pocierał. Wyszepiała słowa przysięgi wprost w jego usta i jeszcze silniej przyłgnęła do niego.

O Chryste.

Naszły go diabelskie, zdradzieckie myśli: co też jego przyjaciel, pułkownik, robi z żoną nocami w łóżku. Czy ona w ogóle ma pojęcie, jakich rozkosznych doznań może jej dostarczyć własne ciało? Czy ma pojęcie, co mogłaby dzięki mężczyźnie odczuwać? Ciało jej, mimo całego skrepowania, mimo nieznamomości miłosnych arkanów, instynktownie wiedziało. Jęczał, nie odrywając ust od jej warg.

Wiedział, że ten pocałunek był błędem z miliona powodów, poza tym najoczywistszym. A głównie dlatego, że obiecywał oszalamiająco różnorodne doznania; coś, co mogłoby ranić niczym głęboki cios szablą; coś, co mogłoby być rozkoszą lub bólem, albo jednym i drugim. Zawierał obietnice, których Chase nigdy nie byłby w stanie wyrazić słowami, bo nigdy dotąd nie potrzebował tego czynić. Smak jej ust, sposób, w jaki jej ciało wtopiło się w jego ciało, były dlań czymś całkowicie nowym.

Ze zdumieniem stwierdził, że cały dygocze.

Upadek. Spadał, wciąż spadał. Jej oddech był obłokiem, język - gorącym atlasem. Dotykał jego języka, badał go. Oba spletały się i nie rozłączały. A pożądanie chwyciło go w swoje szpony. Wiedział jednak, że ktoś napięty jak struna nie może przecież upaść.

Powinien z tym skończyć. Miał w sobie tyle siły, by uratować siebie i ją. I skończył. Sam nie wiedząc jak.

A potem ona, sama zupełnie nie wiedząc jak, wysunęła się z jego objęć.

Poczuł ulgę. Po chwili zaś - znużenie i przygnębienie, że ta przeklęta wojna niczego mu nie dała.

Milczał. Milczenie było zapowiedzią, że jego życie nigdy już nie będzie takie samo. Zdrada też była tego zapowiedzią. Przytłoczyło go nowo odkryte, melodramatyczne znaczenie owego słowa.

Z odległego korytarza dobiegł ich głośny trzask zamykanych drzwi i rozległ się donośny głos. Był to chyba Kinkade, który widocznie opuścił naradę. Chase usłyszał jedynie koniec zdania:

- ...a jeśli tkniesz jeszcze raz moje cholerne buty, Crimway, to mnie popamiętasz, słyszałeś?

- Kocham mojego męża, kapitanie Eversea.

Jej głos był cichy, ale stanowczy.

- Ja także.

Jego głos był spokojny.

Zaczerpnęła gwałtownie tchu, a potem westchnęła. Żeby uspokoić łomot serca, jak wiedział. A potem skinęła głową. Jedno krótkie skinienie: dobrze.

Długo trwało, nim ochłonęła, bo była tylko młodą kobietą wplątaną w wojnę, a on zapewne drugim mężczyzną w jej życiu, który ją całował. A jemu dobry kwadrans, jeśli nie dłużej, zajęłoby przypomnienie sobie wszystkich kochanek.

Widział, jak ona znów zaczyna być sobą, jak się prostuje, a jej spojrzenie staje się bezosobowe i dalekie. No cóż. W czasie tej wojny została żoną pułkownika. Możliwe, Chase pomyślał, że i on miał w tym swój udział.

Dobiegł ich inny głos, tym razem sierżanta Wilkersona:

- ... nie będziesz mnie uczył, jak się czyści... Ach, niedole wojny.

To były głosy ludzi wulgarnych i próżnych. Zostawiła go.

Minęły dwa dni od dnia, w którym Chase pocałował panią March, i pułkownik March oznajmił mu, że został przydzielony do innego regimentu.

Było to spokojne spotkanie. Krótkie. Wydano rozkaz i tyle.

Zmiana przydziału mogła być oczywiście dziełem przypadku. Chase cieszył się ogólnym uznaniem i wszędzie go z chęcią witano, a przeniesienia zdarzały się nierzadko. On jednak wiedział lepiej. Nigdy nie zapomni spojrzenia przyjaciela. Nie było zimne, gniewne ani pełne wyrzutu. Tylko beznamiętne. Wolałby każde inne.

Nie miał pewności, co Mathew wiedział. Czy Rozalinda mu coś powiedziała?

A wszyscy sądzili, że kapitan Eversea jest bohaterem. Chyba nawet on sam zaczął tak o sobie myśleć. Cholerny bohater.

Nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest teraz.

Przez chwilę siedział w gabinecie pułkownika, pogrążony w milczeniu. Aż wreszcie, nie mogąc nic powiedzieć, po prostu kiwnął głową, kiedy pozwolono mu odejść. I skłonił się.

Po tym wszystkim, z przestrzeloną na wylot nogą, uznał się za kogoś zbytecznego. Po raz ostami widział wtedy pułkownika Marcha i Rozalindę March.

W Aksamitnej Rękawiczce wlał w siebie kolejną whisky. Mniej go piekła, spływając do żołądka, co oznaczało, że wspomnienie i ból też słabną.

## 7

Gdy Chase pił, żeby rozpamiętywać o niej, a potem szybko zapomnieć, Rozalinda opuszczała muzeum. Wychodząc, zobaczyła tego samego brudnego, rozbrykanego ulicznika, któremu poleciła wysledzić Chase'a. Siedział na schodach i zlizywał z palców resztki ciasta. Dreszcz ją przeszedł na myśl, ile brudu dostanie mu się przy tym do ust wraz z ciastem, i przeszła szybko koło niego.

Chłopiec natychmiast wstał i poszedł za nią.

Rozalinda, zaniepokojona, przyspieszyła kroku, a kiedy doszła już do bramy, rozejrzała się po ulicy, szukając wzrokiem dorożki.

- No, widziałaś się pani w muzeum z tym kuternogą?

Brwi Rozalindy się uniosły. Odwróciła się i spojrzała na malca tak, jakby mierzyła do niego z pistoletu.

- Powinieneś o nim mówić „kapitan Eversea”.

Bezczelny mały łobuz spojrzał na nią z zakłopotaniem, ale potem uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mówi pani całkiem jak on. Znaczy się kapitan Eversea. Rozalinda nie dała się wziąć pod włos.

- O tak, on potrafi rozkazywać.
- Widziała się pani z nim?
- Tak, i dziękuję ci, że zrobiłeś, o co cię prosiłam. Cenię ludzi, którzy dotrzymują słowa.

Chłopiec wypiął dumnie wątlą pierś niczym paw rozpościerający ogon. Pochlebily mu jej słowa. Jak oczekiwała. Przepędzily go chętnie, jakby rzeczywiście był pawiem.

- A wiesz pani, że jak kapitan Eversea się ocknął pod Waterloo, to leżał na nim nieżywy zabojad? - chłopiec podtrzymał konwersację. - Kapitan miał nogę przestrzeloną na wylot, ale nie wie, czy kość z niej wyłaziła czy nie. Ale nie obcięli mu tej nogi. Och, Boże.

Na chwilę zaniemówiła i zatrzymała się, chłonąc treść tych słów.

- Wiem - odparła cicho.

Gdy owego dnia zapamiętała i wytrwale szukała męża na polu bitwy, wiedziała, że żadne z tych bezwładnych ciał nie jest Chase'em. Miała wrytą w pamięci jego twarz nawet wtedy, gdy nawoływała męża, i od tej pory żyła tym wspomnieniem.

- Czy kapitan Eversea to pani facet?

- Nie!

Z jakiegoś powodu Liam uznał jej gwałtowną reakcję za coś zabawnego. Rozpromienił się w przebiegłym, szerokim uśmiechu.

- Jestem wdową - wyjaśniła sucho. - Nie mam żadnego mężczy... hm... nie jestem zamężna.

- Pewnie pani jesteś wdową po pułkowniku?

Spojrzała na Liama ostro.

- Skąd wiesz?  
- Kapitan Eversea mi powiedział, że byłaś pani żoną pułkownika.  
- Zdaje mi się, żeście obaj sporo ze sobą mówili - odparła cierpko.  
- A jakże! - przytaknął Liam, uszczęśliwiony. - Mówił, że trzeba mu czegoś mocniejszego do picia i baby.

- Naprawdę?  
- Chyba był zmęczony. Po tym, jak się bił.  
Zamarła w pół kroku, a potem, powoli, odwróciła się ku Liamowi.  
- Po tym, jak się bił? - spytała po chwili słabym głosem.  
- Z dwoma paskudnymi łobuzami, co mieli noże i napadli na niego. Zaraz potem, jak mu dałem ten list. A on...

I Liam odtworzył przebieg napaści, uzupełniając relację kopniakami, piruetami oraz detalami w rodzaju „prosto w jaja!” albo „i trach go we flaki swoją łagą!”

Rozalinda przyglądała się temu, zaszokowana.

- Kapitan Eversea to równy gość! Umie się postawić! Nawet go nie drasnęli! - zakończył Liam, nieco zadyszany. - Wytrącił im obu noże, a oni łubudu na ziemię, ledwie żywi!

Słuchała go w oszołomieniu, wpatrując się w chłopca z surowo zmarszczonymi brwiami. Nie powinna tak się zachować wobec posłańca. Wyglądał na zaskoczonego jej miną.

Chase stoczył zatem walkę z dwoma opryszkami i zwyciężył z taką łatwością, z jaką ktoś inny strzepnąłby pyłek z płaszcza. A potem pojawił się w muzeum, jak gdyby nigdy nic.

Przyszły jej do głowy dwie myśli. Pierwszą (jak ktoś śmiało uczynić mu coś złego!) od razu wyparła druga, ważniejsza: a więc taki był mężczyzna, którego chciała skłonić do udzielenia jej pomocy, on zaś chłodno jej odmówił? Zawsze wzbudzał strach, ale wcale nie czuła się podniesiona na duchu, że nadal takim pozostał.

Westchnęła zniechęcona. Z kolei Kinkade... tak, to dobry żołnierz, jeden z najbliższych przyjaciół Chase'a podczas wojny i zupełnie do niego niepodobny. Nie taki uparty. Nikt inny nie wchodził w grę. Namówienie Kinkade'a, by zechciał jej pomóc, było najpewniej jej ostatnią szansą.

- Mówisz prawdę? - spytała, patrząc na chłopca badawczo. - O tej walce?

- Niech go pani sama spyta - odparł wesoło, z leciutką urazą w głosie.

Podskoczył i zawisł na prętach bramy, którą miano zamknąć za pół godziny. Był tak chudy, że bez trudu by się między prętami prześlizgnął. Zaczął nawet próbować, tylko po to, żeby się przed nią popisać, ale szybko zmienił zamiar i przekroczył bramę w przepisowy sposób, idąc za Rozalindą.

Rozalinda przyglądała mu się, myśląc, że dzieci prawie wszystko traktują jak zabawkę, z którą eksperymentują i poddają próbom. Przejął ją tak dojmujący żal, że odsunęła te myśli od siebie. Tak bardzo pragnęła mieć dziecko!



Nie chciała malca wypytywać. Zadawanie pytań, dobrze wiedziała, rodzi zobowiązania, jest uznaniem pytanej osoby za partnera. A jednak go zapytała:

- Jak się nazywasz?

Wahał się, niepewny, czy powiedzieć prawdę.

- Liam.

- A ja jestem pani March. Liam, czy chciałbyś zarobić kolejnego...

- Zaczęła grzebać w torebce.

- Zrobię to i za pół pensa, jak mi pani przyobieca kolejną robotę.

- Dobry Boże, ależ masz smykałkę do interesów. - Rozalinda spojrzała na niego surowo.

- A jakże! - zgodził się ze szczerym zadowoleniem, jak ktoś, kto po raz pierwszy usłyszał słowo „interes”, i z miną kogoś, kto go będzie odtąd ciągle używał. - Mam do nich smykałkę.

Rozalinda przestała szukać monety w torebce i rozejrzała się po ulicy. Nadal nie pojawiła się na niej żadna dorożka, a zapadający zmierzch, wspomnienie widmowej postaci odzianej w pludry, którą ujrzała w muzeum, i myśl, że dwóch nożowników napadło na Chase'a, by pozbawić go życia - jego, jak zawsze niezwykłego - wszystko to, prawdę mówiąc, wyjątkowo działało jej na nerwy.

- Ech, baby są do niczego - westchnął Liam.

Wsadził do ust dwa palce i gwizdnął tak przenikliwie, że zakryła sobie uszy rękami.

Po minucie dał się słyszeć tętent kopyt końskich i w polu widzenia pojawiła się drynda, ciągnięta przez dość znużone konie, i z już zapalonymi latarniami, choć jeszcze nie była to noc.

Liam odwrócił się ku Rozalindzie. Płowe brwi uniosły się pytająco na brudnej buzi.

- Zręcznie sobie poradziłeś - przyznała chłodno.

- No jasne - odparł z pewnością siebie i wyciągnął dłoń, a ona włożyła w nią pół pensa.

- Lubisz pracować, Liam? - spytała nagle.

- Lubię jeść.

Rzeczowe stwierdzenie, wolne od litowania się nad sobą i pełne rozbawienia. Rozalindzie wręcz zaparło dech. Znów, ku jego zaskoczeniu, zmarszczyła brwi, jakby gniewną miną mogła odegnąć od siebie kłopotliwą czułośćkowość. Był taki śmiały, pełen tupetu - i brudny. Brudne były zwłaszcza jego stopy. Takie małe.

Odwróciła od nich wzrok.

- Chciałabym wiedzieć, gdzie mieszka lord Callender - odezwała się, gdy dorożka podjechała bliżej.

- Na Washington Square. Wszyscy wiedzą, gdzie mieszka - odparł Liam z politowaniem. - On też mi dał pół pensa. Jak wychodził z tego muzeum. Niejeden raz tam był.

Zabrzmiało to jak napomknienie. Aluzja. Dała mu kolejne pół pensa, ale tym razem nie powstrzymała się od uśmiechu.

- Żyłam na prowincji, Liam. Nie jestem tak wyrobiona jak ty.

Rzucił się, żeby przytrzymać koniom łby, gdy wsiadała do dorożki, i wydał się przy nich jeszcze mniejszy. W gęstniejącym mroku sylwetka chłopca również zmaląła. Jego matka, obojętne, kimkolwiek była, powinna ułożyć go do snu i zamknąć drzwi, odgradzając od niebezpieczeństw, czających się nawet w najspokojniejszych zakątkach Londynu.

Liam jednak uważał Londyn za swój plac zabaw. I niewątpliwie nie miał matki.

- Niech pani pozdrowi ode mnie kapitana Eversea! - rzucił.

Ostatnią dostrzeżoną przez nią rzeczą była jego brudna twarz, gdy skwapliwie zamykał drzwi dorożki. Prawdziwy cud, że to zamknięcie nie kosztowało jej kolejnej półpensówki.

Po pięciu następnych kieliszkach whisky Chase, zaskoczony, stwierdził, że leży w łóżku obok Marie-Claude w pokoju na piętrze Aksamitnej Rękawiczki. Dziewczyna głaskała go po brodzie, ale jej zabiegi przynosiły efekt odwrotny do zamierzonego: usypiały go.

Skąd się tu, w tym pokoju, wziął? Och, prawda. Jeden kieliszek whisky, a potem... czwarty czy piąty. To wszystko.

- Rozalinda? - wymruczał.

- Jak pan sobie życzy, monsieur - odparła Marie-Claude.

Chase uniósł się i opadł z powrotem na łóżko, niezdolny usiąść na nim prosto, i parsknął śmiechem. Dobry Boże, nie oszukałaby go. Nie była Rozalindą.

Nagle wydało mu się, że stanął przed straszliwym dylematem. No, ale cóż: wypił pięć kieliszków whisky. Przymknął oczy. Ach, to tu się kryła Rozalinda: w jego wspomnieniach.

Ręka Marie-Claude podpełzła ku jego członkowi i zaczęła go głaskać. Schwycił ją za przegub z taką samą nagłością, z jaką zatrzymał lata temu rękę Rozalindy, ku jej zaskoczeniu.

- Przepraszam - wymamrotał.

Nie teraz, gdy myśli o Rozalindzie. Jak, u licha, się tu znalazł? Pamięć urwała mu się na schodach. A wcześniej rozpamiętywał tylko chwile spędzone z Rozalindą.

Westchnął. Już wiedział, że whisky w niczym mu nie pomoże. W każdym razie nie pomoże zapomnieć o Rozalindzie March.

Nagle rozległy się w jego głowie, jak echo, słowa Colina: „Powinieneś się ożenić, Chase”. Roześmiał się gorzko, aż Marie-Claude podskoczyła. Chase znał już prawdę. Odkrył ją dzięki whisky i choćby za to powinien trunek błogosławić - dla Colina te słowa znaczyły co innego niż dla Chase'a. Gdyby brat domyślał się, ile żalu, ile niepojętej tęsknoty budziły one w Chasie, nigdy by ich nie wypowiedział.

Colin nie był jednak kompletnym głupcem.

Chase odsunął delikatnie dłoń Marie-Claude i wstał, ale musiał zrobić to stopniowo. Najpierw uniósł tułów do pozycji pionowej, a gdy przestało mu się kręcić w głowie, stanął na nogach. Gdy zaś pokój przestał wirować mu przed oczami, odwrócił się i dopiero wtedy

zauważył po raz pierwszy szpetne, ale zdecydowanie erotyczne malowidło wiszące nad łóżkiem.

Ciemnowłosego anioła dał w coś, co przypominało raczej anatomiczny organ niż trąbę. Wszyscy na tym obrazie - i anioł, i właściciel organu, darzonego szczególnymi względami - wyglądali na bardzo zadowolonych z całej sytuacji.

Anioł wydał mu się dziwnie znajomy. Chase wpatrywał się bacznie w malowidło. Marie-Claude doszła do wniosku, że przyciąga go ono z innego powodu.

- Chciałbyś może, żebym ja... - I uczyniła wymowny gest.

- Nie, dziękuję, Marie-Claude - odparł z roztargnieniem.

Zapłacił jej za fatygę - absurdalnie wysoką cenę - i zostawił dziewczynę zdumioną i zaskoczoną. Chciał pójść do domu i spać. Zdołał jakoś zejść po schodach, trzymając się ściany, pomagając sobie laską - i ciągle się zastanawiając. Niech to diabli.

Na pewno widział już gdzieś tego anioła, ale w tej chwili za nic nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Rozalinda wreszcie znalazła się przed domem, w którym mieszkała. Lampy zawieszane po obu stronach drzwi wejściowych owego małego budynku, z fasadą zdobioną stiukami, już się świeciły i mimo wszystko poczuła zadowolenie. Dom, należący do męża jej siostry Jenny, miał drzwi w kolorze jaskrawej czerwieni, co się jej całkiem podobało, a w skrzynkach pod oknami pyszniły się barwne, kwitnące bujnie, jakby na przekór pogodzie, kwiaty późnego lata.

Służąca przychodziła tylko raz dziennie, żeby pomóc w cięższych pracach: przynieść węgiel, rozniecić ogień, zrobić zakupy. Rozalinda miała służbę w czasach swego małżeństwa, z czego była zadowolona. Jednak w Londynie postanowiła troszczyć się o siebie sama. Samotność jawiła się jej wciąż jako niebywały luksus po latach spędzonych w roli żony pułkownika, a jeszcze wcześniej - opiekunki dwóch nieposłusznych sióstr.

Włożyła klucz do zamka i spostrzegła, że u jej stóp leży złożona karteczka. Zamarła z ręką na klamce. Poczowała, że robi się jej przeraźliwie zimno. A potem westchnęła, podniosła ją, weszła do środka, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz.

Zmusiła się, by wejść do pokoju jak gdyby nigdy nic i zapalić lampę, co było pokazem odwagi, nim wreszcie spojrzała na kartkę i rozprostowała ją energicznie.

*Chyba została pani już ostrzeżona, pani March.*

Do diabła!

W pierwszym liście, jaki otrzymała, napisano:

*Na pani miejscu lepiej byłoby tego nie robić, pani March.*

Patrzyła na kartkę, sama nie wiedząc, co ma o tym myśleć i co czuje, czytając te słowa.

Na litość boską, jeśli już ktoś decyduje się na list z pogrózkami, to powinien napisać go, jak należy: wspomnieć o rychłej śmierci, o zniszczeniu dobytku lub o niebezpieczeństwie grożącym najbliższemu. A nie ograniczać się do takich bezbarwnych zdań.

Tak, to był gniew. Czowała, że ogarnia ją właśnie gniew. Gniewała ją niejasność gróźb, a szczególnie to, że ktoś chciał ją przestraszyć. Ją, Rozalindę March! Ktoś, kto wiedział o jej dawniejszym ubóstwie, małżeństwie, szpiegach, Waterloo i cudownie błogim, ale występnyim pocałunku, który odmienił całe jej życie. O pocałunku z najbardziej fascynującym mężczyzną w całej Anglii. Doprawdy, to było śmiechu warte.

Starannie złożyła kartkę i umieściła ją w kasetce na cygara, gdzie odруchowo schowała poprzednią. Trzymała w niej teraz guziki, ale wewnątrz zachowało jeszcze woń mocnych cygar, które palił jej mąż, Mathew, co czyniło kasetkę czymś w rodzaju talizmanu. Zatrzasnęła pokrywkę, zamykając w środku obydwie karteczki niczym parę więźniów.

A potem poszła na górę i wyciągnęła spod łóżka szkatułkę z laki. Zawiasy wieczka skrzypnęły przeciągle, gdy je unosiła, jakby cały ten przedmiot ziewnął po długim, smacznym śnie. Nie otwierała szkatułki od lat. Pistolet nadal tam leżał, lśniąc na aksamitnej wyściółce.

Lufę i łożę wykonano z niebieskawej stali. Zdobił go delikatny, srebrzysty, rytowany deseń z liści winorośli. Nie było na nim najmniejszej nawet plamki. Piękna broń. Duży pistolet. Prawdziwy pistolet - a nie zabawka, którą można wsunąć do damskiej torebki lub do cholewki buta. Wiedziała, że kapitan Eversea zawsze chował swój pistolet właśnie w bucie, choć z relacji Liama wynikało, że nie był mu on wcale potrzebny. Wystarczyła laska. Umiał się nią bronić.

Ona jednak nigdzie by się teraz nie ruszyła bez pistoletu. Zamknęła szkatułkę i odłożyła ją na bok.

Potem otworzyła kuferek, który przywiozła ze sobą do Londynu, i wyjęła z niego błyszczącą jedwabną szarą suknię, w kolorze cyny. Mocno wyciętą, z dekoltem i rękawami obszytymi atłasem w jaśniejszym odcieniu, o prostym, eleganckim kroju, nierzucającym się w oczy, jakby poza modą. Wciąż świetnie leżała na jej znakomitej figurze. Rozalinda była rada, że postanowiła zabrać ją do Londynu.

Jak na ironię pistolet i strój doskonale ze sobą harmonizowały pod względem koloru.

Skrzywiła się nieznacznie. Położyła dłoń na sukni, w pasie, przypominając sobie, kiedy ją nosiła po raz ostatni: na balu wydanym przez d'Alignych. Wszyscy, mężczyźni ubiegali się o to, by z nią zatańczyć. Jedynym partnerem, jakiego zapamiętała, był jednak kapitan Eversea. Tańczyła z nim walca. Pamiętała, jak jego dłoń spoczęła na tym właśnie miejscu sukni, którego teraz dotykała.

Od tej nocy przestał z nią rozmawiać. Tej nocy również pojęła, pierwszy raz w życiu, jak wielką ma władzę, jako kobieta, nad mężczyznami, i jak wielką ma władzę nad Chase'em.

Tylko że Chase już teraz by z nią nie zatańczył. A ona już nie była tamtą dziewczyną.

Ale i suknia, i pistolet były jej talizmanami.

Mundurem wojennym, przemknęła jej przez głowę gorzka myśl. Będzie go miała na sobie jutrzejszego wieczoru u Callendera, gdzie zmierzy się z Kinkade'em.



Chase zbudził się następnego dnia rano i leżał bez ruchu, usiłując rozstrzygnąć, czy wolałby, żeby go zastrzelono, czy też żeby czuł to, co teraz czuje. Coś w jego głowie na próżno starało się zwalczyć wrażenie, że mu ją rozłupano na dwoje.

Czemuż zawsze zapominał, że whisky to okropieństwo?

Ktoś donośnie zapukał do drzwi, a dźwięk ten był dla niego istną torturą, ale nie zdołał wydać z siebie nawet jęku.

- Przyniosłam kawę, panie Eversea! - powiedziała ostrożnie gospodyni. Niech ją diabli, choć była zarazem istnym błogosławieństwem. - Mnóstwo kawy - dodała po chwili, kiedy nie usłyszała odpowiedzi. - Nie musi pan nic jeść. To tylko kawa - powtórzyła przymilnie chwilę później.

Spróbował się uśmiechnąć, ale próba poruszenia wargami sprawiła mu tak straszliwy ból, że zrezygnował z tego pomysłu.

- Panie Chase!

Najwyraźniej się nieco zaniepokoiła. Musiał wydobyć z siebie jakiś głos, żeby ją uspokoić, ale w końcu udało mu się tylko głucho chrząknąć.

Czy był ubrany? Spróbował spojrzeć na siebie, bardzo ostrożnie - jego oczy zmieniły się w dwie rozżarzone kule. Owszem, miał na sobie kompletny strój. I buty. A także płaszcz. Nie był nawet przykryty kołdrą.

Kolejną chwilę zabrało mu przetrwanie tej myśli.

- Proszę wejść - wychrypiał.

Gospodyni otworzyła drzwi i wniosła wielki jak urna dzban z aromatyczną, parującą kawą. To zdumiewające, że jeszcze nie podwoił jej poborów. Postawiła go na biurku koło okna i przyglądała mu się przez chwilę, rozciągniętemu na łóżku, a potem pokiwała głową i wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

Dopiero po kilku sekundach uporał się z bólem spowodowanym przez ten dźwięk.

Czemuż znalazł się w takim stanie? Ach, oczywiście. Z powodu przeklętej Rozalindy March. Doszedł do wniosku, że każde spotkanie z Rozalindą March nieuchronnie musi się skończyć bólem i przykrościami. Powinien był o tym wiedzieć.

Tylko że wspomnienie, które niemal utonęło w whisky, wychynęło na powierzchnię. Przysięgłby, że ten anioł na obrazie w Aksamitnej Rękawiczce był taki sam, jak anioł na malowidle Rubinetta w Montmorency Museum.

Nie dowiedziałyby się o tym, gdyby Rozalinda nie doprowadziła go do wypicia takiego morza whisky, na jakie może sobie pozwolić tylko żółtodziób.

Może tak chciało przeznaczenie.

Tylko że whisky i przeznaczenie często bywają jednym i tym samym dla kogoś, kto pochłania ten trunek. Niech to wszyscy diabli.

Uniósł nieznacznie jedną z powiek i zdołał zobaczyć, że gospodyni położyła obok tacy z kawą również korespondencję. Skoro jednak ledwie był w stanie mówić, to czy potrafi czytać? Korespondencja będzie musiała poczekać.

Przez następną godzinę, lub trochę dłużej, wprowadzał w czyn zamiar wstania z łóżka. W końcu zdołał tego dokonać, traktując swoje ciało z przeogromną ostrożnością. Wypił cały dzban kawy, dolewając jej w miarę polepszania się samopoczucia. Po każdej filiżance ręce trzęsły mu się coraz mniej. Potem umył się starannie w miednicy - szorując energicznie twarz, pachy, tors i pachwiny - wszystkie miejsca, gdzie gromadził się pot i wydzielalała nieprzyjemna woń. Ogolił się niezbyt jeszcze pewną ręką i tylko raz się przy tym zaciął.

Będzie musiał wziąć porządną kąpiel, nim wieczorem wybierze się do Callendera.

Po dłuższym czasie ból głowy zelżał na tyle, że Chase mógł już jeść. Dlatego właśnie zszedł na dół, oznajmiając służbie stukotem laski i butów, że powrócił do życia, i niosąc ze sobą korespondencję. Zasiadł do niej szybko w znacznie ciemniejszej niż sypialnia bibliotece.

Otworzył na oścież okno. Powietrze było dość świeże, choć w Londynie wiatr niósł zwykle woń brudu, węgla i koni, a niekiedy także zapach soli morskiej, przywiewany znad Tamizy.

Całe szczęście, bo odór odebrałby mu wszelką chęć do zajęcia się własnymi sprawami. Był już czas, żeby zasiąść do korespondencji.

Pierwszym listem był bardzo życzliwy bilecik od Kinkade'a:

*Cieszę się, że jesteś w Londynie, stary odludku. Najpierw się spotkamy u Callendera, potem sobie popijemy, a później zobaczymy, co jeszcze.*

*Twój K.*

Ach, Kinkade. Dobrze było się upewnić, że ktoś żyje w świecie, gdzie istnieje jakieś „Jeszcze”. Sądząc z tego, jak się czuł tego ranka, podejrzewał, że z trudnością by mu przyszło znaleźć się w takim świecie. Ciągle nie mógł sobie wyobrazić Kinkade'a ofiarującego obraz Rubinetta w darze Montmorency Museum. Znał co nieco jego gust w dziedzinie sztuki.

Przypomniawszy sobie pewien wieczór spędzony w towarzystwie znudzonych żołnierzy. Kinkade podał mu kartkę z pytaniem:

- Co o tym sądzisz, Eversea?

Na marginesie listu od brata Kinkade naszkicował zaostrzonym końcem usmolonego patyka nagą kobietę o niesłychanie wydatnych piersiach, których wyprężone brodawki sterczały niczym zapalniki z bomby.

- Sądzę, że mogłaby mieć mniejszy biust - skrytykował go Chase.

Kinkade wziął tę uwagę całkiem serio i zaczął poprawiać rysunek, przygryzając w skupieniu język.

Nuda była podczas tej wojny równie groźnym przeciwnikiem jak Francuzi. Kilku jego towarzyszy czytywało gazety. Niektórzy żołnierze, jak hrabia Rawden, zwany Libertynem, pisali wiersze. Inni grali w karty. Kinkade zaś rysował nagie kobiety i skwapliwie puszczał te szkice w obieg wśród mężczyzn, chętnie przyjmując liczne słowa uznania i sugestie poprawek, których jednak rzadko dokonywał, pozostając wierny własnej wizji. Podpisywał je jako O. McCaucus-Bigg. Co brzmiało, jak *O, my cock is big* „O, mój członek jest wielki”.

Nowi żołnierze zawsze dawali się nabrać, sądząc, że chodzi o nazwisko Kinkade'a.

- O. McCaucus-Bigg? - pytał taki nowicjusz, odczytując to na głos.

- Samochwała z ciebie! - ryczał wówczas ze śmiechu Kinkade. - Na pewno nie większy od mojego, chłoptasiu!

Dobry kawał dla trzynastoletnich chłopców albo znudzonych sierżantów i podoficerów.

Jeśli Kinkade się nie zmienił - tego Chase jeszcze nie wiedział - jego artystyczne upodobania nie szły w kierunku krów ani cherubinów. I było zagadką, czy istotnie należał do niego taki obraz, którego się potem zrzekł i podarował Montmorency Museum. A może dostał obraz w spadku? Chase zamierzał uciąć sobie z nim rozmowę na ten temat, bo Kinkade, na całe szczęście, zawsze był zajmującym rozmówcą.

Chase'owi stanęła przed oczami Rozalinda, wpatrzona w to malowidło, z tak dla niej typową koncentracją. Jakież zimny kolor miały jej oczy. Wiosenna zieleń. Zawsze go uderzało, jak dziwnym płonęły blaskiem, gdy unosiła się gniewem. Gdy widział w nich niezaprzeczalną inteligencję.

Wyjrzał przez okno. I zobaczył Rozalindę. Nie Londyn. Westchnął.

Genevieve zapewne będzie wiedziała coś o tym malarzu. Nie miał pojęcia, kogo jeszcze mógłby o niego spytać.

Gdyby nie ujrzał tego przekłętego anioła w Aksamitnej Rękawiczce, nikogo by o to nie pytał.

Potrząsnął głową, by uwolnić się od wspomnień o Rozalindzie - niestety przedwcześnie, gdyż żołądek gwałtownie zaprotestował przeciw gwałtownemu ruchowi - i wziął do ręki kolejny list. Widniała na nim rodowa pieczęć jego rodziny. Zawahał się. Nie, nie otworzy tego listu. Racja leży po jego stronie. W końcu z westchnieniem złamał pieczęć.

Poznał pismo Colina. Zebrał się na odwagę.

*Drogi Chase,*

*nowo narodzone cielę ma się dobrze, a Madeleine przesyła Ci pozdrowienia. Mamy nadzieję, że cieszysz się pobyt w Londynie i oczekujemy Twego listu o naszym kuzynie. Czy nadaje się na nowego pastora? Nie zapomnij go odwiedzić. Chcemy wiedzieć, czy nie jest nudziarzem.*

*PS. Naprawdę powinieneś się ożenić. To cudownie robi na nerwy.*

*PPS. Daliśmy cielęciu na imię Charles, na Twoją cześć. Ma imponujące jądra. Myślę, że będziesz z tego rad.*

Chase wpatrywał się w list. Och, ten jego przekłęty braciszek. Chciało mu się śmiać, a jednocześnie chętnie by zmiął list w kulę i cisnął nim przez całą długość pokoju. Colin nie miał prawa doprowadzać go do śmiechu.

To z jego winy się tu znalazł. Colin - który wychodził cało z pojedynków, uganiał się jak szalony na koniu, siadał do podejrzanych gier w salonach hazardu, o mało nie utonął, uciekał oknem z sypialń

zameżnych hrabin, powrócił cały i zdrów z wojny, a potem uciekł spod szubienicy - innymi słowy, ktoś, kto naprawdę używał życia, stał się raptem po swoim ożenku farmerem. I o niczym innym nie chciał mówić, tylko o krowach, owcach, drenowaniu gruntów i stadach.

Każdego wieczoru Chase, który spodziewał się, że w towarzystwie Colina zapomni o sobie samym, siadywał naprzeciw brata i czekał, aż przestanie być kimś nie do zniesienia.

Cztery dni temu w gospodzie Pod Świnką i Ostem Colin zaczął demonstrować, jak asystował przy ciężkim porodzie krowy, uzupełniając to gwałtowną gestykulacją i naśladowując dźwięki, które w trakcie porodu ta krowa wydawała - na litość boską, on naśladował ryczenie cielącej się krowy! - a jego świeżo poślubiona żonka Madeleine, cała promieniejąc, aż wstrzymała oddech, jakby chodziło o jakiś bohaterski wyczyn...

No cóż, nie można się chyba spodziewać, że ktokolwiek byłby w stanie to wytrzymać. A gdy Chase mruknął - co było szczerą prawdą - „Nie zniosę tego dłużej!”, Colin nie zwolnił tempa opowieści. Sponad swego ulubionego piwa Chase widział, jak brat strzela zielonymi oczami ku żonie niczym przemytnik dający z łodzi na brzeg sygnały latarnią. Żonaci mężczyźni często tak robią, przekazując samym spojrzeniem mnóstwo wiadomości i podejmując decyzje bez udziału słów.

Mógł sobie wyobrazić, co nastąpiło potem. Colin powtórzył to drugiemu bratu, Marcusowi, który w tejże gospodzie zabawiał się rzucaniem strzałek do tarczy, żeby zaimponować własnej świeżo

poślubionej żonie. Marcus zaś powiedział o tym ich siostrze Olivii, bo obydwójce zwierzali się sobie. Olivia, widząc sposobność do działania, z miejsca udała się do ich matki, a nie do Genevieve, która jako osoba o wiele życzliwsza przysłaby do niego pełna współczucia i z przestrogami. A matka powiedziała o tym ojcu, Jacobowi. Ten zaś wysłał go do Londynu, bo „dobrze by mu to zrobiło”.

Najwidoczniej rodzina nie mogła go już dłużej znieść.

W ogrodzie zaświergotał ptak. Przypomniało mu to dzień, kiedy Colina miano powiesić: ciszę ich miejskiej rezydencji i ptaki, które niepomnie niczego wyśpiewywały w ogrodzie swoje trele.

Odłożył ostrożnie list brata.

Niech to licho, w ich miejskiej rezydencji panowała teraz cisza, bo nikogo z rodziny Eversea tam nie było. Powiedział sobie, w pełni o tym przekonany, że woli ją właśnie taką.

Sięgnął po kolejny list.

Dzięki pieczęci dokładnie wiedział od kogo. Domyślał się, co znajdzie w środku. Wsunął palec pod wosk, złamał pieczęć i przeczytał, że Kompania Wschodnioindyjska chętnie zatrudni oficera z jego talentem, jako że cieszy się on wyjątkowym uznaniem i dostał wspaniałe rekomendacje, jak również że kursujący między Europą a Indiami statek o nazwie „Śmiałek” odpływa za dwa tygodnie. Kompania oczekuje go na pokładzie tego statku.

Chase, oszołomiony, trzymał list w ręku. W końcu o to mu przecież chodziło: chciał być oficerem angielskiej Korony. Dziwne, że cała jego przyszłość tkwi w tych kilku liniijkach zwięzłego listu.



Sprawilo mu satysfakcje przypomnienie mu jego zalet, chociaz on pierwszy po tylu latach dzien pobytu w Londynie spedzil na rozpamietywaniu wlasnych slabości.

Obracal w palcach czysta kartke papieru, zdecydowany jednej z tychze slabości polozyć kres.

Jakby nie mial zadnej watpliwosci, ze tak sie stanie.

Napisał do swojej siostry Genevieve:

*Droga Gen,*

*chodzi mi o włoskiego renesansowego pejzazyste, Rubinetta... jeśli można nazwać ten obraz pejzazem. Są na nim krowy, drzewa i cherubiny. A także piersiasty anioł. Bardzo brzydki i dziwaczny. Obraz wisi w Montmorency Museum. Proszę, przyslij mi szybko odpowiedź przez posłańca.*

*Twój Chase*

Posypal kartke piaskiem, by osuszyc atrament, zlozyl ja i opieczętowal, odciskajac na wosku rodowa pieczęć. Prześle list przez posłańca, a nie pocztą. Nieco tym zaalarmuje rodzinę, no ale skoro Colin tak zgłupial, a pozostali tez, zdaje sie, ulegli rutynie malzenskiego pozycia, Pennyroyal Green bez watpienia potrzebuje lekkiego rozruszania. Wlasnie dlatego to robi.

Tylko ze sam w to nie wierzyl.

Ach, Rozalinda. Usmiechnal sie samymi kącikami ust, z goryczą, kpiac z samego siebie. Spójrz, do czego mnie zmusilas, wbrew mojej woli.

I tylko do tego.

Odsunął energicznie biurko, jakby pragnął, żeby między nim a listem i jego treścią powstał dystans, i poszedł napić się jeszcze kawy. Chciał się wzmocnić przed tym, co go czekało na balu u Callendera dzisiejszego wieczoru.

## 8

Powozy jeden za drugim zajeżdżały pod londyńską siedzibę Callenderów i wyrzucały z siebie pasażerów. Cały placyk przed rezydencją wypełnił się powozami i końmi parskającymi ze zdenerwowania. Nowo przybyli goście nie mieli żadnej szansy na zatrzymanie się w pobliżu budynku. Filozoficznie nastawieni stangreci pociągali z piersiówek i przyjaźnie wiedli ordynarne, hałaśliwe rozmowy z wysokości kozła w powozikach, landach i innych wehikułach, goście zaś ostrożnie i z filozoficznym spokojem przedzierali się przez tę gęstwinę, gotowi na własnych nogach przebyć całe mile w razie konieczności. Była to niewielka cena za obecność na balu, który zapowiadał się jako mające przejść do legendy spotkanie wszystkich liczących się w eleganckim świecie.

Rosalinda wyjrzała przez okienko dorożki. Z dała pałac, rześcicie iluminowany, wyglądał, jakby stał w płomieniach. Z bliska zaś przypominał rozbrzęczany od pszczoł ul; takie mrowie ludzi rozmawiało tam jednocześnie ze sobą, że trzeba było niemal krzyknąć, by zostać usłyszonym. Pogratulowała sobie wyczucia czasu: gęstniejący tłum gwarantował wejście przez nią w sposób niezauważony.

Woznica dorożki, którą przyjechała, podobnie jak wielu innych, wolał się zatrzymać w znacznej odległości od pałacu. Przeszła pieszo resztę drogi, stąpając na palcach, bo londyńskie ulice pokrywała zwykle warstwa niszczących obuwie cieczy i innego rodzaju przeszkód. Noc była jednak miła i cicha, wiał lekki wietrzyk i udało się jej dotrzeć do celu bez zamoczenia pantofli, splamienia rąbka sukni czy też spocenia się. Szybko i dyskretnie dołączyła do licznej grupy roześmianych mężczyzn i kobiet, którzy przepychali się pomiędzy służbą.

Uznała, że z pewnością nikt się jej tu nie będzie uważniej przyglądał, skoro jakaś dama tuż przy niej paradowała w czymś, co przypominało bażancie skrzydło ufarbowane na czerwono i wystawało z mocno zawiązanego na głowie turbanu. Cała grupa zaśmiewała się hałaśliwie z jakiegoś powodu. Rozalinda też się więc roześmiała wesoło, z głową odrzuconą do tyłu, tak że widać jej było zęby, i przesłoniła twarz przygotowanym zawczasu wachlarzem, usiłując ukryć się przed wzrokiem lokajów, którzy obojętnie - ale dokładnie, jak podejrzewała - przyglądali się każdemu, by nie wpuścić do środka żadnego intruza.

Aż wreszcie wraz z falą wystrojonych gości dotarła do pałacowych drzwi i niezatrzymana przez żadnego lokaja znalazła się wewnątrz pałacu Callenderów, unoszona łagodnie, niby dryfujące drzewo na wodzie, przez tłum gości. Dźwięki żywej, melodyjnej muzyki dolatywały z sali balowej. Wraz z innymi uczestnikami

przyjęcia Rozalinda skierowała się ku schodom prowadzącym do tej sali. Czowała coraz większe podniecenie.

Gdy ujrzała wręcz mrowie ludzi - głowy ciemnowłose, blond i rude, przyozdobione piórami, diademami i wyszukanymi fryzurami - stanęła jak zahipnotyzowana. Świat zawirował jej w oczach, jakby stała na szczycie skały nadmorskiej. Jakże, na Boga, mogła sądzić, że odnajdzie Kinkade'a w tym tłumie, skoro nie widziała go od pięciu lat i skoro jeden elegancko wystrojony mężczyzna nie różnił się tu od drugiego? W sali na dole odsłaniały się w uśmiechach zęby równie białe jak sznury pereł, a w górze, nad salą, wspaniały żyrandol z drobnych kryształowych wisiorków unosił się nad zebranymi niczym nowy rodzaj księżyca. Zbyt długo przebywała na wsi. Migotliwy blask raził ją w oczy. Wszyscy się przekrzykiwali, żeby w ogóle ich było słychać.

Ten hałas oszałamiał.

Uwielbiała jednak piękne suknie. A tu było ich bez liku.

Łakomym wzrokiem wpatrywała się w dziewczącą biel i subtelne barwy klejnotów, kunsztowne desenie i hafty, ciemne stroje matron i wdów. Oceniała biżuterię i fryzury. Nie miała wątpliwości, że jej upięte do góry włosy prezentowały się całkiem dobrze: błyszczące i gęste, mogły budzić zazdrość. Nie wyglądała na Kopciuszka. Gdy już nieco ochłonęła i rozgrywający się przed jej oczami spektakl przestał ją przytłaczać, powróciło wspomnienie dawnych balów i zaczęła nabierać ochoty do tańca. Pierwszy raz od czasów Belgii. Odkąd utraciła niewinność, odebraną jej przez wojnę, d'Alignych i Chase'a.

Skoro jednak nie była tu, prawdę mówiąc, zaproszona, pani domu mogłaby ją szybko zauważyć, gdyby puściła się w tan na parkiecie.

Ale z pewnością nie zwróci niczyjej uwagi, jeśli zacznie przytupywać nogą gdzieś na boku. Wcisnęła się między dużą, roześmianą grupę a imponujący filar w rogu sali. Jej pantofelek wybijał rytm na posadzce, ramiona się kołysały, wachlarz osunął się poniżej twarzy. I wtedy ujrzała Kinkade'a. Nabrała gwałtownie tchu i przywarła do ściany.

Szedł przez tłum, kłaniając się jednym lub pozdrawiając innych. Zrozumiała, dlaczego go od razu rozpoznała: prawie się nie zmienił od czasu, gdy go ostatni raz widziała, w przeciwieństwie do Chase'a, którego rysy się zaostrzyły i stwardniały. A może w migoczącym świetle żyrandola każdy przedstawiał się korzystnie? Kinkade nadal był szczupły i przystojny. Zwrócił twarz w jej stronę i oczy mu rozblęły. Przez moment sądziła, że ją dojrzał.

A jednak nie: jego twarz nie zdradzała, że ją rozpoznał. Serdecznie pozdrowił jakiegoś mężczyznę, ale się nie zatrzymał. Wyraźnie zmierzał w konkretnym kierunku, zdecydowany tam dojść bez niczyjego towarzystwa. Zniknąłby jej z oczu, gdyby nie to, że ruszyła w ślad za nim, bo mogła już nie ujrzeć go po raz drugi.

Widziała plecy Kinkade'a, póki nie skręcił na schody. Bez wątpienia chciał wejść do pomieszczeń mieszkalnych. Zawahała się. Ale przecież schodów nie strzegą Scylla i Charybda, powiedziała sobie. Wykręci się jakimś kłamstwem, jeśli zostanie przyłapana.

Odczekała chwilę, wystukując rytm tańca pantofelkiem. A potem i ona weszła na schody.

Chase odważnie wcisnął się w tłum gości, wszedł na frontowe schody pałacu Callenderów i zdołał się przedostać do środka, uśmiechając się do znajomych, którzy głośno go pozdrawiali, choć on ich nie słyszał w panującym hałasie. Uśmiechał się również do dam, no bo czemuż miałby tego nie robić. Sprawilo mu przyjemność, że kilka pań na jego widok przystanęło, i wiedział, że będą spoglądać za nim, kiedy je minie.

- Kapitanie Eversea, cieszę się, że pana widzę w Londynie. - Lokaj Callendera miał imponującą pamięć. Ale Chase również.

- Dziękuję ci, Morton. Miło mi, że się tutaj znalazłem. Coraz mniej był jednak pewien, czy to prawda.

Kaskada piskliwego kobiecego śmiechu przebiła się przez gwar rozmów. Najwyraźniej któraś dama już się upiła i była w wyrażnie różowym nastroju. Niejedna zemdleje tego wieczoru i będzie wymagała wyniesienia do ogrodu oraz klepania po twarzy, bo w przeciwnym razie Callenderowie uznają, że bal się nie udał. Twarz musiała zdradzać jego myśli, bo dostrzegł coś w rodzaju sympatii w oczach lokaja.

- Jeśli chce pan dołączyć do lorda Callendera i pana Kinkade'a, sir, a także do kilku innych dżentelmenów, to są oni w bibliotece. Polecono mi, żeby pana tam skierować. Powinienem też panu powiedzieć, że zażądano ode mnie, by powtórzyć dosłownie:

„Zechciej łaskawie zademonstrować nam tego wieczoru swoją obrzydliwą gębę”.

Taniec nie sprawiał teraz Chase'owi żadnej przyjemności, zatem znalezione się od razu tam, gdzie palono cygara i rozmawiano o koniach, kobietach, powozach, broni, polityce, pieniądzach, wojnie i tym podobnych sprawach, zapowiadało co najmniej przyjemny początek wieczoru.

Wybrał schody wiodące do pomieszczeń pałacowych na piętrach, bo wiedział, że najpewniej tam znajdzie bibliotekę. Na pierwszym piętrze było już znacznie ciszej, a na drugim gwar i muzykę ledwie się już słyszało. Obrął właściwą drogę: usłyszał męskie głosy oraz wybuchy nieskrępowanego wulgarnego śmiechu, jaki rozlega się przy ogniskach w żołnierskich obozach, i podążył w ich kierunku.

Posadzkę biblioteki pokrywały krwistoczerwono-kremowe dywany importowane z Persji, które tłumiły odgłos jego kroków. Zrobił jeszcze dwa, trzy takie ciche kroki i zatrzymał się raptownie.

A to ciekawe. Przysiągłby, że poczuł zapach... róż.

Zmarszczył brwi. Zapach był słaby, ale na tyle wyczuwalny, że przeszedł mu po plecach dreszcz niepokoju.

Bez wątpienia stały tu w wazonie cieplarniane róże.

- ...mówię ci, stary draniu, że oświetlenie gazowe ma przed sobą przyszłość.

To był głos Iretona.

Chase od razu spostrzegł, że to okazała biblioteka; mieściły się w niej zbiory zgromadzone przez zapalonego kolekcjonera. Wysokie,

eleganckie regały stały nie tylko pod ścianami, ale i wzdłuż oraz w poprzek sali bibliotecznej, stykając się narożami, rozdzielone tak wąskimi przejściami, że musiał kluczyć, by zbliżyć się do kominka, wokół którego zgromadzili się jego przyjaciele. Słyszał ich, ale nie widział. Każdy z regałów wypełniały książki wyglądające tak, jakby do nich niezbyt często zagładano. Na ich grzbietach migotały złote napisy, gdy mijał je, butami i laską tonąc w puszystych dywanach.

Zatrzymał się nagle. Zapach róż stał się intensywniejszy. I bezspornie znajomy. Wiedział. Wiedział, zanim ją jeszcze ujrzał.

Najpierw po prostu spojrzął i pomyślał: Cóż za wspaniały widok! Połyskliwy jedwab opinał jej ciało. Żadnej biżuterii ani grzebieni we włosach, koronek. Prostota stroju podkreślała wspaniałe kształty ciała. Szara suknia zlewała się z cieniami na dywanach i regałach. Można ją było wziąć za widmo. Doprawdy, ani on, ani nikt inny nie zauważyłby tej kobiety kryjącej się między rzędami półek. Gdyby nie zapach róż.

Ciało jego mimo woli zareagowało. Pochyliła się lekko, wypinając pośladki, z piersią podaną naprzód, wpatrzona bacznie w lukę między dwoma tomami. Och, Boże. Linie jej kobiecej sylwetki były wręcz boleśnie piękne. Wyobraził sobie, że przesuwa dłonią po jej karku, po smukłych plecach, po talii i błogiej krągłości poniżej, delektując się perfekcyjną symetrią jej kształtów. Poczul skurcz mięśni brzucha.

Tylko że Rozalinda March podsłuchiwała. Co, u licha, powinien teraz zrobić?



Czuł się rozdarty na dwoje. Czy ma nie pozwolić na to, by została zdemaskowana, czy też - a słyszał wszystko, co, jak wiedział, i ona słyszała - nie pozwolić, by nadal tych mężczyzn podsłuchiwała? Wiedział, o czym zwykle rozmawiają ze sobą starzy żołnierze. Bardzo niewiele z tego nadawało się dla kobiecych uszu.

Mógł teraz zidentyfikować wszystkie głosy. Kinkade, Ireton, Lawton, Kirkham, Callender. Mówili jeden przez drugiego i bardzo głośno. I głośno się śmiali. A także przeklinali. Słyszał brzęk kryształ, bulgot brandy, szelest obcinanych koniuszków cygar, a kilka sekund później poczuł dym. Pierwszorzędna marka.

Jeśli w tej chwili do nich nie dołączy, będzie to oznaczało, że i on podsłuchuje. Niech to diabli. Najlepszym wyjściem będzie powstrzymanie Rozalindy przed dalszym szpiegowaniem.

Gęsty dywan stłumił jego kroki i stukot laski, skórzane buty nie zaskrzypiały. Mężczyźni w głębi biblioteki mieli już słuch przytępiony trunkami i głośno się śmiali, dobiegały tu też, choć słabe, dźwięki muzyki tanecznej. Nie słyszeli go. Prócz tego nie przyszłoby im do głowy, że ktokolwiek się tam ukrywa.

Nawet pani March go nie słyszała, tak uważnie wpatrywała się w tamtych.

Po kilku krokach znalazł się tak blisko niej, że owionął go jej zapach. To nie tylko róże, ale też coś miłego i ciepłego: mydło, zioła, w których przechowywała suknię. Zapach jedyny w swoim rodzaju. Dostrzegł siwy włos w jej błyszczących ciemnych splotach. Zaparło

mu dech. Siwiała. Nie miała jeszcze trzydziestu lat. To wojna i lekkomyślne siostry musiały się do tego przyczynić.

Wszystko, nawet najmniejszy szczegół dotyczący Rozalindy, zawsze go głęboko poruszało. Sam nie wiedział dlaczego. W tych drobiazgach kryła się cała prawda o niej.

Był już tak blisko Rozalindy, że mógłby jej dotknąć. Zatrzymał się i czekał, chcąc poczuć ciepło jej ciała, gdy nagle się wyprostowała. I znalazła się tuż przy nim, dręcząco blisko jego torsu. A jednak nie było to aż tak bardzo przykre, bez względu na okoliczności.

Uniosła do ust dłoń w rękawiczce, żeby stłumić przyspieszony oddech. Usiłowała spojrzeć przez ramię za siebie, lecz stał tak blisko niej, że było to niemożliwe. Nerwowo przełykała ślinę, oczy rozszerzyły się jej z przerażenia, nozdrza rozdęły.

Żadne z nich nie mogło wyrzec ani słowa - nawet głośniejsz westchnąć - nie ryzykując zdemaskowania.

- ...ona mi powiedziała, że mnie jutro dosiądzie, i niech spróbuje tego nie zrobić!

- Która z nich? Mildred? - To był głos Callendera.

- Nie, nie, ta mała! Cassandra! Na statku pirackim.

- Na czym?

Żadna kobieta nie powinna była słuchać czegoś podobnego.

Tors Chase'a rozgrzał się od cudownie ciepłego ciała pięknej kobiety, do którego przywarł. Nie był w stanie śledzić uważnie tej konwersacji.

- ...zabrała mnie potem na piętro.

Żaden mężczyzna nie powinien się martwić, że jakaś kobieta tego słucha.

- ...zając się zapisami. Nazwijmy to subskrypcją. Niesłychaną. Wyłączną. Bardzo sprytnie pomyślane. Zdecydowałem. A teraz zaczynam myśleć o sprzedaży udziałów w...

To był Kinkade.

Wpatrywał się jak urzeczony w pukiel włosów wijący się na białym karku Rozalindy. Widział również delikatną żyłkę pulsującą w jej szyi. Robił, co mógł, by nie pochylić się i nie dotknąć jej językiem.

- ...a gdzie, u diabła, zamierzasz ulokować kapitał, Kinkade? Przecież siedzisz po uszy w długach, no nie?

Pośladek Rozalindy ocierał się teraz o to, co zapowiadało imponującą erekcję.

- ...stała się najwspanialszą syreną... Czym, na miłość boską? Syreną?

Rozmowa była pozbawiona sensu, lecz brzmiała fascynująco. I ta rozmowa, i zmysłowa kobieta, którą miał przed sobą, która świadomie i celowo - był tego pewien - przesuwiała lekko pośladkiem po jego teraz już sztywnym członku, pogrążały go w jakimś narkotycznym śnie.

Rozalinda znów przechyliła głowę; chciała spojrzeć na niego. Dostrzegł, że jej wargi rozchylają się lekko, oddech staje się płytszy. Spuściła oczy. Ciemne rzęsy zatrzepotały nad kośćmi policzkowymi. Oparła się o niego.

Przełknął ślinę. Pochylił głowę, tak że jej połyskliwe włosy stłumiły jego zdyszany oddech. Piękna, błyszcząca tkanina jej sukni ujawniała w pełni kształt pośladków: krągłych, gładkich i jędrnych jak brzoskwinia.

Z pewnością nie miała na sobie nic pod tą suknią prócz pończoch.

- ...Ireton musiał puścić się biegiem! I został złapany! Choć to było w Covent Garden!

Mężczyźni huknęli śmiechem.

A że wydało mu się to w tej chwili oczywiste i nieuniknione, przesunął delikatnie palcem po wgłębieniu między jej pośladkami, wyraźnie rysującemu się pod suknią.

Rozalinda zamarła. Chyba jest zszokowana, uznał.

Tym gorzej dla ciebie, Rozalindo, pomyślał. Zrobił to ponownie: delikatne dotknięcie, najpierw cudownego, przewrotnie erotycznego dołeczka u podstawy kręgosłupa, a potem przesunięcie palcem wzdłuż rozkosznego wgłębienia.

I jeszcze raz. Pieszczotliwie. Drażniąco.

Póki jej pośladek nie zaczął znów ocierać się o jego nabrzmiałą męskość. Och, Boże. Przywarł do niej mocno. Może nie powinien, ale nie miał na to wpływu: to wszystko czyniło jego ciało. Czy to on zrobił początek? Nie, ona, dlatego że się tu w ogóle znalazła. Do takiego właśnie, wartego śmiechu wniosku doszedł.

Dłonie Chase'a prześlizgły się w dół i ścisnęły wypięty tyłeczek. Głowa Rozalindy osunęła się na jego tors. Odsłonił się przed

nim wspaniały widok jej piersi. Wznosiły się i opadały, wznosiły się i opadały.

A wtedy niespiesznie położył ręce Rozalindy na jej piersiach. I zaczął nimi delikatnie, określonymi ruchami, drażnić sterczące brodawki. To tylko sugestia, Rozalindo. Niebywale zdrożna sugestia. Sposobu sprawiania sobie przyjemności.

Jego ręce wiedziały, co czynić, by tę przyjemność spotęgować.

- ...wypatrzyłem go w Tatersall dla mojej żony.

Zaczął unosić przód jej sukni. Powoli, bardzo powoli, by nie zaszeleściła. Na szczęście materiał przesuwiał się bezszelestnie po jedwabnych pończochach i gładkiej skórze. Przytrzymał go jedną ręką. A potem musnął jedwabiste i... och, Boże, cudownie wilgotne kędziorki między jej nogami.

Zesztywniała. Ale raptownie całe jej ciało się wygięło. Wiedział, do czego zmierzał. Powoli, lekko powiódł palcem po szczelinie między dwiema miękkimi fałdkami, rozsuwając kędziorki. Bez pośpiechu, leniwie. I napał na nią od tyłu.

Nadal stała zesztywniała, ale oddychała coraz szybciej w rytmie staccato.

- ...tylko że ten koń nie prześcignie innych koni! - sprzeciwił się ktoś. Głosy przyjaciół Chase'a docierały do niego teraz jakby z innego świata.

Badał palcem tę cudowną wilgotność, jakby chciał poznać samą istotę Rozalindy Powoli, jakby nie groziło im, że zostaną przyłapani. Z dręczycielską wręcz powolnością. I jeszcze raz.

A potem jeszcze raz.

Pulsowała pod tym dotykiem.

Jeszcze raz. Tylko muśnięcie. A wtedy jej nogi rozsunęły się szerzej i jego palec wniknął w aksamitną wilgotność. O mało się nie zachwiał z wrażenia. Dyszał ciężko, z ustami na jej szyi, a ona gwałtownym ruchem zsunęła stanik, ukazując mu bladoróżowe, wyprężone brodawki, które pieściła palcami.

Miał całkowitą pewność, że jeszcze nigdy nie był tak podniecony.

- ...najlepszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadłeś, Kinkade.

Fala pożądania wznosiła się coraz wyżej. Kolana zaczęły się pod nią uginać. Objął ją mocno ramieniem, żeby nie upadła, podtrzymując całym ciałem, i głębiej wsunął palec.

- ...a ja powiedziałem: „Te udziały stracą całą wartość, gdy dobiegnie końca budowa linii kolejowej przez spółkę Stockton i Darlington...”

Przechyliła głowę na ramię i przygryzła miękką dolną wargę. Znow ujrzał jej białe zęby, jak tamtego wieczoru u d'Alignych. Szybki oddech Rozalindy wręcz parzył, jego koszula od tego zwilgotniała. Zacisnęła powieki. Gdy patrzył, jak pieści leniwie palcami swe piersi, podniecenie zaczęło odbierać mu przytomność. Pogrzyżył się w szaleństwie, w narkotycznym upojeniu. Nagle zyskał pewność: weźmie ją tu i teraz, pod półkami bibliotecznymi.

Palec wślizgiwał się w nią i wyslizgiwał z niej, tam i z powrotem. Krążył, zakreślał, zataczał niewielkie kręgi, zdecydowanie i uparcie w jej gorącym, atlasowym ciele. Chase chciał, by sama zrozumiała,

czego pragnie. Pytał o to jej ciało. Aż wreszcie zaczęło ono odpowiadać płynnymi ruchami, zgodnymi z ruchami jego ręki. Obydwoje odnaleźli wspólny, pierwotny rytm, który miał doprowadzić do wspaniałego, nieuchronnego i - oby - bezgłośnego finału.

Zaczął gorączkowo wyobrażać sobie ów upragniony finał. Przechylił ją bardziej ku przodowi, żeby było łatwiej w nią wnikać. Jakąż przyjemność sprawiało mu wyobrażanie sobie, co ona zrobi, by spełnić jego życzenia. Niepewność podsyciała w nim pożądanie. Teraz gwałtownie domagało się spełnienia.

Niechętnie wysunął dłoń spomiędzy jej ud i zaczął unosić suknię od tyłu. Jej ciało znów raptem zeszywniało.

Znieruchomiał, zaintrygowany. A potem... naszło go nagle podejrzenie.

Uda jej były jeszcze lekko rozchylone. Nim zdążyła je zewrzeć, wsunął rękę w przestrzeń między nimi: jakiś twardy i obły przedmiot był przytroczony do jej nogi parą podwiązek - różową i białą.

Zacisnęła uda - a raczej próbowała to zrobić - ale jego ręka już się między nie wcisnęła.

Wymacał kontury tego przedmiotu. Kontrast między jedwabistością jej skóry a twardością śmiercionośnego metalu okazał się czymś zadziwiająco erotycznym, ale, choć absurdalnie silnie podniecony, nie byłby w stanie dokończyć penetracji.

Chwilę później jego pożądanie się ulotniło pod naporem zdumienia i wściekłości.

Na cóż jej, do diabła, był pistolet?

Zdrętwiał.

Ona również. Jej pożądanie ustąpiło z kolei miejsca strachowi. I bardzo dobrze! Przeklęta baba!

Ostrożnie, z sercem dudniącym ze zdenerwowania, rozwścieczony niespełnieniem, zrobił po omacku to, co zrobiłby z każdym pistoletem. Upewnił się, czy nie jest odbezpieczony.

Nie był.

Odsunął ręce od jej jedwabistych ud. Zmięta suknia opadła w dół. Oparł dłonie na jej ramionach.

Rozalindzie zaschło w ustach ze strachu.

Prócz tego czuła, że... przegrała. Przejął ją chłód. Była głęboko, choć irracjonalnie zawiedziona. Nie doznała upragnionego zaspokojenia, do którego by - jak wiedziała - doszło. Prawdę mówiąc, powinna być oburzona tym, jak ją potraktowano, mimo że bez oporu, tak ochoczo, brała w tym udział.

A właściwie wszystko sprowadzało się do pytania: dlaczego kapitan Eversea nie posiadał mnie za regałem bibliotecznym? Gdybyż nie podciągnął jej sukni tak wysoko! Nigdy by wtedy nie dostrzegł pistoletu.

O Boże! O czym ona myśli? Całe szczęście, że uniósł suknię tak wysoko, bo w przeciwnym razie nie wiadomo, na co by sobie pozwoliła. A jeśli kobieta nie może ukryć pistoletu na udzie, to gdzie indziej?



Chase odwrócił ją twarzą ku sobie. Powoli. Nie chciała, ale trzymał ją tak mocno, że musiała to zrobić. Miała przed oczami jego halsztuk. Zaryzykowała spojrzenie wyżej.

Jego oczy pobłyskiwały jak lufy pistoletów.

Wymamrotał:

- Zejdźmy. Na dół. Schodami.

I nie spuszczał z niej wzroku, póki nie skinęła energicznie głową na znak, że zrozumiała.

- Po cichu - dokończył.

Nie dodał: „bo w przeciwnym razie...”, ale można to było bez trudu poznać po jego minie. Zastanawiała się, co by zrobił.

Chase nie mógł wyjść z za regału, póki była widoczna jego erekcja. Rozalinda czekała.

Odwrócił się od niej bardzo powoli i, skradając się pod ścianą, skierował ku wejściu do biblioteki. Dokładnie tak samo skradała się ona, gdy weszła. Ostrożnie, krok po kroku. Nadśluchiwał uważnie, a Rozalinda, z zapartym tchem, zdenerwowana, również nasłuchiwała, ale głosy nie ucichły ani nie przerwano pogawędki. Nadal prowadzono beztroską rozmowę. Nikt z tych mężczyzn nie podejrzewał, że ich ktoś podsłuchuje lub się stąd wykrada.

Dotarł do wejścia. I nagle zawrócił z serdecznym okrzykiem:

- Witajcie, dżentelmeni! Rozalinda aż podskoczyła.

- Nie .. .o.. .liśmy się ciebie .. .oczekać, Eersea!

Ktoś, kto sobie nieźle podpił, nie wymawiał już niektórych spółgłosek.

- Chase! - odezwał się ktoś inny eleganckim, arystokratycznym tonem.

Rozalinda wycofywała się w ten sam sposób, co przedtem Chase. Bardzo ostrożnie, cichutko, też krok po kroku.

- Witaj, kapitanie!

Rozległy się odgłosy poklepywania po plecach i oklaski. Wymieniano poufałe, życzliwe, męskie słowa powitania. Często je dawniej słyszała, przebywając wśród żołnierzy.

Cofała się coraz dalej; czuła lodowaty chłód ściany na plecach, bo suknia była z tyłu głęboko wycięta. Jeszcze jeden załom i wejście, którym chciała się wymknąć, oraz hol były już na wyciągnięcie dłoni.

Chase mówił:

- Obrałem niewłaściwy kierunek, dżentelmeni, i wpadłem na starego przyjaciela, co jest częścią atrakcji Londynu. Ledwie zdążyłem tu przyjść i obawiam się, że długo z wami nie zabawię, bo wkrótce będę musiał ruszyć w drogę. Do następnego razu!

Rozległ się chór protestów.

- W jakimże innym miejscu warto się dziś wieczór znaleźć?

To był wytworny ton Kinkade'a; Rozalinda go rozpoznała. Do licha, tak bardzo chciała z nim pomówić, ale teraz nie śmiała tego zrobić.

Nie usłyszała odpowiedzi Chase'a, ale musiała być żartobliwa lub też wykonał on wymowny męski gest - mogła to sobie wyobrazić - bo mężczyźni wybuchnęli śmiechem i zagwizdali.

- Masz rację, Eversea, to właśnie tam warto pójść.

Słowa Kinkade'a brzmiały szczerze.

- Dziękujemy ci jednak, że choć na chwilę do nas wpadłeś, kapitanie. No i użyj sobie na niej w moim imieniu.

Do diabła! Więc Chase chciał odejść? A ona sądziła, że zamierza z nimi zostać, odsyła zaś właśnie ją! A potem wzięła nogi za pas. Głosy cichły, gdy biegła holem, z suknią zebraną w dłoniach, z zaczerwienioną twarzą, z żołądkiem skreconym w supeł ze strachu. Kinkiety ze świecami zlały się w jedną mglistą plamę, gdy mijała je, biegnąc.

Włosy, dotąd upięte, zaczęły się rozluźniać; były zbyt gęste, by szpilki mogły je długo podtrzymywać, i z fryzury wysuwały się kolejne pasma. O mało się nie poślizgnęła, skręcając w rogu holu. Gdybyż tylko zdołała przed nim uciec - a teraz z pewnością się to jej uda (co za godna pogardy myśl) - nie musiałyby stanąć z nim twarzą w twarz, rozgniewanym.

Jeszcze nie miała na to odwagi.

Wreszcie dotarła do schodów. Oparła ręce na zimnej, szerokiej, pięknie wypolerowanej marmurowej poręczy. Widziała zniekształcone odbicie własnej twarzy na jej lśniącej powierzchni, gdy zbiegała po stopniach, stukając głośno pantofelkami, z suknią owijającą się wokół nóg. Musiała uważać, by się nie potknąć i nie wyrzucić. Słyszała szybkie uderzenia stóp o marmur.

Nagle się zatrzymała.

We foyer i przy głównym wejściu kłębił się, oczywiście, zbity tłum. Niech to lichy.

Wsunęła się w tę ciżbę z gracją nurka i mężnie przedzierała ku drzwiom rezydencji, lawirując, niczym gracz w polo, wśród jedwabi, muślinów i długich męskich okryć, strząsając z siebie poły płaszczy, które się wokół niej okręcały, i odsuwając kolorowe pióro, które wepchnięto jej w oko. Towarzyszyły jej pełne zgorszenia okrzyki „och!”, gdy rozpychała się łokciami.

Wreszcie dotarła do drzwi. Stali przy nich lokaje. Zobaczyła maleńki czworokąt ciemnego nieba. Poczowała świeże nocne powietrze.

A wtedy szeroka, gorąca dłoń schwyciła ją mocno za łokieć i zatrzymała. Szarpnęła się gwałtownie, ale zrozumiała, że się nie uwolni. Obejrzała się przez ramię i wzdrygnęła, widząc pełne gniewu błękitne oczy oraz zaciśnięte usta.

Szarpnęła się drugi raz, również bez rezultatu. Skąd on się tu wziął? Przeklęty biegacz.

- Proszę schylić głowę - rozkazał.

Cichym i lodowatym głosem, prosto w jej ucho. Tonem, który nie znosił sprzeciwu. A potem wyszedł z nią - czy też raczej ją wywłócił - za drzwi, torując sobie drogę własnym ciałem i laską, i depcząc innym po palcach. Aż znaleźli się na zewnątrz pałacu. Noc wydała się cudownie chłodna, prawem kontrastu. On też pochylił głowę na piersi, by ukryć twarz. By chronić jej reputację.

Czuła, jak on utyka, gdy ją ciągnął, schodząc po schodach. Krew szumiała jej w uszach, serce łomotało. Dostała mdłości.

Zadała mu lata temu pytanie: „Czemu pan się mnie boi?” Jak niewybaczalnie była wówczas niedoświadczona! Jej kąśliwe uwagi,

jej flirty, jej zuchwałość - wynikały właśnie z tego, że się go bała. Tak silny i tak pewny siebie był kapitan Eversea. I tak niedostępny.

Próby rozbrojenia go przypominały parskanie kotki. Powinna to wtedy wiedzieć. Że on nie przekroczy wytyczonych przez siebie granic. Obydwoje za to zapłacili wysoką cenę. Powinna to wiedzieć teraz.

Wszystko, co dla niego robiła, stawało się przyczyną jego udreki i wzajemnie się o to obwiniali. Ręce i nogi miała lodowate, mimo że noc była ciepła. Nie domyślała się, co on zamierza teraz z nią począć. Jej gniew był gniewem dziecka w porównaniu z jego gniewem.

Pomógł się jej wydostać z tłumu gości i obydwójce znaleźli się wreszcie na ulicy, klucząc wśród powozów nowszych i starszych, lepszych i gorszych.

- Gdzie pani mieszka? Czy przyjechała tu pani dorożką?

Czemu z nią idzie? Czy chce ją odprowadzić do domu? Poczowała przypływ nadziei i odetchnęła z ulgą.

- Trzy ulice dalej. Na ukos przez skwer. Mam tam mały... - zaskoczył ją dźwięk własnego głosu. Był cienki i drżący.

Jego gniew i napięcie tak na nią działały.

- ...mały dom. Bardzo blisko.

## 9

Szli w nieprzyjemnym milczeniu, szybko. Gazowe latarnie niedawno zainstalowane w tej dzielnicy rzucały miękkie światło na ulicę. Plamy światła i cienia układały się w szachownicę. Ramię miał

sztynne; rozglądał się czujnie, niczym pantera szykująca się do skoku. Utykał nieznacznie. Wyczuwała, że chętnie by odparł kolejny napad rabusiów, bo miałby wtedy na kim, choćby częściowo, wyładować gniew.

Dotarli pod dom, weszli na schody. Ręka jej się trzęsła. Nie mogła sobie poradzić z kluczem, a Chase nadal mocno trzymał jej ramię. Wreszcie zdołała otworzyć drzwi, odwróciła się ku niemu i powiedziała z naiwną nadzieją:

- Dziękuję, kapitanie Eversea. Życzę panu dobrej...

Wepchnął ją do środka i zamknął za nimi drzwi. Łaskawie puścił wreszcie jej rękę. Rozcierała zdrętwiały łokieć, podczas gdy on zrywał z siebie płaszcz i kapelusz. Ułożył okrycia szybko, porządnie, w stos na stoliku, gdzie powinny były leżeć poczta i zaproszenia, ale nikt tu nie gromadził nadsyłanej poczty ani zaproszeń.

- Dlaczego, do diabła - zapytał głosem brzmiącym aż nadto rzeczowo - miała pani pistolet wetknięty pod podwiązki?

Coś się stało z jej płucami. Jakby oddzieliły się od reszty jej ciała. Nie mogła oddychać. A potem nie mogła też myśleć ani mówić. Słyszała teraz jego oddech, który nie wróżył nic dobrego.

- Pytam po raz drugi: dlaczego miała pani pistolet wetknięty pod podwiązki?

- Ja...

Nagle znalazł się przed nią na kolanach i nim zdążyła odetchnąć, brutalnie zadarł jej suknię do góry. Szybko podważył palcem jedną z podwiązek i rozciął ją przeraźliwie ostrym nożem, który pojawił się w

jego dłoni nie wiadomo skąd. Nóż wszedł w jedwab jak w masło i podwiązka pozostała mu w palcach. To samo zrobił z drugą.

Pistolet leżał w jego dłoni.

Opuszki jego palców pozostały tam, gdzie przedtem była broń, na atlasowej skórze pomiędzy jej nogami. Nie cofał ich, a suknia nadal odsłaniała miejsce, gdzie jej nogi były rozwarte dokładnie na szerokość pistoletu.

Drżała z przerażenia. Było to wszystko, co mogła zrobić: nie rozwierać ich szerzej. Równałoby się to zaproszeniu go tam.

Spojrzał jej w twarz, rozgrzaną dłonią wciąż jeszcze dotykając nagiego uda. Przesunął po nim palcami, delektując się nim, dręcząc ją. Drażniąc się z nią. Przerażając ją.

Wpatrywał się płonącymi oczami w to, co ujrzał na jej twarzy. Spuścił oczy, jego oddech zaczął się wyrównywać. Niespiesznie sunął palcami w dół. Zostawiając gorący ślad na jej skórze. Zahaczając o pończochy.

A potem jednym szarpnięciem opuścił jej suknię. I siedział z powrotem w krześle. Wszystko w ciągu kilku sekund.

Odebrało jej mowę.

Wciąż nic nie mówił.

Po chwili obydwójce ochłonęli. W ciszy panującej w bawialni ich oddechy wydawały się nienaturalnie głośne. Ogień na kominku prawie wygasł. Chciała go rozniecić pogrzebaczem, ale bała się drgnąć.

Co przelatywało mu przez głowę podczas przedłużającego się milczenia? Wiedziała, że najgorsze już jest za nią, że zarysowała się możliwość zawarcia pokoju, bo największy gniew przeminął. Było to wręcz namacalne.

- Herbaty? - zaproponowała.

Wargi Chase'a nieznacznie się uniosły. Wstała. W malutkiej kuchence napełniła imbryk i zagotowała wodę. Służąca, wychodząc, nie zgasła ognia.

Gdy Rozalinda wróciła do bawialni, kapitan nadal przyglądał się pistoletowi.

- To Mathew był jego właścicielem? - spytał.

Odzyskała z powrotem głos. Był słaby i stłumiony.

- Tak. Wzięłam go dla obrony.

- Dla obrony - powtórzył tępo. - Dla obrony. - Uniósł głowę i spojrzał na nią z niedowierzaniem. - A co by się stało, gdyby tak wystrzelił podczas tańczenia przez panią kadryla i gdyby kula odbiła się od metalowej wazy z ponczem, przerwała łańcuch, na którym wisi żyrandol, ten zaś runąłby na dół i zmiażdżył śmietankę londyńskiego dobrego towarzystwa?

Był to z pewnością jeden z możliwych scenariuszy.

- „Śmietanka” to chyba subiektywne określenie?

Dwoje zimnych jak marmur oczu nadal się w nią wpatrywało.

- Nie zamierzałam tańczyć kadryla i, szczerze mówiąc, nie byłam zaproszona na ten bal.

I nie rzuciłaby na niego uroku tego wieczoru.



- Naprawdę? - powiedział sucho. - Zatem, jak przypuszczam, nie była też pani zaproszona do biblioteki, na brandy i cygara z dżentelmenami?

- A co by się stało, gdyby ten cholerny, trzymany przez pana w cholewce buta pistolet wystrzelił podczas energicznego...

Och, niech to diabli.

O mało nie powiedziała „kadryła”, ale dni, kiedy on tańczył kadryla, już na zawsze przeminęły. Przymknęła oczy. Gdy była dzieckiem, miała piękny hiszpański szal, trochę co prawda podniszczony, który przechodził w jej rodzinie z jednej dziewczynki na drugą. Dostały go po ciotce. Wyobrażała sobie, że otulona nim stawała się niewidzialna.

Zatęskniła za tym szalem. Otworzyła oczy, co zresztą powinna była zrobić już wcześniej. Przyglądał się jej i, do licha, wyglądał na rozbawionego.

- Cholerny? - spytał cicho.

Poczuła, że znów się rumieni.

- Co miało być energiczne, pani March?

Ten głos przytłumiał jej zmysły niczym jedwabna chusteczka. To nie fair. Nie fair!

- Co jeszcze miałbym w tych dniach robić energicznie wedle pani wyobrażeń?

Miał prawdziwy talent, jakąś diaboliczną umiejętność wyczuwania, kiedy ona jest zażenowana, a potem łagodził to zażenowanie niemal równie okrutnie.

Teraz bowiem wyobrażała sobie dokładnie, co też miał robić równie energicznie i z wigorem. Zdało się jej, że nadal czuje gorąco tam, gdzie przywarł palcami do jej ud. Wyobraziła sobie, jak te długie, ciepłe palce wnikają w nią. Skóra jej pulsowała, jakby wciąż jej jeszcze dotykał w tym miejscu.

Gdyby nie znalazł pistoletu, mogłaby... on by mógł... oni by mogli... No cóż, mogłaby spać tej nocy lepiej niż przez ostatnie lata.

Była przerażona tym, że tak szybko skapitulowała, tak szybko się poddała zmysłowej namiętności. Denerwowała ją myśl, że każdy mógłby nad nią uzyskać taką władzę.

Patrzył na nią uważnie. Oczami tak zafascynowanymi, jakby śledził wszystko, co - jak sobie wyobrażała - rozgrywało się przed jego oczami.

- Gdyby ten pistolet istotnie wystrzelił przypadkowo, to zapewne zabiłby mnie, nim zdołałby uśmiercić kogokolwiek innego - zapewniła go.

Jego oczy utraciły blask.

- Tak.

Nie tyle wypowiedział słowo, ile wycedził przez zaciśnięte zęby. Jakby usłyszał niezbyt bystre dziecko, które wpadło nareszcie na sposób rozwiązania zadania.

Ach, więc miało dla niego znaczenie to, że mogłaby się niechcący zabić.

- Pistolet nie był odbezpieczony...

- Wiedziałem o tym od razu, gdy go dotknąłem - odparł z ironią. „Gdy dotykałem ciebie”, brzmiała niewypowiedziana odpowiedź.

- Wiem, jak go odbezpieczać, i jak z niego strzelać, dobrze strzelać, kapitanie Ever...

- Rany boskie! Przecież trzymałem wtedy rękę na... - Pokiwał gwałtownie głową. - Na imię mi Chase. Proszę się tak do mnie zwracać.

Była jak najdalsza od spierania się z nim na ten temat. Wyraźnie też dała do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko tej poufałości.

- Doskonale, Chase. Bardzo dobrze strzelam. Nie miałam niczego innego do obrony. Nie jestem... słabą osobą. Nie uznaję niemądrych żartów, jeśli chodzi o broń. Rozumiem, do czego służy. Wydało mi się niemądre wyjście z domu bez broni i musiałam ją gdzieś włożyć. Nie mogłabym wsunąć jej za stanik albo do torebki. To naprawdę dobry i solidny pistolet.

- Ale czemu pani w ogóle wzięła go ze sobą, Rozalindo? Czy chciałaś groźbą wydusić z niego informację? Z Kinkade'a? Czy też zamierzałaś wywijać nim w sali balowej i miotać oskarżenia?

- Nie. Czy pan naprawdę myśli, że jestem... aż tak głupia i nierozważna?

Nie było odpowiedzi.

Ostatnim razem, gdy uratował ją przed jej własną nierozważnością, mógł zrujnować swoją karierę. I prawie że zrujnował, co odmieniło obydwojgu życie na zawsze. Nawet teraz, w tym boleśnie żenującym momencie, widziała w jego oczach wątpliwości co do jej charakteru.

I - tak! - oskarżenie.

Po chwili napięcie minęło, ale pozostał posmak goryczy. Zastanawiała się, czy ich to na zawsze rozdzieli. Opanowała się.

- Daję słowo, że nigdy nie zrobiłabym czegoś tak głupiego. Nie miałam zamiaru zabijać ani siebie, ani śmietanki londyńskiej socjety, ani Kinkade'a. Chase, tu chodzi o Lucy! Liczyłam na to, że na balu będę miała szansę porozmawiania z Kinkade'em, skoro dotąd nie udało mi się z nim pomówić. Skoro on dotąd odmawia rozmowy ze mną. Wzięłam pistolet dla obrony.

- Na balu? Czego się pani bała? - spytał. - Rozalindo! - napomniał ją surowszym tonem, gdy mu nie odpowiedziała. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Westchnęła i wstała, patrząc na niego uważnie.

Podeszła do kasetki i wyjęła z niej listy. Obydwa pachniały słabo cygarami. Ten zapach otaczał jej zmarłego męża. Zawahała się, podając listy Chase'owi, bo bez wątplenia on też ten zapach doskonale pamiętał. W końcu mu jednak je wręczyła.

- Ten drugi otrzymałam wczoraj. Czekał na mnie, gdy wróciłam z muzeum do domu. Ten pierwszy nadszedł tydzień wcześniej.

Przeczytał je w milczeniu.

- Oczywiście, są bzdurne - dodała pośpiesznie - i świadomie niejednoznaczne. Nie wiem, dlaczego ich autor mógł sądzić, że mnie nimi przestraszy. Gdyby ktoś rzeczywiście chciał zrobić mi coś złego, to... jak sobie wyobrażam... po prostu by tu przyszedł i to zrobił.

Przestraszyły ją jednak, skoro wetknęła pistolet za podwiązki, nim się publicznie pokazała.

Śledziła uważnie jego twarz. Nic nie świadczyło, by uważał listy za głupie. Im dłużej patrzył na te dwa krótkie zdania, tym bardziej kamienne wydawało się Rozalindzie jego oblicze. Co zarazem łagodziło jej strach i go podsycalo.

- Napisała je ta sama osoba - powiedział wreszcie. - Mężczyzna, jeśli miałbym się tego domyślać z charakteru pisma. Posłużył się za każdym razem takim samym papierem.

Przesunął kartki między palcami.

- Skończonego tchórza - powiedział w zadumie - który chciał zastraszyć w ten sposób kobietę, powinno się zastrzelić.

- Mam pistolet.

Miał to być żart. Chase się nie roześmiał. Spojrzał na nią.

- Na pani miejscu nie robiłbym tego - odparł z ledwie widocznym uśmiechem, który zniknął, gdy ich oczy się spotkały.

- Pierwszy list nadszedł wkrótce po tym, jak zaczęłam dopytywać się o Lucy. Drugi wczoraj. Są bardzo niejasne jak na listy z pogrózkami, prawda?

- Robią przez to wrażenie jeszcze groźniejszych.

Powiedział na głos to, czego wcale nie chciała usłyszeć. A potem siedział bez słowa, zatopiony w myślach, jakby dostrzegał w tych listach więcej niż ona.

Imbryk zaczął syczeć. Zerwała się z krzesła.

Krzątanina w kuchni ją uspokoiła. Otworzyła puszkę i wsypała czarną chińską herbatę do dzbanka z delikatnej porcelany, ale nie zanadto wyszukanej, z namalowaną na nim jedną jaskrawoczerwoną różą. Zalala listki herbaty wrzątkiem. Patrzyła w zamyśleniu, jak napar ciemnieje. Przypomniało jej to dawne czasy, kiedy w Belgii piła herbatę, razem z mężem i Chase'em. Czasy, kiedy wszystko wydawało się, choćby pozornie, spokojniejsze.

Wiedziała, że Chase pija herbatę bez cukru i bez mleka. Wciąż o tym pamiętała. A wiedziała to, bo niegdyś po kryjomu gromadziła najdrobniejsze nawet szczegóły dotyczące Chase'a, niczym cenne gwinee. Z tego właśnie powodu dawne życie w Belgii było, prawdę mówiąc, tak spokojne, jak spacer po kładce przerzuconej nad wrzącą lawą.

Na szczęście nie była już tamtą dziewczyną. Postawiła dzbanek oraz dwie filiżanki na tacy i zaniósła z miłym pobrzękiwaniem porcelany na stół, przy którym siedzieli. Nalala herbaty do filiżanek.

Chase spojrzał na tacę i zwrócił głowę ku filiżance, ale jej nie wziął.

Rozalinda pociągnęła łyk ze swojej.

- Powinniśmy się pobrać - powiedział stanowczo.

Zakrztusiła się z wrażenia, opryskując wszystko wokół herbatą. Przez kilka następnych sekund kaszłała nieelegancko.

Łzy pocięły jej z oczu. Chase pochylił się w przód, gotów do akcji, gdyby trzeba było porządnie uderzyć ją w plecy. Już nawet

podnosił dłoń. Zamachała rękami, co miało znaczyć: „Nie, nie, wszystko ze mną w porządku”.

I rzeczywiście, po chwili wszystko było w porządku. Po długiej chwili. Musiała jednak wysiąkać nos i wytrzeć oczy. Była pewna, że całą twarz ma opryskaną herbatą. Miała tylko nadzieję, że nie poplamiała sukni.

Zapadła głucha cisza.

Nie przeprosił jej. Czemuż jednak miałby przeproszać? Nie spodziewał się przecież, że ona się zakrztusi, słysząc oświadczyzny. Siedział, nic nie mówiąc. Najwyraźniej czekał na odpowiedź.

- Ja... myślę, że... że... przepraszam... czy my powinniśmy... się pobrać?

Chwila wahania.

- Tak.

Wpatrywała się w niego. Dojrzała w jego oczach coś, czego nie potrafiła rozszyfrować. Czy zaskoczył samego siebie? Nadal zachowywał absolutne milczenie. Czowała się jak rażona piorunem.

- Czy powinniśmy wyjść... za siebie?

- Tak.

Nieodgadnionym tonem głosu doprowadzał ją do szaleństwa. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć ani co on o tym myśli. Wskutek czego nadal bez słowa trwała w osłupieniu.

Policzki zaczęły ją lekko piec; od kaszlu jej fryzura definitywnie się rozpadła, a herbata przykleiła włosy do policzków. Przesunęła z roztargnieniem ręką po twarzy.

- Dlaczego?

Po kolejnym krótkim wahaniu usłyszała:

- Z pewnością wcale pani nie była niezadowolona z tego, co zaszło w bibliotece - zaczął. Nie dodał: „I co zaszło między nami wiele lat temu”.

O Boże. Policzki teraz tak ją piekły, że nie zdziwiłaby się, gdyby zaczął się z nich unosić dym. Były to słowa niewyobrażalnie wręcz niedzgentelmeńskie. Ale mówił prawdę.

Najgorsze, że jeszcze nie skończył. Najwyraźniej jej spurpurowiała twarz wystarczała za odpowiedź. Nie, nie była „niezadowolona”. Zadowolona, niezadowolona - cóż to za nijakie słowa w ustach stanowczego zazwyczaj kapitana Eversea. I jakże niepasujące do tego, co czuła, wspominając incydent w bibliotece.

- Powinienem się ożenić.

Spojrzała na niego i zdusiła śmiech. To zdumiewające! Tylko kapitan Eversea mógł się oświadczać tak, że wyglądało to na rozkaz. Rozwiązanie problemu. Ale jakiego problemu? Czy oświadczał się jej powodowany poczuciem honoru - bo skusiła go do wsunięcia rąk między jej uda, a on uległ tej pokusie i najwyraźniej pragnął jej ulegać jeszcze wiele razy? Bo bronił jej honoru? Bo chciał honorowo zakończyć to, co się między nimi wydarzyło w przeszłości?

Powiedziała ostrożnie. Jakby przekazywała w jego ręce rozżarzony metal.

- Chase... czy to z powodu tego, co zaszło między nami w... w Belgii?



- Nie.

Beznamiętna natychmiastowa odpowiedź. I ostrzegawczy błysk w oczach. I to znane jej już dobrze wrażenie, że pędzi prosto na ścianę, z którą się zderzy za moment. Ach, więc nie będą o tym mówić.

Znów spojrzała na niego. Był człowiekiem stanowczym, podejmował stanowcze decyzje, a nic nie jest bardziej stanowcze niż decyzja o małżeństwie. A także kierował nim niezmiennie imperatyw, właściwego postępowania. Postępowania jak należy.

Tylko że... wszystko nagle wydało się jej niewłaściwe. Od czego zacząć?

- Co, na miłość boską, każe panu myśleć, że pasowalibyśmy do siebie?

Najwyraźniej nie był to z jej strony dyplomatyczny początek. Poruszył się niespokojnie i głośno westchnął.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, kto mógłby do mnie pasować, jeśli według pani, słowo „pasować” oznacza „mieć podobne dążenia i podobny charakter”. Jestem człowiekiem trudnym. I wcale nie mam pewności, czy „pasowanie do siebie” jest wystarczającą podstawą małżeństwa, no bo czyż można w pełni znać tego, kogo się chce poślubić? Podejrzewam, że pod pewnymi względami pasowalibyśmy do siebie, pod innymi nie.

Te „pewne względy” były dla obydwójga aż nadto oczywiste. Zdumiało ją, że on mówi tak uczciwie i bez ogródek. Ale taki był Chase.

Spojrzała ponownie na niego, a on na nią. Ach, ta jego fascynująca twarz, o nieodgadzionym wyrazie. I nawet jeśli romans był dla niej czymś równym śmiertelnej ranie, jej ciało, nawet teraz, zareagowało: poczuła ukłucia w brodawkach piersi, mrowienie w karku, wilgoć między nogami, jakby te miejsca same podpowiadały, gdzie kapitan Eversea powinien jej dotykać.

I jeszcze coś czuła, coraz wyraźniej. Cóż to takiego? Niedowierzenie? Chęć ucieczki?

Nie. Rozczarowanie. Albowiem kapitan Eversea swoim spokojnym głosem rozwiewał definitywnie resztki romantycznych wspomnień, które się z nim łączyły. Nie marzyła o romansach jako młodziutka dziewczyna. Wtedy spędzała bezsenne noce, głowiąc się, czy kupić opał do ogrzania domu, czy rybę na obiad, bo i ogrzewanie, i jedzenie były dla nich luksusem.

Ubóstwo i trzeźwa kalkulacja kazały jej poślubić zamożnego pułkownika, który stracił dla niej głowę. Zdecydowała się na to małżeństwo, gdy tylko się jej oświadczył. Ale później w jej marzeniach pojawił się kapitan Charles Eversea. Tylko że...

Przedtem ktoś jej pragnął. Ktoś ją uwielbiał. Teraz pragnęła być kochaną. I kochać.

Spojrzała na tego niezaprzeczalnie pięknego mężczyznę i trudno jej było skojarzyć z nim tak czułe słowo jak miłość. Pożądanie - z całą pewnością.

Mogła w nim być i wrażliwość, mogły być nawet ciepłe uczucia, nie tylko duma i żądza. Ale ten twardy, nieustępliwy mężczyzna nigdy

chyba nie okaże jej żadnych uczuć, tylko dumę i żądzę. Istotnie, był trudnym człowiekiem.

A on nadal mówił:

- ...obydwoje jesteśmy wolni, w wieku stosownym do małżeństwa, i znamy się dobrze nawzajem...

Czy naprawdę dobrze się znali?

Znów zwrócił głowę ku filizance z herbatą. Zauważył, że ona pamięta, jaką niegdyś pijał.

- .. i, jak już powiedziałem, powinienem się ożenić. Równie dobrze mogę zrobić to teraz, a nie później. Nie ma powodu, dla którego nie mogłaby pani powtórnie wyjść za mąż. Mogę obronić panią przed tym... - tu uniósł listy, a wraz z nimi zawarte w nich groźby - i przed panią samą. Mam też całkiem pokaźny majątek.

Na tym przemowę zakończył. Z jego punktu widzenia sprawa była zakończona. I znów przyjął wyczekującą postawę.

Rozalinda siedziała jak ogłuszona. W milczeniu szukała słów odpowiedzi. Przychodziły jej z trudem.

- Mimo że... że bardzo mi pochlebia pańska propozycja i mimo... mimo tego, co zdarzyło się tego wieczoru, a co się nie może powtórzyć... i mimo że świadczy to pięknie o pańskim... charakterze... to za mało, byśmy się mieli pobrać.

Pauza.

- Doprawdy?

Głos Chase'a brzmiał dziwnie. Nie mogła odgadnąć, czy był rozbawiony. Czy poczuł ulgę. A może po prostu był ciekaw, co mu odpowie. W jego oczach pojawił się szczególny błysk.

To okropne, że go nie potrafi rozgryźć, i raz jeszcze poczuła, że uzyskał nad nią przewagę, co wydało się jej absolutnie krzywdzące, zwłaszcza, że dopiero co dała mu kosza.

- Tak.

Nic nie odpowiedział. Nagle przeniósł wzrok z filiżanki na jej kolana, jakby go właśnie teraz przelotnie zafascynowały. Potem znów spojrzał jej w twarz, wyczekująco. Wydawał się bardzo, wręcz nienaturalnie, spokojny. Zachowywał stoicki spokój.

Och, Boże. Wolałaby umrzeć niż urazić jego uczucia - czy on je w ogóle miał? - lub jego niesłychaną dumę. Zaciśnęła palce na filiżance. Kostki jej zbieleły. I tak jak przedtem jego uporczywe milczenie zmusiło ją do jeszcze szerszej i bardziej kłopotliwej wypowiedzi.

- A jeśli już chodzi o... oświadczyny, to nie jestem zupełnie pewna, czy chciałabym wyjść za kogokolwiek. Przysięgam, że mówię prawdę. Nabrałam śmiałości, choć nie mam talentu do dramatyzowania, jak lady d'Aligny, albo... albo ta dziewczyna z hrabstwa Sussex, co podobno po sprzeczce groziła adoratorowi, że się rzuci do studni...

- Violet Redmond - dopowiedział, zaskakująco uprzejmie. Wszyscy znali tę historię o Violet Redmond.

- Violet Redmond. Wiem też, że nie jestem jeszcze stara. Mogę się podobać. I dobrze wiem, nikt i nic nie zmusi mnie do małżeństwa.

Pana argumenty mnie nie przekonały, jestem dorosłą kobietą, wdową. Nie przebiję się sztyletem, nie będę się zadrećzać, nie zrobię niczego równie dramatycznego i głupiego. Jeśli zechcę pana poślubić, to poślubię.

Skończyła. Siedziała, ściskając kurczowo w dłoniach filiżankę. Zostały w niej same fusy. Czy gdyby umiała z nich wróżyć, dostałaby ostrzeżenie, że zostanie jej złożona propozycja małżeństwa? Nie zaplamiałaby wtedy wszystkiego naokoło rozprysniętą herbatą.

Czekał. Jakby miał pewność, że ona powie coś jeszcze.

Czekała, bo miała pewność, że powiedziała już wszystko, co chciała powiedzieć.

Jak się okazało, nie pomylił się.

Jego milczenie wyprowadzało ją z równowagi. Dawniej - była tego świadkiem - w milczeniu czekał, co jeszcze mają do powiedzenia jego podwładni. Zawsze wiedział, kiedy zostało jeszcze coś do powiedzenia. Doprawdy, nie sposób się było obronić przed kapitanem Eversea, jeśli postanowił być cierpliwy. Jego cierpliwość, tak wyjątkowa, miała pod pewnymi względami większą siłę niż jego zniecierpliwienie.

- A to dlatego, że... że nigdy nie mogłam pozwolić sobie na wybór tego, czego chciałam. Robiłam tylko to, co było trzeba zrobić, żebyśmy wszystkie trzy miały co jeść, gdzie mieszkać i tak dalej. Zwykłe ludzkie potrzeby. A chociaż pod tym względem nie różnię się od innych kobiet, mogę się jednak bardzo różnić od kobiet znanych panu. A teraz... teraz mam rentę po zmarłym mężu, mimo że dosyć

skromną. Pragnę sama decydować o tym, czego chcę. Mogę pójść, gdzie mi się żywnie podoba. Byłam wdzięczna mężowi i kochałam go za jego dobroć, a także za siłę charakteru. Ale teraz wolno mi samej decydować o sobie. Wybierać coś lub kogoś. Choć nie wiem co lub kogo konkretnie.

Poczuła, że w tym wyznaniu posunęła się za daleko. Za wiele w nim ujawniła. Nie, nie wstydziła się, że to powiedziała. Jednak pierwszy raz powiedziała to na głos. Jakby próbowała mówić w obcym języku, niepewna, czy prawidłowo wymawia słowa. Prawie go znienawidziła za to, że ją do tego zmusił.

Zadziwiająco, jak dużo mężczyzna może osiągnąć milczeniem.

- Muszę zatem odrzucić pańskie oświadczenia. Choć jestem wdzięczna za... galanterię... przez pana okazaną.

- Proszę bardzo - odparł natychmiast.

Refleks cechował wszystkich Eversea. Wpatrywał się w jej twarz, ale myślami krążył gdzie indziej. Myślał o niej, ale nie o takiej, jaka była teraz. Myślał o dawnej Rozalindzie, tej sprzed lat. Twarz miał bez wyrazu. Prawdę mówiąc, nie wyglądał na zgnębionego. Jakby w ogóle nie słuchał, co ona mówi.

Zirytowała się.

- Nie powinien pan wyglądać tak, jakby poczuł pan ulgę.

- A wyglądam na takiego?

- Trochę.

Nie było to jednak najlepsze określenie jego wyglądu. Składała się nań mieszanina rozmaitych elementów, których nie potrafiła

precyzyjnie nazwać. Bez wątpienia jednak nie wyglądał na zaniepokojonego. Ani zgnębionego. No, może na nieco zaskoczonego.

Zastanawiała się przez moment, czy nie był zaskoczony tym, że się oświadczył. Ale on niczego nie czynił pochopnie, lekkomyślnie, bez zastanowienia. Stanowił przeciwieństwo własnego brata, uwodzącego hrabiny, wsadzanego za kraty, dopuszczającego się różnych niegodziwości, opisywanych w krążących masowo ulotkach. Wiedziała, że niejednokrotnie Chase musiał podejmować trudne, odważne, słuszne decyzje, i to w okamgnieniu. Skąd więc to zaskoczenie? Zagadkowa sprawa.

Spojrzała w jego znieruchomiałe, wbite w nią oczy. Oczy nieprzyzwoicie błękitne. Niczym gładka tafla jeziora odbijająca promienie słońca. Wystarczyło w nie spojrzeć, żeby poczuć skurcz serca, boleśnie rozkoszny.

- Za dwa tygodnie wyruszam do Indii - powiedział. Jakby prowadził zwykłą rozmowę.

Drgnęła, zdumiona.

- Będę tam służył jako oficer Kompanii Wschodnioindyjskiej. Przypuszczam, że to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić: służyć memu krajowi. Jestem do tego wręcz stworzony. Odpływam na „Śmiałku”.

A więc zniknie z jej życia równie szybko, jak się w nim powtórnie pojawił. Poczwała nagle ukłucie żalu. Potem zaś pogodziła się z tym, a ta zgoda graniczyła z głęboką ulgą.

- No cóż - odparła uprzejmie - nie chciałabym jechać do Indii. Kiwnął głową.

- Przypuszczam, że to rozstrzyga o wszystkim.

Jakby wszystko, co przedtem powiedziała, już o tym nie rozstrzygnęło. Spojrzał na herbatę i zmarszczył nieznacznie brwi, jakby się zastanawiał, czy w ogóle chce ją pić. Nie sięgnął po filiżankę.

Zapanowało dławiące milczenie. A gdy już stało się nie do wytrzymania, zaśmiała się krótko, byle tylko je przerwać. Chciała, by śmiech zabrzmiał naturalnie, bo sytuacja zaczynała być doprawdy niezręczna.

Nie doceniła jednak Chase'a. Gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał całkiem naturalnie. I, oczywiście, rozkazująco.

- Nie mogę pozwolić, żeby biegała pani z pistoletem przymocowanym do podwiązek.

Zjeżyła się, usłyszawszy to „nie mogę pozwolić”. Przypomniała sobie szybko jednak, że tak właśnie zwykł był mówić. Taki miał punkt widzenia. To on decydował, co jest ważne, a co złe. Był uosobieniem obowiązkowości, władzy i opiekuńczości. Nie było ważne, co do niej czuł, to się teraz nie liczyło. Liczyła się jedynie Lucy.

- Nie jestem tak głupia, by odrzucać zaofiarowane mi wsparcie i opiekę, Chase. Cenię sobie życie. Jeśli ktoś zamierza wyrządzić mi krzywdę, będę czuła się o wiele bezpieczniej, wiedząc, że pan mnie strzeże. Powinnam być panu wdzięczna za tę pomoc. Chciałabym wiedzieć, jak dorasta mój siostrzeniec. Chciałabym znów ujrzeć Lucy. Nie zniosę myśli, że mogę jej już więcej nie zobaczyć.



Milczał. Co się działo w jego umyśle? Czy powinna go o to spytać? Nie. W gruncie rzeczy wcale nie chce tego wiedzieć.

- Pani siostrzeniec ma blisko rok?

- Tak - odparła z zaskoczeniem.

- Wyrznął mu się ząb?

A więc pamiętał.

Zmrużył lekko oczy. Nie był to uśmiech, ale jednak coś zbliżonego do uśmiechu. A już sądziła, że on jej w ogóle nie słucha. Zaskoczona niespodziewanym odkryciem, została wytrącona z równowagi, zbyt pośpiesznie osiągniętej.

- Czy zechce pan porozmawiać z Kinkade'em zamiast mnie? Chase westchnął.

- On jest bardzo zajęтым człowiekiem, Rozalindo, i unika pani. Odpowiedział na pani list najlepiej, jak mógł. Proszę przemnożyć swoje pytania i dociekania dotyczące siostry przez tysiąc, a zrozumie pani, co on ogląda każdego dnia. Jeden błagalny list zaczyna być podobny do drugiego. W Londynie każdego miesiąca popełnia się setki, jeśli nie tysiące przestępstw, dużych i małych.

- Ale tu chodzi o moją siostrę - zaprotestowała. - Nieważne, czy jest porządną dziewczyną czy nie. To nie ma nic do rzeczy.

Obydwoje o tym wiedzieli.

Państwo funkcjonowało dzięki powiązaniom między ludźmi. Ludzie żyli i umierali, powodziło im się lepiej lub gorzej, rośli w siłę lub przegrywali - wszystko opierało się na sieci społecznych powiązań między nimi. Była żoną szanowanego pułkownika, ale on już nie żył,

a ona rozporządzała jedynie skromną rentą i nie miała żadnych koneksji rodzinnych.

Chciała w pełni wykorzystać jedną jedyną szansę - był nią Chase.

- Szczerze mówiąc, Chase... nie wiem, czy to pana zgorszy, czy nie... nie obchodzi mnie, czy ona w ogóle ukradła tę bransoletkę. Rozprawię się należycie z Lucy, kiedy ją odszukam.

Namyślał się, bębniąc rytmicznie dłonią o poręcz krzesła.

- Kinkade zrobi to dla pana, Chase. Dołoży starań, żeby ją znaleźć. Dla pana, jeśli nie chce dla mnie.

- Proszę mi powiedzieć, Rozalindo - spytał nagle - kto ją aresztował.

- Strażnik z Covent Garden. Sklep, gdzie Lucy... przymierzała bransoletkę, znajduje się w Covent Garden. Myślę, że wybrała się tam na spotkanie z przyjaciółmi, a potem chciała pójść do teatru, ale nie wiem, czy była sama. Nie powinna być sama.

Niewypowiedziane słowa brzmiały: „Ja powinnam być z nią”.

- Ona jest dorosłą kobietą, Rozalindo. Choć bardzo chcemy chronić nasze rodzeństwo, robi ono czasem rzeczy, wskutek których ląduje w więzieniu w Newgate.

Sarkastyczna uwaga w ustach mężczyzny, którego brat stał się narodową sensacją wskutek czynu, który jakoby miał popełnić. Chase wiedział z pierwszej ręki, jak wygląda wnętrze więzienia.

- A ten strażnik zaprowadził Lucy do sędziego pokoju?

- I zaraz potem znalazła się w więzieniu, bo tam ją właśnie później widziałam.

W dalszym ciągu bębnił dłonią o poręcz, zatopiony w myślach. Aż wreszcie nabrał tchu, odetchnął głęboko i kiwnął głową.

- Dobrze. Jutro porozmawiam z Kinkade'em o Lucy. Ale pani nie powinna iść tam ze mną. Chciałbym usłyszeć nagą prawdę, a on wyjawia ją tylko mnie, nie pani. Spotkam się z panią, gdy się czegoś w ogóle dowiem. Może też pani liczyć na pomoc i opiekę z mojej strony, jak się pani wyraziła, póki nie odpłynę do Indii.

Sposób, w jaki wydawał polecenia, zazwyczaj budził w niej chęć buntu.

- Dziękuję - odparła jednak z godnością i spokojem. - Będę panu za to nieskończenie wdzięczna.

A także za moje zniszczone podwiązki. Wciąż jeszcze bowiem trzymał je w ręku. Spojrzała na nie. Podążył za jej wzrokiem, lecz zamiast je zwrócić, schował podwiązki do kieszeni jednym stanowczym ruchem. Niczym wojenne trofeum.

- Może pani usłyszeć o siostrze coś, czego wolałaby pani nie wiedzieć.

- Zazwyczaj niełatwo mnie czymś zaskoczyć. Będę polegać na pańskiej niezrównanej dyskrecji i umiejętności prowadzenia przesłuchań.

- To mądre z pani strony - uznał.

Wstał raptem i wsparł się z całą siłą na lasce zakończonej pozlacaną, błyszczącą gałką z końskim łbem. Ona również wstała i wygładziła suknię, wypatrując na niej ukradkiem śladów po herbacie.

Odgarnęła pasemko włosów z policzka, do którego się przykleiły wraz z herbatą. Zastanawiała się, czy nie ma też herbaty na rzęsach.

Skłamała, mówiąc, że niełatwo ją zaskoczyć, skoro on ją dziś właśnie zaskoczył i to kompletnie. Szukała rozpaczliwie jakichkolwiek słów, niczym rozbitek desek z wraku.

Pragnąć kogoś - przekonała się, że właśnie tego kogoś rozpaczliwie pragnie - a uzależnić się od tego kogoś na resztę życia to dwie całkiem różne sprawy. Bała się w istocie i jednego, i drugiego. Dużo łatwiej było nie pragnąć ani się nie uzależnić.

Była więc zadowolona, że on wyjeżdża do Indii.

Włożył kapelusz na głowę i znów się do niej odwrócił. Oczy jego, nad śnieżnobiałym halsztukiem, były nadal nieodgadnione, usta zaciśnięte w cienką linię. Zachowywał się o wiele spokojniej, niż się spodziewała, zważywszy na to, że odrzuciła jego ofertę małżeńską. Twarz miał starannie ogoloną. Był opanowany, godny zaufania, silny.

Spojrzał na nią przelotnie, w zamyśleniu. Obawiała się, że powie coś na temat rekuzy, i modliła się w duchu, żeby tego nie zrobił, bo znów znalazłaby się w niezręcznej sytuacji. A jednak zaskoczył ją ponownie: delikatnie powiódł palcem po przegapionym przez nią pasemku włosów, które przylgnęło do ust.

Spojrzała w błękitne oczy, które tak ją zniewalały, a on ostrożnie, powoli, dwoma palcami uniósł pasemko znad jej warg. A wtedy wszystkie cząstki jej ciała zapłonęły jak żyrandol w sali balowej Callenderów. Chase zaś przeciągnął pasemko na całej jego długości

między kciukiem a palcem wskazującym i starannie, z uwagą, wsunął je pomiędzy włosy okalające jej twarz.

Przyjrzał się mu, jakby chcąc się upewnić, że znalazło się we właściwym miejscu. I uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

Dotknął tylko włosów. A jej nagle zabrakło tchu, tak bardzo go zapragnęła.

- Postaram się jakoś przetrwać to rozczarowanie, Rozalindo - powiedział cicho.

Chciałaby wiedzieć, czy zabarwiona rozbawieniem ironia w jego głosie odnosiła się do niej, czy do niego.

Uklonił się i odszedł.

## 10

Chase spał bardzo źle. Przez całą noc dręczył go ból, co jakiś czas przeszywający przestreloną nogę, a różne myśli oraz plany przesuwały się bez końca w głowie niczym szeregi żołnierzy ruszających do bitwy. Gdy się zbudził, czuł się jak po nocy spędzonej na hulance, ale bez żadnych przyjemnych wspomnień.

Dopiero po dłuższej chwili, wraz z odzyskaniem przytomności wróciła mu pamięć. Ponownie opadł ciężko na łóżko, jak człowiek śmiertelnie ugodzony. Podobnie się czuł lata temu, gdy pocałował Rozalindę March. Z goryczą doszedł do wniosku, że ta kobieta tylko po to przyszła na świat, by mu przysparzać upokorzeń.

Znów jednak, jak zawsze, gdy tracił chęć do życia, zdołał przezwyciężyć fatalny nastrój.

Nadal też obwiniął o wszystko Colina. Gdy brat powiedział: „Powinieneś się ożenić, Chase”, nie przyszło mu do głowy, że Chase może dostać kosza. I to właśnie wtedy, gdy Chase sam uznał, że istotnie powinien się ożenić. Colin mówił to takim tonem, jakby chodziło o coś, co może zrobić każdy. Jakby stwierdził: „Powinieneś pojechać do Brighton”.

Czemuż, do licha, oświadczył się wczorajszego wieczoru? Nigdy przecież nie działał impulsywnie. Wszystkie jego decyzje były przemyślane. Zawsze rozumował prawidłowo, zdając się przy tym na instynkt, co nieodmiennie okazywało się słuszne.

Właśnie dlatego niesłuchanie go zaskoczyło, że dostał kosza.

Oświadczyły, podpowiedział mu instynkt. Ale do czego miał tym razem jego instynkt poprowadzić? Ratować Rozalindę przed nią samą? Uwolnić go od poczucia winy za nieogłędny czyn popełniony przed laty? A może zapewnić na zawsze obecność Rozalindy w jego łóżku?

Nic z tego, wzięte osobno, nie było całkowitą prawdą. Chase westchnął. Rozalinda chciała sama decydować o sobie. O tym, czego pragnie.

Wydawało się to całkiem rozsądne.

Przecież w tej chwili i on, szczerze mówiąc, rozważał, czego by sam pragnął. Dlaczego Rozalinda nie miałaby pragnąć tego samego? No właśnie. Dlaczego? Gdy słuchał jej wyznań, desperacko pragnął, by uzyskała to, czego pragnęła.

I, oczywiście, nie on był jej pragnieniem.

To zaś bynajmniej nie było tym, czego on pragnął.

Chociaż najwyraźniej pragnęło go jej ciało. Był tego pewien. Może, wsłuchawszy się w podszepty własnego ciała, Rozalinda przekona się, że właśnie on jest tym, kogo pragnie.

Jego ciało miało natomiast całkowitą pewność, że jej pragnie. Bardziej niż następnego oddechu. Ponad wszystko zaś Chase pragnął, by Rozalinda była bezpieczna i szczęśliwa do końca swych dni.

Uderzyło go, że jest to najbardziej bezinteresowne pragnienie, jakie mógł żywić, i że - o dziwo - mogłoby się nie spełnić. On zaś, jak dotąd, zawsze osiągał to, czego pragnął.

Obudził się zatem ze splątanymi myślami, z pożądaniem, które nie znalazło ujścia, i z niedowierzaniem, że, na Boga, złożył jej propozycję małżeństwa. Jednak, zgodnie z daną Rozalindzie obietnicą, wysłał jeszcze zeszłego wieczoru list do Kinkade'a z prośbą o spotkanie z nim rano. Rozalinda tego właśnie od niego oczekiwała.

Kinkade bezzwłocznie mu odpowiedział - ten człowiek chyba nigdy nie sypiał - i umówił się z nim w pubie na skraju Covent Garden. Bez wątpienia Kinkade zamierzał tam spędzić dzień z jakąś aktoreczką mieszkającą nad tym przybytkiem, więc żeby się spotkać z Chase'em, wystarczy mu zejść po schodach.

W głowie Chase'a roiło się od sprzecznych myśli. Wiedział, że czekają go zawile i trudne zadania. Za którymi zresztą przepadał. Mimo rozczarowania i frustracji, od lat nie czuł w sobie takiej woli działania. Zszedł na dół wcześniej niż zwykle i całkowicie trzeźwy, czym zdumiał służące.

Gdy zasiadł do śniadania, czekała już na niego odpowiedź od siostry, Genevieve, dostarczona przez niezwykle szybkiego posłańca.

*Drogi Chase,*

*dziękuję Ci za wylewny list. Typowy dla Ciebie. Przysłany przez posłańca, więc nieco alarmujący, ale tylko mnie, bo nasza mama przywykła do nagłych próśb ze strony rodziny. Cieszę się, że Cię zainteresowała sztuka. Obraz, sądząc z opisu, wydaje się obrzydliwy.*

*Nigdy nie słyszałam o żadnym malarzu zwanym Rubinetto i nie przypominam sobie, by akurat ten obraz znajdował się w zbiorach Montmorency Museum. Są tam różne, bardziej godne uwagi malowidła. Poproś kogoś innego, żeby Ci przetłumaczył z włoskiego słowo Rubinetto, bo wstydzę się napisać je po angielsku w liście. Może zresztą już wiesz, co ono znaczy? Może chciałeś sobie ze mnie tylko zażartować? Czy nasz kuzyn pastor jest przystojny? To bardzo ważne. Nie wracaj, póki się z nim nie zobaczysz.*

*Twoja kochająca siostra Genevieve*

Mimo że został wygnany z domu, Chase zdobył się na uśmiech.

Z dwóch jego siostr Olivia była tą dumną, a Genevieve tą łagodną, ale czasami podejrzewał, że dumna bardzo z tego powodu cierpi, łagodna zaś chętnie by się przeobraziła w dumną.

*Rubinetto*, o czym wiedział, znaczyło „fiut”.

Wlał w siebie prawie cały dzbanek mocnej kawy, a potem wyszedł z domu. Sądził, że świeże powietrze nieco go orzeźwi, ale na zewnątrz było duszno niczym pod kołdrą. Nie poprawiło mu to nastroju. Ubranie będzie mu się lepić do ciała, nim dotrze do



Kinkade'a. Powinien włożyć świeżą koszulę przed spotkaniem z Rozalindą.

Chciał strząsnąć z siebie cały świat jak przepoconą kołdrę. Szedł jednak dalej. Szybko, prawie nie utykając. Ale skoro kierował się ku Covent Garden, musiał jeszcze raz minąć obskurny skwer za Montmorency Museum. To mu do końca popsło humor.

Stał tam bowiem teraz teatrzyk kukiełkowy. Chase zwolnił kroku, jak ktoś, kto chciałby się przyjrzeć wypadkowi ulicznemu i porozrzucanym wokół ciałom.

Punch nie zamierzał się teraz na Judy. To było coś bardziej wyszukanego. Obydwie marionetki wykonywały niezdarne, pełen podrygów taniec, trzymając się za ręce i zgodnie wymachując nogami. Ich animator był niewątpliwie utalentowany. Gdyby nie jego umiejętności, ów taniec zamieniłby się w bezładną płataninę rąk i nóg, co zresztą Chase'a ani trochę nie obchodziło. Zdumiewało go, że ktoś w ogóle może chcieć być lalkarzem.

Stłumił dreszcz wstrętu i miał już zawrócić, gdy - o Boże! - że też musiał usłyszeć te słowa śpiewane okropnym, piskliwym głosem marionetek!

*Słuchajcie, ludziska, Nigdy nie ujrzycie, Jak Colin Eversea Będzie tracił życie. Chodźcie no tu, chłopcy, To się przekonacie, Że on wcale nie zadynda, Boście mieli rację.*

*A teraz wszyscy razem! Śpiewamy! Słuchajcie, ludziska...* I wszyscy gapie posłusznie zaintonowali piosenkę. Chase walczył z

chęcią zatkania sobie uszu i trochę zbyt gwałtownym ruchem nasunął kapelusz głębiej na oczy. O Boże, czy to się nigdy nie skończy?

Owszem, ta melodia naprawdę łatwo wpadała w ucho. Gdy Colin siedział w więzieniu i zarysowała się możliwość jego uwolnienia, Chase wraz z braćmi ułożyli własny tekst, w którym wysławiali przede wszystkim jego męski wigor, tężyznę, inteligencję. I tym podobne rzeczy. W całej Anglii wykonawcy uważali zapewne, że szkoda marnować taką dobrą melodię tylko dlatego, że Colina w końcu nie powieszono, i zaczęli wymyślać różne własne wersje tekstu.

Chase ze zgrozą zaczął się zastanawiać, ile ich jeszcze powstanie za życia Colina.

W tej chwili mógł słuchać jednej z nich: *Nigdy już nie zobaczycie, Jak ten huncwot traci życie, Bo zadyndać mu nie dano! O nie! Hej, śpiewajcie ze mną wspólnie!*

Rozradowany tłum oklaskiwał piosenkę, marionetki zaś kłaniały się i dygały na swój wstrętny, koślawy sposób, mrugając oczami o drewnianych powiekach i zamazyście klepiąc się drewnianymi rękami po drewnianych brzuchach podczas ukłonów.

Chase chciał jak najprędzej przedostać się przez tę ciżbę i zrobił dwa energiczne kroki w nadziei, że ludzie rozstąpią się przed jego rosnącą postacią. Niespodziewanie zaczął jednak wśród nich krążyć z rąk do rąk kapelusz, niewątpliwie puszczony w obieg przez kogoś spoza sceny. Sypały się do niego z brzękiem monety przy wtórze śmiechów i okrzyków.

Chase utknął w tłumie i nie mógł się ruszyć.

Niczym na polu bitwy, rozglądał się wokoło, chcąc znaleźć najlepszy sposób utorowania sobie drogi, i już się zastanawiał, czy na początek nie dziabnąć laską w nogę stojącego tuż obok mężczyznę, gdy marionetki piskliwymi głosami zaczęły śpiewać następną piosenkę.

Jakby mu przejechały pazurzastymi paluchami po grzbiecie. Nie mógł się powstrzymać od spojrzenia przez ramię i ujrzał, że piosence towarzyszył tym razem wesoły taniec. Obydwie marionetki to się w nim ku sobie zbliżały, to znów oddalały od siebie.

*Kotek na skrzypczkach gra, Krowa wprost na księżyc gna!  
Hopsa! Pieska to okropnie śmieszny, Talerz z łyżką za nią spieszy.*

Czyżby ta bzdurna dziecinna rymowanka mówiła o jakiejś dawnej intrydze na dworze Tudorów? Doprawdy, nietrudno jest zabawić plebs.

Znów usiłował ruszyć z miejsca, ale wciąż tkwił zaklinowany w tłumie. Obrócił ramię, w nadziei, że uda mu się prześlizgnąć przez cizbę bokiem, ale jakiś gruby jegomość wcisnął się brzuchem w wywalczoną przez Chase'a przestrzeń.

Nad sceną zawisł nagle poślaczany półksiężyc, wirując wokół własnej osi. Zalśnił w słońcu niczym wygięte ostrze miecza. W ślad za nim zjechało na drutach aż pięć srebrnych gwiazd - bęc! bęc! bęc! bęc! bęc! - a potem, oczywiście, krowa. To wielkie, brzuchate stworzenie o poczciwym wyglądzie także było marionetką, a lalkarz, który pociągał za sznurki, kazał jej skakać przez półksiężyc.

Chase rozpaczliwie przepychał się między ludźmi, chcąc się spośród nich wydostać, nim talerz i łyżka dołączą do krowy.

Z wysiłkiem wcisnął się między dwie korpulentne niewiasty i tęgiego mężczyznę w granatowym płaszczu, ale oni niemalże wrosli w ziemię, zafascynowani przedstawieniem, i nie zwracali żadnej uwagi na jedyną osobę w tłumie, która chciała się od sceny oddalić. Choć było to z jego strony czymś niestosownym, opuścił laskę i -lekko, ale ostrzegawczo - dźgnął mężczyznę w nogę, ale ten ani nie drgnął.

Wreszcie Chase brutalnie, rozpychając się łokciami i używając laski, zdołał wydostać się z tłumy akurat w chwili, gdy zaczynała się kolejna zwrotka:

*Kotek na skrzypeczkach gra, Krowa po niebiosach gna, Anioł jej na harfie przygrywa. Lordowie się zaśmiewają, Dziewki na grzbiet przewracają, Pod półksiężycem. Każdy z nich zbytkuje.*

Chase zeszywniał. Bardzo niechętnie, bardzo powoli zawrócił ku teatrzykowi. Włosy zjeżyły mu się na karku. Nasunął kapelusz jeszcze bardziej na oczy, żeby nie raziło go słońce, i zaczął się przyglądać scenie.

Tłum pękał ze śmiechu i bił brawo, zachwycony nową piosenką.

Wreszcie oklaski zamilkły, a ścisk zelżał, bo ludzie zaczęli się rozchodzić, nadal rozbawieni. Niektórzy podśpiewywali sobie pod nosem.

Wreszcie na skwerze pozostali tylko Chase i marionetki. Mógł się teraz dokładnie przyjrzeć teatrzykowi z niewielkiej odległości.

Lalki nadal tkwiły na scenie, jedna obok drugiej, jakby jakaś szczególna lalczyzna solidarność zjednoczyła je przeciw roslemu mężczyźnie z krwi i kości, który na nie patrzył. Choć wietrzyk poruszał lekko suknią marionetki-kobiety, obie stały bez ruchu, co oznaczało, że dzieje się tak z woli tego, kto pociągał za sznurki. W przeciwnym razie wiatr poruszałby też ich wątłymi kończynami, a kukły zaczęłyby kołysać się w upiorny sposób, niczym złoczyńcy na szubienicy. Spod topornych drewnianych powiek okolonych szczeciniastymi rzęsami dwie pary wielkich turkusowych oczu spoglądały wprost na Chase'a.

Obserwował lalki uważnie. Przypatrywał się wszystkim szczegółom, usiłując powściągnąć dreszcz obrzydzenia. Męska marionetka miała zakrzywiony nos, ogromny niczym wiosło, który niemal stykał się z wystającą brodą, co razem tworzyło zarys półksiężyca. Była to świadoma deformacja, ani trochę nie zabawna, tak przynajmniej uważał.

Obie marionetki miały powierzchnię twarzy gładką, wypolerowaną, z lekkim połyskiem, a ich rzeźbione rysy były przesadną karykaturą ludzkich, z wydatnymi szczękami i wyłupiastymi oczami. Pomalowano im twarze na jaskrawe kolory. Okrągłe policzki jarzyły się szkarłatem, podobnie jak wydatne wargi, a w samym środku olbrzymich turkusowych oczu umieszczono czarne źrenice. Jasnożółte włosy żeńskiej marionetki, sporządzone z cienkiej, być może jedwabnej przędzy, piętrzyły się na głowie lalki, tworząc fryzurę, która zapewne zyskałaby uznanie Genevieve, bo nigdy się jej

nie udawało ułożyć własnych włosów w ten właśnie sposób. Żadna z marionetek nie mrugała teraz powiekami.

Przez dobre pół minuty Chase wpatrywał się w nie bacznie, jakby miał przed sobą parę nieprzyjacielskich szpiegów. Coraz wyraźniej czuł, że jeżą mu się włosy na karku, tak jakby muskały go tam szczeciniaste rzęsy lalek. Brr! Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, postukując po bruku laską. Przysięgłby, że marionetki patrzą mu na plecy swoimi drewnianymi oczami.

*Krowa wprost na księżyc gna.* Z pewnością była to nędzna imitacja jakiejś dziecinnej rymowanki. Chase nie miał jednak dzieci, nie znał więc ani jednej.

Skąd się w niej wzięły krowy? - pomyślał. Krowa wybrała się na księżyc już w pierwszej zwrotce piosenki, którą wszyscy najwidoczniej znali. Nic dziwnego, że pojawiła się też w zwrotce następnej. *Anioł jej na harfie przygrywa.*

Anioły zaś...

No cóż, anioły były po prostu wszędzie i we wszystkim. Na gzymsach kominków, na karniszach, w hymnach kościelnych, na obrusach przykrywających ołtarze, na witrażach.

Na obrazach. W burdelach.

*Pod półksiężycem.*

Półksiężyc był namalowany na obrazie Rubinetta.

Wszystko to było na ohydny bohomazie w Montmorency Museum! Na malowidle, które rzekomo podarował muzeum Kinkade.

Na obrazie, który zafascynował Rozalindę. *Lordowie się zaśmiewają, Dziewki na grzbiet przewracają.*

Oczami wyobraźni ujrzał odrażające sceny. Może dlatego, że śpiewały o tym marionetki? Tłum widzów z pewnością odbierał to przedstawienie inaczej. Ale ci ludzie nie widzieli tego, co on wcześniej widział.

Chase zrównał się z tęgawym mężczyzną, który idąc, wycierał jabłko o brudną koszulę. Rozpoznał w nim jednego z widzów. Mężczyzna przystanął i powoli rozdziawił usta, by ugryźć owoc.

- Całkiem niezłe te kukły, prawda? - zagadnął Chase.

Nieznajomy, zaskoczony, kłapnął szczękami i zadarł głowę, żeby zobaczyć, kto do niego mówi. Ujrzał przyglądającego mu się wysokiego nieznajomego. Uśmiechnął się do niego jowialnie. Zapewne w drodze wyjątku, osądził Chase, lecz widocznie marionetki wprawiły grubasa w dobry humor.

Wskazał kciukiem za siebie, nie odwracając jednak głowy ku teatrzykowi.

- Widział pan te lalki? Pierwszorzędna zabawa, co? A słyszałeś pan ten kawałek o Colinie Eversea? - Nabrał powietrza w płuca i, zanim Chase zdążył odpowiedzieć, beklwym głosem zaintonował wesoło: *Słuchajcie, ludziska, Nigdy nie ujrzycie...*

- Słyszałem! Doskonale!

Mężczyzna zamrugał zdumiony jego tonem. Chase odchrząknął. Wcale nie zamierzał wypowiedzieć tych słów tak ostro.

- Owszem, słyszałem to już - powtórzył szybko, tym razem, miał nadzieję, uprzejmiejszym tonem. - Wszyscy to przecież śpiewają! Zatrzymałem się, żeby popatrzeć na kukielki, bo usłyszałem tę piosenkę. To jedna z moich ulubionych.

Z pewnością zatrzymał się właśnie z jej powodu. Zacznie się nad tym faktem zastanawiać później, w samotności. Czyżby Rozalinda odebrała mu rozsądek?

- Mieli go już wieszać, tego Eversea, a teatrzyk kukielkowy zrobił z tego całe przedstawienie. Był tam taki mały szafot i huśtała się na nim pętla z powroza...

- Rzeczywiście, bardzo to musiało być pomysłowe - przerwał mu pospiesznie Chase. Piosenka upamiętniająca te wydarzenia to jedno, ale pantomima wyobrażająca niedoszłą egzekucję Colina to drugie, i bynajmniej niezabawne. - Szkoda, że tego nie widziałem. Czy często tu śpiewają o Colinie Eversea? Te kukielki?

- Jeszczem tego do dziś tutaj nie słyszał. Ale on już wolny, bo nic złego nie zrobił, no pomyśl pan sobie! Ciekaw jestem, gdzie on teraz może być?

- Ja także. Wiadomo panu może coś o tym lalkarzu?

Mężczyzna wzruszył ramionami, a potem niecierpliwie uniósł jabłko do ust i jednym kęsem odgryzł całą połowę. Następne słowa stłumił odgłos energicznego żucia, a sok z jabłka prysnął na Chase'a.

- Nie. Ja tylko patrzę, a później daję pensa, jak go akurat mam. Bo potem idzie w ruch ten kapelusz.



Nieznajomy wyciągnął do Chase'a dłoń z pozostałą połową jabłka i pytająco uniósł brwi. Chase pokręcił odmownie głową. Chase zobaczył z ulgą, że mężczyzna przełknął resztę owocu.

- Czy ten lalkarz często tu bywa?

- Ze dwa, trzy razy na tydzień, przy ładnej pogodzie. - Tu mężczyzna uśmiechnął się z zadowoleniem do słońca nad ich głowami. Pożyteczna informacja.

- Dziękuję, panie...

- Martin jestem. Może się jeszcze kiedy zobaczymy?

- A ja... Charles. Przyjdę tu jutro, jeśli pogoda dopisze.

- Świetnie. - Martin najwyraźniej ucieszył się, że spotkał drugiego wielbiciela marionetek, i rozstali się uprzejmie, wymieniając ukłony. Martin hałaśliwie pogwizdywał melodię piosenki o bracie Chase'a, a Chase wiedział, że jemu samemu będzie ona natrętnie dzwoniła w uszach przez resztę dnia.

Colin ubawiłby się setnie.

Stukot obcasów buciorów Martina ustał, gdy mężczyzna zatrzymał się przed Mumford Arms. Wkroczył tam akurat wtedy, gdy ktoś opuszczał ów przybytek. Ktoś, kto - sądząc po chodzie i po tym, jak się zatoczył niczym krzywe koło od wozu, wymachując niezdarnie rękami, nim wylądował na ziemi - musiał tam spędzić cały ranek.

Chase po raz ostatni obejrzał się za siebie.

Na pustym skwerze nie było już śladu po teatrzyku. Tylko czarny kot przemknął chyłkiem\ wzduż jednego z nędznych domostw i

prześlizgnął się między beczkami z deszczówką, jakby dla samej satysfakcji z udowodnienia, że jest na tyle chudy, by mu się to udało.

## 11

Śmiertelny Całun to złowieszczo brzmiąca nazwa pubu, uznał Chase, ale jeśli podawano tam mocne trunki, pub mógłby się zwać nawet Diabelskim Tyłkiem, bo i tak było mu to obojętne. Roilo się w nim od ambitnych aktoreczek i baletnic z opery, a także mężczyzn, którzy mieli dosyć pieniędzy, żeby je na nie wydawać. Można tam było śmiało zrezygnować z połowy krzeseł, bo kobiety, jak się zdawało, wolały siedzieć mężczyznom na kolanach.

Kinkade stał w głębi, przy pustym stoliku, jakby go pilnował. Zapewne dlatego, że nie widział się z Chase'em od dawna, nie siedział z żadną aktorką na kolanach. Chase poczuł się tym prawie wzruszony.

- Nadal tańczysz mimo zranionej nogi, Eversea? - powitał go Kinkade, gdy ujrzał, że Chase zmierza ku niemu.

- Nadal patrzysz w lustro, mimo że ci to sprawia przykrość, Kinkade?

I w ten sposób, ku obopólnemu zadowoleniu, odnowili bliską znajomość.

- Siadaj. - Kinkade pchnął ku niemu krzesło.

O satysfakcjach doznanych poprzedniej nocy świadczyły worki pod oczami Kinkade'a i jego poszarzała cera. Niewątpliwie spędził ją, jak przypuszczał Chase, na porządnej rozpuście. Nieważne, że pierwsze słowo przeczyło drugiemu.

Chase siadł na krzesło, Kinkade nadal stał. Blizny z tyłu ciała, pamiątka po wojnie, stawały się bardzo dokuczliwe, gdy zbyt długo zajmował pozycję siedzącą. Poza tym uważał, że stojąc, wydaje się kobietom atrakcyjniejszy.

- Jakże ci poszło po tym przeniesieniu, Eversea?

- Zaskakująco dobrze. - Nie było to całkowite kłamstwo.

- Zdradzisz mi nazwisko tej kobiety?

- Nie zamierzam jej zdradzać, pod żadnym względem - odparł enigmatycznie Chase.

Również i to nie było całkowitym kłamstwem. Zastukał otwartą dłonią w stół i barmanka, która zdawała się mieć bardziej obfity biust niż każda inna, podeszła ku nim.

- Piwo, skarbie - zadysponował. - Ciemne.

Zatęsknił przez moment za napitkiem serwowanym w pubie Pod Świnką i Ostem. Może w Śmiertelnym Całunie podają coś zdatnego do wypicia?

Kinkade z obrzydzeniem wachał cygaro.

- Ohyda. Prezent od przyjaciela, ale podejrzewam, że dał mi te cygara, żeby się ich pozbyć, a nie ze szczerej przyjaźni. Przypominają mi pułkownika Marcha. Pamiętasz ten tytoń, który on uparcie palił? Szczególny gust. Mogłeś po tej woni poznać go z daleka. Chase pamiętał aż za dobrze.

- Owszem, przypominam sobie. Nie udało mi się go jednak namówić na żaden inny tytoń. March miał stałe upodobania. Porządny był z niego facet.

Płytki banał, ale banały są skuteczną metodą, żeby się pozbyć poczucia winy, gdy ono kogoś nęka, i mogą zapobiec zapędzaniu się zbyt daleko w rozmowie.

- A jeśli już mówimy o tamtych czasach, Kinkade - ciągnął gładko Chase - słyszałem o Lucy Locke. Czy to prawda, że ją aresztowano? Podobno chodzi o jakiś nieszczęśliwy incydent z bransoletką? Sądziłem, że coś o tym wiesz, skoro pracujesz w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Kinkade zapalał cygaro, odwrócony do niego plecami. Wciąż był szczupły: mimo stylu życia polegającego na piciu morza alkoholu i jedzeniu do przesyty, ubranie leżało na nim jak ulał. Miał co prawda spojrzenie rozpustnika, ale zaczynał już być za stary na hulakę. Za rok lub dwa jego godność na tym ucierpiałyby. Chase z zaskoczeniem zauważył, że włosy na głowie przyjaciela zaczynają rzednąć. Między jasnymi kosmykami przeświecała skóra.

Kinkade odwrócił się ku niemu, zamyślony. Wypuścił z ust kółko dymu.

- Żenująca historia. Nic tu nie mogę poradzić.

- Naprawdę?

- Ano widzisz stary, Lucy Locke popełniła już wcześniej kradzież i przyłapałem ją na tym. Błagała mnie, żebym nikomu nic nie mówił. Bardzo to było kłopotliwe, skoro okradła gospodynię przyjęcia, na którym wówczas byliśmy.

Przygnębiona wiadomość.

- Co takiego ukradła?

- Pewien osobisty drobiazg. Postarała się o zaproszenie na przyjęcie u Burke'ow. Przy Washington Square, znasz to miejsce. Duże przyjęcie. Lucy została wprowadzona do towarzystwa przez Delilah Moreton, która lubi się otaczać dziewczętami równie ładnymi, jak ona, i nie zwraca uwagi na to, czy mają rozum. Kwestia estetyki, sądzę. Zaskoczyłem Lucy w prywatnych apartamentach lady Burke: miała w ręku coś, co wzięła z nocnego stolika. Okazało się, że to grzebień. - Kinkade wskazał na własne włosy, jakby wymagało to bliższych wyjaśnień.

- Coś, czego ty chyba za jakiś rok nie będziesz już potrzebował?

- Trafna uwaga, stary! - Kinkade był zachwycony. - Męska przypadłość! A ja jestem męski! Im mniej ma się na głowie, tym mocniejszym jest się na dole. To dowiedzione. Był to grzebień, jakiego damy używają do upinania włosów. Kosztowny drobiazg. Z kości słoniowej.

- A co ty sam robiłeś w apartamentach lady Burke?

Chase znał lady Burke. Czasami zapominała wyrwać włoski z pieprzyka na podbródku, lecz skądinąd była kobietą wcale atrakcyjną, a także ciętą i inteligentną rozmówczynią, co czyniło owłosiony pieprzyk jeszcze bardziej zaskakującym. Kinkade się zawahał.

- Być może szukałem Lucy - przyznał. - Apetyczna dzierlatka, nie możesz zaprzeczyć, Eversea. I chyba nie zaprzeczysz. Po obiedzie zobaczyłem, że Lucy wślizgnęła się ukradkiem na schody. A ja, widzisz, miałem trochę w czubie. Może zresztą więcej niż trochę. Widziałem, że idzie na górę. Chwilę później, przyznam, uległem

niegodnej dżentelmena pokusie i poszedłem za nią. Myślałem, że...  
och, że skradnę jej tylko całusa, gdy będziemy sam na sam.

- Całkiem to do ciebie niepodobne.

Przyniesiono piwo Chase'a. Wcisnął monetę w dłoń barmanki, a dziewczyna mrugnęła do niego.

- No, rzeczywiście! - Kinkade zgodził się z nim, uśmiechając się drwiąco. - Na ogół folguję moim zwierzęcym impulsom tylko wtedy...  
gdy im mogę folgować.

- Znakomicie skonstruowana sentencja.

- Dziękuję.

- Czy Lucy poszła na górę, żeby kraść?

Lucy Locke była osobką trzpiotowatą i lekkomyślną, ale, jego zdaniem, nie złodziejką. Skosztował piwa i się skrzywił. Paskudne.

- Nie mam pewności. Myślę, że chciała się rozejrzeć. Zawsze ją ciekawiło, jak żyją ci bogaci, biedna mała. Gdyby nie uroda, nigdy by jej nie zapraszano do takich domów, a nie miała na tyle rozumu, żeby zręcznie wykorzystać atrakcyjny wygląd. W przeciwieństwie do starszej siostry, której udało się wyjść za pułkownika i zawrócić w głowie całemu regimentowi, ale też umiała ona trzymać nas wszystkich na dystans, prawda? Gdy Lucy zobaczyła grzebień, bez wątplenia nie potrafiła się oprzeć chęci przywłaszczenia go, bo nigdy nie byłoby jej stać na kupno takiego cacka. Grzebień był na tyle nieduży, że można go było wsunąć za stanik, i właśnie to zrobiła. Ale ja podejrzewam, że ma już ten nawyk... to znaczy nawyk kradzieży. Trochę kłopotliwy, jeśli się nie jest arystokratką. - Cyniczna uwaga. -

To znaczy, jeśli cię przyłapią. A Lucy miała też długi karciane. Zapewne rozglądała się za czymś, co można by oddać w zastaw.

Chase'owi nie uśmiechała się perspektywa powtórzenia Rozalindzie tego, co tu usłyszał.

- Co zrobiłeś?

- Powiedziałem, żeby odłożyła na miejsce to, co wzięła, a ona zapewniła sobie moją dyskrecję, pozwalając mi wyjąć grzebień z za stanika. Wepchnęła go całkiem głęboko. Nie spieszyłem się, kiedy to robiłem.

Czy Kinkade mówił poważnie?

- To była twoja propozycja czy jej?

- Czyżbym poczuł zapach prawości, Eversea? - Kinkade pociągnął nosem.

- To śmierdzi twoje cygaro, Kinkade.

- Rzeczywiście, śmierdzi. No cóż, to była moja propozycja. Nie jestem w ciemni bity. Szybko myślę, a ona była zbyt przerażona, żeby w ogóle myśleć.

Kinkade wydawał się bardzo zadowolony z siebie, zbyt zadowolony.

Chase poczuł, że przejął go dreszcz. Uczucie dotąd mu nieznanne i niełatwe do określenia. Obraz przerażonej Lucy Locke, może i trzpiotki, pozwalającej Kinkade'owi dobierać się do stanika, nie rozbawił go. Przeciwnie, wzbudził odrazę. To było wykorzystanie sytuacji, a nie flirt.

Zaczął się zastanawiać, czy się już czasem nie starzeje.

Znów upił trochę piwa. I znów wydało mu się okropne.

- Czy wiesz, gdzie teraz jest Lucy? Rozalinda March powiedziała mi, że dziewczyna zniknęła. Coś podobnego! Nie wyobrażam sobie, żeby można było wyjść z Newgate, nie zwracając niczyjej uwagi.

- To dziwne, że zdaniem siostry ona w ogóle tam była, stary. W Newgate nie ma jej w żadnych spisach. Zapewniam cię, że o to pytałem. Nie znalazłem nikogo, kto by twierdził, że ją tam widział.

Nieoczekiwana nowina!

- Ależ pani March mówi, że odwiedziła siostrę w więzieniu. I że była to nieprzyjemna wizyta.

- Tak też napisała w liście do mnie. Żadna wizyta w Newgate nie jest przyjemna. Tylko że, Eversea, zamyka się tam całe setki przestępców. Również kobiety. Więźniowie tam umierają, a wtedy od razu polewa się ich zwłoki niegaszonym wapnem. Całe więzienie nim śmierdzi. No cóż, spędziłeś trochę czasu w tym zapomnianym przez Boga miejscu dzięki Colinowi, więc wiesz, jak tam jest. Mogli ją zarejestrować pod niewłaściwym nazwiskiem. Mogli ją gdzieś przenieść przez pomyłkę. Mogła się przez jakieś niedopatrzienie znaleźć na statku transportującym zesłańców do Australii. Jeden z nich odpłynął do Botany Bay dwa dni temu. A prócz tego są też więzienia na starych okrętach. Umieszcza się w nich czasem kobiety oczekujące na zsyłkę. Taki już los więźniów. Pomyłki zdarzały się wcześniej, choć to istny cud, że tak rzadko. To jakiś godny ubolewania incydent, zapewniam cię, no, ale w końcu chodzi o jawną kradzież.



Chase słuchał tego jakby uszami Rozalindy i relacja Kinkade'a wydała mu się szokująco bezlitosna. Gdyby ktoś tak rzeczowo wyjaśniał mu zniknięcie jednej z jego sióstr, Chase wpadłby w furję. Rozumiał jednak punkt widzenia Kinkade'a. Mimo wszystko.

- Lucy Locke jest twoją dobrą znajomą, Kinkade - stwierdził spokojnie.

Chwila ciszy. Kinkade przypatrywał mu się bez emocji.

- Kogo można nazwać dobrą znajomą, Eversea?

Kinkade rzucił pytanie od niechcienia, lecz w jego głosie Chase wyczuł napięcie. W słowach kryła się subtelna niejednoznaczność. Chase z doświadczenia wiedział, że Kinkade jest zaprzeczeniem subtelności.

- No, dobrze. Twoją znajomą.

- Mam dużo znajomych, w tym dużo bardzo ładnych, ale tylko ją jedną zatrzymano z powodu kradzieży. Choć nie jestem może szczególnie lojalny, próbowałem się dowiedzieć, gdzie teraz może przebywać, ale nie wiem, czy w inny sposób mógłbym pomóc Lucy. Jak w ogóle się o niej dowiedziałeś od pani March?

- Zupełnie przypadkowo spotkałem panią March tu, w Londynie, i spytałem o zdrowie siostry.

Nie było to całkowitym kłamstwem. Kinkade milczał przez chwilę.

- A co z drugą siostrą?

- Ma męża i dziecko.

- Moje gratulacje - rzekł Kinkade, dziwnie nieobecny duchem.

Zaciągnął się chciwie cygarem, jakby uważał, że im mocniej będzie ono dymić, tym lepszy stanie się jego smak.

- Czy nadal wygląda tak atrakcyjnie? - spytał po chwili w zamyśleniu. - To znaczy... pani March?

- Bynajmniej nie zbrzydła. - Chase nie życzył sobie, by Rozalinda stała się tematem tej rozmowy.

- Rozalinda March... - mruknął Kinkade. - Pamiętasz, jakżeśmy się w niej wszyscy durzyli?

- Nie - odparł głucho Chase.

- Pewnie patrzyłeś na nią inaczej niż reszta nas, bo byłeś blisko związany z pułkownikiem. Zaczny przyjaciel rodziny i tak dalej.

Chase wyczuł w tych słowach ironię. Zapewne przesłyszał się, gnębiony wyrzutami sumienia.

- Pozwól, że ci ją przypomnę, Chase. Zjawiskowo piękna. Młoda, wspaniała, pełna życia. Stary Mathew, niech spoczywa w spokoju, miał szczęście. Dziwne, choć modne wówczas suknie odsłaniały niemal całe jej piersi, mnie zawsze ciekawiło, jakie ma nogi. Miała tutaj znamię. - Kinkade wskazał na obojczyk. - Lubilem jej głos. Uwielbiałem śmiech. Był jak nadzieja, jak wiosenna odwilż.

- Cóż za romantyczny Byron się z ciebie zrobił, Kinkade. Wzruszyłem się.

- Nie potrafię ci powiedzieć, ile razy wyobrażałem sobie jej cycki.

Chase wiedział, że powinien się teraz zaśmiać, ale zęby mu się zacisnęły, jakby chciał stłumić przekleństwo. Poczł się okropnie, bo okropny mu się nagle wydał Kinkade, choć był po prostu sobą, a na

temat piersi Rozalindy March fantazjować mógł każdy mężczyzna. Były tego warte.

Uśmiechnął się nieszczercze, samym tylko skrzywieniem warg, i był pewien, że Kinkade to dostrzeże. Przygładził włosy, przybrał wygodniejszą pozycję, żeby zapanować nad bólem nogi, i miał nadzieję, że przyjaciel właśnie owemu bólowi przypisze jego niepokój.

- Wyobrażałeś je...? - odważył się odezwać. Piersi Rozalindy.

- Każdej nocy, po każdym balu, ale nie uwieczniałem tych moich wyobrażeń na szkicach węglem, jeśli o to ci chodzi. Nie zachowałem żadnego z moich rysunków.

- Nie bój się, Kinkade, mogę oglądać obrazy w Aksamitnej Rękawiczce, ile razy przyjdzie mi ochota. Nawiasem mówiąc, Księżna przesyła ci pozdrowienia.

- Naprawdę? To miłe z jej strony. - Kinkade znów zaciągnął się cygarem.

Potem zaś przełknął resztki tego, co zapewne było trzecim już kuflem piwa tego dnia, i się wykrzywił.

- Wstrętna lura - powiedział ze współczuciem Chase. - Marie-Claude dąsa się na ciebie. Ta z Aksamitnej Rękawiczki.

- Marie-Claude dąsa się, by zrobić dobre wrażenie. Serce jej nie pęknie. Szkoda mi co prawda, że jej sakiewka będzie nieco mniej nabita. Ale jeśli codziennie doświadczasz tego samego, to się w końcu znudzisz, no nie? Covent Garden, burdele, domy gry, wyścigi konne...

Trzeba odmiany, różnorodności. Ciągłe trzeba szukać czegoś nowego, żeby nie umrzeć z nudów.

Interesujące słowa w ustach kogoś, kto nie zmienił się na jotę od chwili, gdy go Chase poznał, z jednym wyjątkiem - zaczynałłysieć.

- Pewnie właśnie dlatego wyruszam do Indii - oznajmił Chase. - Wstępuję do Kompanii Wschodnioindyjskiej.

- Doszły mnie słuchy, że się tam wybierasz. I ty to nazywasz odmianą, Chase? Będiesz przykuty do armii. Przykuty do jakiejś kobiety. - Kinkade niemal syknął. - Dlaczego aż tylu mężczyzn pragnie się przykuwać do czegoś? Jesteś dżentelmenem, Eversea! - zawołał oburzony.

Rozłożył ręce, aby, jak przypuszczał Chase, mu przypomnieć, że cały świat stoi otworem przed ludźmi z ich sfery.

- Powiązania, przynależność, szlachetny cel, braterstwo, podróże, silne wrażenia. Wypróbowanie siebie, własnej wytrzymałości. I na co sobie można pozwolić.

- Honor - odpowiedział Kinkade'owi z ironicznym rozbawieniem. - Oto powody.

- Szczerze mówiąc, ja wiem, jak wielką rozkosz zdołam wytrzymać. Nie interesuje mnie, jak długo zdołałbym wytrzymać, śpiając w błocie wraz z żołnierzami.

- Byłeś największym zbereźnikiem, jeśli sobie dobrze przypominam.

- Dobrze sobie przypominasz - odparł uroczyście Kinkade.

- Byłeś też dobrym żołnierzem, Kinkade.

- Bo kierowała mną chęć przeżycia.

- Nie tylko ona.

Kinkade zdawał się zastanawiać. Przy sąsiednim stoliku jakaś kobieta zapiszczała i bez większego przekonania uderzyła kogoś po rękę, którą ten wsuwał jej pod spódnicę. Właściciel ręki zaśmiewał się do rozpuku. Kinkade skinął głową.

- No, dobrze. Nie tylko ona. - Westchnął głośno, zniecierpliwiony lub zakłopotany.

On również odniósł rany, lżejsze niż Chase, ale blizny na plecach od dawna mu dokuczały. Przysunął sobie krzesło i siadł na nim okrakiem.

- Niektórzy mężczyźni są stworzeni dla armii, Kinkade.

- A niektórzy giną z tego powodu. Można w tym zdaniu zastąpić słowo „armia” słowem „kobieta” i to też byłaby prawda.

Odniósł wrażenie, że Kinkade nie tyle się z nim droczy, ile świadomie zadaje mu ciosy w najbardziej wrażliwe miejsca. Czyżby go wypróbowywał?

Chase mógł jednak równie dobrze źle zrozumieć te słowa, znów z powodu wyrzutów sumienia. Zdawał sobie sprawę, że jego słabość do tej kobiety mogła niegdyś zrujnować mu karierę. Na pewno jednak ta kobieta zmieniła jej bieg i w istocie to ona spowodowała, że spotkał się tu teraz z dawno niewidzianym przyjacielem.

Tylko że Kinkade o tym nie wiedział. Zapewne.

- Czyżby? - spytał po chwili Chase. - Czy przewidujesz, że jakaś kobieta cię wyniesie w górę lub zniszczy, Kinkade? Albo odmieni cię,

i tak dalej? Czy nie zamierzasz pewnego dnia nałożyć na siebie małżeńskich... - urwał. Chciał powiedzieć „oków”, ale stanął mu przed oczami niesłusznie uwięziony Colin, nogi młodszego brata obciążone łańcuchami, wołał więc użyć innych słów - ...kiedyś się ożenić? Przecież trzeba ci dziedzica.

- Och, naturalnie. Kiedyś wezmę sobie żonę. Jakaś poczciwą, niezbyt bystrą, miłą dla oka niewiastę o szerokich biodrach i ze sporym posagiem. Ale nie przestanę żyć tak, jak żyłem. Będę się zabawiał. Przeszedłem krwawą łaźnię i zamierzam resztę życia spędzić na przyjemnościach, folgując sobie do woli.

- Jesteś romantykiem, Kinkade.

- Swój pozna swego.

Chase się roześmiał.

- A jeśli już mówimy o małżeństwie, jak się w nim widzie Colinowi? Słyszałem różne rzeczy.

- Radzi sobie.

Nie miał ochoty rozmawiać o Colinie. Ani o krowach. Ani też, niech Bóg broni, o małżeństwie.

Wsadził rękę do kieszeni, żeby się upewnić, że są w niej podwiązki. Może jeszcze zachowały ciepło skóry Rozalindy. Gładkość atlasu przypomniła mu jedwabistą gładkość jej skóry między udami. Poczł gwałtowny skurcz żołądka. I dreszcz w lędźwiach. Nie chciała go jako męża, ale on nadal pragnął Rozalindy March, a ona pragnęła jego.

„To się nie może zdarzyć po raz drugi”, powiedziała.

Czy honorowe byłoby namówienie jej do tego, by posunąć się znacznie dalej niż wtedy w bibliotece? I czy byłoby to mądre z ich strony?

Nie zamierzał rozmawiać o małżeństwie ani o krowach. Podwiązki przypomniały mu jednak o Rozalindzie. Mógł rozmawiać o koniach. Z powodu Rozalindy. Przesuwał palcami po podwiązkach i wiedział, że jego opinia o Williamie Kinkade uległa zmianie. Na gorsze.

Zżerała go ciekawość. Wiedział, od czego teraz zacząć.

- A jeśli już mowa o rysunkach, w twojej bibliotece wisi nad kominkiem obraz z koniem. Przypominasz sobie? Taki zgrabny kasztanek. Obraz wyszedł spod pędzla Warda?

- Tak. To mój ojciec zlecił Wardowi namalowanie. Ulubiony koń mojego ojca. Nazywał się Brandy. Wygrał raz czy dwa derby i spłodził mnóstwo potomstwa. Podejrzewam, że mój ojciec się z nim pod tym względem identyfikował. To znaczy z koniem, nie z malarzem! Zresztą nie wiem, ile miał potomstwa ów malarz.

Kinkade był obdarzony - lub obarczony - licznym rodzeństwem.

- Moja siostra Genevieve, którą poznałeś podczas zeszłorocznego sezonu towarzyskiego, prawda? - kontynuował Chase - najbardziej z całej naszej rodziny kocha sztukę. Dobrze się na niej zna. Rozpływa się w zachwytach nad niektórymi obrazami. Ja zdołałem uniknąć edukacji artystycznej, ale wiem, co mi się podoba, a co nie.

- Zawsze wiesz o tym, Eversea - odparł Kinkade ze słabym uśmiechem. - I zawsze wiedziałeś.

Podeszła do nich barmanka.

- Czy macie tu coś, co nie smakuje jak świńskie siki? - spytał Chase z powagą.

- Nie, skarbie. Możesz spróbować oślich sików.

- No, to mi je przynieś. - Uśmiechnął się do niej, a dziewczyna aż się zachwiała z wrażenia, rozanielona.

- Zmykaj stąd, mała - powiedział uprzejmie Kinkade.

Obrócił głowę w stronę Chase'a. Dziewczyna odeszła, radośnie oszołomiona.

- Czy kiedykolwiek kupowałeś dzieła sztuki? Chciałbym wiedzieć, od czego zacząć - Chase zwrócił się do Kinkade'a.

- Tego się nie kupuje, Eversea, tylko dziedziczy w spadku. Razem z domami.

Kinkade wyciągnął przed siebie nogi i machnął leniwie dłonią, niczym znużony dyrygent orkiestry. Rodzina jego miała domy i posiadłości wszędzie. Dwie rezydencje w Londynie, nieczynny teatr za Covent Garden, zwany Mezza Luna, majątki ziemskie w Northumberland, Walii, Plymouth. Nie byli co prawda tak zamożni, jak rodzina Eversea, bo ci zostali ziemskimi posiadaczami, gdy tylko Wilhelm Zdobywca postawił stopę na angielskim wybrzeżu, ale i tak mieli bardzo wiele.

- Co byś zrobił, gdybyś odziedziczył malowidło, którego nie mógłbyś znieść? Czy zatrzymałbyś je z obowiązku? Czy jest się zobowiązaniem zatrzymywać każdego odziedziczonego konia, psa czy też portret nielubianego przodka? Darowałbyś go British Museum?



Kinkade wydawał się rozbawiony.

- Co do przodków, to mów sam za siebie. Nie mogę sobie jednak wyobrazić, żeby mógł mnie w taki czy inny sposób brzydzić jakiś obraz. Nic nie zrobiłem z tymi, które dostały mi się w spadku. Mogą sobie wszystkie u mnie wisieć. No a z domami nie ma się wyboru, skoro są częścią majątku. Albo posiadłości. Wściekle drogo kosztuje ich utrzymanie.

A więc nie darował muzeum tego Rubinetta? Albo też... kłamał.

Przyszło mu na myśl, że Kinkade nigdy nie czuł szczególnej niechęci wobec niczego, podczas gdy on sam czuł ją właściwie wobec wszystkiego. Może dlatego tolerowali się nawzajem od tak dawna i tę tolerancję nazywali przyjaźnią.

Może też ten całkowity brak szczególnej niechęci wiązał się z działalnością Kinkade'a w ministerstwie? Chase'owi przyszło na myśl, że odpowiedzialność za tak wiele ludzkich losów mogła uczynić z Kinkade'a kogoś oderwanego od rzeczywistości i nieprzewidywalnego niczym zmierzająca ku Ziemi kometa, która nie wiadomo gdzie w nią uderzy.

Oczywiście, kometa mogła też krążyć we wszechświecie przez całą wieczność. Wydało mu się to przeraźliwym sposobem spędzenia wieczności. Mogło to jednak dotyczyć wielu zdeprawowanych członków arystokracji, których nie dotknęły finansowe realia ich czasów ani też to, co musieli przeżywać żołnierze, gdy wybuchła wojna.

Jakże jakaś dziewczyna mogła po prostu zniknąć z Newgate?

Czy Rozalinda powiedziała mu prawdę? Oczywiście, że tak. Nigdy nie kłamała, gdy chodziło o jej siostry. Zawsze się o nie troszczyła. Miała po temu powody. Przyniesiono mu owe ośle siki i Chase uniósł kufel, przepijając do Kinkade'a, który też uniósł swój, pełen mętów.

- Moja matka życzy sobie, by sportretował nas ceniony i modny malarz - wyjaśnił Chase. - Czy znasz jakichś portrecistów w Londynie?

- Znam tu wszystkich, którzy są w modzie, ale nikt z nich nie jest portrecistą czy też w ogóle malarzem.

- Szkoda. A jeśli już mówimy o ludziach będących w modzie, to czy jest wśród nich ktoś tak nowy i ciekawy, że powinienem go poznać?

- Nie wiem, o kogo mogłoby ci chodzić.

- Zacznijmy od interesujących kobiet.

- Przecież tobie już jakaś zawróciła w głowie.

- Kto mówi, że mam ograniczać swoje zainteresowania do jednej kobiety?

- Żałuj, że wczoraj wyszedłeś tak wcześnie, bo była tam hrabina, z którą warto zawrzeć bliższą znajomość. Wiem, bo sam to widziałem, że potrafi zadrzeć nogę ponad głowę...

Lista interesujących kobiet była długa i szczegółowa, bo Kinkade dość szeroko rozumiał to pojęcie.

Prowadząc tę dosadną i trywialną konwersację, Chase myślał o całkiem czym innym. I ciągle trzymał rękę w kieszeni płaszcza, przesuując palcami po dwóch atlasowych podwiązkach.

Nie mógł oderwać wzroku od najbardziej fascynującego obiektu w pubie - zegara nad bufetem, bo za dwie godziny miał się ponownie spotkać z Rozalindą.

Wiedział, że teraz zabierze ją prosto do Montmorency Museum.

## 12

Rozalinda włożyła zieloną suknię, bo jej oczy wydawały się na jej tle jeszcze bardziej zielone, a także dlatego, że chciała, by oczy Chase'a rozbłyły, gdy ją zobaczy. Wiedziała, że tak będzie.

Jednak nic, absolutnie nic nie zdołałoby sprawić, by jego oczy stały się jeszcze bardziej błękitne, uznała, patrząc na imponującą postać Chase'a, wypełniającą całą jej niedużą bawialnię.

Był poważny i zachowywał się oficjalnie. Godnie i z szacunkiem. Nic nie wskazywało na to, że wstrząsnęło nim odrzucenie przez nią jego oświadczeń. Poczwała ulgę.

Ale gdy opowiedział jej o spotkaniu z Kinkade'em, dobry nastrój się ulotnił.

- Nie chce mi pomóc?

- Powiedział, że już próbował pomóc. A także że nie ma żadnych dowodów, by Lucy Locke kiedykolwiek była w Newgate. Twierdził też, że nigdy niczego nie darował żadnemu muzeum.

Poczwała, że jej dłonie lodowacieją.

- Przysięgam, Chase, że ona tam była. Widziałam ją w więzieniu i mówiła mi, że...

- Wierzę pani.

- Przecież nie mogła... nie mogła stamtąd po prostu wyjść. Ktoś musi wiedzieć, gdzie ona jest. Ktoś musi...

- Zgadza się z panią.

- A recepcjonista z Moritmorency Museum powiedział mi, że to Kinkade darował ten...

- Wierzę pani.

W jego głosie było coś niesłychanie krzepiącego. Spokój, zrównoważenie, pewność. Nabrała głęboko tchu i odetchnęła. Biła od niego siła. W jego obecności czuła się silniejsza.

Tylko że znów przegrała. Przynajmniej na to wyglądało. Uświadomiła to sobie, nagle tracąc oddech. Nigdy nie poddawała się bez walki, ale tym razem nie miała wyjścia.

- Co mam teraz zrobić? - spytała.

Starła się mówić głośno, energicznie, ale w jej głosie brzmiała rozpacz.

- Powinienem zabrać panią do domu publicznego.

Siedziała bez słowa. Czy dobrze go zrozumiała? Przecież chyba nie chciał powiedzieć, że...

Poczuła, że krew napływa jej do twarzy. Położyła dłonie na kolanach, starając się uspokoić. Była pewna, że teraz jej twarz ma barwę pomidora.

Już same słowa „dom publiczny” sprawiły, że u nasady kręgosłupa poczuła dotyk długiego palca. Takie były palce Chase'a.

- Ależ... - zaczęła.

Ależ... co? Właściwą reakcją byłoby zapewne okazanie usprawiedliwionego zgorszenia. Lub przynajmniej pytanie: „Dlaczego?” A wtedy dodał z podejrzanym pośpiechem:

- Nie dlatego, Rozalindo, bym myślał, że powinna się tam pani zatrudnić. To byłaby obraza dla pani kobiecego powabu. Niezamierzona.

Przewrotny błysk w jego oczach przeczył śmiertelnej powadze, z jaką to mówił.

- Nie obraziłam się - odparła słabym głosem.

Ten nieznośny człowiek z pełną premedytacją wprawił ją w kontuzję i przyglądał się temu o chwilę za długo. Och, do licha, nie była dzieckiem. Odetchnęła głęboko.

- Przypuszczam, że proponowana mi wyprawa ma coś wspólnego z Lucy?

Powiedziała to spokojnie i chłodno. Była z siebie dumna.

- No cóż, wyjaśnię, o co mi chodzi. Moja siostra Genevieve nigdy nie słyszała o malarzu zwanym Rubinetto. A zapewniam panią, że ona sporo wie o każdym znanym malarzu, jak też i o tych mniej znanych, zwłaszcza włoskich. Może ma to jakieś znaczenie, a może nie. Słyszałem jednak, że...

- Czy pańska siostra jest w Londynie?

- W hrabstwie Sussex - odparł po chwili wahania.

Co bez wątpienia oznaczało, że od razu tuż po ich spotkaniu w muzeum napisał do siostry, by spytać o Rubinetta. Był więc nim bardzo zainteresowany. Osobiście.

Uśmiechnęła się do niego.

Spojrzał na nią, zmarszczywszy brwi, zakłopotany. Wiedział, co sobie uprzytomniła. Uśmiechnęła się więc do niego jeszcze szerzej, zadowolona, że tym razem dla odmiany jej udało się wprawić go w zakłopotanie.

- Jak już wspomniałem, coś mi się w tamtym aniele w muzeum wydało bardzo znajome. A teraz przypomniałem sobie, gdzie, jak sądzę, widziałem takiego samego. Na obrazie w domu publicznym. W Aksamitnej Rękawiczce ów obraz namalowano w takim samym stylu, jak płótno Rubinetta - poinformował ją rzeczowo.

Aksamitna Rękawiczka?

- „Coś mocniejszego do picia i baba” - mruknęła, cytując Liama. Spojrzała na Chase'a drwiąco.

- Słucham panią? - zapytał uprzejmie.

Nie zamierzała wyjaśniać. Odchrząknęła.

- A pan... odwiedzał ten dom publiczny?

Przecież to oczywiste. Sama nie rozumiała, czemu go o to pyta.

- Wiele razy.

Patrzył na nią ze zdumiewającym wręcz opanowaniem.

Wiedziała sporo o mężczyznach i wiedziała też o domach publicznych. A zwłaszcza o żołnierzach i domach publicznych. Tylko że trudno jej było sobie wyobrazić go, jak tam wybiera kobietę. W

podobny sposób, w jaki ona wybierała u madame Marceau nowy kapelusz. Albo u rzeźnika wieprzowe podgardle. I w ogóle trudno jej było wyobrazić go sobie z jakąkolwiek inną kobietą.

- Rozalindo... - przerwał jej rozmyślenia.

- O co chodzi?

- Zdaje sobie pani chyba sprawę, że jestem mężczyzną? - spytał spokojnie, ale z niewybaczalnie szelmowskim błyskiem w oczach.

- Trudno przeoczyć ten fakt - odpowiedziała oschle.

Zachwycony odpowiedzią, odwdzieczył się lekkim uśmiechem.

- W porządku - odparł. Trochę za bardzo go rozbawiało jej zażenowanie, uznała. - Muszę panią uprzedzić, że anioł, a właściwie anielica na tamtym drugim obrazie, w Aksamitnej Rękawiczce zachowuje się w sposób zazwyczaj niekojarzący się z aniołami.

- Czyżby brała udział w meczu bokserskim? - spytała drwiąco. Doznała osobliwego wrażenia, że raczej obserwuje tę rozmowę, niż w niej uczestniczy, jakby stała gdzieś z boku. Niewątpliwie dlatego, że chciała zachować obojętność, rozmawiając o domu publicznym. Zwanym - o Boże! - Aksamitną Rękawiczką.

- Instrument, na którym tamten anioł gra, jest częścią ludzkiego ciała, a nie harfą.

Gwałtowne i niestosowne zaciekawienie wyparło z jej głowy wszelkie sensowne myśli.

Czekał cierpliwie, co ona powie. A kiedy stało się jasne, że nie jest w stanie wydusić słowa, powiedział:

- Proszę samej zdecydować, czy chce pani to zobaczyć. Myślę jednak, że powinna pani. A teraz, jak sędzę, oboje powinniśmy jeszcze raz wybrać się do Montmorency Museum i zadać tam parę pytań.

Znany im już dobrze mały brudas przeskakiwał ze stopnia na stopień na schodach muzeum, gdy wysiedli z powozu Chase'a. Pusty dziedziniec zapowiadał, że i wewnątrz muzeum nie spotkają tłumu zwiedzających. Niosło się po nim echo plaskania bosych stóp chłopca.

Energicznie machał rękami na powitanie. Chłopcy, pomyślał Chase, zawsze wymachują rękami i nogami, jakby się chcieli upewnić, że je w ogóle mają.

- Liam, czy ty zawsze tkwisz przed tym muzeum? - spytała podejrzliwie Rozalinda.

Liam prychnął, szalenie rozbawiony.

- Nikt nie tkwi w jednym miejscu, chyba że na cmentarzu.

Chase i Rozalinda wymienili spojrzenia. Istny filozof z tego ulicznika!

- No, ale tu przychodzą nadziani goście i nieraz dają zarobić szylinga.

Intrygująca odpowiedź, skoro Montmorency Museum wyglądało wręcz na wymarłe.

- Nadziani goście?

- Callender najwięcej mi płacił za trzymanie koni - ochoczo oznajmił Liam, wymachując rękami tak, jakby tylko dzięki temu mógł artykułować słowa. - A Ireton ani razu. Nawet pół pensa. Skąpiradło!



Ja tam wiem, kto ma forszę. O, pan to jest nadziany! - zwrócił się do Chase'a, udowadniając, że potrafi rozmawiać z ludźmi zamożnymi. - Ja też kiedyś będę bogaty!

Powiedział to z takim przekonaniem, że Chase przypomniał sobie, jaki sam był w jego wieku.

- Skąd wiesz, że ci „nadziani” to właśnie Callender i Ireton? - indagowała Rozalinda.

- Z herbów na drzwiczkach powozów. Callender ma czteroosobowy powozik! - poinformował Liam, kierując jednak te słowa wyłącznie do Chase'a, najwyraźniej w przekonaniu, że Rozalinda, jako kobieta, na tych sprawach się nie zna. - I cztery gniadosze!

Rozalinda spojrzała na Chase'a porozumiewawczo, zaciskając usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

Chase zastanawiał się przez chwilę nad specyfiką męskiego charakteru. Mężczyzna może znać drugiego mężczyznę od dwudziestu lat i nie pamiętać, jak żonie tego człowieka jest na imię, lecz zapewne dobrze wie, jak się nazywają jego konie.

- To prawda, ma taki powozik i cztery gniadosze. - Wyszczерzył się.

- A w herbie dzidę. Ma też w herbie i lwa, o takiego! - Tu Liam uniósł ramiona, naśladując ryczącego lwa.

Callender rzeczywiście miał w herbie dzidę, tarczę i lwa.

- Istotnie.

- Siwy, stary i z wielgachną brodawą na gębie. - Liam wskazał na własny policzek.

„Brodawa” oznaczała zapewne znamię na twarzy lorda Callendera. Callender mógł być jakieś dziesięć lat starszy od Chase'a, a więc przekroczył dopiero czterdziestkę.

- Liam, czy któryś z tych „nadzianych” był dzisiaj w muzeum?

- O, tak. Callender. A jeden to stąd wyszedł o samym świcie.

- Chyba przyjechał?

- Nie. Mówię, że wyszedł, i już.

Chase przeszył Liama jednym ze swoich inkwizytorskich spojrzeń.

- Niektórzy wchodzą i wcale nie wychodzą. A inni znów wychodzą, choć wcale nie wchodzili - upierał się chłopiec.

- Liam - odezwała się łagodnie Rozalinda - dlaczego ty mówisz zagadkami?

Liam był tak zgorzony, że przestał nawet wywijać rękami i stanął bez ruchu.

- Mówię prawdę!

- Ale nie zawsze tu przecież jesteś i nie możesz widzieć wchodzenia czy wychodzenia każdego z gości - zauważyła Rozalinda.

- Tak, ale bywa, że siedzę tu przez cały dzień, jak dzisiaj rano. Zarobiłem pół pensa, kiedy taki jeden lepszy gość wsiadł do dryndy i odjechał. A Callender także mi dał półpensówkę.

- Czy pamiętasz, jak ten zamożny gość wyglądał?

- Nigdy go tu jeszcze nie widziałem. Ubrany był po pańsku, ale miał dziwne buty, całe z rzemyków. Paluchy mu z nich wyłaziły. Po co takie coś nosić? - Liam był ubawiony. - Całkiem jak wyrzeżane nożem!

- Nosił sandały? Niesłychane. Jak włoski wieśniak?

Chłopiec zmarszczył czoło:

- Sand...?

- Nieważne.

- A od jak dawna ci „nadziani” przychodzą tu i wychodzą? - spytała szybko Rozalinda.

- Zawsze jacyś tam przychodzą i wychodzą - odparł filozoficznie Liam - i zawsze tak było. Ale dużo ich ostatnio. My nawet możemy płacić czynsz za nasz pokój - dodał z dumą.

Kogo miał na myśli, mówiąc „my”? Ani Chase, ani Rozalinda nie zapytali o to.

- Czy to możliwe, żebyś nie widział, jak ktoś wchodzi i wychodzi?

- Tu są dwa wejścia i dwa wyjścia, kapitanie Eversea. - I Liam posłużył się obydwoma rękami, wskazując na wielkie frontowe drzwi i mniejsze drzwi, po prawej, tuż za narożnikiem budynku; schodziło się do nich po schodach i było to wejście dla obsługi, na to bowiem wyglądało, otoczone niskim ogrodzeniem i wychodzące na zaułek. Każdy, kto tamtędy wchodził, mógł być widziany z dziedzińca. - Wiem o tym, bo moja siostra raz w tygodniu sprząta tam wewnątrz. Ściera kurze i tak dalej.

Gdyby Callender był teraz w muzeum, z pewnością by go tam znaleźli.

- Dziękuję ci, Liam.

Kościste ramiona Liama uniosły się i opadły, gdy nimi wzruszył, a potem wyciągnął rękę, bo o to przecież chodziło. „Dziękuję” znaczyło na ogół, że powinno mu się za coś zapłacić, jeśli nawet nie miał najmniejszego pojęcia, w czym właściwie pomógł.

Chase dostatecznie długo patrzył karcącym wzrokiem na chłopca, by drobna chłopięca buzia wydłużyła się z żalu. A potem wyjął pół pensa.

- Dziękuję - powiedział Liam, niemal bezbłędnie naśladowując akcent Chase'a, i schował monetę do kieszeni brudnych spodni.

- Jakież ty masz piękne maniery, Liam - stwierdził cierpko Chase i podał Rozalindzie ramię, idąc z nią ku schodom.

- A mam, mam - przytaknął chłopiec i znów zaczął przeskakiwać ze stopnia na stopień, czekając, jak przypuszczali, na następnego „nadzianego gościa”. - Właśnie, że mam!

- Dzień dobry!

Recepcjonista zerwał się na równe nogi

- MacGregor, sir, do usług!

Chase usiłował powściągnąć uśmiech. I znów niechcący wypowiedział słowa powitania tonem komendy.

MacGregor spojrział na niego, potem na Rozalindę i zamrugał gwałtownie. A potem zeszywniał i wyraźnie zbladł. Chyba że zawsze bladł rankiem.

- W którym regimencie służyliście, MacGregor? - spytał Chase.  
Oczy MacGregora błysnęły. Był zaskoczony.

- Pięćdziesiąty pierwszy pułk piechoty, sir.

Chase nie pytał MacGregora, dlaczego pracuje w muzeum. Ten biedak cieszył się zapewne, że w ogóle ma jakąś pracę, niezależnie od jej rodzaju: wielu żołnierzy z klas niższych nie miało żadnej pracy po wojnie. Bez zajęcia wpadali w nędzę.

- Znał pan sierżanta Beresforda? Porządny chłop.

- Owszem, znałem dobrze Beresforda. Zgadzam się z tym całym sercem. A mój przyjaciel, Percy Emry, służył pod panem. Mówił, że to prawdziwy zaszczyt. I że nie chciałby się nigdy panu narazić.

Chase pochylił głowę, akceptując w pełni komplement.

- Należy uważać za prawdziwy zaszczyt, jeśli porządny żołnierz się tak o kimś wyrazi.

I Beresford, i sierżant Emry polegli pod Waterloo. Pod jasnobłękitnymi oczami MacGregora, o białkach raczej zaróżowionych niż białych, rysowały się worki świadczące o zmęczeniu.

- Pracował pan do późna w nocy, sierżancie? - spytał nagle Chase.

Oczy MacGregora rozszerzyły się ze zdumienia.

- Ehm...

- Jest pan trochę blady.

Po chwili wahania padła odpowiedź:

- Urodziło mi się właśnie dziecko, kapitanie.

Chase nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać informacji o noworodku.

- Moje gratulacje.

- Dziękuję panu - odparł MacGregor, wyraźnie niewyspany.

- Chciałem o coś spytać, MacGregor. Moja rodzina, Eversea, pragnie darować kilka rodzinnych pamiątek jakiemuś porządному londyńskiemu muzeum. Uważam, że to muzeum byłoby odpowiednie.

- Będzie to bardzo uprzejme z pana strony, sir. - MacGregor wydawał się zaskoczony. - Zazwyczaj podobnych donacji dokonuje się na rzecz British Museum, jak pan zapewne dobrze wie. Zostaliśmy przelicytowani przez British Museum, gdy chodziło o zakup pętli, na której miano powiesić Colina Eversea - powiedział smętnie. - Pańskiego brata - dodał całkiem niepotrzebnie.

- Ehm... no cóż, nie o takiej pamiątce rodzinnej myśleliśmy.

- Zawsze nas przelicytowują - mruknął posepnie MacGregor. - To znaczy Montmorency Museum.

- Moja rodzina zamierza ofiarować muzeum jakiś obraz. - Chase pragnął sprowadzić rozmowę na inne tory. - Mamy sporo takich, które z historycznego punktu widzenia mogłyby zainteresować brytyjską publiczność. Lub też pancerz, bo w naszej siedzibie w Sussex sporo ich mamy. Sądzę, że wasza kolekcja zbroi pochodzi nie tylko od hrabiego Bavelock?

- Tak jest, sir. Doszło do niej kilka eksponatów po jego śmierci.

- W jaki sposób nabytki są przyjmowane i szacowane?

MacGregor znów się zawahał.

- Zawsze możemy przyjąć dobrą zbroję.

Nie była to odpowiedź na jego pytanie. Czy rozmówca chciał się jakoś wykręcić? Chase tracił cierpliwość.

- A gdyby ktoś podjechał furgonem przed front budynku i złożył na stopniach kilka krzeseł, kołowrotek oraz portret prababki, to czy znalazłoby się na to miejsce w muzeum? Na przykład niedaleko kukiełek?

- Z pewnością nie, sir! O szacowaniu zabytków decyduje komisja. Gdyby chciał pan tu oddać w depozyt ubiór, który nosił pański młodszy brat tego fatalnego dnia...

Chase miał już tego dość.

- Kto darował muzeum obraz Rubinetta we wschodnim skrzydle?  
- warknął.

Sierżant MacGregor dopiero po chwili odpowiedział:

- Obawiam się, że nie mogę sobie przypomnieć, sir.

Chase wolał nie patrzeć na Rozalindę, której tenże MacGregor powiedział wcześniej, że wszystkie włoskie obrazy darowała muzeum rodzina Kinkade'a.

- Szkoda, że macie taką kiepską pamięć, MacGregor.

- Ja też tak uważam, sir.

MacGregor spojrzał Chase'owi prosto w oczy, ale skóra wokół jego ust z bladej stała się zielonkawa, a bezbarwne rzęsy drgały nerwowo. Koniec nosa mu się zaróżowił. Chase przypomniał sobie, jak trzymał w garści złapanego przez siebie małego szczura: tak samo drżał mu koniuszek nosa, a w różowawych oczkach widniał strach.

- Od jak dawna wisi tam to malowidło?

- Jakieś parę miesięcy.

Bardzo nieprecyzyjna odpowiedź ze strony kogoś, kto miał wręcz encyklopedyczną wiedzę na temat całego muzeum.

- Widzi pan, MacGregor, pytam o to, bo przypomniał mi się inny wiszący tam obraz. Przyszedłem tu, w nadziei, że go zobaczę. Może jednak pomyliłem Montmorency z British Museum? - Chase uznał, że pożyteczna będzie wzmianka o rywalu. - Może przewieszacie obrazy wewnątrz muzeum? Moja rodzina ma jedno lub dwa włoskie płótna, którymi mogłaby się podzielić z rozmiłowaną w sztuce brytyjską publicznością.

- Nie przypominam sobie żadnego przewieszania obrazów, sir. Jesteśmy bardzo radzi, że obraz równie wybitny jak płótno Rubinetta wisi właśnie na tej ścianie.

Kolejna wymijająca odpowiedź. Jednak, zdaniem Chase'a, odpowiedź. Podejrzewał, że MacGregora ktoś pouczył, by nie udzielać informacji. Może nie wszystkim, ale właśnie jemu.

- Pytam o Rubinetta, bo ten obraz został wręcz znakomicie ulokowany. W sali panuje półmrok, nie ma tam zbyt wiele światła, od którego malowidło mogłoby zblaknąć. Nasza donacja zależałaby od umieszczenia obrazów na tej samej ścianie. - Pobrzmiewało w tym ostrzeżenie zabarwione żalem. - Nie widzę żadnego innego miejsca, które byłoby równie odpowiednie. Obraz, o którym myślę, znakomicie by się nadawał do tej właśnie sali.



- O takich sprawach decyduje komisja, sir - odparł MacGregor ostrożnie. - Przekażę jednak pańskie uwagi zarządowi muzeum.

- Może w tym waszym zarządzie zasiadają jacyś moi przyjaciele, którzy by mnie poparli? Czy zechciałby pan wymienić kilka nazwisk?

- Nie znam nazwisk członków zarządu, sir. Jestem tylko zwykłym recepcjonistą.

W ciągu zaledwie dwóch dni ten tak przedtem chętny do pomocy człowiek zaczął stwarzać mu trudności. Chase spojrzał na niego podejrzliwie. MacGregor drgnął, ale nie powiedział nic więcej.

Chase poddał dokładnemu badaniu strzępki informacji. Może tworzyły razem jakąś całość, a może nie. Trochę to przypominało badanie znalezisk archeologicznych. Jak dotąd, niewiele z tego wynikało.

- Czy mógłbym jeszcze raz zwiedzić to skrzydło? Żeby się przekonać, czy okaże się odpowiednie dla naszego daru.

- Zawsze będzie pan mile widzianym gościem w godzinach zwiedzania, sir - odparł mężnie MacGregor.

Chase'owi w tym momencie przyszło do głowy, że utykająca noga może mu posłużyć jako pretekst; sam się zdumiał własną błyskotliwością.

- Może jest tu jakieś inne, wygodniejsze wyjście z muzeum, bliżej wschodniego skrzydła? - zasugerował i spojrzał wymownie na swoją łaskę, a potem na byłego żołnierza.

Było to bezwstydną zagranie z jego strony.

- Mamy tu tylko wejście dla dostawców, może je pan zauważył po prawej stronie budynku, niedaleko frontu? Ale ono zwykle jest zamknięte, chyba że spodziewamy się dostawy węgla czy środków czyszczących, no i kiedy wpuszczamy rannym sprzątaczkami. Obawiam się też, że od wejścia dla dostawców wcale nie jest bliżej do wschodniego skrzydła niż od głównego, sir.

- Musicie chyba mieć tu batalion sprzątarek. Cichych jak myszki i nierzucających się w oczy. Nie widziałem jeszcze ani jednej.

- Doceniam pańskie uznanie, lecz to nie żaden batalion, tylko tuzin sprawnych i bardzo starannych pracowników, którzy odkurzają i czyszczą cały gmach, ale wyłącznie we wtorki. Jeśli więc nie będzie tu pana we wtorek, nie ujrzy pan nikogo z nich. Od czasu do czasu zatrudniamy rzemieślników do różnych napraw i konserwacji. Jedna osoba czuwa zaś nad świecami rannym i wieczorem.

Chase spojrział na otwarty rejestr z nazwiskami osób zwiedzających muzeum. Figurowały w nim jedynie cztery nazwiska i żadnego z nich nie znał. Nie było wśród nich nazwiska Callendera.

- Chyba nie wymagacie od personelu, żeby wpisywał się do księgi?

- Och nie, sir. Ona jest tylko dla naszych gości.

„Niektórzy wchodzą i wcale nie wychodzą. A inni wychodzą, choć wcale nie wchodzili”.

Chase ostentacyjnie wpisał swoje nazwisko do księgi. Potem nachyliła się nad nią Rozalinda, ale potknęła się i zawołała:

- O Boże!

A potem straciła wielką księgę z blatu biurka, ta zaś spadła na posadzkę i omal nie uderzyła Chase'a w nogę.

- Jakaż ja jestem niezręczna. Tak mi przykro!

MacGregor schylił się po księgę, lecz Chase był szybszy.

- Proszę pozwolić, żebym ja to zrobił, pani Smithson.

Podnosił najwolniej, jak tylko mógł, i udało mu się raz jeszcze zerknąć do rejestru. Nie widział tam nazwisk Callendera ani Iretona, gdy przeglądał ją po raz pierwszy. I nie zobaczył teraz. Nie ujrzał również nazwisk innych „nadzianych typów”, a przynajmniej żadnych z tych, których znał. A przecież w kręgu jego londyńskich znajomości, jak też ludzi znanych rodzinie Eversea, było mnóstwo zamożnych ludzi.

Czy w takim razie Liam ich okłamał? Dlaczego jednak miałby okłamywać? Żeby zrobić na nich wrażenie swoją znajomością „nadzianych typów”?

Chase położył księgę na biurku i otworzył na aktualnej dacie.

- Dziękuję, sierżancie MacGregor.

Rozalinda została tam jeszcze chwilę, żeby wpisać się do rejestru jako „pani Smithson”. Uśmiechnęła się promiennie do MacGregora, który jej tego uśmiechu nie odwzajemnił, a potem za Chase'em poszła w głąb muzeum.

Podczas krótkiej wędrowki w jego wnętrzu spotkali tylko jednego zwiedzającego, młodego człowieka, zapewne naukowca lub malarza, bo siedział przed renesansowym obrazem i pracowicie go szkicował, przygryzając język zębami.

Nigdzie nie dostrzegli Callendera.

I znowu znaleźli się przed malowidłem Rubinetta. Chase rozejrzał się wokoło, by sprawdzić, czy ktoś ich śledzi, i ukradkiem uniósł brzeg ramy. Ściana pod obrazem miała taki sam kolor jak reszta ścian.

Gdyby obraz istotnie wisiał tu od paru miesięcy, byłaby jaśniejsza, bo niezakurzona. Oznaczało to, że obraz wisi w tym właśnie miejscu od niedawna.

Chase spojrział na Rozalindę, a Rozalinda na niego. Zrozumiała, dlaczego uniósł ramę.

- W porządku, Rozalindo. Przyjrzyjmy się bliżej temu aniołowi.

Wielki wół na malowidle wpatrywał się w nich smutnymi oczami, z zadartym ogonem. Wysoko w rogu obrazu anielica wciąż trącała struny harfy, z ciałem tak wygiętym, że palce u nóg mierzyły w niebo. Długa szata owijała się wokół pulchnych łydek. Obfite piersi z wyraźnie widocznymi różowymi brodawkami były wypięte do przodu. Wargi wykrzywione w uśmiechu pełnym głupawej satysfakcji. Pierzaste białe skrzydełka unosiły ją w powietrzu. Anioł był czarnowłosy.

- Dziwne, że nie runie na ziemię i nie wyląduje na tej krowie, skoro ma takie małe skrzydła - mruknął z irytacją Chase. - Powinny być przynajmniej o trzy stopy szersze, żeby utrzymać tę anielicę w powietrzu.

- Dziękuję, Ikarze - odparła Rozalinda. - To fascynujące objaśnienie.

Odwrócił się ku niej powoli i uśmiechnął ze szczerym zadowoleniem. Odwzajemniła mu uśmiech. Nie była w stanie się nie uśmiechnąć. Uśmiechali się do siebie dłużej może, niż to było konieczne.

- Rozalindo, czy rozpoznałaby pani tę anielicę, gdyby ją pani ujrzała w całkiem innym kontekście? Ale gdyby miała taki sam koloryt, wygląd i podobną pozę?

Zawahała się.

- Jest raczej charakterystyczna, prawda?

- Nie można tego lepiej określić.

Rozalinda wolała nie patrzeć na Chase'a. Kontekst, o którym wspomniał, z pewnością odnosił się do owego obrazu w domu publicznym, na którym anioł zajęty był czymś o wiele mniej niewinnym niż gra na harfie.

Nagle poczuła się bardzo onieśmielona i bardzo niedoświadczona. Trochę miała mu to za złe. Przypomniały się jej pierwsze dni małżeństwa z pułkownikiem Marchem, kiedy prawie o niczym nie miała pojęcia, od zachowania się na oficjalnym przyjęciu po zachowanie się w trakcie nocy poślubnej.

Nie, nie chodziło jej o to, że nie jest kobietą wyrafinowaną. Wiedziała też, że i Chase'owi wcale o to nie chodziło. Czowała jednak, jak doskonale zna się on na sztuce miłosnej, za każdym razem, gdy jej dotykał. Bezwiednie spojrzała ku pobliskiej sali, tej, w której, jak sądziła, ujrzała widmo i chciała się położyć na wielkim łożu z zasłonami. Ogarnęło ją pożądanie i naszły wspomnienia.

„To się nie może powtórzyć”, powiedziała mu zeszłego wieczoru. Albowiem w bibliotece Callendera dotarło do niej, że z nim mogłaby zaznać niekończącej się rozkoszy. Wiedziała, że jego obecność - która radowała ją i denerwowała jednocześnie - kusi ją, nawet teraz, do zrobienia wszystkiego, czego mógłby od niej zażądać, a czego nie ośmieliłaby się zrobić. Chase podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, zwróconym ku łożu. Potem spojrzał w jej twarz.

Rozalinda skierowała wzrok - i zaczerwienioną twarz - z powrotem w stronę anioła, który wciąż wyglądał na zadowolonego ze wszystkiego, ale nie znał najwyraźniej odpowiedzi na żadne pytanie.

Rozalinda przyjrzała się anielicy, a potem odwróciła się w stronę Chase'a z niemal przepaszającym uśmiechem.

Zaparło jej dech, gdy zobaczyła wyraz jego oczu. Zrozumiała, że samą swoją obecnością gwałtownie rozbudza w nim pożądanie i że nie powinna wystawiać na próbę jego panowania nad sobą.

Czy może nadal być kobietą, którą dzieli od niego dystans? Kobieta, która przyczynia mu tylu zmartwień? Przyprawia go o kłopoty? Wydało się jej to nie fair. Wiedziała już przecież, jak bardzo jej pragnął.

Życie, pomyślała ze smutkiem, rzadko bywa fair i takie, jakiego pragniemy.

Chase znów stał się wzorem opanowania.

- Pewnie bym go rozpoznała - powiedziała cicho. - Tego anioła.

Skinął głową.

- Jeśli zechce pani go zobaczyć w Aksamitnej Rękawiczce, proszę posłać po mnie jutro rano. Proszę też sobie zapamiętać: jeśli istotnie anioł w muzeum jest tym samym, co tam, to będziemy mogli odkryć, kim jest Rubinetto i dlaczego ten obraz się tu znalazł, a także czy ma on coś wspólnego z zaginięciem Lucy.

Kapitan Eversea, ten nieznoszący sprzeciwu mężczyzna, pozwolił jej samodzielnie podjąć decyzję.

## 13

Kiedy wyszli z muzeum, Liam stał na schodach, trzymając w jednej z brudnych dłoni kawałek chleba z czymś, co wyglądało na plaster sera, i unosił do ust.

- Liam, czy umiesz liczyć do więcej niż dziesięciu? - spytał Chase.

Chłopiec schował chleb do kieszeni, ku obopólnej konsternacji Rozalindy i Chase'a.

- A jakże, potrafię liczyć, i to nie na palcach. Ale tylko w szylingach i pensach. Mogę je dodawać, odejmować i tak dalej. Pokażę wam. Jeżeli macie szylingi i pensy.

A potem wetknął dłonie do kieszeni, zakołysał się na usmolonych piętach i wyszczerzył zęby. Uśmiech przeznaczył głównie dla Rozalindy, uważając ją widocznie za bardziej łatwowierną osobę.

- Łebski z ciebie chłopak, Liam - powiedział Chase. - No, a ile jabłek jest w najniższym rzędzie na tym wózku? - I machnął laską ku straganowi na kółkach.

- Pięć. - Odpowiedź padła niemal natychmiast.

- A ile gołębi tu dziobie... co to może być? - Wskazał na stadko ptaków, które robiły to, co zwykle robią gołębie, czyli skupiły się wokół wielkiej grudy czegoś tam, uczestnicząc w gołębiu lunchu.

Palec Liama szerokim gestem dźgnął powietrze osiem razy, kierując się ku gołębim. Urwis mógłby występować na scenie!

- Osiem.

- Bardzo dobrze. Mam dla ciebie misję.

- Mi...?

- Robotę.

Chłopcu rozbliły oczy. Robota oznaczała pieniądze.

- Dobra, kapitanie Eversea.

- Chciałbym wiedzieć, ilu ludzi wchodzi do Montmorency Museum i ilu z niego wychodzi. Umiesz pisać?

- Nie! - parsknął Liam. - I po co zresztą miałby to umieć?

- Masz pamięć do detali?

- Detale? A co to takiego?

Rozalinda zaskoczyła Chase'a. Ujęła go za ramię i obróciła szybko tyłem do chłopca.

- Liam, jakiego koloru oczy ma kapitan Eversea?

- Niebieskie - odparł z miejsca.

- A jakiego koloru są oczy pani March? - spytał z kolei Chase.

Rozalinda błyskawicznie zamknęła oczy.

- Zielone. Włosy ma brązowe, głos ładny, chyba że się złości.

Wysoka jak na babę. Pachnie ładnie, różami. To są te detale?



Czy ten łobuziak sobie z nich kpi? - zastanawiał się Chase. A może czyta w jego myślach? Śmieje się od ucha do ucha, małe diable.

Rozalinda otworzyła oczy. Ale jej policzki nabrały koloru pąsowych róż. Obydwoje starannie unikali spoglądania na siebie. A chłopiec wciąż się do nich śmiał. Wreszcie Chase chrząknął.

- Bardzo dobrze. Jak sądzę, przekonaliśmy się, że masz oko do detali, Liam. Policz więc, ilu dziś tu zobaczysz ludzi, i zapamiętaj wszystko, co znamienne. A potem mi o tym powiedz.

- A co znaczy „znamienne”? Znam różne słowa, ale takiego nie.

Chase nie miał zamiaru wdawać się w dłuższe wyjaśnienia.

- „Znamienne” znaczy „ważne” albo, w tym przypadku, „niezwykłe”. Zapamiętaj sobie to słowo, bo mogę się nim ponownie posłużyć. Zapamiętaj wszystko, co ci się wyda niezwykłe, a jutro rano mi o tym powiesz.

- Ale jak będzie pogoda, mogą tu dawać rano przedstawienie kukielkowe. A ja strasznie lubię kukielki!

Dobry Boże. Czyżby wszyscy je lubili? Co też się z tym światem wyrabia!

- No, to pogadamy sobie po przedstawieniu kukielkowym - westchnął Chase.

Oczekiwanie na wieści od Rozalindy nie pozwoliło Chase’owi długo spać. Tego ranka zszedł, wręcz zbiegł po schodach, tak wcześnie, że wzbudził popłoch wśród służby. To nie był ten sam ponury, utykający kapitan Eversea. Gdyby im powiedział, że to

wszystko z powodu pewnej kobiety, z którą - ma nadzieję - wybierze się do burdelu, bez wątplenia służące i służący przeżegnaliby się znakiem krzyża.

A może i nie? Większość służby pracowała u jego rodziny od dziesięcioleci i zapewne mało co mogło ją zdziwić. Ale wezwanie od Rozalindy nie nadeszło. Chase, zrezygnowany, wyszedł na miasto sam.

Dzień był naprawdę ładny - jeśli można tak nazwać duszny upał bez żadnej deszczowej chmury na widnokręgu, wietrzyk przywodzący na myśl czyjś smrodliwy oddech i grubą warstwę kopcia przesłaniającą żółtawe londyńskie niebo. Brudnożółty kolor był barwą Londynu. Błękit zaś cechował Sussex, jeśli nieba nie zakrywały mgła albo ciężkie deszczowe chmury.

Korciło go, by powiedzieć Rozalindzie, jakim poświęceniem z jego strony jest przyglądanie się przedstawieniu kukielkowemu. Nie miał jednak odwagi wyjawic jej, że - jak sądził - lalki zwracają się bezpośrednio do niego, być może mówiąc mu coś o malowidle w Montmorency Museum.

Rozradowany tłumek zebrał się już na skwerze. Chase wyciągnął szyję: istotnie, marionetki podrygiwały na miniaturowej scenie, niczym widziany kiedyś przez niego człowiek, który wił się w konwulsjach, rażony piorunem.

Widok marionetek był równie odstręczający.

Tylko konieczność dowiedzenia się czegoś, co mogłoby pomóc Rozalindzie, zmusiła go do podejścia bliżej. Nie dostrzegł w tłumie

Liam, ale chłopiec miał prawdziwy talent do zlewania się z otoczeniem, zwłaszcza gdy otoczenie było brudne tak jak sam łobuziak.

Słyszał piskliwe głosy marionetek, wznoszące się crescendo - bez wątpienia lalki mówiły jakiś żart - a potem rozległ się gromki śmiech widzów.

Ujrzał wśród nich znanego mu już jegomościa i zaczął torować sobie do niego drogę łokciami, używając rękojeści laski do poszturchiwania ludzi w tylną część ciała, jeśli nie chcieli się przed nim cofnąć. Wzruszał ramionami, gdy go piorunowali wzrokiem, i nadal przepychał się przez tłum, ostentacyjnie i przesadnie kulejąc. Bezwstydne postępowanie, ale dzięki temu szybko dotarł do celu.

Znalazł się tak blisko kukiełek, że widział ich pomalowane na turkusowo oczy, spoglądające to tu, to tam. Przysięgłby, że marionetki wypatrują właśnie jego. Czy te przychodzące mu do głowy myśli oznaczają, że powinien pić więcej? A może mniej?

- O, pan Charles!

- Witam, panie Martin. - Chase dotknął róna kapelusza.

Martin, bez nakrycia głowy, skinął mu nią życzliwie i podał jabłko. Było to wczesne jabłko - nieduże, bladożółte, o pięknym kształcie, z rumieńcem. Chase pomyślał o Rozalindzie, o koniuszkach jej uszu różowiących się z gniewu i o twarzy zarumienionej w przyływie pożądania. A także o jej gładkich, małych i krągłych niczym jabłko pośladek, które tak znakomicie pasowały do jego dłoni. Ujął owoc z przyjemnością i powoli zacisnął na nim palce.

Kusiło go, żeby na chwilę przymknąć oczy i wyobrazić sobie to, co kazało mu spędzić bezsenne większą część nocy. Gładkie jak brzoskwinia pośladki, jędrną skórę.

Och, Rozalindo.

Podejrzewał, że skazany jest odtąd na dostrzeganie jej we wszystkim. W jabłkach. W plecach kobiet stojących wśród tłumu. W kształtach chmur. W kiczowatych malowidłach. W barwie zieleni.

Ale zapewne nie w marionetkach.

- Dostałem je od straganiarza na Black Cat Lane. Pochodzą z Worcester.

Chase wziął w końcu owoc z czystej uprzejmości. Martin przyglądał mu się, jak odgryza kęs. Chase musiał przyznać, że jabłko jest naprawdę doskonałe. Gdyby opadło później, byłoby zbyt słodkie, teraz zaś w jego smaku idealnie równoważyły się słodycz i kwaskowatość.

I znowu przyszła mu na myśl Rozalinda.

Trzymał kęs jabłka w ustach i smakował je. Przypomniały mu się stary sad we włościach rodziny Eversea i farma, gdzie teraz gospodarzył Colin. Wczesną jesienią wozy wypełnione szarymi renetami jechały do Londynu, aby tam jabłka sprzedawano takim ludziom, jak Martin. Chase, wychowany w majątku ziemskim w Pennyroyal Green, nieźle znał się na gospodarowaniu.

Z pewnością jednak nie tak dobrze, jak teraz Colin. Ale rodzina Eversea miała farmerstwo we krwi, podobnie jak hultajstwo. Ciekawe, jakim gospodarzem by się okazał, gdyby się zajął farmerstwem.

- Dziękuję. Bardzo smaczne - pochwalił.

Podał owoc Martinowi, któremu ta opinia wyraźnie pochlebiła, ten zaś zjadł łapczywie resztę jabłka i rzucił bez skrępowań ogryzek za siebie.

Usłyszeli odległe „au!” Martin miał naprawdę mocne ramię.

- Był pan żołnierzem? - spytał Martin, nie patrząc na Chase'a, i prysnął sokiem z jabłka, na szczęście nie na Chase'a, ale na resztę tłumu. Nie chciał stracić ani momentu z przedstawienia.

- Tak - odparł zwięźle Chase.

Nietrudno się było tego domyślić po jego wieku i utykaniu.

- A ja robię w dokach. Rozładowuję statki, kiedy tu przyływają z Ameryki, Indii i innych krajów.

- Odpływam do Indii za tydzień.

- A to dopiero. - Martin był zaintrygowany.

- Zatrudniła mnie Kompania Wschodnioindyjska.

- A tak, jej statki tu przybijają, a potem stąd odpływają. Przez całe lata. Jeden akurat stoi w porcie.

- „Śmiałek”. Odpływam na nim.

- O, właśnie ten - potwierdził Martin. - Życzę panu szczęścia.

- Czy kukielki śpiewały już tę piosenkę? - Chase nie musiał wyjaśniać jaką.

- Nie. - Martin spojrzał w niebo, może po to, by zorientować się, która godzina. - Tylko raz słyszałem, jak ją śpiewały. O, patrz pan, znów puszczają ten kapelusz między ludzi. - Martin wspiął się na palce i rozejrzał. - Oj, na dziś to koniec, potem już ich nie będzie.

Założę się, że nie mogą tu sterczeć cały dzień. Muszą sobie znaleźć nowych widzów. Słyszałem, jak ludzie mówili, że przez jakiś czas będą grać w Covent Garden, a także w Grays Inn.

A więc zapewne to tylko kwestia przypadku, że kukły śpiewały piosenkę o Colinie, gdy on stał z tyłu i słuchał.

Ulżyło mu.

Nagle w tłumie widzów wzrosło podniecenie i wszyscy wokół niego zaczęli pomrukiwać, łapiąc sąsiadów za ręce w pełnym napięcia oczekiwaniu. Najpewniej lalki postanowiły raz jeszcze zaśpiewać popularny kawałek.

*Słuchajcie, ludziska Jeżeli sądzicie, że nie są wam znani Tego Colina hultajscy kompani, To tutaj sobie na nich popatrzycie. Łobuzy, dranie z nich przez całe życie, Lecz do historii przejdą, jak Bóg miły!*

Piosenka o Colinie to jedno, ale znieważanie całego jego klanu to co innego. Obojętne, czy piosenka miała jakieś zalety czy nie. Niewątpliwie jednak jakieś miała.

Chase obrzucił pełnym nienawiści spojrzeniem scenę, na której marionetki z satysfakcją uwłaczały jego rodzinie, a tłum słuchał tego z zadowoleniem.

- A to dopiero hultaje! - mruknął z entuzjazmem Martin, wspinając się na palce. - Ci Eversea to nieźle sobie używali!

Tłum, czego można było oczekiwać, domagał się bisu. Rozległy się donośne brawa.

Lalkarz poczuł się zobowiązany i zabrzmiała kolejna piskliwa piosenka, ale tym razem marionetki kołysały się w znacznie wolniejszym tempie.

*Georgie Porgie, ten bezwstydnik, Dziewczyny całuje. Chociaż gorzko wtedy płaczą, Żadnej nie daruje. W mroku nocy, po północy, Gdy człek spać się kładzie, Lordowie hulają rażno W pijackiej gromadzie. Anioł nie chce na to patrzeć I oczy zamyka,*

*Kiedy każdy gdzieś z dziewczyną Po kryjomu znika.*

Chase znieruchomiał. Było to zagadkowe, przerażające, miało świadomie zaintrygować... no i znów pojawił się w piosence ten przeklęty anioł!

Lalki intrygowały Chase'a, co budziło w nim złość.

Odwrócił się na pięcie i z irytacją ruszył w przeciwnym kierunku, niedbałym ruchem przykładając dłoń do kapelusza gestem pożegnania z Martinem, zaskoczony jego nagłym odejściem.

Nie mógł jednak przedzierać się przez ciżbę tak energicznie, jak to robił na balu u Callendera. Tłum delektował się rozrywką i ludzie byli nastawieni wrogo do kogoś, kto im choćby przez moment przeszkadzał w oglądaniu przedstawienia.

- Kapitanie Eversea! - pisnął cienki głosik gdzieś na wysokości jego biodra.

- O Boże!

Liam był zachwycony, że udało mu się przestraszyć Chase'a.

- Skąd wiesz, że jestem kapitanem? - spytał z rozdrażnieniem Chase.

- Lady mi powiedziała. Znaczy się pani March. I kazała do pana mówić „kapitanie”, nie inaczej.

- Naprawdę dodała „nie inaczej”? - Zaciekawilo go to.

- Nie, ale mogła dodać, bo to pasuje do pana. - Liam był wręcz uosobieniem podziwu.

- A jakbyś się do mnie zwracał przedtem?

Liam zaniemówił. Najwyraźniej podziwiał spryt Chase'a. Nie mógł jednak oskarżać samego siebie.

- Daj spokój, Liam. Nie tylko służyłem w armii, ale byłem też kiedyś chłopcem, miałem trzech braci i mam nad tobą przewagę pod każdym względem.

- No, może i tak.

Chase'a rozbawiło to ustępstwo.

- Podobają ci się marionetki? - zagadnął.

- Czy to o panu śpiewają? - spytał domyślnie Liam i już otwierał usta, żeby zanucić: *Słuchajcie, ludziska...*

Chase spojrział na niego tak groźnie, że chłopiec natychmiast zamilkł.

- Masz mi coś do przekazania, Liam?

- Tak, kapitanie. Sześciu tam weszło. Same chłopcy, bez żadnej damy. A tylko trzech stamtąd wyszło. Ale ci, co wyszli, to nie byli ci, co weszli.

Co się tam, u diabła, działo?

- Jesteś całkiem pewien? - odezwał się surowo.



Przecież oglądał to muzeum! Bardziej przypominało mauzoleum, choćby z powodu panującej tam głuchoj ciszy. No i nie wystawiono w nim szczególnie ciekawych eksponatów. Powinien razem z Rozalindą jeszcze raz pójść do tego muzeum i przekonać się, co tam się właściwie dzieje. Po zapadnięciu ciemności.

Perspektywa robienia czegokolwiek z Rozalindą po zapadnięciu ciemności przyprawiła go o przyjemny dreszczyk podniecenia.

- Czy rozpoznałeś kogoś z tych dzisiejszych gości, Liam? Był wśród nich Callender? Ireton?

- Nie. I dostałem tylko pół pensa - odpowiedział Liam z żalem i bardzo serio. - Od jednego, co odjechał dryndą.

- Dobra robota, Liam.

Malec się rozpromienił.

- Dziękuję, kapitanie Eversea - odparł z powagą.

Chase wyjął szylinga i uniósł dłoń do kapelusza, lekko kpiącym gestem.

- Dziękuję ci.

Pomyślał też, że mógłby pójść aż na Black Cat Lane i spróbować tam znaleźć dorożkę. Liam najwyraźniej nie uznał, że „dziękuję ci” jest synonimem „do widzenia”, choć Chase miał taką nadzieję, i włókł się nadal za nim.

- Moja siostra nie wróciła do domu na noc - powiedział jakby od niechcienia.

Chase'owi ciarki przeszły po grzbiecie.

- Gdzie ty masz dom? - spytał bez namysłu.

- Nad tamtym sklepem. - Liam wskazał na budynek za skwerem tak niezdecydowanym ruchem, że Chase z miejsca poznał się na kłamstwie.

Nadal szedł przed siebie, ale zaczął go ogarniać dziwny niepokój. Nie chciał więcej myśleć o chłopcu. Liam wciąż jednak biegł za nim.

- Czy ona zawsze wraca do domu na noc? - Zaczął się obawiać, że siostra Liama trudni się prostytutką.

Był zirytowany tym, że się w ogóle czegoś obawia.

Chłopiec wzruszył ramionami. Chase utkwiał w nim wzrok. Nie chciał go wypytywać, lecz nagle zrozumiał, że nie jest w stanie tego nie uczynić. Może dlatego pytanie zabrzmiało ostrzej, niż zamierzał.

- Jak twojej siostrze na imię?

- Hortensja.

Chase westchnął.

- Przecież to nieprawda.

- Prawda! - upierał się Liam, stając na rozstawionych szeroko nogach, jakby chciał się oprzeć mocnemu przeświadczeniu Chase'a.

Chase nadal przeszywał go wzrokiem.

- Na imię jej Meggie - zreflektował się Liam. - Ale ja bym chciał, żeby nazywała się Hortensja. Jak to ładnie brzmi, no nie? Hortensja, Hortensja, Hortensja!

Przy każdej kolejnej sylabie imienia podskakiwał na bruku.

- Liam, przestań! - Chase musiał mu przerwać, bo inaczej chybaby zwariował.

- Tak, kapitanie Eversea.

- Martwisz się o siostrę?
- Nie. Ona jest gruba i zła.
- Naprawdę?

Liam zamilkł. Skakał po kocich łbach i zastanawiał się, co powiedzieć.

- Wygląda całkiem jak moja mama.
- A twoja mama...
- Nie żyje - przyznał Liam z niejaką rezygnacją.
- Tak? Bardzo mi przykro.

Liam nie odpowiedział. Wykonał jeszcze kilka skoków, po prostu po to, żeby zaznaczyć swój bunt.

- A ojciec?

Liam znów wzruszył ramionami.

- Masz jakieś nazwisko?
- Plum.

Mogło to być prawdą, ale niekoniecznie.

- Czy Meggie naprawdę jest gruba i zła?
- Nie - przyznał po chwili Liam. - Całkiem miła. Ładna. Tak jak pani March.

Chase w to wątpił. Pani March stanowczo była dla niego niedoścignionym ideałem piękna, nie dyskutował więc dalej na ten temat.

- Gdzie, jak sądzisz, może być Meggie?

Liam się zawahał. Dziwnie błysnęły mu oczy.

- Ona wróci - powiedział cicho, z pełnym przekonaniem, lekko się uśmiechając.

Jakby mógł polegać tylko na sobie, gdy nie ma Meggie. Chase się zniecierpliwiał. Narastała w nim irytacja. Zamilkł. Zapadło lodowate milczenie. Jego wzburzenie wywołał nie chłopiec, ale cały świat jako taki. I to, co uchodziło za sprawiedliwość, i komplikacje, które spotkał na swej drodze, dwa tygodnie wcześniej. Nim zostawi i tego chłopca, i Rozalindę, i rodzinę, i kraj daleko za sobą. Nie chciał się o nic i nikogo troszczyć. Troszczenie się sprawia same kłopoty. Dusza go bolała jak nieużywany długo mięsień.

- Czy to nowa koszula?

- Pan też ma oko do detali, kapitanie Eversea. Kupiłem ją za pensa od pani Bandyross. Chciałem mieć podobną do tej, co pan ją ma na sobie.

Była o wiele za duża na Liama, ale porządna i czysta. Chyba dlatego mogła uchodzić za podobną do jego koszuli. Chase sądził też, że pochodziła z kradzieży, bo wszystko w Londynie można było z korzyścią ukraść, wymienić, sprzedać i kupić. Nie chciał wnikać w to, kim jest owa pani Bandyross. Najpewniej paserką. Jeśli nawet koszula była czysta, to twarz chłopca ani trochę.

- Liam, czy nie zechciałbyś się umyć?

- A co, nie jestem czysty? - Malec wydawał się zaskoczony.

Jak Chase miał odpowiedzieć na podobne pytanie?

- Niezupełnie.

Liam zrozumiał, o co chodzi.

- Ale zaraz znów się zabrudzę. A woda ze studni jest do picia, nie do mycia. No i na herbatę, jak się ma herbatę. Kiedy Meggie przyniesie trochę forsy do domu.

- A gdyby Meggie nie wróciła do domu?

Chase spojrzał na Liama i na myśl o tym przejął go lęk. Wiedział, że Liam czuje to samo. Dzieci mają dar wyobrażania sobie rzeczy niepojętych, ale i dar nadziei. Ale świat pozostawał obojętny wobec takich jak Liam i Meggie. Jeśli nikt nie stanie między Liamem a tym światem, dziecko przepadnie z kretesem. Obok akurat przejeżdżała dorożka.

Chase ją zatrzymał. Wręcz desperacko zapragnął wiedzieć, czy w domu czeka na niego wiadomość od Rozalindy i czy będzie jej w stanie pomóc. Czy będzie użyteczny.

Żeby nie miała takiego zgnębionego spojrzenia.

- Idzie pan do pani March? - spytał nieśmiało chłopiec, skrobiąc się brudnym palcem stopy po brudnej łydce.

- Ach, więc ci się przedstawiła? Powiedziała, jak się nazywa?

- Pogadałem sobie z nią parę dni temu - odparł Liam, gdy Chase wsiadał do dorożki. - O panu! - I na moment uczeplił się jej z tyłu, wyłącznie dla czystej satysfakcji bycia urwisem.

Potem zaś zeskoczył. Jego drobna postać stawała się coraz mniejsza, a uśmiech coraz mniej wyrazisty, gdy Chase oddalał się stamtąd w dorożce, jadąc do domu.

Rozalinda, wchodząc na skrzypiące schody domu publicznego, czuła się tak, jakby to wszystko rozgrywało się w nierealnym świecie.

- Rozzz... pustniica - zdawały się poskrzypywać stopnie.  
Rozpustnica.

Chase szedł za nią. Bez wątpienia wpatrzony w jej pośladki.

Zdążyły minąć zaledwie dwa dni, odkąd po latach ponownie spotkała Charlesa Eversea, a ona najpierw posłusznie rozstawiła nogi nieco szerzej, żeby mógł się z nią do woli zabawiać za regałami bibliotecznymi, a potem odrzuciła propozycję małżeństwa, która mogła uratować jej honor zarówno w oczach własnych, jak i jego.

Teraz, wspinając się po skrzypiących schodkach burdelu, podczas gdy dziesięć par damskich oczu obserwowało ją z zaciekawieniem, uznała, że naturalną kolejną rzeczą bnie w to wszystko coraz głębiej. Przedstawiono ją nawet jakiejś kobiecie, zwanej Księżną.

Księżna zaś, co było upokarzające, spojrzała na nią, a potem na Chase'a, i rzekła:

- Ostatnio nam tutaj brakuje raczej mężczyzn, a nie dziewcząt, po cóż więc przyprowadza pan ze sobą własną?

„Przyprowadza własną!” Jakby tu przysła na swawole! Chase okazywał całkowitą pewność siebie i czuł się w tym miejscu bardzo swobodnie.

- Dzisiaj płacę za uprzejme pozwolenie rozejrzenia się tutaj i porozmawiania. Chodzi mi o wiszące tutaj obrazy. Ciekawi mnie, czy jest wśród nich płótno Rubinetta?

- Kim u diabła jest Rubinetto? - Księżnę pytanie Chase'a niewątpliwie rozbawiło. - Obawiam się, że nasze obrazy to żadne wybitne dzieła. Wątpię, czy niektóre są w ogóle podpisane. Zawdzięczamy je kilku artystom, zwłaszcza jednemu. Od czasu do czasu prehandlowuje je tutaj, a żadna z dziewcząt się temu nie sprzeciwia, bo jest miły i bynajmniej nie zachowuje się niewłaściwie.

- Handel wymienny to dobra angielska tradycja - zakpił Chase. - Przepraszam, Księżno, nie chciałem, żeby... zabrzmiało to niestosownie.

- My się szcycimy naszą niestosownością, kapitanie.

- Czy mojej znajomej wolno będzie rzucić okiem na jedno z tych malowideł?

- Rzucić okiem? - Księżna uniosła brwi z niedowierzaniem, a twarz Rozalindy rozgorzała od rumieńców jeszcze bardziej.

- Tak. Czy ten pokój jest teraz zajęty?

- W tej chwili nie, ale powinien się pan szybko uwinąć z tym patrzeniem na obraz, bo coś mi się zdaje, że Amanda i pan Lavay będą zaraz chcieli się tam udać, żeby... go pooglądać.

Weszli zatem na górę.

Pierwszą rzeczą, jaką Rozalinda dostrzegła, było oczywiście łóżko. Kapa z blad różowego aksamitu okrywała cudownie miękki materac, a stos puszystych poduszek piętrzył się w zagłówku.

Nerwowo przełknęła ślinę.

- To tu - powiedział stłumionym głosem Chase.

Nie musiała śledzić gestu jego ręki. Od razu spostrzegła obraz nad łóżkiem.

Nie mogła oderwać od niego oczu.

Jakiś dżentelmen - bo zapewne był to dżentelmen, skoro miał tyle pieniędzy, żeby za coś podobnego zapłacić - leżał rozwalony na sofie, z kolanami podciągniętymi do góry; wielkie, owłosione nogi szeroko rozstawił, ręce trzymał z tyłu ciała, i przewracał oczami, najwyraźniej doświadczając błogostanu. Miał kędzierzawą czuprynę a la Byron. Między jego nogami klęczała zaś anielica. Była naga pod cieniutką przezroczystą szatą, która niczego nie zasłaniała. Nachylała się skwapliwie nad mężczyzną. Trzymała w ustach jego ogromny organ. Rozalinda straciła oddech.

Nie wiedziała, czy jej płuca w ogóle działają. Nagle poczuła, że każdy skrawek jej ciała przenikają żar i dziwne napięcie.

- Rozalindo...

Drgnęła, ale się nie odwróciła. Boże, jak cichym i miękkim głosem to powiedział. Jakby przeciągnął końcem języka po jej karku.

- Ja... ja... - jęknęła schrypniętym głosem.

Nie mogła mówić. Nie mogła oderwać wzroku od tego, co widziała. Zdołała tylko przetrzeć oczy i poszukać podpisu autora. Nie było go. Skierowała znów spojrzenie na najciekawszy fragment malowidła.

- Rozalindo...

Nie mogła się jednak odwrócić, bo widząc Chase'a, straciłaby zmysły i nawet by zemdląła, pierwszy raz w życiu. Zamknęła oczy.



- Czy jest pani zaszokowana? - spytał półgłosem.

Wydawał się zaniepokojony.

Była jednak pewna, że ujrzałyby znów ten diabelski błysk w jego oczach, gdyby w nie spojrzała.

- Oczywiście... że nie. - Głos jej wciąż brzmiał słabo, ale zdobyła się na udawanie obytej z takim widokiem. - Już coś takiego wcześniej widziałam.

Dobry Boże. Gdzież mogła coś podobnego widzieć?

Rozalinda zateśniła nagle za swoim hiszpańskim szalem, który - o gdybyż tylko! - mógł ją uczynić niewidzialną. Chase powinien był ją uprzedzić, co zobaczy na tym malowidle. A teraz mówi jak ktoś przyzwoity. Co za podły człowiek!

- Och, naprawdę pani widziała?

Poczuła ucisk w gardle.

- Czy to naprawdę... - Nie udało się jej dokończyć zdania.

Odwróciła się, jakby dzięki energii własnych słów.

- Czy to naprawdę aż tak nadzwyczajne doznania, jak zdaje się sugerować ten obraz?

Teraz jemu zabrakło słów i przez chwilę patrzył na nią z półotwartymi ustami.

Zamknął je w końcu, a potem wyjąkał z niedowierzaniem:

- Czy pułkownik nigdy nie prosił, żeby pani... to znaczy czy pani nie...

Jakże zdoła znieść ten rumieniec, który ją w tej chwili pali? Nic nie odpowiedziała.

- Czy on nie... - Chase również był zaszokowany.

Śmieszne, że go to mogło szokować. Wiedziała, że jej milczenie odpowiedziało mu już na wszystkie pytania.

- Owszem - powiedział w końcu, całkiem spokojnie - to naprawdę jest coś tak nadzwyczajnego, jak pani może sobie wyobrazić na podstawie tego malowidła.

Milczała.

- Och - bąknęła wreszcie niewyraźnie.

Trudno jej było silić się na niewymuszony ton, kiedy na nią w ten sposób patrzył, a te jego oczy, ręce, ciało, usta... usta...

Ciekawość wraz z podnieceniem wzięły górę nad rozsądkiem i zażenowaniem.

- Ale czyż żonaci mężczyźni i zamężne kobiety...

- Och, bez wątpienia, Rozalindo - odparł z miejsca. - Nie tylko w burdelach tak bywa.

Nie dodał „to coś całkiem zwyczajnego, ty nieszczęsna, niedoświadczona gąsko”, ale sądził, że domyśliła się tego sama.

Przez chwilę przetrawiała tę niesłychaną informację.

- Czy mam pani opisać, co się wtedy czuje? - jego głos docierał do Rozalindy jakby z wnętrza niej samej.

Czuła go na swojej skórze, jakby to były ręce, a nie głos. Powinna była odpowiedzieć „nie”, ale kiwnęła głową, nieświadoma tego, co czyni.

- No cóż, tego się doprawdy nie da opisać. Ta cudowna wilgoć i ciepło kobiecych ust dotykających... ehm... i ssących... i lizących...

Mówił powoli, przeraźliwie powoli. Najwyraźniej dawał jej czas, żeby sobie mogła to wszystko wyobrazić.

- Doznaje się absolutnego zapomnienia i... i... no cóż, błogości, jak mówią poeci, dodał z diaboliczną wprost zachętą.

Nie spuszczał z niej wzroku.

Patrzyła wręcz zahipnotyzowana, jak jego usta wypowiadają słowa „wilgoć”, „ciepło”, „ssanie” i poczuła, że słabnie z fascynacji, a niektóre części jej ciała zaczynają pulsować i wilgotnieć, choć on nie wymienił ich nazwy.

- Nie wiedziałam o tym - odparła w końcu, niemal ze smutkiem.

- No, a prócz tego, Rozalindo... - jego głos nabrał aksamitnej niemal miękkości i współczucia - niech pani sobie teraz wyobrazi, że anioł i dżentelmen zamieniają się miejscami...

Spojrzała na obraz i szybko odwróciła wzrok. Skierowała go ku stojącemu obok mężczyźnie. Dzięki samemu faktowi swego istnienia był o wiele bardziej erotyczny niż to malowidło.

- Czy ktoś w ogóle może... - jej głos zabrzmiał ochryple wskutek zdenerwowania - ...robić coś podobnego? - Spojrzała mu odważnie prosto w oczy. - To znaczy, że mężczyzna... kobiecie...

Stał się dużo dokładniejszy.

- Nie ma nic bardziej erotycznego od klęczenia między nogami kobiety, której się pragnie, i... smakowanie jej, lizanie jej... póki nie zacznie wic się i krzyczeć z rozkoszy. Ciepło, wilgoć, żar...

Mówił z całkowitym przekonaniem, tak dobrze jej znanym, i tonem, którym mógłby równie dobrze recytować listę wojennych

rekwizycji. Poczula nowy przyływ gorąca na skórze. „Zrób to ze mną”.

- Krzyczeć... z rozkoszy? - Rozalinda była pewna, że nigdy nie krzyczałaby w porywie namiętności.

Czy on mówił prawdę?

Oczywiście. Wiedziała o tym. Wiedziała, co czuła, gdy ją całował. Albo gdy się choćby znajdował blisko niej. Nagle ugięły się pod nią kolana. Zakryła twarz rękami, ale natychmiast je opuściła. Była zbyt dumna, żeby chować twarz. Wiedziała jednak na pewno, że pali ją rumieniec, że ledwie może mówić, a falująca gwałtownie pierś zdradza wszystko, co ona czuje. Dyszała ciężko, przytłoczona tą erotyczną edukacją. Zapadła cisza. Spojrzała jeszcze raz z ukosa na anioła.

- Rozalindo... - odezwał się łagodnie.

W jego głosie zabrzmiało pytanie. Jakby mu coś przyszło na myśl. Spojrzała na niego zgnębiona. Bała się tego, o co miał ją zamiar spytać.

Teraz i on odchrząknął. Miał twarz pozbawioną wyrazu.

- Czy mąż... dawał pani to przeżyć?

- Oczywiście! - powiedziała z pełną zgorszenia lojalnością. - Co najmniej pięć razy, jeśli dobrze pamiętam.

Chase oniemiał.

- Pięć razy... podczas jednego...? - spytał, wyraźnie zgnębiony.

Zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc, o co ją właściwie pyta.

A potem wytrzeszczył oczy, twarz mu się rozjaśniła i kiwnął lekko głową, jakby coś stało się dla niego jasne.

- Aha...

Przez krótką chwilę wyglądał na zmartwionego. Wyraz jego twarzy stał się zagadkowy.

A ona też zrozumiała i był to dla niej lodowaty wstrząs.

- Czy można to... czy ja...

- Za... każdym... razem - odparł stanowczo. - Jeśli się to robi, jak należy. Niekiedy częściej niż jeden... hm... raz. I jest mnóstwo sposobów, żeby...

Dosyć, dosyć.

- Jakich? - wymknęło się jej, wbrew woli. - Jakie są te sposoby...

Ona знаła tylko jeden. Najwyraźniej jej mąż także.

- Sam nie wiem, od czego zacząć. Górą, dołem, pionowo, poziomo, od tyłu, od przodu, od niewłaściwej strony, na ukos, nago, częściowo w ubraniu...

- Od niewłaściwej strony?

- Chciałem się przekonać, czy pani słucha. Można nawet robić to samemu.

Domyślała się tego. Przecież prawie dała mu się uwieść za bibliotecznym regałem.

- Ja...

- Rozalindo...

Spojrzała na niego.

- Byłbym rad, mogąc je wszystkie zademonstrować. Zasługuje pani na to, żeby je poznać.

Słowa jego zabrzmiały jak czuła kołysanka. Nogi się pod nią uginały, a łóżko, na które on zerknął, wręcz kusiło, by się na nim wyciągnąć.

Cisza, jaka między nimi nastąpiła, była gęsta niczym aksamitne kotary łoża w Montmorency Museum.

- Jeśli pani chce, Rozalindo, proszę sobie wyobrazić, że to łożo Henryka VIII. Albowiem wyobraźnia również odgrywa tu rolę.

- Skąd... skąd pan wie? - wyszeptała, przejęta lękiem.

- Zaskoczyłaby panią moja wiedza.

On też teraz mówił szeptem.

- Wątpię.

Uśmiech Chase'a stał się przewrotny.

Zacisnęła mocno powieki. Tego już było za wiele. Nieraz zdarzało się jej podsłuchiwać żołnierzy rozprawiających w wulgarny sposób o miłości cielesnej i nie przejmowała się tym nadmiernie. Nie była przewrażliwiona. Tylko że wszystko to było raczej... zbyt niedwuznaczne, te prowadzone żargonem rozmowy o piersiach, o penisach, o aktach seksualnych i tym podobnych rzeczach. Wojsko jest stanowczo czymś bardzo przyziemnym.

Ale to... to było jak wniknięcie w świat równoległy do tego, w którym żyła, rządzący się własnymi regułami, prawami, mający odrębny język. Stało się dla niej jasne, że w zmysłowości kryją się

zagadki, w które Chase chętnie by ją wtajemniczył. Była zdenerwowana, w jej głowie panował chaos, czuła gniew.

Wiedziała, że on celowo mówi z nią tak bezpośrednio, żeby stopniała jej rezerwa. Z jego strony było to bardzo nie fair, skoro wiedział, co może z nią zrobić, tylko raz jej dotknąwszy.

Ale prawdę mówiąc, chętnie by się mu dała wtajemniczyć. Dopiero teraz zrozumiała, ile straciła i jak wiele musiała poświęcić, nigdy nie doświadczając tego, o czym Chase jej mówił.

A on chciał, żeby tego doświadczyła.

Nabrała tchu.

- Dziękuję panu za otwartość - powiedziała chłodno.

Ucieszyła się, że wyraźnie go to zaskoczyło. Odwróciła się ku drzwiom i rzuciła przez ramię:

- Z pewnością jest to ten sam anioł.

Księżna wyjrzała, gdy skrzypienie stopni oznajmiło jej, że już wracają.

- Czy zobaczył pan to, co chciał? - spytała.

- Poniekąd - stwierdził Chase, dostrzegając, że Rozalinda patrzy na niego zwięzionymi oczami. - Ten anioł na górze ma, po prostu, nieodparty urok.

Zszedł za nią, patrząc na jej kołyszące się powabne pośladki, i pożałował swojego niedawnego zachowania i słów. Uczynił to wszystko z premedytacją i nie w porę, i zgoła niehonorowo.

Przyszło mu na myśl, że można coś zrobić nie w porę, gdy się zanadto tego pragnie.

- Ach, tak. Rozumiem dlaczego - odparła Księżna. - Ten anioł natchnął wielu dżentelmenów do wielkich czynów i jestem przekonana, że sama jego obecność rozbudza w nich różne przyrodzone pragnienia, biorąc pod uwagę to, co on czyni na obrazie z ich przyrodzeniem. Choć muszę przyznać, że nie zawsze tak bywa - dodała.

Najwyraźniej Marie-Claude powiedziała Księżnej, że nie sprostał jej oczekiwaniom.

- To malowidło - dodała - i tamto drugie nad sofą, z leżącą dziewczyną, są dziełami pana Wyndhama.

Wyndham? Chase nigdy w życiu nie słyszał o takim malarzu.

- Czy chciałby pan zainwestować pieniądze w sztukę erotyczną, kapitanie?

- Być może - odparł. - Czy wie pani, gdzie on mieszka? Chętnie byśmy sobie z nim pomówili o tym jego dziele.

- Mieszka i pracuje przy Bethel Street, nad lataczem starego obuwia, jak mi się zdaje. Chyba nie ma wielu takich szewskich warsztatów na tej ulicy.

- Bardzo dziękuję. A jak pani idą interesy?

- Trochę lepiej, od czasu gdy pewien amerykański statek i „Śmiałek” stanęły w porcie. Jak rozumiem, utracimy pana właśnie z powodu rejsu na „Śmiałku”. Ten krępy jegomość tam przy kominku to pierwszy oficer amerykańskiego statku, pan Lavay. Postanowił wydać tu wszystkie pieniądze, a my go do tego szczerze zachęcamy.



- Miło mi słyszeć, że interes kwitnie. Prześlę Kinkade'owi pozdrowienia od pani, a zwłaszcza od Marie-Claude.

- Dziękuję za inicjatywę, kapitanie Eversea. Wyczekujemy jego powrotu.

Jeśli nawet zauważyła, że Kinkade sam nie przesłał jej pozdrowień, to nie dała tego po sobie poznać.

- Czy na pewno nie skusi się pan na pozostanie u nas, kapitanie Eversea? - Oczy Księżny biegały od Chase'a do Rozalindy i z powrotem tak szybko, jakby były kulami bilardowymi.

- Z pewnością skusi mnie pani do tego kiedyś, ale obawiam się, że nie dzisiaj.

Z miejsca zrozumieli obydwójce, że należy porozmawiać z panem Wyndhamem. Wiedzieli, że artyści najczęściej żyją na poddaszach, bo wtedy mniej płacą za czynsz. Ten nawet mieszkał w niezłej dzielnicy Londynu, rzeczywiście nad szewcem. Gdy się wspinali po schodach do drzwi wejściowych, usłyszeli stukot szewskiego młotka świadczący o sporządzaniu lub naprawie buta.

Otworzyła im drzwi pyzata kobieta z gniewną miną i włosami nakrytymi lichą chustką, uzbrojona w miotłę, którą można było łatwo pomylić z piką.

- Jest na górze - powiedziała i gestem podbródka wskazała piętro.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzeli w zalanym jasnym światłem pomieszczeniu, było malowidło ukazujące ponadnaturalnej wielkości różowokremowe kobiece ciało. Wyraźnie świadczyło o entuzjzmie, z

jakim artysta potraktował model - leżącą nagą kobietę - mniej zaś o subtelności pędzla.

- Zamówił to pewien hrabia. Ogółem biorąc, nie jest to jakiś wybitny obraz - rzucił przez ramię artysta, najwidoczniej Wyndham we własnej osobie.

Stał tyłem do nich, szukając czegoś wśród słoiczków z pigmentami, ustawionych rzędem na półce i opatrzonych starannie naklejonymi nalepkami z nazwami kolorowych proszków, gotowych do ucierania i wymieszania. Wreszcie odwrócił się ku nim, trzymając słoiczek z napisem „ugier”.

- Ale modelka jest piękna - stwierdził z uznaniem Chase.

Rosalinda odważnie spojrzała na płótno, starając się nie mrużyć oczu. Istotnie, kobieta robiła imponujące wrażenie: dwa razy większa niż w naturze, leżała rozparta leniwie na sofie i wydawała się złożona z samych krągłości. Miała okrągłe białe biodra, okrągły brzuch, obłe ramiona, ogromne piersi i bujne, kędzierzawe włosy na głowie oraz między udami - okaz klasycznej brunetki. Malowidło nie było zbyt staranne i bynajmniej nie sentymentalne.

Wyndham wydawał się wyraźnie ubawiony tym, że Chase nie zgodził się z jego opinią na temat obrazu.

- To kochanka pewnego bogacza.

- Szczęśliwy z niego człowiek.

Wymienili porozumiewawcze męskie uśmiechy. Rosalinda zaś starała się robić wrażenie osoby wyrafinowanej i znającej się nie tylko na sztuce.

- Nie zapracowuję się na śmierć. Żyje mi się dobrze, niezależnie od wszystkiego. Czasem jest lepiej, czasem gorzej, ale w sumie ujdzie.

- Tak się składa, że chciałbym u pana zamówić obraz.

- Co, zamówić obraz u mnie? Chyba musi pan chadzać do burdeli albo zamyślać o otwarciu własnego, panie...?

- Charles.

Wyndham obrócił się teraz twarzą do nich i bacznie im się przyglądał. Był człowiekiem chuderlawym, o bladej twarzy wskutek ciągłego przebywania w zamkniętym pomieszczeniu oraz, jak się wydawało, nocy spędzanych na rozpuście. Ubranie pstrzyło się od plam farb w żywych kolorach. Miał na sobie lnianą koszulę, luźną, rozpiętą pod brodą, z podwiniętymi rękawami.

Włosy, krótko ostrzyżone, żeby nie miała się ich farba, jak domyślał się Chase, były trochę ciemniejsze niż lisie futro. Jasne oczy - wąskie, błyszczące w świetle słonecznym, które zalewało pracownię - wydawały się rozbawione, choć był w nich cień znużenia. Nos musiał mu niegdyś ktoś złamać.

- Proszę mi wybaczyć - ciągnął, wybałuszając oczy. - Pytałem serio. Ciekaw byłem, gdzie pan widział moje prace lub też mógł o mnie słyszeć. Nie wiedziałem, że przyprowadził pan ze sobą... - malarz przyglądał się przez chwilę Rozalindzie, nim dodał - ...dame. Chociaż wątpię, czy zdołałbym być nieco mniej szczery w jej obecności.

Uśmiechnął się do niej i uklonił, a ona odwzajemniła uśmiech. Chase czuł, że nie odmówiłaby sobie lekkiego poflirtowania z tym artystą w rozmowie. Uznał zresztą, że żadna kobieta nie zdołałaby porozumieć się w inny sposób z tym człowiekiem.

- Czy to ma być towarzyska pogawędka? Hej, pani Pomfrey! - zawołał nagle w stronę schodów. - Proszę przynieść herbaty!

- Toć nie dostałam ani pensa, żebym mogła po nią pójść na targ, ty śmierdzący łgarzu! - rozległ się wrzask gdzieś z głębi domostwa. - Nie biorę herbaty na kredyt! Napij się twoich farb, jak cię suszy!

- Obawiam się, że nie mogę państwa poczęstować herbatą - stwierdził ze smutkiem Wyndham. - Ale mam tutaj... - rozglądał się po pracowni - ...brandy! - Spostrzegł ją wreszcie na półce pod oknem, wciśniętą pomiędzy słoiki z olejem. - Prezent od przyjaciela. A że jest on hrabią, brandy powinna się nadawać do picia.

Wytarł ręce w szmatę wetkniętą za pasek zbryzganych farbami spodni i zaczął szukać kieliszków. Gdy nie znalazł żadnych, wzruszył ramionami, uniósł butelkę do ust i upił z niej tęgi łyk, a potem podał ją Chase'owi. Ten również wzruszył ramionami i pociągnął z niej, a następnie chciał podać butelkę Rozalindzie.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Zwrócił zatem brandy Wyndhamowi, który postawił butelkę na stole. Stół zakołysał się, bo albo jedną z nóg miał krótszą od pozostałych, albo też podłoga na poddaszu była krzywa.

- A więc zna pan moje prace, sir. Gdzie je pan widział?

- W Aksamitnej Rękawiczce.

- Oczywiście, oczywiście. Jedna wisi nad sofą, a kilka innych w pokojach - potwierdził malarz.

- Na jednym z obrazów jest anioł... - Chase urwał.

- No, niezupełnie anioł - uściślił Wyndham - sądząc z tego, co robi.

Gdy obydwaj wymienili kolejny porozumiewawczy uśmiech, Rozalinda desperacko poszukiwała jakiegoś miejsca, na które mogłaby spokojnie spojrzeć. Wszędzie jednak widniały albo nagie kobiece ciała, albo lubieżnie uśmiechnięci mężczyźni.

- Jeśli widział pan moje anioły, to z pewnością był pan w burdelu - zgodził się z zadowoleniem Wyndham, a potem zaczął bez ogródek przypatrywać się Rozalindzie.

Odwzajemniła mu się tym samym.

- Założę się, że nic pan nie powiedział przyjaciółce. Proszę się nie obawiać. Między moimi dobrymi znajomymi jest mnóstwo takich. Czy chce pan, żebym ją namalował? Może ona by sama chciała pozować? Albo... już nic więcej nie powiem, ale niech pan mi wytłumaczy, dlaczego najwyraźniej zamożny mężczyzna zjawia się tutaj z piękną, o doskonałych manierach kobietą?

- Może pan przecież o to spytać mnie, panie Wyndham, skoro stoję przed panem. - Rozalinda potrafiła się postawić.

Malarz wydał się szczerze zaskoczony.

- Przepraszam, madame, ale ten rodzaj kobiet, które przychodzą do mojej pracowni w towarzystwie mężczyzn, zazwyczaj zostawia im

całą inicjatywę. Cieszyłbym się, gdybym wcale nie musiał z panią mówić. „Ten rodzaj kobiet”.

Stwierdzenie nie zabrzmiało zbyt mile, ale Wyndham powiedział to z rozbijającą dobroduszością. Z pewnością zdołałaby sobie poradzić w każdej sytuacji.

Chase polubił Wyndhama, bez żadnego szczególnego powodu prócz tego, że malarz wydawał się nie udawać nikogo innego. Chase miał jednak niezachwianą pewność, że nie pozwoliłby mu się nawet zbliżyć do którejś ze swoich sióstr.

- Podziwiamy pana technikę, Wyndham - powiedział uprzejmie. - Czy malował pan kiedyś inne obrazy niż te przeznaczone do burdeli? Sądzymy, że odpowiadałoby nam coś bardziej... pastoralnego. Stosowniejszego w naszej wiejskiej siedzibie. Księżna była pewna, że potrafi pan również malować coś innego prócz...

- Prócz cycków?

- Właśnie.

- Pastoralne... hm... - Wyndham przypatrywał się im uważnie. Zaintrygowany. Rozbawiony.

- Uwielbiam krowy - zaczęła pogodnie Rozalinda.

- O tak, uwielbia je - przytaknął Chase.

- Istotnie, malowałem raz krowy - przyznał Wyndham. I zamilkł.

Rozalinda czekała w napięciu, co teraz powie Chase.

Kilka dni temu, gdy Chase słuchał słów Colina, nawet mu się nie śniło, że będzie kiedykolwiek chciał rozmawiać o krowach. Teraz jednak musi zachować ostrożność. Wyndham nie był bynajmniej

głupcem i nie wyglądał na kogoś, kto się przejmuje, co inni o nim myślą. Niełatwo go było przestraszyć.

- Zapewne mógłbym na podstawie pańskiego pastoralnego obrazu lub jakiegoś mu podobnego ocenić, czy namaluje pan to, o co nam chodzi?

Chyba udało mu się odgrywać zarozumiałego snoba. Genevieve byłaby z niego dumna.

- Prawdę mówiąc, malowałem pejzaże dla hrabiego Rawdena, który zrobił z nimi nie wiadomo co, bo nigdy nie widziałem, żeby wisiały w jego domu. Namalowałem też inne, dużo większe i bardziej złożone dzieło, na którym widnieją krowy, ale nigdy nie spotkałem osobiście dżentelmena, który je zamówił. Na szczęście jednak zapłacił. Ktoś do mnie w jego imieniu przyszedł i prosił o namalowanie czegoś, co mogłoby uchodzić za obraz z czasów renesansu. Zaciekawilo mnie to bardzo. Powiedziano mi, że malowidło ma być przeznaczone dla bogatego klienta, którego kochanka jest po trosze snobką, ale nie zanadto wyrobioną, i nie pozna się na różnicy. Usłyszałem też, że otrzymam więcej zamówień, jeśli zachowam dyskrecję, bo klient nie chciał, żeby się dowiedziano, że usłyszał o mnie w Aksamitnej Rękawiczce. Pewnie jakiś żonaty facet. No więc namalowałem krowy, konie, cherubiny i wcisnąłem tam też anioła, bo mogłem to zrobić bez większego trudu, a on chciał jednego anioła. Zachciało mu się także, żebym domalował tam księżyc, a to też nie jest trudne. Czekał pan... - I Wyndham nakreślił w powietrzu krętą linię. - Czy o to panu chodziło?

Malarz całkiem dokładnie opisał mu obraz *Rubinetta* w Montmorency Museum. Chase wiedział jednak, że nie może spytać, czy Wyndham podpisał się pod tym obrazem nie swoim nazwiskiem. Nie chciał się zdradzić z tym, że ten obraz jest mu znany.

Było również możliwe, że Wyndham nie podpisał obrazu, a słowo *Rubinetto* domalował później. Zadał mu zatem pytanie, które dla Wyndhama z pewnością było zrozumiałe.

- Czy pańska dyskrecja zwiększa się wraz z ceną?

Wyndham odchylił głowę lekko w tył, doceniając ten gambit. Uśmiechnął się.

- Co pan ma na myśli?

- Dziesięć funtów.

- Zamówił go pan Welland-Dowd.

Chase utkwiał w nim wzrok. Wyndham uśmiechnął się szeroko.

- Mam moralność i lojalność godną bezpańskiego kota - wyznał. - No i muszę płacić mojej gospodyni.

- A pewnie, że musisz mi płacić! - kobiecy głos rozległ się gdzieś irytująco blisko, a energiczny szurgot miotły dobiegł od strony schodów.

- Załazi panu za skórę? - spytała Rozalinda słodko.

- Po prostu daje wyraz swojej sfrustrowanej miłości do mnie za pośrednictwem miotły - wyjaśnił przyciszonym głosem Wyndham.

- Nie wie pan przypadkiem, gdzie pan Welland-Dowd mieszka? Albo kim on jest? Chciałbym zobaczyć to malowidło. Chyba go zresztą gdzieś poznałem, bo nazwisko brzmi mi znajomo.



- Nie potrafię powiedzieć, gdzie mieszka, ale spróbuję go panu opisać. Szczupły, z ostrym nosem... choć to pasuje do połowy mężczyzny w Anglii... i zezuje, ale bystro patrzył za każdym razem, kiedy go tu widziałem, nie jestem więc pewien, czy to odpowiednia charakterystyka. Nie ubiera się w drogie rzeczy, a także niezbyt ciekawie. Granatowy surdut, buty nie od jakiegoś znanego szewca. Trochę nieśmiały, ogółem biorąc. Najbardziej mi się w nim podobało to, że miał przepastne kieszenie. - Wyndham przymrużył oko.

Na dole zadźwięczał dzwonek, rozległ się szelest miotły odstawianej do kąta, odgłos ociężałych kroków i drzwi się rozwarły z głośnym „bums!”

- Jakaś dziwka do ciebie, ty śmierdzący ciemniaku! - wrzasnęła gospodyni.

- Ciemniak! - mruknął Chase z przejęciem. - Rzadkie słowo.

- Ona przejawia iście szekspirowską wyobraźnię, jeśli ma pod dostatkiem trunku. Potrafi nieźle gotować, jeśli jest w domu coś do jedzenia, i trzyma dom w czystości, nawet jeśli się jej nie płaci.

- A która to dziwka, pani Pomf... - zawołał - ...och, dzień dobry, Minette! - zwrócił się do dziewczyny, której głowa pojawiła się u szczytu schodów. - Ona wcale nie jest dziwką - wyjaśnił Chase'owi i Rozalindzie - tylko modelką.

Minette szybko kiwnęła głową, potwierdzając te słowa, i dygnęła przed nimi z uśmiechem. Chase przyjrzał się jej dokładniej i odgadł, że stoi przed nimi anioł z Aksamitnej Rękawiczki i z obrazu Rubinetta. Ciekaw był, czy Rozalinda także ją rozpoznała. Rzuciła

okiem na biust i twarz Minette, a potem dojrzał w jej oczach błysk świadczący o rozpoznaniu.

A także o niezbyt życzliwej fascynacji.

- Czy mam płacić aniołom, czy też gospodyni? Jak tu wybrać, panie Charles? - spytał Wyndham, kłaniając się Minette i podając jej ramię.

Snuł się wokół niego jakiś szczególny zapach rozpusty: woń brandy, stęchłego potu, dymu z cygar.

- Byłbym za aniołami, panie Wyndham.

- Domyśliłem się tego.

Minette uśmiechnęła się czarująco do Chase'a. Rozalinda najwyraźniej nie miała zamiaru wybierać między aniołami a gospodyniami. Sprężyła się niczym kot gotów do ataku. Co było zresztą po myśli Chase'a. Wyjął z kieszeni dziesięć funtów - istną fortunę dla tego malarza - i mu podał.

- Dziękuję za konsultację, panie Wyndham.

- Niech mi pan da znać, na co się pan zdecydował z tymi krowami - powiedział Wyndham bez żadnej ironii. - Minette, moja droga, dzisiaj będziesz mi pozować jako syrena...

## 15

Zdołali obejść bokiem gospodynię z groźną miotłą i wyszli na zewnątrz, unikając jej pełnego złości spojrzenia.

- Do widzenia - powiedziała z niejaką godnością, ale za to trzasnęła za nimi drzwiami.

- Dom był idealnie wysprzątny - przyznał Chase, gdy schodzili po schodach.

- Zauważył pan to?

- Byłem w wojsku. Nauczono nas tam utrzymywania czystości i porządku oraz zwracania uwagi na ich brak. Zakrawa to na ironię, skoro musieliśmy też przywyknąć do sypania w błocie i brudzie. Ale właśnie dzięki takim drobiazgom świat może trwać. Trudno się pozbyć starych nawyków.

Rozalinda wiedziała, że to prawda, zwłaszcza w odniesieniu do Chase'a.

- Czy sądzi pan, że Welland-Dowd to Kinkade? - spytała.

Chase parsknął śmiechem tak głośnym, że przechodnie na ulicy odwrócili głowy, zaskoczeni.

Och, Boże. Zrozumiała, gdy powiedziała to na głos. Welland-Dowd! Przecież to brzmi jak *well-endowed*, czyli „mężczyzna szczerze obdarzony przez naturę...”

- Nie mnie o tym sądzić, bo w porównaniu ze mną nikt inny nie może się za takiego uważać, ale pływałem kiedyś z nim razem w tej samej sadzawce. Mogę pani zdradzić, że i on też nie ma się czego wstydzić...

- Dosyć! Dosyć! - Rozalinda zatkała sobie uszy.

Nadal się śmiał. Przeklęty sprośny żołdak. Nie mogła mu tego mieć za złe: jego śmiech był zachwycający. Już wcześniej zauważyła, że śmiał się bardzo rzadko. Serce Rozalindy, niczym latawiec, poszybowało gdzieś bardzo wysoko. Jakież to było niezwykle i nieco

przeróżające, poczuć się tak lekko, tak swobodnie. Jakże ją kusiło, żeby dać sobie spokój z tym wiecznym kontrolowaniem się. Z trudem powróciła na ziemię do rzeczywistości. Do swojej zgryzoty.

Lucy.

Każdy ślad, na który natrafiają, jeśli los im będzie sprzyjał, przybliży ich wreszcie do Lucy.

- Wiemy, że to malowidło zamówiono w jakimś celu - odezwał się Chase - w celu, którego Wyndhamowi nie zdradzono. Gdyby próbował coś przed nami ukryć, uciekłby się do kłamstwa. A więc obraz Rubinetta jest dziełem specjalisty od ozdabiania burdeli, a zawieszono go w muzeum, z którego jacyś mężczyźni ponoć mają wychodzić, choć tam wcale nie wchodzili, i na odwrót. Musimy się temu muzeum przyjrzeć w nocy. Dzisiaj. Coś tu wyraźnie jest nie w porządku.

- W nocy? Gdy będzie zamknięte?

- Możemy się tam dostać wejściem dla obsługi. Sądzę, że bez trudu mógłbym sforsować zamek lub wyłamać drzwi. Gdyby mi się to nie udało, spróbuję wejść oknem.

Spostrzegł, że Rozalinda patrzy na niego ze zdumieniem.

- Od kogo, na litość boską, dowiedział się pan, jak forsować zamki?

- Od moich braci. A może wolałaby pani nie towarzyszyć mi w tej wyprawie? - dodał, zastanawiając się, czy w ogóle rozsądnie jest brać ją ze sobą.

Nie była jednak kobietą bojaźliwą.

- Pójdę z panem - stwierdziła i od razu spytała: - A co to właściwie znaczy? Nie, nie nazwisko - przerwała mu, gdy z błyskiem w oku właśnie przystępował do objaśniania jej tego, nie szczędząc, była pewna, mnóstwa fizjologicznych detali.

Zawahał się.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle coś znaczy. Mężczyzna, którego opisał Wyndham, ani trochę nie przypomina Kinkade'a. Wie pani przecież, jak wygląda Kinkade.

Istotnie, wiedziała.

- Czemu ktoś miałby zamawiać obraz, a potem przekazywać go w darze muzeum? I po co w muzeum ten obraz powieszono?

- Bo to prawdziwy Rubinetto, a, jak sędzę, jego obrazy są rzadkością.

Rozalinda parsknęła śmiechem.

- Chciałabym mieć jeden z nich.

- Naprawdę? - spytał Chase takim tonem, jakby Rozalinda objawiła mu nowy, kłopotliwy rys swego charakteru. Uśmiechnęła się. Ciekawa była, czy Chase zdaje sobie sprawę, jak bardzo się wszystkim przejmuje. - Ten obraz wygląda tak... spokojnie.

Nie takim słowem chciała się posłużyć, ale innego nie znalazła. Podobnie jak wspomniana przez malarza kochanka bogacza, nie miała pojęcia o sztuce. Jednakże dzieło Wyndhama wyrażało zadowolenie autora z losu, jaki mu przypadł w udziale.

- Spokojnie? - Tylko Chase mógł sprawić, by to słowo zabrzmiało odstręczająco. - Nie przypomina niczego, co by istniało na tym lub na tamym świecie.

Zdradliwe słowa. Uśmiechnęła się ponownie. Już go miała zapytać, co mu wiadomo o tamym świecie, ale szybko się powstrzymała. Niegdyś słyszała majaczenie rannych trawionych gorączką. Wiedziała, że doświadczali wizji, przerażających lub przynoszących uspokojenie. Słyszała, jak rozmawiali z najbliższymi, zanim umarli. Nie chciała go pytać, co ujrzał w tym świecie zawieszonym pomiędzy życiem a śmiercią, bo przypomniałoby mu to o wszystkim, co się działo pod Waterloo.

Nie zbliżyłoby go to do niej nawet o krok. Przeszedł ją dreszcz na samą myśl o tym.

- Właśnie tak. - Nie powiedziała nic więcej.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi; była dla niego zagadką. Nie dbała jednak o to. Na szczęście już od wielu lat nie potrzebowała się z niczego tłumaczyć. Nic w niej nie zostało z dziewczyny, którą wtedy była. Teraz zadowalało ją, że idzie ulicą o nieco podejrzaną reputację obok mężczyzny o nieco nadszarpniętej reputacji, który lekko utyka. Pozłacana gałka jego laski błyszczała w słońcu niemalże przyjaźnie.

- Czy w Derbyshire nie jest spokojnie? - spytał.

Kusiło ją, by mu opowiedzieć o ziemi, o kwiatkach rosnących nad strumykiem płynącym blisko jej domu, o sąsiadach, wścibskich i gadatliwych, ale niezbyt interesujących, i o samym domu, który stał się wprawdzie jej własnością dzięki zmarłemu mężowi, ale w którym

nigdy nie czuła się jak u siebie. Zasypać go szczegółami. Przekonać się, jak długo on to wytrzyma.

A potem zrozumiała, że szczegóły są tu zbędne i nie mają nic wspólnego z jej odpowiedzią.

- To nie mój rodzaj spokoju. - Nie miała o tym pojęcia, póki nie powiedziała tego na głos.

- Pani rodzaj spokoju? - Słowa te były, jak sobie zdała sprawę, zaproszeniem do dalszych wyjaśnień.

Nie miała pewności, jak to robić.

- Chodzi mi o to... że... choć cały obraz jest dziwny i wymyślny, każda z przedstawionych na nim istot wydaje się zadowolona ze wszystkiego i trochę... trochę nawet rozmarzona. Jakby wiedziały, że wszystko jest w porządku i zawsze takie będzie. To malowidło bardzo miłe, niespotykane i... i trochę nie z tego świata. I bardzo kolorowe.

Chase z jakichś niewyjaśnionych przyczyn był zuroczony tym osobliwym wykazem powodów, dla których malowidło mogło się podobać.

Jego siostra Genevieve, słysząc ich teraz, spojrzalaby na Rozalindę z absolutnym zdumieniem, a potem położyła jej łagodnym ruchem dłoni na ramieniu i powiedziała zbulwersowana: „Och, nie. Och, nie, nie. O Boże, moja droga, nie!” Później zaś precyzyjnie wyliczyłaby wszystkie elementy rozstrzygające o ohydzie tego malowidła. Instynkt podpowiadał bowiem Chase'owi, że jest ono ohydne. Nawet Wyndham nie żywił złudzeń co do swoich malarskich talentów.

Aż nagle zaczął rozumieć. Powiedziała, że wszystkie istoty na nim są zadowolone. Życie Rozalindy nie płynęło monotonnie, przeciwnie, było barwne, pełne nieoczekiwanych wydarzeń. Wiedziała o świecie dużo więcej niż obydwie jej siostry. „Zrobiłam to, co trzeba było zrobić”, powiedziała mu. A teraz chciała móc wybrać to, co miało się stać.

Zrozumiał, że często musiała liczyć się z okolicznościami, których wcale nie wybierała. Rozumiał też jednak, jak wielką satysfakcję można czerpać ze spełnionego obowiązku. Droga Rozalindy do dojrzałości nie była łatwa, zdołała jednak ją przebyć dzięki sile charakteru. Nie uciekała przed widokiem krwi, śmierci i wojny. Miała poczucie obowiązku, tak jak on.

Słowo „obowiązkowość”, pomyślał, rymuje się ze słowem „piękność”. Było to pierwsze poetyckie skojarzenie, jakie mu się nasunęło w jego życiu i, jak uznał, również ostatnie, bo w przeciwnym razie czułby się jak dureń.

Gdybyż tylko nie podziwiał jej w równym stopniu, jak pożądał. Nagle ogarnęło go całkowicie nowe dla niego uczucie: równie mocno lękał się ją uwieść, jak tego pragnął, i równie mocno, jak - co podejrzewał - ona pragnęła być uwiedziona. Dlatego właśnie musi ją opuścić. Choć, szczerze mówiąc, nie sądził, że zdolny będzie się z nią rozstać.

Nie sądził też, by mógł się z nią kochać, nie zdobywszy jej. Dała mu jasno do zrozumienia, że nie chce tego. On zaś nadal chciał, by nie taki był jej wybór.



Dlaczegoż więc czuje się osobliwie szczęśliwy, gdy przebywa w jej towarzystwie, choć zarazem osobliwie od niej odcięty? Na podobieństwo słonecznych promieni przebijających się przez deszczowe chmury, gdy go napadnięto pierwszego dnia po jego przyjeździe do Londynu.

- Owszem, jest kolorowe - przyznał uprzejmie. - To malowidło.

- Czemu się pan uśmiecha? - Jego uprzejmość wydała się jej podejrzana.

Wzruszył ramionami z niewinną miną. Szli wciąż obok siebie ulicą.

- A czy spokojnie jest w Sussex? - spytała. - W Pennyroyal Green?

- W Pennyroyal Green nigdy nie jest spokojnie - powiedział z przygnębieniem.

- Bez wątplenia dlatego, że pan tam żyje. - Teraz ona się uśmiechnęła.

W uśmiechu policzki się jej zaokrągliły, oczy zmrużyły, usta rozciągnęły, a cała twarz rozjaśniła. Uśmiech, całkowicie mimowolny, przemienił ją, kobietę zmysłową i piękną, w całkiem zwyczajną, tyle że rozradowaną.

Tracił spokój, patrząc na nią.

- A więc dlatego nie chce pan tam wracać - dodała.

Tamtego tematu nie zamierzał podejmować.

- Pewien jestem, że Indie okażą się, prawem kontrastu, dużo spokojniejsze.

- A dlaczego w hrabstwie Sussex nie jest spokojnie? Pomijając to, że żyje tam rodzina tych ponurych Redmondów.

- Ponurzy! Doskonałe określenie.

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

- No cóż, Redmondowie istotnie żyją w Pennyroyal Green. Pewnie pani wie, co moja rodzina o nich sądzi. Żyje tam również mój brat Colin, o którym może pani co nieco słyszała, a który teraz, gdy się ożenił, uznał się za autorytet w dziedzinie hodowli bydła. W Pennyroyal Green jest też akademia dla dziewcząt prowadzona przez pannę Mariettę Endicott, zwana przez nas Szkołą dla Krnąbrnych Dziewcząt, bo istotnie zsyła się do niej z całej Anglii dziewczęta, których zachowanie pozostawia wiele do życzenia. Oznacza to, że wszystkich chłopców z miasteczka nie sposób utrzymać z dala od owego zakładu. Polly, córka Neda Hawthorne'a... jej rodzina od wieków prowadzi gospodę Pod Świnką i Ostem... nie może wybaczyć Colinowi, że się ożenił, choć ona ma zaledwie siedemnaście lat. W tym wieku sprawy sercowe bierze się straszliwie serio i zazwyczaj sprawiają one wielki ból. Czasami za ich przyczyną bywa się fatalnie obsłużonym Pod Świnką i Ostem.

- Co też pan opowiada!

- Moja siostra Olivia boi się, że zostanie starą panną, bo ten przekłety Lyon Redmond wziął nogi za pas i zniknął kilka lat temu. Olivia zaś z każdym dniem coraz bardziej chudnie i oczy jej coraz częściej zachodzą łzami.

- Ma się pan więc czym martwić.

Wzruszył ramionami.

- A mój brat Ian najwyraźniej idzie w ślady Colina, czyli ucieka oknem z sypialni zamężnych hrabin.

- To brzmi interesująco.

Znów się uśmiechnął.

- A mnie wysłano do Londynu, żebym sprawdził, czy nasz daleki kuzyn jest odpowiednim kandydatem do objęcia funkcji pastora w Pennyroyal Green. Pozbyto się mnie, bo moja rodzina nie może dłużej ze mną wytrzymać. Jeszcze się z tym kuzynem nie widziałem.

Odwróciła się ku niemu, zaskoczona.

- I pańska rodzina godzi się, by zamieszkał w Pennyroyal Green?

Zabawne, pomyślał, że Rozalinda nie skomentowała ani słowem tego, iż rodzina nie może już dłużej wytrzymać z nim, Chase'em.

- Tak, choć wydaje się to nieprawdopodobne. On jest rzekomo naszym kuzynem. Mnóstwo razy się go wypierano. Nazywa się Sylvaine, jak moja matka. Adam Sylvaine. Adam to również moje drugie imię.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z niedowierzaniem. Nie, raczej przeszła go wzrokiem. Również stanął.

- O co chodzi? - spytał zirytowany.

- Powinien pan natychmiast się z nim zobaczyć! Przecież on musi wiedzieć, co go czeka, czy będzie się w stanie utrzymać, założyć rodzinę, czy też ma szukać szczęścia gdzie indziej. Być może ktoś mu zaoferuje pracę w innym miejscu, jeśli nie uzna go pan za odpowiedniego kandydata.

Wydawała się wręcz przerażona jego niefrasobliwością. On zresztą też nie czuł się dumny z tego powodu. Ale to była jej wina, bo myślał wyłącznie o niej. Urażony, utkwiał w niej wzrok, pełen wyższości. Wzrok oficera.

W zimnych zielonych oczach dojrzał bezwzględny rozkaz.

- Skądże mam, do diabła, wiedzieć, czy jest odpowiednim kandydatem? Decydowanie o tym to ogromna odpowiedzialność. Mój ojciec najwyraźniej nie był przy zdrowych zmysłach, zlecając mi ten pożałowania godny obowiązek. Owszem, zdaję sobie sprawę, że w tym określeniu jedno przeczy drugiemu. Czemu się pani śmieje?

- Z pańskiej definicji ogromnej odpowiedzialności. Naprawdę. Proszę mi przypomnieć: ilu ludzi miał pan pod swoją komendą?

Nie odpowiedział.

Znów ruszyła przed siebie.

- Nikt nie oczekuje, kapitanie Eversea, żeby znał się pan na wszystkim.

Uśmiechała się.

Unikał spoglądania na nią. Był przeraźliwie wprost zaniepokojony tym, że ktoś go wreszcie zrozumiał. Zadziwiające, ale wcale nie czuł się zawstydzony faktem, iż nie odwiedził dotąd kuzyna. Może dlatego, że zaniechanie wytknęła mu Rozalinda.

Wysłał jednak do kuzyna list, przeproszając, że jeszcze się z nim nie widział, bo zatrzymało go coś bardzo pilnego. Nie było to zupełnym kłamstwem. Kuzyn w odpowiedzi zaprosił go na spotkanie.

Jakże, do licha, ma się przekonać, czy tamten nadaje się na nowego pastora? Chase znał Biblię; rodzice nalegali, by dziatwa każdej niedzieli szła do kościoła w Pennyroyal Green, choć Chase był pewien, że jego ojciec niejedną raz drzemał wówczas z otwartymi oczami. Pewnego razu mucha zrobiła aż osiem okrążeń w powietrzu - Chase je policzył - nim usiadła na ojcowskim nosie podczas nabożeństwa, po czym ojciec zerwał się z głuchym pomrukiem, uderzył nogą w ławkę kościelną przed sobą i zrzucił z głowy pani Notterley kapelusz. Choć miał otwarte oczy i choć każdy mógł przewidzieć, gdzie mucha usiądzie.

Kiedy się ma aż tylu podstępnych braci, należy spać z jednym okiem otwartym.

Ciekaw był, czy ten pastor sprawi, że wierni nie będą drzemali w kościele. Ale jak on ma ustalić, czy kuzyn podoła temu zadaniu? Może powinien poprosić go o wygłoszenie kazania, którego wysłucha, siedząc, niczym oksfordzki profesor, bez uśmiechu, z krytykancką miną, wybijając rytm dłonią. Albo wbijając w niego wzrok, niczym kapitan kontrolujący podwładnego.

Zawsze mógł też zuchwale zaproponować kuzynowi, żeby zagrał w karty o tę posadę. Chase pochodził wprawdzie z ogólnie szanowanej rodziny, ale grę w karty miał we krwi.

Jak można się było spodziewać, biorąc pod uwagę sąsiedztwo i samo lokum, Adam Sylvaine osobiście otworzył mu drzwi. Ujrzał kuzyna w skąpym świetle lampy. Kuzyn dorównywał mu wzrostem.

Wysoki. Blondyn. Zaskakujące, bo nigdy dotąd nie spotkał żadnego krewnego o jasnych włosach. Pociągła twarz o subtelnych rysach, jasne oczy, żywe i bystre. Jasnoniebieskie.

- Jestem Charles Eversea - przedstawił się i uklonił.

- Kapitan Eversea, kuzyn? - spytał uprzejmym tonem Adam Sylvaine, z miejsca ustalając ich koligacje. - Bardzo mi miło pana poznać.

Przyjemny głos. Odpowiedni ukłon. Żadnej służalczości, czego Chase by nie ścierpiał. Kuzyn nie pozwolił też sobie na zbytnią poufałość. Wydawał się szczerze rad ze spotkania.

Adam cofnął się, by pozwolić Chase'owi wejść do środka, i sam odebrał od niego płaszcz oraz kapelusz. Chase nie oddał mu laski.

- Muszę przeprosić za... - Adam wskazał dłonią na proste urządzenie pokoju.

Chase ujrzał niewielką bawialnię. Ogień ćmił się słabo na kominku, który służył też do opiekania porannych grzanek. Sypialnią był bez wątpienia maleńki jak cela pokój za krótkim, wąskim korytarzem.

- Zamierzałem zatrzymać się w Londynie tylko na kilka dni, a te pokoje znajdują się tuż przy bibliotece. Stołuję się w gospodzie naprzeciwko.

Chase nie znosił, gdy ludzie czuli potrzebę usprawiedliwiania się z czegoś, na co nie mogli nic poradzić, choć zdawał sobie sprawę, że to część towarzyskich rytuałów. Pokój idealnie pasował do kuzyna, zmuszonego prosić o posadę u znacznie zamożniejszych krewnych,

był też idealny jako miejsce czasowego zamieszkania dla kogoś, kto przedtem sypiał, podobnie jak Chase, w błocie. Na twarzy Chase'a musiała się malować irytacja, bo kuzyn uniósł brew. Matka Chase'a miała podobny zwyczaj. Interesujące.

- Przyjąłbym pana w Whitehall, lecz król chwilowo korzysta teraz z owej rezydencji.

Chase zaśmiał się z tej zręcznej próby żartu, a jednak kuzyn Adam wyglądał na zdenerwowanego. Zapadła cisza. Chase nie przerywał jej, bo ludzie, milcząc, ujawniają wiele ze swoich cech.

Adam również. Miał długie, nienawykłe do pracy, smukłe palce człowieka wykształconego. Bębnił w kolana, jakby nie mogąc się doczekać, aż zacznie ponownie przewracać palcami karty książek. Był szczupły - koszula leżała na nim trochę za luźno. Zapewne sporo czytał i podczas lektury zapominał o jedzeniu. Nosił stare buty o podniszczonych noskach, ale starannie wyczyszczone. Miał szerokie ramiona, co Chase zauważył, jak wielu mężczyzn w rodzinie.

Chase rzadko miewał okazję rozmawiania z ludźmi nauki. Miles Redmond okazałby się w tym z pewnością lepszy, jako że przejawiał intelektualne zainteresowania. Spędzał sporo czasu nad szachownicą przed kominkiem w gospodzie Pod Świnką i Ostem, wraz z panami Culpepperem i Cooke'em, planował też wyprawę na morza południowe. A potem wyjechał i ożenił się ze śliczną dziewczyną, o której nigdy wcześniej w Pennyroyal Green nie słyszano, a która - zdaniem Chase'a - nie powinna była nawet spojrzeć na kogoś takiego,

jak Miles Redmond. Gdy zjawił się z nią w kościele, wszyscy z wysiłkiem powstrzymywali się przed oglądaniem się za nią.

W Pennyroyal Green najwyraźniej zapanowała ostatnio jakaś epidemia małżeństw. Być może oświadczył się Rozalindzie częściowo z powodu zarażenia się tą chorobą.

Odegnął od siebie tę myśl i rozejrzał się po pokoju. Ujrzał jedynie dzbanek do herbaty i dwie filiżanki starannie ustawione na tacy, czekające na napełnienie, oraz kilka kawałków cytrynowego ciasta na talerzu. Żadnej karafki z brandy. Nawet z wiśniówką.

Odwrócił powoli głowę w stronę kuzyna i spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Adam odchrząknął.

- Sądzę, że przyszedł pan, chcąc wyrobić sobie zdanie o mojej przydatności i tak dalej.

- Dlaczego wybrał pan Kościół? - wypalił bez ogródek.

- Dlaczego wybrał pan wojsko?

No cóż. Punkt dla Adama, bo Chase nie spodziewał się, że kuzyn odpowie pytaniem na pytanie. Typowy, irytujący chwyt człowieka nauki.

- Bo mi najbardziej ze wszystkiego odpowiadało - odparł. - Było dla mnie wyborem całkiem naturalnym.

Nigdy w życiu ani nie zadawał sobie podobnego pytania, ani też nie zastanawiał się, dlaczego tak właśnie zrobił. Co zaś do pastorów, to z doświadczenia wiedział, iż ludzie zostają nimi wskutek braku innego wyboru.



- Czemu pan sądzi, że tak właśnie było? - spytał kuzyn.

Pytanie było naturalną kontynuacją zwykłej rozmowy, więc Chase udzielił mu odpowiedzi, nim się jeszcze zdążył nad nią zastanowić.

- Bo czułem, że najlepiej potrafię robić właśnie to. Służyć i rozkazywać ludziom w imię słusznej sprawy. Walczyć w obronie tego, co liczy się najbardziej: rodziny i kraju. Bronić pokoju i wolności. W imię ładu, dyscypliny, wierności i koleżeństwa. Z szacunku dla tego wszystkiego.

Inaczej niż w przypadku Colina oraz Iana, wojsko dosłownie i w przenośni odcisnęło na nim swoje piętno. A teraz, w przeciwieństwie do Colina i Iana, czuł, że nigdy i nigdzie już nie znajdzie dla siebie miejsca. - A ja sądziłem, że najlepiej mi będzie w Kościele. Choć może się to wydawać dosyć dziwne, powody naszych wyborów są podobne.

Chase spojrzał bacznie na kuzyna, a ten na niego. Potem zaś wziął kawałek ciasta cytrynowego.

- A więc, kuzynie Adamie...

Adam wyprostował się czujnie, słysząc jego ton. Zamierzał stawić mu czoło.

Chase jednak chciał zadać pytanie niedotyczące samego Adama.

- Macie w swojej profesji zasady, prawda? Kochaj swego bliźniego i tak dalej. Zasady, które chcecie wpoić swoim parafianom i żyć według nich?

- Przypuszczam, że można na to patrzeć w ten sposób. No więc... powiedziałbym, że tak - odparł Adam, patrząc na niego wyczekująco,

bo sądził, że Chase poddaje go próbie. Wyglądał, jak zauważył Chase, na nieco rozbawionego.

- A jeśli nie będzie pan wiedział, jak zastosować te zasady w danych okolicznościach? A jeśli słuszne postępowanie w jednej sprawie oznacza, że musi się postąpić źle w innej? Czy popełnienie bardzo złego czynu umniejsza czyjeś dobre intencje?

Miał oczywiście na myśli Rozalindę, siebie i pułkownika Marcha.

- Gdy zasady, tak jak je pan rozumie, czyli pańskie własne zasady, nie pasują do okoliczności - odparł kuzyn - musi się pan zdać na instynkt, który doprowadzi pana do dobra. Musi pan ufać, że pana wewnętrzne dobro sprawi, iż postąpi pan właściwie, w sposób, jaki uważa pan za właściwy, a to jest najlepsze, co każdy z nas może zrobić. Nikt z nas nigdy nie zna ostatecznych konsekwencji żadnego z naszych czynów.

Chase spojrzał kuzynowi prosto w oczy. Adam Sylvaine nie odwrócił wzroku.

Chase westchnął.

- Myślę, że pan by tak zrobił, Adamie.

Adam się uśmiechnął. Chase dostrzegł, że był to taki sam uśmiech jak uśmiech jego matki. W każdym razie podobny.

- Dziękuję, kapitanie...

- Na imię mi Chase. Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Porozmawiali jeszcze chwilę o rodzinie i Chase uznał, że pora już iść.

- Odwiedź mnie, jeśli zamierzasz pozostać w Londynie dłużej, Adamie.

- Spędzę tu jeszcze tydzień lub coś koło tego, kuzynie, a potem wrócę po moje rzeczy i pojedę objąć plebanię. Spodziewam się, że spotkam tam resztę mojej rodziny.

Chase'owi przyszło na myśl, że należałoby Adama Sylvaine'a ostrzec przed Redmondami. Krewniak Eversea znajdzie się bowiem w dość szczególnym położeniu: opieka nad wiernymi, wśród których są Redmondowie, równała się żądaniu od kota, by dbał o duchowy komfort psów. Mogło się to jednak stać ciekawym moralnym dylematem dla kuzyna, co cieszyło Chase'a, bo lubił stawiać każdego przed poważnym wyzwaniem.

Podali sobie ręce - Adam miał mocny uścisk dłoni - i Chase ruszył do wyjścia. A kiedy doszedł do drzwi małego pokoiku, zauważył, że noga go nie boli. Ani trochę. Ze idzie, trzymając laskę, ale się nią wcale nie podpira.

Stanął. Rzadko zdejmował go prawdziwy strach.

Och, istniały różne rodzaje strachu. Na przykład strach przed starciem z silnie uzbrojonym wrogiem. Ten strach można było opanować, jeśli się wiedziało, jak Chase, co trzeba robić w tych okolicznościach. Było to coś wiadomego w niewiadomym.

Ale teraz chodziło o coś zupełnie innego. To był strach przed szaleństwem.

Serce podjechało mu do gardła. Poczucił się niepewnie, niczym dziecko, i było to okropne doznanie, bo jeszcze mu nieznane. Oczywiście prócz niepewności, którą czuł, gdy znajdował się w obecności Rozalindy.

Zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił z wolna, żeby spojrzeć na kuzyna Adama. Może mu się zdawało, może to złudzenie spowodowane grą światła.

Odniosł wrażenie, że Adam wygląda na zatrwożonego. Jednakże to, co widział przez moment na twarzy kuzyna, szybko przemieniło się w uśmiech. Uniósł dłoń w geście pożegnania. Adam również.

Gdy tylko wrócił do domu, noga znów go rozboleła.

Następnego dnia - kolejnego dusznego letniego londyńskiego dnia, pod takim samym jak zwykle żółtawym londyńskim niebem - Chase zabrał Rozalindę do Montmorency Museum. Jak zwykle, nie wyglądało na zbyt uczęszczane.

Przynajmniej przez osoby, które dałoby się zauważyć z zewnątrz.

Liam, co nie było niczym niespodziewanym, siedział na stopniach. Z jakiegoś powodu wyglądał jednak tego dnia tak, jakby zwała mu się na głowę fasada muzeum. Nigdy dotąd nie był równie przygnębiony. Chase zdał sobie teraz sprawę, że chłopiec był wcześniej w nieustannym ruchu. Nigdy nie widział go siedzącego całkiem nieruchomo.

Liam uniósł głowę tak powoli, jakby nagle stała się dwukrotnie cięższa. Ręce leżały bezwładnie na kolanach. Gdy do niego podeszli, rozczapierzył tylko palce, nie unosząc ramion. Wyglądało na to, że wykonanie tego ruchu było teraz dla niego zbyt trudne.

- Jak to zinterpretujesz, chłopcze?

Liam uniósł głowę, a Rozalindzie zaparło dech. Oczy miał pozbawione blasku, twarz bez wyrazu, otepiałą. Jakby ktoś wymierzył mu bolesny cios.

- Zinter...? - zaczął i urwał, nie wypowiadając słowa do końca. Nie zależało mu na tym.

- „Zinterpretować” znaczy powiedzieć mi, co ci się stało.

I Chase rozczapierzył palce, naśladując gest Liama. Rozalinda wyczuła napięcie w jego głosie.

Chase zmartwił się, wbrew sobie samemu.

Liam wyprostował się nieco, słysząc ton, jakim do niego mówił Chase. Rozalinda pomyślała, że ów ton jest jak ukłucie kolcem lub uszczyknięcie.

- Pięciu ludzi weszło tu wczoraj, kapitanie Eversea. Tylko dwóch wyszło.

Chase i Rozalinda jednocześnie spojrzeli na siebie.

- Liam - Chase powiedział to rozkazującym tonem, ale w jego głosie nadal czuło się napięcie. Nie chciał okazać małemu zbytnej łagodności, bo czuł, że wówczas chłopiec stanie mu okoniem. - Spójrz na mnie.

Liam uniósł głowę. Jego tępe spojrzenie było nie do zniesienia. Rozalinda z jakiegoś niepojętego powodu poczuła przerażenie.

- Jesteś chory? - Chase starał się mówić spokojnie.

A wtedy zrozumiała, że Chase też jest przerażony. Obydwoje unikali patrzenia sobie w oczy, bo dotarło do nich, że stało się z nimi coś nieodwracalnego: teraz nie liczyło się nic poza Liamem.

Liam przygryzł wargę i wreszcie przemówił:

- Powiedzieli, że zwędziła bochenek chleba. Zawołali strażnika. Zabrali ją.

Zrozumieli, że mówił o Meggie.

Najgorsze było to, że wcale nie płakał. Wyglądał na kogoś, komu łązy nic nie pomogą. Był otepiały, a mimo to pogodzony z losem. Rozalinda z trudem oddychała, tak bardzo się o niego bała.

Żaden dziesięcioletni chłopiec nie powinien tak wyglądać. Liam siedział przed nimi, przeżywając kolejną stratę, przytłoczony tym, że życie obrabowało go z tych niewielu rzeczy, które mógł nazwać swoimi. Teraz pozostał zupełnie sam. Jakże mało dzieli każdego z nas od rozpaczliwego osamotnienia, pomyślała Rozalinda. Ludzie, których kochamy, są dla nas wszystkim na świecie.

- Czy chodzi o Meggie? - spytał Chase ostro. - Kto ci o tym powiedział?

Liam robił wrażenie, jakby ledwie go słuchał.

- Nie wróciła wcale do domu - wyznał z przygnębieniem.

- Liam, odpowiedz mi. Kto ci powiedział, że ukradła bochenek chleba? Gdzie ją aresztowali? Kto to zrobił?

Liam wzruszył ramionami.

- Może i ukradła. Wiem, że już raz tak było. Kiedy nie mieliśmy forsy, żeby kupić żarcie. Słyszałem to od każdego w domu, gdzie wynajmujemy naszą klitkę.

No cóż. Kradzież była kradzieżą, kradzież to zło, a wymiar sprawiedliwości aż za często wydawał się niesprawiedliwy.

Szubienica miała odstraszać. Anglicy eliminowali kryminalistów albo zsyłając ich na wygnanie, albo skazując na śmierć, jak o tym rozmawiał z Kinkade'em.

Żołnierzy zazwyczaj karano w wojsku za drobne kradzieże chłostą. Chase sam nieraz wymuszał posłuch, skazując na chłostę za różne wykroczenia. Ale to już nie była wojna. Przymieranie głodem także jest złem. Znikanie sióstr również.

Nagle dobro i zło stały się pojęciami zbyt dużymi. Chase przypomniał sobie słowa kuzyna i był ogromnie zadowolony, że je usłyszał.

- Gdzie to się stało? I czy wiesz, jak się nazywa ten strażnik?

- Tak. On chodzi po Covent Garden, często nocami. A zwie się Buckthwaite. Każdy go zna. Ale Meggie nie ma w tym kamiennym mamrze. Nikt jej nie widział. Próbowałem jej szukać. Próbowałem... - i głos mu zamarł.

Mówiąc o „kamiennym mamrze”, miał na myśli Newgate, o czym wiedzieli. Chase i Rozalinda spojrzeli na siebie. Oczy Chase'a pociemniały z gniewu, a rysy twarzy, stanowczej i spokojnej, stwardniały.

Rozalinda posłała mu błagalne spojrzenie. Jego wzrok był nieodgadniony. Oboje wiedzieli, że to, co zaraz uczynią, uczynią niechętnie, ale żadne z nich nie kwestionowało, że uczynić to trzeba.

- Chodź, Liam.

Chłopiec spojrział na Chase'a z tępych zaskoczeniem. Jakby tego dnia słowa do niego docierały wolniej.

Chase nachylił się, wziął Liama pod ramię, nie dając mu czasu na piskliwe protesty, i zaciągnął prosto do powozu.

Zawieźli go do domu, w którym teraz mieszkała Rozalinda, bo do niego mieli bliżej, a poza tym w tym domu prócz jednej pokojówki nie było żadnej służby, która mogłaby się gorszyć obecnością brudnego ulicznika. Prawdę mówiąc, oboje nie znieśliby też dłuższej jazdy w powozie w towarzystwie Liama, który straszliwie śmierdział. Smród wniknął nawet w tapicerkę powozu i unosił się w nim, póki nie wyczyszczono i nie wywietrzono całego wnętrza.

Po drodze stało się oczywiste, że Liama trzeba porządnie wyszorować, żeby dało się z nim wytrzymać w zamkniętym pomieszczeniu, ciągnęła się bowiem za nim smuga szczególnego zapachu.

Rozalinda zagrzała więc w kuchni cztery kociołki wody i wlała ją do dużej miedzianej wanny, a potem dołąła zimnej, by woda miała odpowiednią temperaturę do kąpieli. Potem zawołała Chase'a i Liama.

Wyjęła kostkę mydła - Liam miał odtąd pachnieć lawendą, czy chciał czy nie - i podała Chase'owi. Spojrzał na nią z niemą prośbą w oczach.

- Musi to pan zrobić sam. Po prostu... pokazać mu, jak się myje, jeśli on tego nie wie.

Chase ciężko westchnął. Obydwaj, mężczyzna i chłopiec, zniknęli w kuchni. Zaczęły stamtąd dochodzić odgłosy pluskania i ciężkich przekleństw, aż wreszcie, na szczęście, rozległ się śmiech. Rozalinda słyszała go z bawialni, siedząc w swoim fotelu.



Zasłony okienne były nieco rozsunięte i promienie słońca ogrzewały jej twarz. Poczowała się, nie wiadomo dlaczego, wyczerpana, ale też lekka i dziwnie swobodna. Brakowało jej dotkliwie Lucy i cieszyła się, że ma blisko siebie zarówno Chase'a, jak i Liama, choć obaj kojarzyli się jej tylko z niepewnością i rozpaczą. Była jednak zbyt znękana, by się tym teraz przejmować. Lepiej, że tu byli, niż żeby ich nie było. Nie byłoby zaś ich, gdyby Lucy nie zniknęła.

Niemal ją uspiło stłumione brzmienie głosu Chase'a, dziwnie kojące, mimo że bez wątpienia opowiadał on Liamowi jakieś straszliwe historie o bitwie.

Czekała.

Jakieś pół godziny później Chase na wpół wyniósł, na wpół wyciągnął opatulonego w koc i nieco zawstydzonego Liama z kuchni i umieścił go bez ceremonii przed kominkiem, jak tobolek wilgotnych ubrań lub stertę podpałki.

Liam przez minutę walczył z sennością. Powieki mu się same zamykały. Patrzyli, jak się kiwa i osuwa w dół, a potem nagle prostuje, zaskoczony, że o mało nie zasnął, i znów zaczyna się kiwać. Powtórzyło się to z pięć razy, póki nie osunął się w dół na dobre i w jednej chwili nie zapadł w tak głęboki sen, w jaki zapadają tylko dzieci.

Rozalinda obserwowała go, niemal żałując, że przygotowała małemu kąpiel. Bez warstwy brudu, niezbędnej jako uliczny kamuflaż, wyglądał na całkiem innego chłopca: bezradnego, bladego,

zwykłego dzieciaka. Takiego, którego można skrzywdzić, porzucić i zapomnieć o nim.

Znała to uczucie, które ją teraz ogarnęło - lęku o kogoś, nad kim się roztacza opiekę. O kogo się troszczy. Do licha. Troszczenie się o kogoś rozszarpuje serce i nerwy. Nic dziwnego, że nauczyła się tego unikać. Za wiele ją to kosztowało.

Kiedy chłopiec zaczął pochrapywać, Chase bez słowa wziął go na ręce i zaniósł prosto do jej sypialni. Chwilę później powrócił stamtąd, usiadł ciężko w fotelu naprzeciw niej i ostrożnie wyciągnął przed siebie nogę.

- On waży tyle co nic - powiedział bezbarwnym głosem.

Siedzieli w milczeniu. Wiedzieli, że obydwójce nieodwracalnie zrezygnowali z bezpiecznej ambiwalencji względem chłopca. Pozwolili, by zaczął coś dla nich znaczyć. Żadnemu z nich się to nie podobało, ale nie zostawiliby go już własnemu losowi.

Ogień w kominku trzasnął donośnie. Rozalinda drgnęła.

Chase nadal siedział w fotelu, nieporuszony, jakby znajdował się zupełnie gdzie indziej. Był w ponurym nastroju. Miał kamienny wyraz twarzy, usta groźnie zaciśnięte, oczy pociemniałe. Postukiwał laską - bums, bums - w nieznośnie regularnych odstępach.

- Pan też wygląda nieco czyściej - spróbowała zagaić rozmowę. Nie patrzył na nią.

- Jeśli tak, to przypadkowo - odparł, wciąż postukując laską.

- A także miło pachnie - dodała.

Wtedy na nią spojrział.

- Pani również. Jak zawsze zresztą.

Jawny komplement ją zaskoczył. Uśmiechnął się nieznacznie, zadowolony z tego, że zaniemówiła.

- Różami - dodał cicho, patrząc jej prosto w twarz.

- Istotnie - przyznała po chwili milczenia, całkowicie rozbrojona.

- Tak właśnie o pani myślę. Jak o kimś, kto pachnie różami.

No i co pan jeszcze o mnie myśli, kapitanie Eversea? Chase Eversea, uznała, choć nie zważał na szczegóły, dostrzegał jednak te z nich, które były istotne. Słuchał też uważnie. Przywiązywał znaczenie do tego, co się naprawdę liczyło.

Miał też do niej ogromną, wręcz niezwykłą cierpliwość, którą okazywał zawsze w sposób właściwy prawdziwemu dżentelmenowi. Świadczyły o tym jego spojrzenia i całe jego zachowanie wobec niej w domu publicznym. Teraz siedział z przemoczoną, przylegającą do ciała koszulą. Widziała jego muskularną pierś, wilgotne kręcone włoski, które ją porastały, smukłą, ogorzałą szyję. Rękawy zawinał aż po łokieć, a przedramiona, mocne, umięśnione, również pokryte ciemnymi włoskami, przyciągały jej wzrok. Mokre kosmyki przylgnęły mu do czoła.

Zauważył, że Rozalinda na nie patrzy, i odsunął je dłonią z twarzy ku tyłowi, gdzie już pozostały, choć nieco zmierzwiłone.

- Czy tak już lepiej?

- Zależy od tego, co pan rozumie przez „lepiej”.

W gruncie rzeczy nie patrzyła na jego czoło. W wyobraźni ścigała z niego koszulę, pomrukując: „Czy nie powinien pan zdjąć z

siebie przemoczonej odzieży?", a potem wycierała mu do sucha pierś przed kominkiem. A może powinna wylizać ją do sucha, jak kotka? A on, być może, zrobiłby to samo z nią, też już zwilgotniała. W niektórych miejscach.

W ciszy, która zaległa, narastało napięcie.

Zauważyła, że żadne z nich nie odwracało teraz wzroku, i znów zaczęła podejrzewać, że on czyta w jej myślach, bo oczy mu intensywnie pociemniały i widniało w nich niesłychane wręcz zaciekawienie.

Chciała, żeby się do niej zbliżył. I nagle zabrakło jej tchu, bo przeraziła się, że on to naprawdę robi. Wstał, choć z pewnym ociąganiem. A potem, bardzo powoli, zbliżył się ku niej, jak wystraszone dzikie zwierzę. Podniosła się z fotela, bez tchu, równie niespiesznie. Wciąż się zastanawiała, czy spotkać się z nim w pół drogi, czy ku niemu skoczyć.

Zatrzymał się i spojrzał na nią. Ręce, nienaturalnie znieruchomiałe, zwiesił po bokach ciała, ona jednak miała całkowitą pewność, że robi tak, bo nie może zdecydować, od czego ma zacząć dotykanie jej. Może też nie był pewien, czy ona pragnie, by jej dotykał.

Przecież stanowczo odrzuciła propozycję małżeństwa. A małżeństwo oznaczałoby, że on ma prawo do jej ciała, a ona do jego na całą resztę życia.

Nabrał głęboko tchu.

- Pójdę teraz pogadać sobie z tym strażnikiem, Buckthwaite'era -  
oznajmił.

Zdumiała się i przez moment rozczarowanie odebrało jej mowę.  
Wreszcie odzyskała głos.

- Chciałabym przy tym być.

- Stanowczo nie może pani iść ze mną.

- Ależ... to może być niebezpieczne.

- Dobry Boże! W takim razie nie pójdę! Strasznie się boję!

Zirytowało ją, że bawi się jej kosztem.

- Proszę sobie nie żartować.

- Rozalindo, przecież to zwykły strażnik. My sobie tylko...  
porozmawiamy.

Nie podobał się jej sposób, w jaki wypowiedział słowo  
„porozmawiamy” - przeciągle i ze zbyt wyraźną przyjemnością.

- Ależ...

- Najpierw Lucy, a teraz Meggie Plum. To ten sam strażnik,  
Rozalindo, który patrolował okolice Covent Garden, kiedy została  
aresztowana Lucy. Wiem o tym. Coś mi tu nie gra. Muszę z nim po-  
mówić dzisiejszego wieczoru. Odwiedzimy Montmorency Museum  
trochę później, niż zamierzaliśmy. Dostanie tam pani należytą dawkę  
niebezpieczeństwa. Właśnie tak zrobimy - stwierdził sucho. - Poślę po  
mego kuzyna Adama, żeby popilnował Liama, kiedy mnie tu nie  
będzie. Może się okazać użytecznym członkiem rodziny. Pani jednak  
zaczeka na mnie w domu, póki nie wrócę. Proszę zaryglować drzwi.  
Taki właśnie był kapitan Eversea. Szybko planował, brał na siebie

odpowiedzialność, decydował za wszystkich, potrafił porwać za sobą każdego swoją pewnością.

- Doskonale - odparła cicho.

- Jak ktoś śmiał... - powiedział niemal wyłącznie do siebie - jak ktoś śmiał skrzywdzić panią, Liama czy Lucy?

Zaniósł się krótkim, nerwowym śmiechem. W jego słowach nie usłyszała zgorszenia, raczej było to zabarwione czarnym humorem pytanie. I wyraźna chęć wymierzenia kary. Należało współczuć każdemu, kto próbował skrzywdzić kogoś mu drogiego.

Nagle, nim sobie z tego zdała sprawę, znalazł się tak blisko niej, że mokra koszula dotknęła jej piersi. Poczula zapach lawendy, potu i czegoś, co mogło być rumem. Wilgotnego lnu. Zapach mężczyzny. Chase'a. Był tak blisko, że zdziwiło ją, iż z jej gorsu nie unosiła się jeszcze para. Płonął w niej żar od samej jego bliskości. Wciąż jednak trzymał ręce przy sobie.

Powoli, bardzo powoli jego twarz pochylała się nad jej twarzą. Rozalinda próbowała, bezskutecznie, nie zacisnąć powiek. Traciła oddech, przeczuwając, co nastąpi.

Dotknął nieznacznie jej policzka swoim. Poczula ciepło jego skóry, szorstkość zarostu, twardość podbródka. Gorący oddech Chase'a owiał płatek jej ucha, a potem dotknęły go jego wargi, muskając krawędź małżowiny. Gęsia skórka pokryła jej ramiona, nogi i plecy, a także, jak sądziła, całą jej duszę.

- Boże, jak ja pani pragnę - wyszeptał.

O mało się pod nią nie ugięły kolana.

A potem powoli, bardzo powoli, odsunął policzek. Odstąpił w tył i spojrzał na nią, zamyślony.

Potem zaś ten nieznośny człowiek kiwnął głową, jakby doszedł do jakiegoś wniosku lub podjął jakąś decyzję, uśmiechnął się do niej jednym z tych swoich nieznaczących uśmiechów i wyszedł.

W Covent Garden jak zwykle panował zamęt, bo był to dzień wypłaty. Mężczyznom płacono za pracę w pubach, co stwarzało okazję do łatwego przepijania zarobku. Potem nastawał czas bójek, które przenosiły się na ulice. Tam ich uczestników pocieszały prostytutki lub też zachęcały do skorzystania ze świadczonych przez nie usług tych, którzy wciąż jeszcze nie rozchodzili się, mimo że było już po bójce.

Prostytutki zaczepiały również i Chase'a, zwracając się do niego z lubieżnymi słowami zachęty. Ledwie je rozumiał, bo z trudem się orientował w londyńskim slangu. Wiedział jednak, że tylko za ich pośrednictwem trafi do Buckthwaite'a, bo one zawsze wiedziały, gdzie można zastać strażników.

- Znajdziesz go w Królowej Czech, kochaneczku. A jak już go znajdziesz, wróć do mnie!

W Królowej Czech hałaśliwy tłum wlewał w siebie niesłychane ilości ginu. Całe to miejsce cuchnęło niemytymi od dawna ciałami, rozlanymi trunkami i dymem. Podłoga, pokieraszowana wskutek bójek, ciągle przesuwana po niej setek zydli i stołów, była zdeptana buciorami. Jeden z podtrzymujących niski strop słupów poczerniał od północnej strony wskutek jakiegoś dawniejszego

pożaru. Królowa Czech liczyła sobie ładnych kilkaset lat - i wciąż jeszcze trwała.

Znalazł Buckthwaite'a, pytając o niego prostytutkę, która niemal leżała na jednym z bywalców. Od odoru ginu Chase'owi aż łzy stanęły w oczach.

Buckthwaite, jak się okazało, miał tam własny stolik, małą wysepkę cynicznego przedstawiciela prawa w samym centrum chaosu. Zareagowałby dopiero wtedy, gdyby w ruch poszły noże lub komuś groziła śmierć. Był solidnie zbudowanym mężczyzną i miał wygląd kogoś, kto wszystko widzi. Podobnie jak klientela, nie grzeszył schludnością. Włosy miał przeredzone i tłuste, a koszulę szarą, choć powinna być biała. Może chciał się wtopić w otoczenie.

Spojrzał na Chase'a obojętnie, a potem uśmiechnął się głupawo, gdy ten zatrzymał się przy jego stoliku. Później spojrzał powtórnie i nie odrywał już od niego wzroku; najwyraźniej nie mógł się zorientować, kim Chase może być. Miał jednak pewność, że nie jest jednym ze stałych klientów Królowej Czech i nie przyszedł tam ani po wypłatę, ani na gin. Ogorzała, czerwona gęba strażnika znieruchomiała, pojawił się na niej wyraz czujności. Ironicznie uniósł kufel piwa w powitalnym geście. Wydawał się jedyną chyba w tym lokalu osobą, która nie była kompletnie pijana.

- Czy pan Buckthwaite? - spytał uprzejmie Chase.

Buckthwaite nawet nie wstał na powitanie.

- Owszem, sir - wycedził z fałszywą powagą - to ja. A z kim mam przyjemność?



- Jestem kapitan Charles Eversea.

- Czy sprowadza tu pana jakaś awantura, kapitanie? - spytał Buckthwaite. Pozwolił sobie na ironię, skoro na zewnątrz nic innego się nie działo prócz awantur. - Potrzebna jest moja pomoc?

- Chcę zasięgnąć wiadomości o Meggie Plum i Lucy Locke.

Jego rozmówca nieznacznie się zawahał, zeszywniał i spojrzał na niego czujnie. Jakby od niechcienia sięgnął po kufel, uniósł go do ust i wypił niemal połowę. Chase go uważnie obserwował. Buckthwaite otarł usta i powiedział:

- Chyba nie słyszałem ani o Meggie Plum, ani o Lucy Locke, kapitanie Eversea.

Chase spojrzał na niego przeciągle, w zamyśleniu. Wargi wygięły mu się w nieznacznym uśmiešku. Buckthwaite też się zaczął uśmiechać do niego.

Chase złapał go nagle za koszulę na piersiach i zatrzęsł nim. Krzesło runęło w tył. Chase przysunął wargi do jego ucha i powoli, jadowitym tonem, syknął:

- Tylko mi tu nie łzyj, Buckthwaite.

Nachylił głowę tak blisko ku strażnikowi, że mógł dojrzeć żyłki na policzkach, siwiznę na skroniach, bruzdy w kącikach oczu i złamany niegdyś nos. Nozdrza Buckthwaite'a rozděły się ze strachu, źrenice rozszerzyły. Puls tętnił w szyi. Wzrok jednak miał przytomny.

- Jestem przedstawicielem prawa, sir - odparł Buckthwaite, choć bez wyraźnej groźby w głosie i niezbyt przekonującym tonem. -

Chyba nie powinien pan wchodzić mi w paradę. - Zabrzmiało to tak, jakby chciał poddać Chase'a próbie.

Chase puścił go, a Buckthwaite o mało nie stracił równowagi. Cofnął się i niemal w zamyśleniu wyglądał swoją koszulę, patrząc na Chase'a.

- Kto z nas bardziej obawia się prawa, Buckthwaite? Jak uważasz, bez którego z nas by się tu obeszło? Któremu z nas należałoby bardziej wierzyć?

Na te słowa Buckthwaite parsknął śmiechem. Pokiwał głową.

- Mamy świadków, kapitanie.

- No to nie fatyguj się i nie sięgaj po pistolet. Mój już wymierzyłem prosto w ciebie.

Rzeczywiście tak zrobił. Pod płaszczem. Buckthwaite nabrał tchu i odetchnął głęboko. Zrezygnował.

- Pogadajmy sobie na zewnątrz - powiedział Chase.

Na zewnątrz Królowej Czech nie było bardziej spokojnie niż w jej wnętrzu. Po całej ulicy niosło się echo gardłowego rechotu. Jacyś mężczyźni najwyraźniej porównywali nogi dwóch prostytutek. Obydwie skwapliwie zadarły do góry spódnice. Po drugiej stronie ulicy stał pusty, zabity deskami teatr, własność Kinkade'a, zwany Mezza Luna.

Buckthwaite i Chase oparli się o jego ścianę i patrzyli przed siebie beznamiętnie. Jedna noc tutaj niewiele się różniła od drugiej.

- Zatrzymałeś Meggie Plum za kradzież chleba - powiedział Chase - ale ona gdzieś podobno zniknęła. Lucy Locke znalazła się w

Newgate za domniemaną kradzież bransoletki i nikt jej nie widział już od tygodnia. Wszyscy zaprzeczają, by w ogóle tam kiedykolwiek była. Ale była, bo ktoś, kogo uczciwość jest poza wszelkim podejrzeniem, ktoś spoza naszego pokrętnego, chaotycznego i skorumpowanego systemu prawnego, widział ją tam i z nią mówił. Ktoś, komu na niej zależy. A ty jesteś ostatnią osobą, która widziała te dziewczyny przed ich zniknięciem.

- Lucy nie powinna trafić za ten czyn do Newgate - odparł po chwili przeproszającym tonem Buckthwaite. - To była pomyłka.

Chase z wolna odwrócił się do niego.

- Wyjaśnij mi to.

Buckthwaite wyjął z pudełeczka trzymanego w kieszeni szczyptę tytoniu i włożył go do ust. Odczekał chwilę, nim zaczął mówić, najwyraźniej czekając, aż żucie tytoniu go wzmocni.

- Kapitanie, chyba się zgodzimy obaj, że ja tu mam pilnować prawa. A ono jest całkiem jednoznaczne, jeśli chodzi o kradzież. Kiedy więc ktoś oskarży kogoś o kradzież i nie zrobi tego bezpodstawnie, do mnie należy zaarrestowanie złodzieja. Obydwie dziewczyny oskarżyli godni zaufania ludzie, więc je zatrzymałem.

- Gdzie one teraz są? Dlaczego nie ma ich w więzieniu?

- Och, a chciałby pan, żeby tam były? To zdumiewające, jak pan wierzy w angielską sprawiedliwość, kapitanie Eversea. Strasznie z pana... wymagający gość. Śmieszne, ale czy to aby nie o pańskim bracie śpiewają tę piosenkę? - I zaintonował pierwsze słowa.

Była to chyba najbardziej gorzka wersja, jaką Chase usłyszał.

- Powiedz mi tylko, gdzie są te dziewczyny.

Buckthwaite się zawahał. Widać było, że targają nim sprzeczne uczucia. Naprzeciw nich jeden pijak zatoczył się na drugiego i padł na niego.

- Niech pan spojrzy, kapitanie. - Buckthwaite zadarł koszulę. Całą pierś miał pokiereszowaną, pokrytą białymi bliznami. Jakby ktoś próbował wydrążyć w niej nożem drogę do wnętrza ciała. - Pewnie pan też ma blizny. Okulał pan chyba też nie za sprawą przypadku, co? Chce pan wiedzieć, skąd się wzięły moje blizny? Zaatakowali mnie i zaczęli dźgać nożami dwaj dranie. Mordercy. Gdy robiłem swoje. O mało się na śmierć nie wykrwawiłem i parę miesięcy minęło, nim wydobrzałem. Każdy się dziwił, że żyłem, ja może najbardziej ze wszystkich. Wie pan, co za to dostałem? Figę z makiem. Zrobiłem swoje, ale potem mogłem z głodu zdechnąć, mimo że o mało co nie wykitowałem. Tak się w Londynie ceni obrońców prawa. Prawdziwy ze mnie Syzyf.

Chase szybko się domyślił reszty.

- Ktoś ci więc zapłacił za zrobienie czegoś z tymi dziewczętami, a ty się zgodziłeś, bo potrzebowałeś pieniędzy.

Milczenie Buckthwaite'a potwierdziło domysły Chase'a.

- No więc, co się z nimi stało? - Cierpliwość Chase'a zaczynała się wyczerpywać.

- Nie powiem, kapitanie Eversea, bo mi życie miłe.

- A nie boisz się mnie, Buckthwaite?

- Ach, pan jest człowiekiem honoru... kapitanie Eversea.

Ironiczna uwaga. Jakby Buckthwaite uważał honor za coś względnego, a nawet zasługującego na pogardę.

- Och, tak - odparł Chase. - Opowieść o twojej niedoli jest całkiem wzruszająca. Cenię kogoś, kto robi, co do niego należy, nie zważając na niebezpieczeństwa i niewdzięczność. Ale nie pozwolę ci odejść, jeśli się nie dowiem tego, co chcę usłyszeć. A gdybym się przekonał, że wprowadziłeś mnie w błąd...

Chase, mówiąc to, z ciekawością patrzył jednocześnie, jak jakiś mężczyzna targuje się o cenę z nędzną prostytutką, która kiwała na niego ręką.

- ...nie chciałbym jutro być w twojej skórze - powiedział bez ogródek.

A potem uśmiechnął się w taki sposób, że Buckthwaite wręcz się zatrząsł.

- Gdzie one są, Buckthwaite? Czy żyją?

Buckthwaite milczał przez chwilę.

- Nie wiem, kapitanie. Powiedziano mi, że nic złego się im nie stanie. Że będzie im lepiej, niż gdyby poszły pod sąd. Tak mi powiedziano. Z natury nie jestem przekupny, ale w mojej pracy różnie bywa... - i zawiesił głos. - Powieszono by je albo wysłano na statku do Botany Bay w Australii, wie pan przecież. Nie mają nikogo, prawda? Nikt by się za nimi nie ujął.

Nie mają nikogo.

- Owszem, mają. Mnie.

Chase nigdy nie czuł większej wściekłości niż teraz. Zaćmiła mu wzrok. Buckthwaite wyglądał na wystraszzonego. Białka jego oczu błysnęły w ciemności. Gniew wręcz odebrał Chase'owi możliwość oddychania.

- Ile ich było? Jak się nazywały? Skąd wzięłeś nakazy aresztowania? Gdzie one są? - wysyczał.

Buckthwaite znów się zawahał.

- Byłbym panu zobowiązany, gdyby...

- Weź mnie za rękę - powiedział chłodno Chase. Buckthwaite wytrzeszczył oczy na widok pięści, którą Chase wyciągnął ku niemu. - Weź mnie za rękę, do cholery.

Buckthwaite to zrobił. Gdy cofnął się, trzymał w niej garść funtów, które Chase wyjął z kieszeni.

- Rozumiem, że w tę cenę wliczone jest także niewłączanie do sprawy mojego nazwiska? - Buckthwaite uśmiechnął się ironicznie i klepnął po nodze przechodzącą obok prostytutkę, która obrzuciła go przekleństwami. - Powiedziano mi, żeby wyszukiwać najładniejsze z dziewczyn, które popełniły drobne przestępstwa, kapitanie, i mówić im, że nie pójda do więzienia.

- Gdzie zamiast tego szły?

- Uczciwie mówiąc, nie wiem. Mogę tylko panu powiedzieć, że miałem dokonywać wyboru najładniejszych, a mam do tego oko. Płacono mi za każdą, jaką uznano za odpowiednią. Nie kierowałem ich do sędziego. Ale przy aresztowaniu Lucy był świadek i dlatego znalazła się u sędziego, a potem w Newgate.

- Ile dotąd wyszukałeś tych odpowiednich?

- Trzy. Lucy Locke, Meggie Plum i Corę Myrtleberry.

Chase nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest Cora Myrtleberry.

- Czy one żyją?

- Tego nie wiem, kapitanie, ale myślę, że tak.

- Do kogo je kierowałeś? Chcę usłyszeć nazwisko.

Buckthwaite wahał się, nie mogąc podjąć decyzji.

- Nigdy go nie widziałem, słyszałem tylko o nim.

- Nazwisko. Podaj mi je, Buckthwaite, bo inaczej, na miły Bóg...

Chase odwiódł kurek od pistoletu i upewnił się, że Buckthwaite to widzi.

- Och, mój członek jest duży.

Buckthwaite powiedział to takim tonem, że Chase początkowo wziął jego słowa za informację dotyczącą męskiego wyposażenia Buckthwaite'a. Jakaś prostytutka kilka kroków dalej zdołała złowić klienta. Ten sięgnął jej ręką za stanik i wyciągnął na wierzch pierś, ona zaś najwyraźniej chciała mu owe oględziny doliczyć do rachunku.

W sekundę później Chase zrozumiał jednak, o co Buckthwaite'owi chodziło. On sam mu zresztą wyjaśnił.

- To jest nazwisko, kapitanie Eversea. O. McCaucus-Bigg.

## 17

Chase powiedział jej o wszystkim, czego się dowiedział od Buckthwaite'a. A także o rysunkach Kinkade'a podpisywanych przez niego: „McCaucus-Bigg”.

W powozie zaległa pełna napięcia cisza. Jak zwykle, Chase nie chciał tracić czasu na spekulacje ani na wyciąganie wniosków, póki nie zyskał całkowitej pewności. Kazał powożącemu zgasić latarnie, a potem zastukał w sufit, gdy dojeżdżali do skweru, kiedy zaś pojazd stanął, pomógł Rozalindzie wysiąść.

Przeszli resztę drogi pieszo, stąpając tak cicho, jak tylko zdołali, i chowając się w głębokim cieniu muzealnej bramy. Rozalinda ledwie mogła oddychać ze strachu.

Stłumiony odgłos laski Chase'a stukającej po kamieniach bruku zdawał się rozbrzmiewać w ciemności tak głośno, jak w pustej studni. Głos stróża nocnego doleciał do nich w nocnym powietrzu, ale nie dosłyszeli, którą godzinę obwieszczał. Rozalinda zrozumiała tylko, że „Jest właśnie punkt...”

Nocą dziedziniec muzealny wydawał się za prętami ogrodzenia wręcz przepastny, o wiele za duży i za pusty, by można było się na nim ukryć. Nie było tam ludzi, drzew, cieni. Chmury co chwila zasłaniały jasny sierp księżyca.

Ostro zakończone pręty ogrodzenia mogłyby ich przebić, gdyby chcieli się przez nie przedostać na dziedziniec. Wędrówka zaułkami ciągnęła się bez końca. Nic poza ich głośnymi oddechami nie zakłócało ciszy, a oddechy wydawały się w niej o wiele donośniejsze niż zwykle. Ostrożne kroki były miarowe niczym tykanie zegara.

Krótsza uliczka biegła koło małego, zaniedbanego ogrodu. Jedna wielka stara morwa górowała tam nad wybujającymi chaszczami, gdzie mogli się kryć napastnicy.



Rozalindzie wydało się, że jest jednym wielkim łomoczącym sercem, które czuła w całym ciele. Szumiało jej w uszach. Nigdy w życiu nie wyobrażała sobie, że będzie się włamywać do jakiegoś budynku uzbrojona w pistolet.

Miała jednak Chase'a przy sobie, a jego pistolet był odbezpieczony. Ona zaś zamierzała strzelać od razu do wszystkiego, co się przed nią poruszy. Z wyjątkiem Chase'a.

Na szczęście nic się nie poruszało.

Zdołała przedostać się przez małą furtkę, w stanowczo nieelegancki sposób zadzierając suknię i wystawiając obciążone pończochami nogi na chłód nocnego powietrza oraz, oczywiście, na spojrzenie Chase'a. Udało się jej tego dokonać bez rozdarcia pończoch, co ją bardzo ucieszyło, choć uczucie to było absurdalne w tych okolicznościach.

Niezdarnie wymacała zamek, który dosyć łatwo się jej poddał. Triumfalnie popchnęła furtkę. Zawiasy skrzypnęły przeraźliwie, a ona poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż prosto w serce.

O Chryste.

Serce w niej zamarło na jeden bolesny moment, a potem uderzyło tak ciężko, jakby było z kamienia. Zamknęła oczy, jej oddech ze strachu stał się niebezpiecznie płytki. Po drugiej stronie furtki Chase ujął ją za rękę: była lodowata, a jego dłoń - gorąca i mocna.

Przywarł do niej bez tchu na chwilę, przyciągając ją do siebie, a potem oboje, bez słowa, nadśluchiwali uważnie. Biło od niego ciepło.

Nocą dźwięki niosą się w przedziwny sposób. Zdawało się jej, że słyszy odległy tętent końskich kopyt, jakąś pijacką tyradę i dwa podniecone głosy wiodące ze sobą bezowocną kłótnię. Strażnik, jak się wydawało, miał lepsze rzeczy do roboty niż pilnowanie muzeum, otoczonego wszak ogrodzeniem z ostro zakończonych metalowych prętów.

Otworzyła oczy, nadal trzymając się kurczowo ręki Chase'a. Wyczuła jego puls: był mocny, równy, zadziwiająco normalny. Uspokoiło ją to.

Chase stał bez ruchu i patrzył na nią. Jego wzrok przykuwała jej twarz. A może jej długie nogi. Niebieskie oczy błyszczały niczym gwiazdy w tej bezgwiezdnej nocy.

A twarz kapitana - dumna, bezkompromisowa i zarazem pełna uroku - sprawiła, że serce znów jej gwałtownie zabiło w oczekiwaniu. „Pragnę pani”, powiedział wcześniej tego wieczoru.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że on zawsze dostaje to, czego chce. Ciekawa była, co zrobi, by tak się teraz stało. A także tego, czy ona sama chce mu to dać.

Ścisnął ją nagle za rękę; zrozumiała, że to pytanie. Czar prysnął. Kiwnęła głową, co oznaczało: ze mną wszystko w porządku. Wsunął się przez uchyloną furtkę, unosząc surdut, by nie zaczepić się o pręty. Woleli jej nie zamykać, ale przekłeta i tak znów zaskrzypiała. Spojrzała na nią ze wstrętem, jak na zdrajczynię.

Przeszli nieco dalej i stanęli na progu wejścia dla obsługi. Chase przez dłuższą chwilę klęczał, wsunawszy w zamek wytrych. Przyłożył

ucho do drzwi. Chwilę później cichy chrobot oznajmił, że zamek puścił. Chase odwrócił się ku niej z gestem, który mówił: *uoila!*

Pchnął drzwi jednym palcem. Ustąpiły nieznacznie. Pchnął je ponownie. Uchyliły się z lekka. Rozalinda błogosławiła w myśli służące, które naoliwiły zawiasy.

A potem Chase głośno wciągnął powietrze i otworzył drzwi na oścież. Za nimi czekały na nich cisza, ciemność i stęchłe powietrze. Wydało im się, że czeluść, która się przed nimi rozwarła, odebrała im głos. Ostrożnie zamknęli drzwi za sobą. Bardzo, bardzo powoli. Kliknęły cichuteńko. Wchłonęła ich ciemność.

Niezdarnie usiłowała go w niej odszukać. Promień księżycowego blasku zaśnił na jego pistolecie gotowym do strzału. Ona schowała swój pod płaszczem.

Usłyszała szelest i błysk - to Chase skrzesał ogień, żeby zapalić ogarek świecy, nie większy niż jego kciuk. Światelko było wprawdzie wątle, ale można by je dostrzec, gdyby ktoś spojrział przez wielkie sklezione okna. Świeczka oświetlała malutki krąg przestrzeni wokół nich, mogli się jednak powoli posuwać przed siebie.

Jakby na dany znak unieśli odbezpieczone wcześniej pistolety. Gdyby odbezpieczyli je teraz, trzask w panującej tu ciszy rozległby się niczym wystrzał. Chase wręczył jej świeczkę i dał znak, żeby szła przed siebie. Chciał, żeby w porę dostrzegła tych, którzy mogliby się do nich podkradać.

Przeznaczony dla służby korytarz zawiódł ich do sali pełnej renesansowych malowideł. Płótna o żywych kolorach wisiały tu w

ramach, ciężkich i bogato zdobionych. Świeczka oświetlała fragmenty twarzy, rąk, koni, aniołów i drzew, w miarę jak mijali obrazy. Znaleźli się w samym środku muzeum.

Chase szedł za nią, utykając; laska ostrożnie sunęła po posadzce, a ręka lekko dotykała Rozalindy w pasie. Mimo delikatności tego dotyku wyczuwała jego gniew i determinację. W ciepłe jego ciała. W oddechu, który w rytmie staccato muskał jej kark.

Chciał naprawić całe zło, jakie dotknęło ją, Liama i każdego, kto kiedykolwiek zbłądził, także i jego.

Ona zaś chciała odkryć, co może łączyć to muzeum ze sprawą Lucy lub innej z dziewcząt, które zniknęły. Jednak nie zauważyła niczego takiego. A zapach Chase'a za jej plecami zaczął jej działać na zmysły. Aromat lawendowego mydła osłabł; teraz bił od niego zapach męczyzny - dymu z cygar, którym przesiąkł jego surdut, może też końskiej sierści... a także pożądania.

Za rogiem natknęli się na salę pełną gablotek z owadami.

Było to rozległe pomieszczenie z jednym wysoko umieszczonym półkolistym oknem. Wpadało tamtędy światło niezasłaniane przez inne budynki czy chmury. Jakiś obłok zakrył na chwilę księżyc. Owady miały niesamowity wygląd w księżycowym świetle. Skrzydła wielkich, nieruchomych motyli błyszczały nawet po śmierci, rozpostarte szeroko, by każdy mógł je podziwiać. Wielkie, ciemne skarabeusze o nóżkach kolczastych jak ciernie i długich czułkach wydawały się olbrzymie w tajemniczym półcieniu. Rozalinda poczuła, że mrowi ją kark, jakby pełzał po nim jakiś żuczek

Zapach zgaszonych knotów świec unosił się w dusznym i niemal nieruchomym powietrzu. Wydało się jej, że czuje dym z cygar, odmienny od tego, który przylgnął do Chase'a. Bardziej podobny do zapachu cygar jej zmarłego męża.

Zatrzymała się. Zmarszczyła brwi. Chase też stanął zaniepokojony z niemyim pytaniem: „Dlaczego stanęłaś?”

Nasłuchiwali uważnie. Przez czas długi niczym wieczność. Rozalindzie zdawało się, że nigdy nie będą wiedzieć, jak długo to trwało, bo nawet czas wydawał się dosłownie zabalsamowany wewnątrz tego muzeum.

Nie usłyszeli nic prócz własnych oddechów. Cisza, jak makiem zasiał. Rozalinda modliła się, by nie kichnąć, a potem, rzecz jasna, o mało nie kichnęła. Łzy stanęły jej w oczach, gdy z całej siły starała się temu zapobiec. Wzruszyła ramionami, bez słowa. Poszli dalej.

Szli teraz przez sale egipskie, pełne sarkofagów, które wyglądały szaro, monotennie i, o dziwo, wcale w tej ciemności ich nie przerażały. Obejrzel się za siebie, ale ujrzeli jedynie ściany. Żadna mumia nie wychynęła ze swojej skrzyni.

Minęli kamienną płytę pełną nieznanym słów. Czy był to czyjś spis bielizny do prania? A może wiersz? Nieważne. Został uwieczniony wykuciem go w kamieniu. Nadal nie widzieli niczego, co mogłoby wzbudzić ich zainteresowanie.

Nagle Rozalinda znów się zatrzymała, tym razem wyłącznie po to, by poczuć, jak twarde ciało Chase'a wpada na jej ciało. On zaś

pozostał w tej pozycji, przyłgnąwszy do niej. Jakby nie był w stanie ruszyć dalej.

Przez chwilę stali tak bez ruchu, we wzajemnym jarzmie. Jego palce nadal lekko muskały jej talię. Każdy inny mężczyzna pokusiłby się przynajmniej o to, by przywrzeć twarzą do jej szyi. Już była skłonna pomyśleć, że cierpliwość to zbędna cecha Chase'a Eversea, gdy przypomniła sobie, jak łatwo można go było pobudzić do gwałtownego działania, ale zawsze zachowywał samokontrolę.

A przy tym zawsze kierował się honorem. Wiedziała, że Chase pragnął, żeby to ona pierwsza uczyniła gest przyzwolenia. Żeby dokonała ostatecznego wyboru.

„Pragnę sama decydować o tym, czego chcę”, powiedziała mu.

Wkrótce miał opuścić kraj. Myśl o tym wprawiała ją w osobliwy popłoch. Ruszyła dalej.

Posuwali się korytarzem ku sali zbrój i broni. Żaden z pancarzy nie ruszył jednak na nich i niczyje oczy nie błysnęły spod przyłbicy. Zwolniła kroku i znów się zatrzymała.

W ciszy słyhać było ich oddechy. Z ogromnym wysiłkiem, jakby walcząc z prawem ciężenia, bo jej ciało dokładnie wiedziało, do czego chciałoby przyłgnąć, ruszyła znów naprzód.

Od sali ze zbrojami przeszli ku odrażającym lalkom. Po ich wymalowanych jaskrawymi farbami twarzach błędziła gdzieś księżycowa poświata. Rozalinda wyczuła, że Chase żąda, by choć trochę przyspieszyła tempo.

Wreszcie dotarli do włoskich obrazów pastoralnych.

Obok znajdowała się sala z ogromnym, osłoniętym aksamitnymi kotarami łóżem i lustrem, w której ujrzała widmo. Nie chciała patrzeć w tamtą stronę.

Malowidło, jak zwykle, nic im nie zdradziło.

Zaczęło się im wydawać, że mogliby wesoło płasać po całym muzeum i głośno przytupywać, a i tak niczego by to nie zmieniło. Jeśli nawet po kątach kryły się jakieś widma, to byli w muzeum jedynymi ludźmi. I opuszczają je, nie wiedząc więcej niż wtedy, gdy do niego wchodzili.

Cisza spowijała ich miękko i zarazem hamowała. Jakby za instynktowną obopólną zgodą, zatrzymali się oboje. A potem Chase głęboko nabrał tchu. Zabrzmiało to donośnie jak dźwięk gromu. Oddech Chase'a okazał się tak silny, że zafalowały drobne włoski na jej karku. Poczowała gęsią skórę na szyi i rękach, zapowiedź czegoś niepokojącego.

I to coś nadeszło. Chwilę później jego dłonie zacisnęły się na jej ramionach. Zesztywniała niczym złapana za kark kotka. Odwrócił ją powoli twarzą ku sobie. Ani delikatnie, ani gwałtownie, ale stanowczo. Jak ktoś, kto uznał, że już czas rozwiązać problem, i dokładnie wiedział, w jaki sposób ma to zrobić. Krótko mówiąc: w sposób, w jaki kapitan Chase Eversea robił wszystko.

Położył jej dłonie na ramionach gestem niemal oskarżycielskim, jakby ją zaskoczył w chwili jakiegoś występnego czynu. Spojrzała mu w oczy, ledwie widoczne w cieniu. Słaba poświata przeistoczyła jego twarz w maskę. Nie mogła odczytać jej wyrazu.

Zresztą to się nie liczyło. Drżenie palców Chase'a zdradzało, co czuje jego ciało. Ciepło tego ciała, wciąż jeszcze znajdującego się nieco dalej od niej, sprawiło, że znieruchomiała. Stali tak, wpatrzeni w siebie, póki ich oddechy nie zaczęły stawać się urywane.

A potem... a potem jego kciuk zaczął się delikatnie poruszać.

Raz i drugi Chase powiódł nim lekko po krawędzi jej obojczyka. Delikatnie zaznajamiał się z jej skórą, niepewny, czy nie zostanie odtrącony.

Nabrała gwałtownie tchu i musiała na moment zamknąć oczy. Czuła się tak, jakby stanęła w ogniu. Jeszcze kilka dni wcześniej podobne określenie wydałoby się jej czymś śmiesznym. Wszystkie te wyświechtane frazesy zaczęły jednak nabierać znaczenia. Były frazesami, póki nie stały się rzeczywistością. Niech i tak będzie: oto płonęła miłością do kapitana Charlesa Eversea.

Wpatrywał się w nią. Wiedziała, że czeka na jej odpowiedź. Wyszepiała ją. Ledwo dosłyszalnie. I skinęła głową.

A jego twarz nachyliła się nad nią.

Pocałunek był gwałtowny. Poczowała szorstkość jego krótkich baczków na policzku. Wargi i zęby zwarły się ze sobą, a potem, o Boże, poczuła słodycz jego nieporównanego z niczym smaku. Jęknęła mu prosto w usta. Bardziej to przypominało, prawdę mówiąc, łapczywe pożeranie się niż pocałunek. Smakowała go, toczyła z nim pojedynek na równych prawach. Długie lata czekali na to i nie byli w stanie się sobą nasycić.



Wiedziała, że weźmie ją w sposób równie gwałtowny, gdy przycisnął jej ciało do starego, wypolerowanego biurka. Było bezlitośnie twarde, niczym ściana. Poczwała, że nie może się Chase'owi wymknąć. Jakaś drobna jej cząstka była ciekawa, czy pozwoliłby jej na to, gdyby podjęła taką próbę. Tyle w nim nagle było siły i impetu po tych wszystkich latach czekania.

Wszystko to powinno ją przerazić. A tymczasem przyszła mu z pomocą. Oddech jej stał się urywany i przyspieszony, gdy drżącymi rękami unosiła suknię, a jego ręce gorliwie ją z niej ściągały. Objął ją i przeciągał dłońmi wzdłuż kręgosłupa, kierując się ku pośladkom, i przycisnął ją do swojej nabrzmiałej męskości tak mocno, że niemal poczuła ból. Przeszedł ją dreszcz i zrozumiała, że ulegnie mu szybciej, niż chciała, choć i tak nie dość szybko.

Chase, cały drżąc, na moment znieruchomiał, żeby wesprzeć się brodą o jej szyję, a ona wsunęła palce w jego miękkie włosy, gładząc je, jakby go daremnie chciała ułagodzić. Ten mężczyzna wiedział, czym jest wojna i przemoc; z zaciekłością zwalczał niesprawiedliwości świata i własną niemożność oddania wszystkim sprawiedliwości.

Mogło to być dla niego po prostu wyzwoleniem, lecz gdy jej pragnął, nie liczyło się nic innego, tylko to, że mogła mu dać, czego pragnął. Ona również pragnęła tego samego. Pożądanie w niej wrzało.

Rozwarł wargi, dotknął językiem jej szyi tam, gdzie bił puls, i przycisnął wilgotne usta. Poczwała jego wargi, język, oddech, i znów język. Była to delikatna pieśczoła, lecz Rozalinda nie żądała od niego

delikatnej pieśczozy. Sięgnęła dłonią ku jego wzniesionej męskości jednym energicznym ruchem.

Odchylił głowę do tyłu, z zaskoczeniem, ale i zadowoleniem. Syknął przez zęby i odsunął jej dłoń; sam mógł sprawniej odpiąć guziki i z imponującą szybkością to zrobić.

Przez chwilę Rozalinda szamotała się niezręcznie z jego długą koszulą. Wyglądało to niczym jakaś okrutna magiczna sztuczka, podczas której wyciąga się bez końca chustki z kapelusza bez dna. Chase parsknął śmiechem. Wreszcie koszula opadła i Rozalinda mogła wsunąć dłonie w jego rozpięte spodnie, by je ściągnąć na dół.

Mięśnie sprężyły mu się, gdy opuszkami palców przesunęła po ostrych konturach jego wąskich bioder, po brzuchu, po włosach pod pępkiem i gorącej, miękkiej skórze poniżej pępka, aż wreszcie dotknęła zgrubiałego członka i wzięła go w dłoń, delektując się jego ciepłem i siłą.

Wsparł się gwałtownie podbródkiem o własną pierś i wyjąkał coś, co mogło być jej imieniem lub też jedynie westchnieniem satysfakcji - nie można było tego odróżnić. Kurczowo chwycił jej suknię i wspólnie zdołali unieść ją powyżej talii. Nie miała teraz na sobie nic, jeśli nie liczyć dusznego, nieruchomego powietrza muzeum.

Nie wyobrażała sobie, że to można robić na stojąco, choć jej o tym już wcześniej wspominał, ale Chase doskonale wiedział, co będzie dalej. Więc i ona nabrała pewności, że to, co robią, jest całkowicie słuszne, naturalne. Czowała jego ręce, twarde i gorące, na wrażliwej skórze pośladków, i jego palce, ślizgające się po jej

delikatnym ciele. Potem jeden wsunął się głębiej, sprawdzając, czy jest już zwilgotniała i gotowa, jak sprawdzał dwa dni wcześniej, a jej ciało pulsowało i skwapliwie przyzwalalo na ten dotyk.

Nagle znalazł się tam jego członek, gładki, spęczniały i gorący, a ona westchnęła desperacko, spragniona:

- O tak, o tak, Boże, o tak.

Pchnął... z początku łagodnie, potem twardo. Zrobił to z taką siłą, że zakołysała się w tył i w przód. Westchnęła głęboko.

Trwali wzajemnie w uścisku, gdy po chwili nachylił się, by ją pocałować.

Odwróciła głowę i wyszeptała:

- Tak. Teraz. - Nie chciała, by ją całował. Chciała, żeby ją wziął.

A kapitan Eversea, tak nawykły do wydawania rozkazów, usłuchał jej. Gdy zaś zaczął to robić, poczuła, że wypełnił ją całkowicie.

Uczucie wyzwolenia było jak błyskawica; stała się cała światłem i płomieniem. Stłumiła szloch niedowierzania, całe jej ciało pulsowało; kości przemieniły się chyba w popiół, bo nie miała już siły dłużej obejmować go za szyję. Obydwoje teraz płonęli żarem, pot spływał im po ciałach, ręce ześlizgnęły się jej z jego karku. Ale wziął ją. Wziął ją.

Nie wypuszczał jej z objęć, bo teraz on osiągał własną satysfakcję. Trzymał ją więc mocno, a jej ramiona ponownie oplotły mu szyję. Włosy Chase'a, wilgotne od potu, ocierały się o grzbiet jej dłoni. Oddech jego szumiał jej w uszach, gdy wnikał w nią z zawziętością zrodzoną z potrzeby przewyciężenia wszystkiego, co

działo się podczas wojny, wszystkiego, co działo się między nimi, pełen furii i pożądania. Czowała go w całym ciele.

Nie przypuszczała, że coś takiego jest możliwe, lecz teraz nic nie było niemożliwe - w tym muzeum, w tej chwili: wdzierał się w nią z siłą i szybkością ognia, póki każda jej cząstka nie rozżarzyła się i nie nastąpiło ponowne wyzwolenie. Uderzyła pięścią w jedno z jego twardych ramion, pełna szaleńczej radości, że mógł do tego doprowadzić, i pragnęła go coraz mocniej, nawet wtedy, gdy był wewnątrz niej. Rytm jego bioder nabrał szaleńczego tempa, a dotyk jego skóry był nie do zniesienia zmysłowy.

A potem zagłębił się w nią tak bardzo, że eksplodowała z rozkoszy. Głowa opadła jej ciężko na jego pierś.

Zdławiony oddech Chase'a stał się teraz urywany. Odchylił głowę w tył. Przygryzł wargę, żeby nie krzyczeć. Rozalinda widziała jak przez mgłę połyskliwy pot na napiętych mięśniach jego szyi.

Ciało Chase'a się uspokajało. Czowała, jak przebiegł przez nie dreszcz. Czowała, że stapia się w jedno z jego ciałem, gdy trysnął wewnątrz niej gorącym płynem.

Powinna odczuć spokój, spełnienie, satysfakcję. Oddychać.

Rozalinda nigdy jednak w obecności Chase'a nie doznała uczucia spokoju. Tak też było i teraz. Nie czowała nic prócz tego, że jej ciało nadal było pozbawione kości, gorące i uległe niby wosk, a mogła się utrzymać w pozycji stojącej tylko dlatego, że on ją podtrzymywał.

Sam fakt, że był to on, wystarczał za wszystko.

Gdy mogła już normalnie oddychać, spojrzała na niego. Przyglądał się jej uważnie, z lekko zmarszczonymi brwiami. Potem zaś powoli opuścił jej nogę i przesunął dłońmi po jej biodrach. Wahał się. A potem jego ręce zbliżyły się ku jej twarzy.

Ku zdumieniu Rozalindy otarł kciukiem kilka łez wiszących na jej rzęsach. No cóż, widocznie to z ich powodu widziała wszystko jak przez mgłę.

Była zaskoczona i zarazem nie była. Poruszył ją do głębi, a ona, jako kobieta, nie potrafiła okazać stoickiego spokoju, jak on. Jak mężczyźni.

Wzruszyła nieznacznie ramionami. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu kącik jego ust się unióś. Chase spojrzał na swoją rękę i potarł kciuk o palec wskazujący - ostrożnie, powoli. Ścierając jej łzy ze swojej skóry.

Potem nastąpiła długa cisza.

- No cóż, już po wszystkim - szepnął.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Nie były to słowa, które chciała usłyszeć. Bynajmniej nie wyglądały na deklarację miłości. Czegóż się jednak spodziewała? Ze wszystkiego, co stało się tej nocy, ów akt miłosny wydawał się czymś najmniej prawdopodobnym.

Miłość. Odsunęła od siebie tę myśl, która nagle ku niej nadpłynęła z mroku.

- Chodź - szepnął po chwili.

Wyślizgnęli się chyłkiem z muzeum prawie tak samo, jak chyłkiem do niego weszli. Zdawało się to trwać całą wieczność, choć

w istocie były to minuty. Ciało Rozalindy nie należało już do niej. Należało do niego. Wciąż jeszcze czuła go wszędzie w sobie. Cisza i ciemność potęgowały to wrażenie. Gdy raz jeszcze przechodzili przez salę z włoskimi obrazami, Rozalindzie wydało się, że wyczuwa zapach męzkowskich cygar. Zastanawiała się, czy powodem tego jest poczucie winy, czy też brak wyrzutów sumienia.

Stangret Chase'a, Phillips, przyjechał po nich, jak mu polecono, w godzinę po ich wejściu do muzeum - czyżby to była tylko godzina? - i obydwójce podbiegli, by wsiąść do powozu, nim się jeszcze zatrzymał. Wewnątrz tego wspaniale utrzymanego wehikułu na znakomitych resorach - gdzie, zdaniem Rozalindy, wciąż jeszcze pozostało coś z woni Liama przed kąpielą - siedzieli z dala od siebie, jakby każde z nich chciało osobno zagłębić się w rozmyślaniach.

Żeby ponownie odzyskać równowagę.

Jakby wyczerpali tematy do rozmowy, przedtem skwapliwie prowadzonej, po złamaniu swoistego postu. Ona swój istotnie złamała.

- Szkoda, że niczego nie zauważyliśmy.

Chase myślał o tym, że nie udało mu się znaleźć odpowiedzi - jemu, który zawsze znał odpowiedź. Nie myślał teraz o niej.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Czy... czy nie czułeś dymu z cygara, kiedy byliśmy w muzeum?

- spytała.

- Dlaczego?

- Zdawało mi się, że go wyczuwam, a przecież nikogo tam nie było. Może to naprawdę odezwało się moje sumienie, pomyślała.

## 18

Prawie już drzemała ze znużenia, gdy stangret, ściągnawszy lejce, zatrzymał konie przed jej małym domkiem o czerwonych drzwiach. Chase wysiadł z powozu pierwszy i wyciągnął ku niej rękę, żeby jej pomóc.

- Możesz teraz zapalić latarnie, Phillips - polecił cichutko woźnicy. - Dziękuję.

Stangret zeskoczył z kozła, żeby zrobić, co mu kazano, i po chwili światła powozu rozbłysły niczym wielkie, lśniące oczy. Chase podał rękę Rozalindzie, a ona - z ciałem cudownie obolałym, potraktowanym tak, jak ciało kobiece powinno być traktowane - ujęła ją i zeszła po stopniach powozu.

Niebo było perłowszare. Świta, pomyślała półprzytomnie.

- Chciałbym pomówić z tobą w cztery oczy, Rozalindo. Mogę wejść?

Bardzo formalnie to zabrzmiało, po tym jak całkiem niedawno przywierali do siebie ciałami. To dziwne, że można mówić normalnym głosem po długim milczeniu tej nocy.

Byłaby rada, gdyby już sobie poszedł. Chciała zostać sama, żeby wspominać to, co się wydarzyło nocą. Upewnić się, czy zaspokoila swoją ciekawość. I własną potrzebę. A może i ciekawość, i potrzebę.

Obawiała się też, że po raz drugi będzie musiała wysłuchać jego oświadczyn.

Może jego poczucie honoru wymagało tego, by ponawiać oświadczyn za każdym razem, gdy jej dotknął? A Rozalindzie nie uśmiechała się perspektywa dama mu kosza po raz drugi.

- Proszę bardzo - odparła uprzejmie.

Chase wszedł za nią do środka. Stał i patrzył na nią przez dłuższą chwilę, gdy zajęta była drobnymi czynnościami domowymi. Ogień na kominku ledwie się tlił. Poruszyła go pogrzebaczem, chcąc wykrzesać choć trochę ciepła z kilku nędznych bryłek węgla. Zapaliła dwie lampy. Krąg światła, jaki utworzyły, robił wrażenie wschodu słońca po godzinie spędzonej w ciszy i ciemności.

Czekał cierpliwie, póki tego wszystkiego nie skończyła.

A potem odwróciła się ku niemu i się zdumiała. Stał bez ruchu, z pobladłą twarzą, z ustami zaciśniętymi w cienką linię. Serce się jej ścisnęło. Potrafiła rozpoznać ból.

- Chase, siądź - rozkazała mu, choć mówiła cicho.

Jednym szybkim ruchem podsunęła mu stare, miękko wyściełane krzesło. Usiadł na nim i wyciągnął przed siebie nogę, a ona patrzyła na niego bez słowa, zastanawiając się, ile bólu musiał znosić od czasu opuszczenia Belgii. Wiedziała, że wojskowi chirurdzy zrobili, co tylko mogli. Pozszywali mu rany i nie amputowali nogi. Ale zostawili go samego z jego cierpieniem.



Siadła na sąsiednim krześle. Chwilę później położyła delikatnie ciepłą dłoń na jego nodze. Z myślą zarówno o nim, jak i o sobie. Widok zbielełej skóry wokół jego ust był nie do zniesienia.

Spojrzał na nią spod na wpół przymkniętych powiek. Oddech miał trochę nierówny.

- Gdybyś mogła dotknąć nieco mocniej...

Nacisnęła mocniej palcami twardy mięsień i zaczęła go rozcierać. Po chwili Chase odetchnął głęboko. Bładość wokół ust zniknęła.

- Lepiej mi - mruknął. - Dziękuję ci bardzo.

Cofnęła rękę. W tej chwili obydwójce jakby schowali się w sobie, zakłopotani intymnością tego kontaktu, który wydał im się bardziej intymny niż wcześniejszy akt miłosny.

- Wiesz, Rozalindo... - Chase urwał, zastanawiając się nad tym, co miał powiedzieć - ...że nie czułem żadnego bólu, kiedy zeszłego wieczoru zegnałem się z kuzynem?

Sądziła, że z góry wie, co on teraz powie. A jednak się myliła.

- Czy ty... z nim piłeś? - Zabrzmiało to tak, jakby Chase w tych dniach pił z każdym.

- Nie, on mi zaproponował tylko herbatę. Nie zauważyłem w jego pokoju nawet karafki z brandy. - Powiedział to takim tonem, jakby kuzyn okazał rażącą nieuprzejmość. - Rozmawiałem z nim i czułem się w jego towarzystwie tak dobrze, jak tylko można się czuć w towarzystwie kogoś, kto wprawdzie jest dalekim krewnym, ale w gruncie rzeczy pozostaje obcym człowiekiem. No i przez chwilę przestałem odczuwać ból, kiedy od niego wychodziłem.

Próbował jej przekazać coś ważnego, czego nie potrafił ująć w słowa. Rozalinda zdrętwiała, gdy w pełni pojęła znaczenie jego ostatnich słów.

- Czy to znaczy, że... noga boli cię przez cały czas?

Starła się nadać głosowi obojętny ton; ton, jakim mówi przepytujący pacjenta chirurg. Czowała jednak w sobie cały ten ból. Kiedyż jego ból zaczął być jej bólem? Odegnęła od siebie tę myśl.

Odparł z wahaniem, które się jej wcale nie spodobało.

- Nie przez cały czas - powiedział, nieco się krzywiąc, a ona odetchnęła z ulgą i dopiero wtedy do niej dotarło, że wstrzymywała oddech. - Różnie bywa. Czasami... - urwał i pokręcił gwałtownie głową, tym gestem zastępując słowa „jest nie do zniesienia” - ...prawie czasami zaś go nie czuję. Ale tym razem było inaczej. Jakby... jakby ta noga nigdy mnie nie bolała. Ból minął. - Jego głos brzmiał ponuro.  
- Zapewniam cię, że to ogromna różnica.

Nie miał urojeń. Nie dopatrywał się w czymkolwiek ingerencji sił nadprzyrodzonych. Ale i on, i Rozalinda nie wiedzieli, co o tym myśleć.

- Czy on... cię dotknął?

- Tak.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć. I w niej to zdarzenie wzbudziło zdziwienie i zarazem sceptycyzm. Tak jak on nie ulegała urojeniom.

- Nie było to żadne nakładanie rąk czy coś w tym rodzaju. Uścisnął mi tylko dłoń na pożegnanie, kiedy zbierałem się do wyjścia. Odwróciłem się i zrobiłem cztery kroki ku drzwiom, gdy zauważyłem,

że... no, to co zauważyłem. Przyznam ci się, że miałem wrażenie jakby mnie piorun raził. Odwróciłem się, spojrzałem na niego... a on wyglądał na zatrwożonego. Mogło to być złudzenie, może tak padało na niego światło, choć nie sędzę, żeby tak było. Uważam, że wiedział, co czuję. To znaczy... że nie czuję bólu.

Nigdy jeszcze nie spotkała się z podobnym zjawiskiem i Chase najwyraźniej tak samo. Wyobraziła sobie, jak zachwiało ono jego przeświadczeniem o tym, co jest możliwe, a co nie jest.

- Czy ci się wydał sympatyczny?

- Wytwornie się wyraża. Zyska pewnie popularność wśród dam z Pennyroyal Green. Przypuszczam, że będą mu okazywać sympatię w bardzo elegancki sposób. Wiesz, obiady, wiejskie jarmarki, spotkania towarzyskie i tym podobne. Roztyje się od kolacji, na które będzie zapraszany. Ławki kościelne będą w niedzielę pękać od natłoku wiernych. Genevieve zemdleje z wrażenia.

- Czy jest przystojny?

- Owszem - odparł rzeczowo, tonem mężczyzny świadomego, że jego urokowi fizycznemu i tak nikt nie dorówna.

- Czy jest miły?

- Wystarczająco.

Uśmiechnęła się.

- Polubiłeś go?

- Chyba tak. To w końcu mój krewny ze strony matki. - Urwał. - Mam nadzieję, że wydumałem to sobie. Ze względu na niego.

Wiedziała, że ma nadzieję, iż wydumał to sobie ze względu na siebie.

- Czy naprawdę sądzisz, że on może...

- Nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

Powiedział to tak, jakby chciał uciąć rozmowę na ten temat. Bał się widocznie samej myśli, że ktoś mógłby uwolnić go od bólu. Albowiem myśl, że coś takiego jest możliwe, nie dawałaby spokoju nikomu nękanemu nieustającym bólem.

To potężna moc - moc uzdrawiania. Również niebezpieczna. Ale tak naprawdę nic się nie wydarzyło. Zapewne Chase wdał się w tak interesującą rozmowę z kuzynem, że - na krótką cudowną chwilę - zupełnie zapomniał o bólu.

- To jednak ciekawe. Niektórym dokuczają stare rany. Czyż może ciążyć brzemie... mocy uzdrawiania? Czy tak właśnie jest w tym przypadku?

- Myślę, że wszystkim dokuczają stare rany. I wszyscy mamy moc ich uleczenia - odparła ostrożnie.

Uniósł raptownie głowę i spojrzał na nią, zmrużywszy oczy. Zrozumiał. To była aluzja. Rozalinda miała na myśli ich niebaczny postępek sprzed wielu lat. Zresztą rozmawiali o nim wyłącznie aluzjami.

- Wiem, Rozalindo, myślisz, że jestem surowy, nieustępliwy i tak dalej. Nie, nie protestuj.

Nie miała zamiaru. Uśmiechnął się więc, niewesoło.

- Ale na wojnie jest to niezbędne. Ludzkie życie zależy wówczas od dyscypliny, surowości, pewności i niezachwianych decyzji. Słabość lub niezdecydowanie są wtedy czymś niewybaczalnym, zwłaszcza gdy możesz okazać brak słabości. Zwłaszcza gdy życie ludzi, lub niepodległość kraju, zależą od zdecydowania i od twojego trzeźwego osądu.

- Czasami nie mamy innego wyboru, jak okazać słabość. I każdy ma inną definicję słabości.

Westchnął. Zapadła cisza.

- Ale ty już nie jesteś na wojnie, Chase - powiedziała bardzo cicho.

Patrzył na nią przez chwilę surowo. A potem znów westchnął. Może z irytacji. A może ze znużenia. Albo z jakiegokolwiek innego powodu.

- Wygląda na to, że w Montmorency Museum rzadko ktoś w ogóle bywa - rzekł.

Chciał widocznie zmienić temat.

- Gdy pierwszy raz je odwiedziłam, widziałam tam tylko trzy osoby - odparła. - Jedną z nich byłeś ty.

Uniósł raptownie głowę.

- A te dwie inne? - spytał. - To nie był wtorek, dzień, w którym muzeum jest sprzątane. MacGregor mówił, że sprzątacze przychodzą tylko we wtorki. Czy rozpoznałeś kogoś?

- Nie był to nikt, kogo znam. A jeden z nich... prawdę mówiąc, chyba mi się przywidziało, że go widzę. Zdało mi się, że widzę

mężczyznę ubranego jak król Henryk VIII. Miał na sobie szerokie górną, bufiaste spodnie, wielki kapelusz i przemknął przez salę, gdzie... gdzie stoi to wielkie łóżce.

Chase przez chwilę nic nie mówił. Spojrzał na nią, marszcząc brwi. Niemal słyszała myśli kłębiące się w jego głowie.

- Drugą był dziwny człowieczek, lalkarz, który czyścił ohydną marionetkę.

Chase siedział bez ruchu. Przerazająco nieruchomo. A potem powoli nachylił się ku niej, jakby chciał lepiej ją słyszeć. Albo podnieść się z krzesła.

Spojrzała na niego z niepokojem.

- Mów dalej - zażądał.

- Zauważył, że przyglądam się obrazowi Rubinetta. Spytał, dlaczego mnie ten obraz zainteresował. Powiedziałam mu, że nasuwa mi myśl o siostrze. A on odparł, że jemu przypomina o córce. Powiedział też, że... wcale mu się ten obraz nie podoba.

Chase zamarł, nadal przechylony. W jego oczach dostrzegła błysk triumfu.

- Rozalindo...

Powiedział to takim tonem, że serce w niej zadrżało. Po chwili milczenia się odezwał.

- Chciałbym cię jutro rano zabrać na przedstawienie kukielkowe. Jeśli pogoda dopisze.

Znów nie mogła zrozumieć, co on właściwie ma na myśli.

- Dobrze - zgodziła się z pewną ulgą.

Chase ponownie oparł się plecami o tył krzesła i swoją wielką dłonią zaczął masować nogę, żeby złagodzić ból.

- Znów cię boli? - Nie było to pytanie. Raczej próba powiedzenia czegokolwiek.

- Nie czułem bólu, kiedy się z tobą kochałem.

Silny rumieniec wypłynął na jej policzki. Wpatrywała się w niego, nie mogąc wykrztusić słowa. Czemuż ten przekłety mężczyzna zawsze wali prosto z mostu i zawsze ją tym zaskakuje?

Obserwował ją ze smutną twarzą. I spokojnie, stłumionym głosem, zaproponował:

- Zostańmy kochankami, póki nie odpłynę do Indii.

No proszę, więc to kapitan Eversea sobie zaplanował! Zawsze planował, co będzie robił.

- Ja... ja... - jąkała się.

Kochankowie. Jak się zachowuje kochanka? Czy powinna sobie sprawić peniuar? Skorzystać z usług krawcowej, madame Marceau, żeby się do tego przygotować?

To, co się stało tej nocy, było czymś... koniecznym dla nich obojga i nieuniknionym. Kulminacją i odprężeniem. Nie wiedziała, co ma o jego propozycji myśleć. Ale przemyśli ją, gdy jego przy niej nie będzie.

Chciała też myśleć o Lucy. Powinna myśleć o Lucy.

- Masz prawo do rozkoszy, Rozalindo - powiedział cicho, niezwykle miękko głosem. - Nawet gdy ciążą na tobie obowiązki.

Obiecuję, że... dam ci niesłychaną rozkosz. Będzie to dla mnie zaszczyt.

Teraz ona uniosła głowę. Raz jeszcze odgadł jej myśli, ale nie wszystkie. Przygryzła wargę i przez chwilę wpatrywała się we własne kolana. A potem spojrzała na niego z niemą prośbą w oczach. Pragnąc, by zrozumiał to, czego nie mogła wypowiedzieć.

Skinął głową. Zrozumiał. A potem stuknął laską w podłogę i wstał tak lekko, jakby go nic nie bolało.

Ona jednak знаła prawdę.

- Znajdziemy Lucy - rzekł stanowczo. Miał tego pewność.

- Wiem.

Pragnęła zawierzyć jego pewności. Wiedziała też, że on pragnął usłyszeć od niej, że ona mu ufa.

- Dziękuję za wieczór - powiedział.

Wiedziała, że to znaczy: „Dziękuję ci za to, że bezwstydnie kochałaś się ze mną, wsparta o liczące sobie trzysta lat biurko”. Głos jego znów brzmiał oficjalnie.

Nachylił się ku niej i wargi ich ledwie się zetknęły: był to niewinny pocałunek. Ale w ciągu kilku sekund stopniała jak wosk. W jej żyłach krążyła słodycz, a nie krew.

Oparł czoło o jej czoło. Zamknął oczy. Ona też. Powoli odetchnął. Odwrócił się od niej, z twarzą znów spiętą i bez wyrazu.

- Śnij o tym, Rozalindo - odezwał się łagodnie.

A potem złożył jej ukłon i życzył dobrej nocy.



Nazajutrz Chase odwiózł Liama do pensjonatu, gdzie mieszkał jego kuzyn, swoim powozem, który wcześniej wyszorowano, wywietrzono i suszono przez całą noc.

- Widziałem pana - oznajmił nieśmiało Liam. - Zeszłej nocy.

- A co robiłem?

- Całował się pan z panią March.

Gdzież on mógł...

- W jej domu. Zanim pan wyszedł. Zanim kuzyn Adam przyszedł zabrać mnie do siebie na noc.

Bezczelny smarkacz! Widocznie zbudził się wkrótce po tym, jak Chase położył go do łóżka.

- Nie całowałem pani March. - Istotnie, właściwie tego wcale nie zrobił.

- Ale chciał pan.

Chciał zrobić z panią March znacznie więcej, no i przecież, na Boga, zrobił to w muzeum. Nigdy nie doświadczył bardziej dojmującej rozkoszy w całym swoim życiu, a jednak wciąż nie miał pewności, czy nie popełnił błędu. Warto jednak śnić o tym i rozpamiętywać to przez resztę życia, tak przynajmniej sądził. Bez względu na to, czy będzie się z nią jeszcze kochał czy też nie.

Dokładnie jednak wiedział, gdzie chciałby się z nią kochać następnym razem. Wiedział też, gdzie ona chciałaby się z nim kochać. I że ona wie, jak bardzo chce tego on.

A chciał się z nią kochać co najmniej jeszcze jeden raz przed wyjazdem, był bowiem pewien, czego najbardziej pragnie Rozalinda March.

Pragnęła jego. I to we własnym łóżku.

- Nie powinienes nas podglądać, Liam.

- Pewnie pan myśli, że mam to robić, kiedy pan każe.

- Tylko wtedy, kiedy ci za to płacę.

Liam roześmiał się, rozbawiony słowami własnymi i Chase'a. Był w o wiele lepszym nastroju niż zeszłego dnia. Całą nadzieję na odnalezienie siostry pokładał bowiem w Chasie. Pogodny nastrój chłopca uświadomił Chase'owi, jak olbrzymią odpowiedzialność wziął na siebie.

A jeśli nie znajdzie jego siostry, to co, na miłość boską, zrobi z Liamem? Jak to wszystko mogło mu się przydarzyć? Nie dalej jak tydzień temu upijał się na umór i ze wstrętem słuchał monologów brata o krowach.

- Wstałem, żeby poszukać nocnika, a wtedy zobaczyłem pana, i to wszystko - dobrowolnie wyznał Liam.

- Jakże miło z twojej strony, że zostawiłeś pani March pełny nocnik - odparł sucho Chase.

Liam roześmiał się, rozbawiony. Chłopiec był wręcz zdumiewająco czysty. Tak czysty, że zdaniem Chase'a mógłby wręcz uchodzić za kogoś z rodziny Eversea, z tymi błyszczącymi oczami i zuchwale wysuniętym podbródkiem z dołeczkiem pośrodku. Tylko uszy, niestety, były o wiele za duże. Włosy na głowie sterczały jak

źdźbła słomy. Brwi i rzęsy miał jasne, prawie białe. W rodzinie Eversea nikt takich nie miał, może prócz jednego kuzyna Adama.

- Zamknij się, Liam, bo teraz jedziemy po panią March.

Jak zwykle, na skwerze zebrał się już mały tłumek wokół teatrzyku, pod namiotem w różowe i złote paski. Marionetki wywijają na scenie drewnianymi rączkami w taki sposób, jakby tylko częściowo podlegały prawu ciężenia.

Melodia zmieniła się raptownie, gdy Chase wszedł w ciżbę, co zdumiało i Rozalindę, i Liama. Jak poprzednio, tłum bynajmniej nie rozstał się przed nim niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Chase uparcie parł do przodu, rozpychając się łokciami, następując na nogi i wywołując głośne piski oraz pełne oburzenia uwagi. Torował drogę Rozalindzie i Liamowi, póki nie znalazł się tuż przed samą sceną.

Tam zaś przeczytał złożony ze złotych liter napis: „Teatr Myrtleberry'ego”.

Odwrócił się gwałtownie do Rozalindy.

- Lalki mi wszystko powiedziały! - rzucił triumfalnie.

Dojrzał troskę na jej twarzy. On chyba zwariował.

*Przenigdy nie zobaczycie,*

*Jak ten huncwot traci ży... - aj!*

Chase schwycił lalkarza za kołnier koszuli i odciągnął go w tył. W ślad za Myrtleberrym znikły ze sceny wszystkie lalki i sznurki, a tłum wydał chóralny okrzyk zgrozy.

Chase puścił raptownie lalkarza.

- Zabierz te swoje kukły...

- Ma pan na myśli marionetki? - pisał Myrtleberry.

- ...włóż je do tych trumienek...

- Do futerałów! - poprawił go lalkarz.

- ...i zabieraj się ze mną. - Chase uśmiechnął się nieszczercze. -

Musimy sobie pogadać. Nie puszczaj też w obieg kapelusza. Zbędna fatyga, bo na dzisiaj koniec z przedstawieniem!

Thum gwizdał, wrzeszczał i pomstował. Poleciało w ich stronę kilka ogryzków jabłek, kiedy stało się jasne, że ktoś przerwał spektakl.

- Zabieraj się stąd, bo w przeciwnym razie przyjdzie na ciebie kryska - warknął do pobladłego ze strachu Myrtleberry'ego.

A potem stanął przed teatrzykiem i zawołał donośnie:

- Myrtleberry przyjdzie tu ze swoim teatrzykiem, kiedy znów będzie ładna pogoda! I z nowym repertuarem - rzucił pojednawczo w stronę widzów, patrząc ostrzegawczo na lalkarza.

Thum, ułagodzony, zaczął się rozchodzić, pomrukując z zaciekawienia. Ludzie zastanawiali się, jaki też będzie ten nowy repertuar. Chase uprzedził Liama, że zostawia go samego na godzinę, i zaprowadził Myrtleberry'ego do Mumford Arms, gdzie zapewnił sobie stolik, przepędzając jednym groźnym spojrzeniem wszystkich, którzy przy nim siedzieli, po czym z Rozalindą oraz lalkarzem zajął ich miejsca. Opowiedział krótko Rozalindzie o słyszanych przez siebie piosenkach i o własnych podejrzeniach, przestała się więc

obawiać o jego równowagę umysłową. Zrozumiała też, czemu nic jej nie powiedział wcześniej.

- „Myrtleberry” wygląda raczej na imię lalki niż nazwisko - parsknął gniewnie.

Po czym wychylił pół kufła piwa jednym haustem. Widząc to, Rozalinda wytrzeszczyła oczy. Mrugnął do niej i otarł usta.

- Istne ośle siki - mruknął i podsunął jej kufel.

Ledwie spróbowała.

- Ale to moje prawdziwe nazwisko - próbował się bronić Myrtleberry.

Teatrzyk, jak się okazało, można było wraz z lalkami zapakować do sporego przenośnego pudła, które stało teraz przy jego nogach pod stołem. Chase spojrział na nie podejrzliwie i trącił je stopą: gdyby marionetki mogły z niego wyskoczyć, chętnie by je rozdeptał na miazgę.

- Dlaczego uznał pan za stosowne szydzić w piosence z mojej rodziny za każdym razem, kiedy pan mnie widział? Co, u licha, chciał mi pan przez to powiedzieć? Jak mógł mnie pan wysledzić w tłumie?

- Nie było to trudne, kapitanie Eversea. Człowiek z pana wysoki, o wyrazistych rysach, byстрыm oku. Wygląda pan na zamożnego i pewnego siebie, a gałkę pańskiej laski też można łatwo zauważyć. Błyszczą w słońcu. Bardzo się pan wyróżniał w tym tłumie na skwerze, no i właśnie dlatego z daleka pana odróżniałem od innych.

Przyjrzał się bliżej Chase'owi i dodał:

- Byłaby z pana świetna marionetka.

- Niech pan zważa na słowa, Myrtleberry!

Chase poczuł, że Rozalinda trąca go kolanem pod blatem.

- Co panu wiadomo o tym obrazie? Co pan mi próbował powiedzieć? No i czemu nie zrobił pan tego otwarcie, zamiast kryć się za tymi bzdurnymi piosenkami?

- Bo mi powiedzieli, że zabiją moją Corę. Mnie także.

Rozalinda trąciła go, bardzo lekko, ale nawet to lekkie dotknięcie uspokoiło Chase'a.

- Opowiedz wszystko od początku, Myrtleberry.

Rozalinda zauważyła, że bawiło go ciągle powtarzanie tego nazwiska.

- Czuję, że mi pan może pomóc, jeśli zechce. Podśluchałem, co pan mówił do pani March o tym obrazie w muzeum. A o panu słyszałem już wcześniej. Jeden z moich przyjaciół służył pod panem na wojnie. Clackham się nazywał.

- Porządny był z niego człowiek.

Wszyscy jego ludzie byli porządni, nie uszło uwagi Rozalindy. Zapewne byli mu też wdzięczni. W głosie Chase'a słychać było czujność, ale ton był pojednawczy.

- No i przyszło mi na myśl, że gdyby mi się udało zwrócić pańską uwagę - ciągnął Myrtleberry - słowami piosenki, a były one dość wymowne, może by to pana skłoniło do zainteresowania się... co tu się właściwie dzieje. No, bo siostra pani March też przecież zniknęła.

- Co panu wiadomo o Lucy? - w głosie Rozalindy zabrzmiało napięcie.

Teraz Chase trącił ją kolanem. Myrtleberry westchnął.

- Cora popełniła błąd, o tak. Zatrzymał ją strażnik, który powiedział, że skradła jakiś owoc z wózka straganiarza. Ano, moja Cora nie jest święta, choć dobra z niej dziewczyna. A potem zniknęła. Nigdzie jej nie mogłem znaleźć, sędzia powiedział, że wcale jej nie widział, a mnie się serce krajało, bo prócz niej nie mam nikogo na świecie.

Chase znał już dobrze tę żalostną opowieść. Jego dłoń zacisnęła się mocno wokół kufla.

- A potem dostałem list, że Cora jest cała i zdrowa, że skazano ją na inny, łagodniejszy rodzaj kary. I że włos jej z głowy nie spadnie, jeśli tylko wykonam kilka dekoracji wedle danych mi wskazówek. Jestem też cieślą, rozumie pan? Nie tylko lalkarzem.

Dopiero po chwili zrozumieli, o czym on mówi.

- Kilka dekoracji? - spytał Chase. - Jakich znowu?

- Statek piracki. A także mały lasek, niby-dekorację na scenie. Z muchomorkami, tęczę i dzbankiem pełnym złota. Kazano mi też wykonać coś w rodzaju dużej skały oblanej morzem.

Oniemieli ze zdumienia.

- Ale gdzie pan to wszystko budował? - zaciekawiała się Rozalinda.

- Niech pan jeszcze raz zacznie od początku, najdokładniej jak można - zażądał Chase.

Myrtleberry ucieszył się, słysząc energiczne, rzeczowe polecenie. Ton Chase'a, jak zawsze, był krzepiący.

- Powiedziano mi, żebym przyszedł w nocy sam jeden do muzeum, o bardzo późnej porze, jeśli chcę to wszystko dla nich wykonać. A że się martwiłem o moją Coreę, to i zrobiłem, jak chcieli. Wyszedł mi na spotkanie zamaskowany człowiek z pistoletem, dużo wyższy ode mnie. Jakże mu się mogłem sprzeciwić? Zawiązał mi opaskę na oczach, a potem poprowadził, z pistoletem przytkniętym do moich pleców, ale nie wiem dokładnie gdzie. Ale przysięgłbym, że szliśmy przez muzeum. Czułem woń oleju i świec. A także suche powietrze. Widzi pan, ja to muzeum znam. Szliśmy tak z dziesięć minut, a potem weszliśmy w jakieś drzwi. Słyszałem, jak się otwierają. Powietrze się zmieniło. Nie było już suche, tylko stęchłe i zimne...

Lalkarz urwał. Rozalinda podsunęła mu kufel z resztą piwa. Myrtleberry napił się z wyraźną wdzięcznością.

- A kiedy mi zdjęli opaskę, zobaczyłem, że stoję w jakiejś wielgachnej sali z wysokim sufitem i marmurową posadzką, całkiem pustej. Ściany miała malowane na różowo, ze sztukateriami, był tam także kominek. Ogromny, większy chyba niż pałacowa sypialnia. A wszystko, czego potrzebowałem do budowy tych rzeczy, już tam leżało. Młotki, gwoździe, piły i tak dalej, drewno i farby. Wiedzieli, że jako lalkarz umiem robić dekoracje. Raz czy dwa robiłem je do przedstawień w Covent Garden. Powiedzieli mi co i jak, i że mogę już zaczynać, a potem zamknęli mnie na klucz.

Urwał i z trudem zaczerpnął tchu.



- Niech pan mówi dalej - przynaglił go Chase. Rozalinda położyła dłoń na sękatej ręce lalkarza.

- Parę godzin później ten zamaskowany gość wrócił... poznałem go po głosie, gadał niczym jakiś arystokrata... i na powrót zawiązano mi oczy, a potem mnie odprowadzono. Znowu z pistoletem przyłożonym do pleców. I tak było co dzień, przez kilka tygodni, póki wszystkiego nie zbudowałem tak, jak chcieli. Kiedy mówiłem, że mi trzeba jakiegoś narzędzia, zawsze się tam zjawiało. A jak ten jegomość chciał, żeby coś zmienić w tym, co zrobiłem, musiałem go zaraz usłuchać. Aż wreszcie usłyszałem, że już dłużej nie muszę przychodzić do muzeum. Ale Cory wcale nie uwolnili, bo im się jeszcze mogłem przydać.

- Co pan zdołał zauważyć u tego człowieka? Głos? Coś jeszcze?

- Chyba był wysoki, bo jego głos dochodził do mnie jakby trochę z góry. Strasznie arystokratyczny. Wszędzie bym go poznał.

- Kiedy po raz ostatni prowadzili tam pana z tym pistoletem przystawionym do pleców?

- Może z miesiąc temu. A mojej Cory jak nie ma, tak nie ma. Rozalinda rozumiała jego ból. Sama czuła podobny.

- Czemu pan śpiewał o tym obrazie Rubinetta w muzeum? O aniołach i tak dalej?

- Ano cóż, jak doglądam tych lalek w muzeum, to czasami - tu Myrtleberry ciężko westchnął - zdaje mi się, że słyszę śmiech mojej Cory. Ale tak jakoś z daleka. Może to wspomnienie, a może i prawdziwy śmiech, co? Zawsze go słyszę w tej sali z czeską

marionetką. I za każdym razem, kiedy tamtędy idę, czuję olej, którym smaruję lalki, a najmocniej właśnie w tej sali. No i, kapitanie Eversea, raz, kiedy tam akurat byłem, przestałem stukać młotkiem, bo usłyszałem przez ścianę, że się gdzieś śmieją jacyś mężczyźni. A jeden z nich... jeden mówił coś o dziewczętach, które przewracają na grzbiet. Wszyscy troje nagle zamilkli.

- Boję się, kapitanie Eversea, i chcę mieć z powrotem moją Corę. Nieważne, co tam przeskrobała.

*Lordowie się zaśmiewają,*

*Dziewki na grzbiet przewracają.*

Rozalinda spojrzała na Chase'a, on na nią. Mnóstwo poszlak zaczęło się nagle układać w całość pełną przerażających podejrzeń. Rozalinda poczuła lodowaty skurcz w żołądku.

Chase znów trącił ją kolaniem. Uderzyło ją, że odkąd usiedli razem przy tym stoliku, ciągle się dyskretnie dotykali. A więc on wie, ile jego obecność dla mnie znaczy, pomyślała. Gdy mnie dotyka, daje mi znak, że nic mi nie grozi... i zapewnia mnie, że będziemy kochankami.

„Jeśli widział pan moje anioły, to z pewnością był pan w burdelu”, powiedział Wyndham.

- Czy sądzi pan, że to muzeum jest używane jako burdel? - spytał Chase spokojnie.

Rozalinda patrzyła jednak na jego rękę. Zaciskał dłoń tak mocno na kuflu z nędznym piwem, że aż mu zbieleły kostki. Rumiane policzki Myrtleberry'ego pobleadły.

- Nie wiem, czy akurat tak jest, sir - odparł słabym głosem - ale słyszałem, jak tamci się śmieją i mówią o tych dziewczętach, które przewracają na grzbiet... cóż innego mogłoby to znaczyć? Przysiągłbym, że te właśnie słowa słyszałem.

- Musimy rzucić okiem na to muzeum za dnia - mruknął Chase. - W nocy już tam byliśmy i nie widzieliśmy żadnych podejrzanych pomieszczeń.

Myrtleberry wyraźnie był zdumiony, może tym, że wślizgnęli się do muzeum nocą, i zaczął się im przyglądać z wielkim zaciekawieniem.

- Wyjaśniałoby to, czemu Aksamitna Rękawiczka cierpi w ostatnich tygodniach na wyraźny brak klientów - ciągnął w zamyśleniu Chase. - Księżna mówi, że zrobiło się tam zbyt spokojnie. Mnie się też tak wydaje. Bardzo to wszystko dziwne.

Rozalinda nie sądziła, by kiedykolwiek mogła przywyknąć do bezceremonialnych wzmianek o burdelach. Nawet okrągłe rumiane policzki Myrtleberry'ego zrobiły się jeszcze czerwieńsze niż zazwyczaj.

Chase, nieprzejęty ich zażenowaniem, myślał na głos:

- Podejrzewam, że to malowidło stanowi jakąś wskazówkę na temat burdelu, a przynajmniej mówi coś o miejscu spotkań z kobietami, które do czegoś się zmusza.

Rozalinda wiedziała już, co oznacza ten podejrzany spokój w jego głosie, ta nuta mrocznego rozradowania. Lubił wyzwania. Lubił

naprawiać wyrządzone krzywdy. No i, jak zwykle, najlepiej się czuł w obliczu przeciwności.

- Chase... wiem, że już o tym wspominałam, ale ten dym z cygar, który jak mi się zdawało, tam czułam, był świeży. Jakby niedawno przeszedł tamtędy ktoś, kto palił cygaro.

Chase dopił swoje podłe piwo, odstawił kufel na stolik i powiedział do niej:

- Chyba znów pójdziemy dzisiejszej nocy do Montmorency Museum, tyle że z bardziej konkretnym planem.

## 19

Obiecawszy Myrtleberry'emu, że zrobi, co w jego mocy, by odnaleźć mu córkę, Chase zawiózł Rozalindę do domu.

Przeszedł z nią całą drogę od powozu do jaskrawoczerwonych wejściowych drzwi.

- Rozalindo...

Spojrzała nań wyczekująco, sądząc, że Chase zdradzi jej swoje domysły co do miejsca przebywania dziewcząt.

- Chciałbym znów się z tobą kochać. Wkrótce.

Poczuła zawrót głowy, o czym on dobrze wiedział. Zdażył ją pochwycić, nim upadła na najwyższy stopień schodów.

- Wystarczy, że powiesz „tak”, kiedy cię o to poproszę. Wiesz, kiedy to nastąpi. Przyjadę po ciebie przed świtem.

Cóż kobieta może powiedzieć, słysząc takie słowa? Zszedł o stopień niżej. Później się odwrócił.

- Rozalindo... wspomnij Aksamitną Rękawiczkę i tamtejszy obraz. A również to wszystko, co, jak ci już mówiłem, jest możliwe. Wiesz przecież dokładnie, co myślę o nas. Gdyby to ci miało ułatwić podjęcie decyzji...

Począł, żeby się upewnić, czy już się zarumieniła i straciła oddech, od samego wyobrażania sobie tego wszystkiego, czego nie mogła uniknąć, choćby nawet Chciała.

Zszedł na najniższy stopień schodów.

- I jeszcze coś... Odpływam do Indii za tydzień, ale jutro wyjadę do Sussex, żeby się pożegnać z rodziną. Nie wiem, jak szybko stamtąd wrócę.

Zatrzymał się u stóp schodów i spojrzał na nią tymi swoimi niebieskimi oczami. Pociemniały teraz z determinacji, ale nie od błagalnej prośby. Był dżentelmenem i dumnym mężczyzną.

Obojętne, czego się tego dnia dowiedzieli i co odkryli, nadal chciał, żeby sama decydowała, czego pragnie. Dotknął na pożegnanie runda kapelusza, skinął głową, wsiadł do powozu i odjechał.

Powóz Chase'a przyjechał po nią dwie godziny przed świtem. Rozalinda miała na sobie ciemny strój. Odpowiedni do ich planów.

Gdy wsiadła do powozu, wcisnęła się w kąt siedzenia, złożyła ręce na kolanach i siedziała sztywno, zastanawiając się, czy Chase powie choć słowo. Prawdę mówiąc, nic innego jej nie pozostało. Nie mogła przecież rzucić się na niego. Jego oczy pobłyskiwały w cieniu,

a mrok i światło tańczyły na jego twarzy. Wyczekiwanie to potężny afrodyzjak.

„Masz prawo do rozkoszy, Rozalindo”.

Wszystko odbyło się tak jak tamtego pierwszego razu: jazda bez słowa aż pod samo wejście dla obsługi, otwarcie małej furtki (Chase zabrał ze sobą olej do naoliwienia zawiasów), głuchy chrobot, gdy otwierał zamek, zapalanie małej świeczki, skradanie się korytarzem dla obsługi, odbezpieczone pistolety w ich dłoniach, póki wreszcie nie znaleźli się wewnątrz muzeum. Szli przeraźliwie wolno, z konieczności, ale prosto do celu. Doprowadził ją do szesnastowiecznej sypialni.

Umieścił świeczkę w starym świeczniku na biurku, a ona widziała to wszystko jakby w zwolnionym tempie.

- Tutaj - wyszeptał.

Mijały sekundy... jedna, druga, trzecia... Już wiedziała, jak zwiększać napięcie. Zapra gnęła usłyszeć jego oddech, coraz szybszy, coraz bardziej chrapliwy. I usłyszała.

.. .czwarta, piąta, szósta...

- Zgoda - wyszeptała.

Tak szybko, tak sprawnie, że ledwie zdążyła dostrzec, co on ma zamiar zrobić, rozsznurował i zsunął suknię z jej ramion. Dłonie Chase'a zawędrowały wyżej i wyjmowały szpilki z jej włosów, a potem gdzieś je odkładały. Słyszała, jak pobrzękują, padając na wypolerowane, szesnastowieczne drewno. Zanurzył palce w jej włosach, delectując się ich ciężarem i jedwabistością, Potem rozpiął

stanik, a wtedy poczuła się tak, jakby opadło z niej naraz wszystko, co ją krępowało. On zaś złożył jej ubranie na łożu z iście żołnierską sprawnością.

Delikatnie ściągnął z niej bieliznę, złożył ją równie sprawnie, ona zaś, w jego ramionach, starała się zdusić pełen zdziwienia śmiech, jaki wzbudził w niej fakt, że oto nagle stoi naga i bezbronna, on natomiast jest całkowicie ubrany.

Rozsunął zasłony łoża i położył ją na plecach. W świetle świecy pojawiła się chmurka kurzu, a potem zniknęła, gdy zasunął z powrotem kotary i oboje znaleźli się w ciemności tak gęstej i miękkiej, jak aksamitna kapa pod jej plecami. Dopiero po chwili zdołała dostrzec blade kontury własnego ciała, które wydało się jej bezkształtne, złożone z odrębnych fragmentów, które tylko Chase łączył niczym kłamra.

Poczuła, jaki jest gorący i masywny, gdy łóżko ugięło się pod jego ciężarem. Dał się słyszeć szelest, zapewne zdejmowanego przez niego ubrania. Nie tylko ona była teraz naga. Chwilę później jego ciepłe dłonie rozpoczęły wędrówkę po jej ciele: najpierw objęły kostki, jakby chcąc je zmierzyć, potem przesunęły czubkami palców po udach, musnęły kępkę włosów, prześlizgnęły się po krągłości brzucha. Miała wrażenie, że dotykają ją palce niewidomego. Ich dotyk wywoływał na jej ciele gęsią skórę. A ją całą przeszył dreszcz podniecenia.

Dłonie Chase'a ujęły teraz jej piersi, jakby je chciały zważyć. Palcami pieścił wzniesione pączki brodawek. Wygięła się, tłumiąc

jęk, a wtedy jego usta odszukały jej wargi i spoczęły na nich lekko. Wsunęła palce w jego włosy, chcąc przyciągnąć jego głowę ku sobie i sprawić, by ten pocałunek trwał i trwał, dziwiąc się, że każdy następny wydaje się jej czymś zupełnie nowym.

Ten bowiem różnił się całkowicie od poprzednich. Najpierw było to miękkie prześlizgnięcie się jego warg po jej wargach i drażniące pochwycenie dolnej zębami, a potem powolne spotkanie się języków, błogie, ciepłe i wilgotne. Obydwoje pieścili palcami swoje włosy. Zagłębiła się w ten pocałunek jak ktoś, kto osuwa się w głąb wulkanu.

Chase zmierzał do celu.

Zaczął swoistą podróż w odwrotnym kierunku: całował teraz jej podbródek, przesuwał usta ku żyłce pulsującej na jej wygiętej w tył szyi, aż wreszcie dotarł do dołka między piersiami i kolejno zajął się każdą z piersi. Później dotarł do obojczyka i do spojenia żeber, a wreszcie znów ją pocałował, fantazyjnie, cudownie, wsuwając język w jej pępek. Rękami obejmował teraz jej uda, rozkosznie muskając krótkie włoski, a potem przesunął ręce w dół, ku łydkom, zmuszając ją do rozwarcia kolan.

Oddech Rozalindy przyspieszył.

Czuła teraz jego gorący oddech między nogami, gdzie już narastała wilgoć: gdy westchnął, poczuła gorąco, a potem zaskakujący chłód, bo delikatnie tam dmuchnął.

Wiedziała, przeczuwała, co teraz nastąpi.

Było to - o Boże! - dotknięcie językiem. Kręte, gorące, aksamitne, wilgotne. Bardzo, bardzo powolne. Nawet w całkowitej ciemności



zasłoniętego łoża wiedział, co ma czynić z kobiecym ciałem. Przeszedł ją nagły dreszcz.

Mogłaby określić to, co czuła, jednym jedynym słowem: „Jeszcze”. Co zresztą trudno byłoby uznać za określenie. Nie wiedziała jednak, czy to doznanie jej się spodoba, bo było zbyt nowe i zbyt silne, a obejmowało ją całą. Czuła żar w żyłach.

A wtedy on zrobił to powtórnie.

Tym razem bardzo delikatnie, ona zaś cicho jęknęła i wygięła się w łuk. On zaś powtórzył wszystko jeszcze raz, aż jej dłonie zacisnęły się kurczowo na starym aksamicie kapy.

Chase nie ustawał w tej pieśczoście, uparcie i z premedytacją, ona zaś poddawała się jej. Pośród aksamitnego mroku, z aksamitem pod plecami, oddawała się najbardziej hedonistycznej przyjemności, jaką mogła sobie wyobrazić. Czuła się jak ktoś pozbawiony powłoki cielesnej, ze świadomością ograniczoną tylko do tej przejmującej, narastającej rozkoszy, i w zachwycie się na nią zgadzała, jak na coś jej należnego.

A on nagle przestał ją pieścić.

„Nie, nie, nie”. Chciała zaprotestować, chciała, żeby to trwało, póki nie wstrząśnie nią wyzwalający spazm, nie mogła jednak mówić, całkowicie oszołomiona tym doznaniem i ciemnością. On zaś uniósł się, spokojnie i zręcznie położył się na niej, biodrami na jej piersiach, i zaczął ją znów całować: jakby składał obietnicę, solenne przyrzeczenie, że zamierza to kontynuować, ale żąda też czegoś od

niej. Otworzyła oczy i ujrzała blade, muskularne wypukłości jego pośladków, a wtedy on dotknął spęczniałą męskością jej warg.

Przeżyła chwilę wstrząsu, który niemal wytrącił ją z wcześniejszego błogostanu.

Potem ostrożnie dotknęła tego językiem, zaczęła nim krażyć, bez pośpiechu, aż zwarł wokół niej ramiona; wydał z siebie gardłowy pomruk zadowolenia, pełen satysfakcji. Wiedziała teraz, jak potężną mocą uszczęśliwienia go włada. Instynktownie też wiedziała, jak ma się obejść z tym, co obejmowały jej wargi - najpierw z gładką, jedwabistą kopułką, potem z długim, gorącym, giętkim, lecz muskularnym trzonem.

Czuła, jak przenika go rozkosz, czuła jego gorący oddech, a jego język znów znalazł się tam, gdzie pragnęła.

W mrocznej głębi staroświeckiego łóża, w tym przedziwnym muzeum, w świecie, który wspólnie tworzyli, wydało się czymś właściwym branie udziału w owym festynie rozkosznej błogości. Smakowanie, ssanie, słodkie dręczenie. Naśladowała go; on dotykał jej mocno językiem, ona jego - swoim; on ssał delikatnie, ona także, poruszając się w pierwotnym, instynktownym rytmie.

Wiedziała, w jakiś przedziwny sposób, że każda kobieta rodzi się z tą wiedzą. A jednak za życia męża mogła tego nigdy nie doświadczyć. Dziwne, że ów akt, tak intymny, i oszałamiająca rozkosz mogły być równie ciche.

Członek wyslizgnął się jej z ust, ale ona była teraz rozpalona. Nachyliła się nad nim z nieświadomym żądaniem. Nie mogła już dłużej dawać mu rozkoszy. Sama pragnęła zaznać rozkoszy do końca.

Odchyliła gwałtownie głowę w tył i wyszeptała:

- Przepraszam...ja muszę...

- W porządku, najdroższa. Najdroższa?

Zrozumiała, że z nim będzie bezpieczna. Ze zawsze może się do niego zwrócić w potrzebie. Jak teraz.

Obrócił się i jego gorące ciało nakryło jej ciało. Przesunęła rękami po twardych, wspaniałych płaszczyznach męskiej piersi, po krętych, wilgotnych od potu włosach. Trzymał członek własną dłonią, a potem wsunął go w jej ciało, torując sobie nim drogę, i niczego już więcej nie potrzebowała, by wszystko inne rozprysnęło się w oślepiającym spełnieniu.

Obejmował ją mocno ramionami, wniknąwszy w nią.

Przyłgnęła do niego kurczowo, śledząc ruchy jego wąskich bioder, ten bezwzględny wyścig ku własnej rozkoszy, upojona gwałtownością aktu, czując go w sobie tak głęboko, że niemal boleśnie. Przygryzł wargę, odetchnął gwałtownie i przywarł do niej bez słowa, cały drżący. Spełnienie objęło jego ciało, które tryskało wewnątrz niej gorącym nasieniem.

- Rozalindo - wyszeptał.

Nigdy nie słyszała, żeby ktoś tak wymawiał jej imię. Zawarł w nim wszystko, co czuł, przedziwną plątaninę różnych emocji.

Ciało jej było całkowicie odprężone, myśli niespójne. Wiedziała, że nie może to długo trwać, ale na razie leżeli obok siebie. Razem, ale oddzielnie. Ciała ich stykały się, ale nieznacznie.

Powiedział do niej „najdroższa”. Jedno z tych wielkich słów, które się wypowiada w chwilach utraconej kontroli nad sobą.

Rozalinda przesunęła dłonią po jego gładkim, twardym ramieniu, po muskularnej piersi, szukając w jego ciele wysepki odprężenia, ale nawet teraz było pełne napięcia. Dłoń jej unosiła się i opadała wraz z jego oddechem. Biło w nim serce wojownika. Nie cofała ręki, pragnąc, by bicie jego serca ukołysało ją i uspokoiło. A tyle razy przecież mogło na zawsze przestać bić. Pragnęła czuć jego bicie pod dłonią.

Chciała mu powiedzieć, że już nigdy nie będzie musiał walczyć. Chciała mieć pewność, że to prawda. Chciała, by zrozumiał, że prawdziwa siła kryje się czasem w zgodzie na poddanie się. Poddanie się życiu, okolicznościom, wątpliwościom, własnemu człowieczeństwu i omyłności.

A także pożądaniu, które nie wymagało z jego strony niczego poza daniem i doświadczaniem rozkoszy, którą jej właśnie dał. Przeciągnęła dłonią po jego szerokich plecach, po ciepłej, atlasowej skórze, która krwawiła z ran, jak skóra każdego innego człowieka. Było na niej aż za wiele dowodów świadczących o tym, że jego życie nieraz wisiało na włosku: palce jej natrafiały na blizny, hieroglificzne ślady kolei jego życia. Niektóre zapewne odniósł w trakcie pijackich zabaw, większość jednak na wojnie. Zwróciła ku niemu głowę, wtuliła

policzek w zagłębienie ramienia Chase'a i wciągnęła w nozdrza jego woń. Słodką, piżmową, zmysłową.

Przez chwilę wszystko było jak przedtem. Leżał spokojnie przy niej i równomiernie oddychał. Znużony, choć nie wyczerpany. Daleki w tej chwili od zwykłej pewności siebie, irytującej, fascynującej, podbudowanej wyrafinowaną znajomością cielesnej miłości. Członek, leżący teraz między twardymi udami, nie był już tak duży.

Oddychali w regularnym, jednolitym rytmie.

A potem Chase uniósł się nieznacznie i przysunął do niej tyłem. Uśmiechnęła się z ustami tuż przy jego ciepłej skórze. Poczwała, że powoli słabnie jego napięcie, a ich ciała stapiają się w jedno.

Chwilę później jego ręka odnalazła jej rękę, obejmującą go w całość. Przesunął po niej czubkami palców, jakby nigdy przedtem nie czuł jej dotknięcia na sobie. Później zaś powoli splótł jej palce ze swoimi i ścisnął je mocno.

Wiedziała, że ma w sobie równie dużo siły co on, pod pewnymi względami może nawet więcej. Pod pewnymi względami była równie jak on odważna.

Niewiele mogła mu dać. Tylko te krótkie chwile przed jego podróżą do Indii. I trochę wspomnień o niej, o kobiecie, która niejednym razem wstrząsnęła jego życiem, ale dała mu w zamian rozkosz.

Dlatego trzymała go nadal za rękę. A on na to pozwolił.

Kilka sekund później siadł nagle, odsuwając się od niej, nakrył jej usta dłonią i położył palec na wargach, a potem zaczął nasłuchiwać. Ona również nasłuchiwała. Usłyszała coś. Czyżby to był kobiecy

chichot? W każdym razie nie jej. Serce zaczęło w niej bić gwałtownie. A potem usłyszeli chichot ponownie. Dolatywał jakby zewsząd i znikąd jednocześnie. Zduszony i słaby. Unieśli się z łoża.

Rozalinda zdała sobie z przerażeniem sprawę, że był niemal zupełnie ubrany. Wystarczyło mu tylko podciągnąć spodnie i przygładzić włosy. Za to jej ubranie, starannie złożone, leżało nieopodal, a szpilki do włosów spoczywały na biurku należącym niegdyś do króla Henryka VIII.

Stojącym niezbyt blisko łoża. Nie mówiąc już o tym, że samo łoże było ogromne.

Znów rozległ się ten dźwięk, melodyjny, opadający kaskadą, zalotny. Był to niewątpliwie kobiecy śmiech. Tak odległy i stłumiony, że na pewno dolatywał do nich z innego stulecia.

Rozalinda nadal trzymała dłoń na jego sercu, które waliło teraz gwałtownie. Przycisnął ją mocno do siebie, w geście zapewniającym o wsparciu. Nie czuła nagości, gdy znajdowała się tuż przy nim.

- Duchy - szepnęła mu do ucha.

Obrócił ku niej głowę i skrzywił się pogardliwie. Powoli, powoli puścił jej dłoń i powoli, powoli odsunął się od niej. Już jej nie dotykał ciałem. Poczowała się osamotniona. Zaczęło jej być zimno. Chase znów przyłożył palec do ust. Jakby zamierzała teraz krzyknąć.

Teraz ona miałaby powód, by się pogardliwie skrzywić. Rozbawiło go to. Dojrzała w mroku jego uśmiech. Osobliwa chwila. Serce zabiło w niej gwałtownie. Nie zniosłaby, gdyby mu się coś teraz stało, ale w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób czuła, że z

pewnością nic mu się nie stanie. Udało mu się przesunąć ku krańcowi łoża, nie powodując skrzywienia starego materaca.

Patrzyła z desperacją, jak uformował z kapy coś w rodzaju togi, pod której osłoną mogła opuścić łożko. Potem zaś ujrzała, że Chase wciąż ma na nogach buty. W jednym z nich był schowany pistolet. Wsunął tam dłoń. Zalśniła lufa. Jeszcze przez chwilę trwali bez ruchu i nadśluchiwali, ale nie usłyszeli już niczego. Chase rozchylił palcem zasłony łoża na tyle, by móc poza nie wyjrzeć. Znow nadśluchiwali bez słowa. Nie usłyszeli już jednak chichotu.

Duchy, pomyślała znowu. Obojętne, gdzie się kryły. Może w powietrzu, może w jakimś innym szesnastowiecznym łożu skrytym gdzieś w głębi muzeum. Przecież w chichocie nie ma nic niesamowitego.

A potem Chase wyslizgnął się poza łożko, ona zaś w nim pozostała. W ciszy, która zapadła, odgłos jej oddechu stał się nagle ogłuszający i denerwujący.

W szparze między zasłonami ukazała się dłoń.

Rozalinda zdusiła chęć krzyku tak gwałtownie, że o mało się nie zakrztusiła. Dłoń poruszyła się niecierpliwie.

Chase dawał jej znak, że może wyjść.

Spróbowała to zrobić możliwie jak najzręczniejszym, nie dopuszczając do tego, by łoże skrzypiało, a przynajmniej nie bardziej niż do tej pory. Zaczęła sunąć po nim na czworakach. Gdy Chase wsunął głowę za kotarę, zobaczył nagą Rozalindę czołgającą się po aksamitnej kapie.

W mroku znów błysnął jego uśmiech. Chase był rozbawiony. Gdyby był dżentelmenem, podałby jej ubranie, a ona ubrałaby się spokojnie za zasłoną. W przeciwnym razie musi to zrobić obserwowana przez niego.

Chociaż było w tym, musiała przyznać, coś atrakcyjnego. Niezależnie od tego, co mogło im w tej chwili grozić. Oczywiście, to świadczyło o jej całkowitym moralnym upadku. Tylko że nie mogła z siebie wykrzesać ani odrobiny żalu nad utraconą cnotą. Jeśli istotnie było prawdą, że ją utraciła.

Podał jej w końcu ubranie i stanowczo odmówił odwrócenia się, gdy je na siebie wciągała, tak szybko, jak tylko mogła. Ubieranie się okazało się niemal tak samo satysfakcjonujące, jak rozbieranie. Pomógł jej w tym, a wszędzie tam, gdzie spoczęła na niej jego dłoń, czuła gorąco.

Chase zapalił świeczkę, posługując się nożem i krzesiwem; osłonił też wątłe światelko, póki nie rozgorzało płomieniem. Wsunął odbezpieczony pistolet do kieszeni surduta jednym szybkim ruchem, chwycił rękę Rozalindy i położył ją na jej talii, ścisnąwszy jej palce. Wysuwali się powoli z sali. Przywarła do niego.

Znów rozległ się chichot. Stłumiony, niesamowity. Świeczka prześwitywała przez dłoń Chase'a. Szli tak, póki nie stanęli znów przed malowidłem. Tam się zatrzymali i zaczęli nasłuchiwać.

Poczuł mocny zapach oleju lnianego. Myrtleberry wspomniał, że śmiech najgłośniejsz rozlegał się właśnie w tym miejscu.



Płomień świeczki ni stąd, ni zowąd zaczął się chwiać i osmalił Chase'owi palce. Nagłe podejrzenie sprawiło, że mróz przeszedł mu po plecach. Niemalże przestał oddychać.

Przypomniawszy sobie, jak po raz pierwszy ujrzał wpatrzoną w ten obraz Rozalindę. Przyglądał się jej wówczas, zafascynowany jej widokiem, i w pewnej chwili pomyślał, że się ku niemu już odwraca, by na niego spojrzeć, lecz po ułamku sekundy znów stała w niezmienionej pozycji. Wydało mu się niemożliwe, że nie zauważył jej ruchu.

A przecież pióro na jej kapeluszu drgnęło wtedy, choć ledwo dostrzegalnie, tak jakby się odwracała. Pomyślał sobie wówczas, że wygląda to tak, jakby ktoś z tyłu za nią westchnął.

Albo jakby... jakby...

Spróbował unieść świeczkę tak, by znalazła się na poziomie środkowej części obrazu. Widział teraz wielką, brązową krowę.

A potem powoli rozprostowywał palce, jeden po drugim, aż świeczka płonęła już bez żadnej osłony - maleńka, ale prawem kontrastu bardzo teraz jasna, niczym pochodnia.

Czekał. Słyszał bicie własnego serca.

Słyszał za sobą oddech Rozalindy, w rytmie rozmijającym się z rytmem jego oddechu. Jej zeszywniałe ciało było jak niewypowiedziane na głos pytanie.

Sekundę później płomyk świecy zadrgał, a potem zaczął pisać jak miniaturowa orientalna tancerka. Szybko zgasił go poślinionymi palcami i odstąpił gwałtownie w tył, zasłaniając dłonią usta

Rozalindy, żeby zdusić wszelki dźwięk, jaki mogła wydać. Ogarnęła ich całkowita ciemność.

Chwycił ją szybko jedną ręką w pasie, drugą nadal zatykając jej usta. Rozalinda zdrewniała ze zdumienia. Przez chwilę lękał się nawet, że przestała oddychać. Ciągłe jednak zasłaniał jej usta. Minęła dłuższa chwila, nim odjął od nich dłonie. A potem położył palec na jej miękkich wargach, co było i rozkoszą, i pokusą, i pieszczotą, a także sygnałem, że nadal nie wolno jej odezwać się słowem.

Zrozumiała. Zastosowała się do polecenia. Ufała mu, a on czuł się tym zaszczycony. Ciekawość jej stała się niemal dotykalna i tak gęsta, jak otaczający ich mrok.

Nie mógł jej jednak na razie niczego wytłumaczyć, tylko czekać, póki z ciemności, która wydawała się niemal do nich przywierać, nie zaczęły wyłaniać się zarysy przedmiotów.

Niestety, pierwszym, który zdołał się wyraźnie zmaterializować - w poświacie księżycy wpadającej tu przez jedno z półokrągło zakończonych okien - była ohydna marionetka. W szarzącym mroku wyłoniły się jej czerwone usta, wyłupiaste oczy i nieruchome, obwisłe ręce i nogi. Głowę przechylała bezwładnie na bok, niczym topielec wyciągnięty z wody.

Chase poczuł przyływ takiego wstrętu, że zjeżyły mu się włosy na karku.

Rozalinda, zapewne wyczuwając jego napięcie, instynktownie przysunęła się bliżej do niego i mocniej chwyciła go w pasie. O mało się nie uśmiechnął. Chciała go osłonić przed lalką!

Znów skierował wzrok na obraz, usiłując się skoncentrować na jakimś jego fragmencie. Po chwili dostrzegł piersiastego anioła, bo był on ubrany na biało, potem dojrzał cherubiny w powłóczystych szatach, z kolorowymi skrzydłami, a wreszcie kontury ogromnej, bezkształtnej krowy.

Ponownie poślinił palec i uniósł go, a potem zaczął przesuwać nim powoli nad powierzchnią malowidła. Zaczynając od jednego końca. Jak czarownik wykonujący ruchy towarzyszące rytualnemu zaklęciu. Rozbawił go widok Rozalindy, przypatrującej się mu z wyraźną troską. Bez wątpienia uznała, że zwariował.

Doszedł właśnie do połowy obrazu i był w okolicy krowiego zadu, gdy na końcu palca poczuł chłód. Nie cofał go stamtąd przez chwilę. Włosy stanęły mu na głowie, gdy jego podejrzenia się potwierdziły. Słaby, ale dostrzegalny prąd powietrza płynął... dokładnie z krowiego zadu. Wolał w tej chwili oszczędzić sobie sarkastycznego wspomnienia o Colinie.

Ponieważ zetknął się teraz z zupełnie nowym dylematem, nadszedł czas na chwilę rozważań. Jeśli powiew świeżego - lub niemal świeżego - powietrza płynął z krowiego zadu w nieruchomej atmosferze muzeum, to za ścianą musiało się coś kryć. Cóż to jednak mogło być? Sala z oknami? Zaulek? Jakieś przejście?

Ów zduszony, widmowy śmiech wydobywał się właśnie stamtąd. Tego był pewien. To skrzydło muzeum wychodziło wyłącznie na inne budynki. Ale Anglicy byli przemyślni, a w ich dziejach ciągle konieczne było ukrywanie lub przemykanie czegoś lub kogoś: księży,

prochu strzelniczego, kobiet. Tunele i przejścia rzadko budowano dla kaprysu. Miały służyć do ukrywania się lub do ucieczki.

Chase przypomniał sobie tunel wykopany między pawilonem w Brighton a burdelem Pod Królewskim Herbem. Gdzież to on prowadził?

Jeszcze wczorajszego wieczoru stał z Buckthwaite'em, patrząc na Mezza Luna, stary teatr w najgorszej części Covent Garden, własność rodziny Kinkade'a, zabity deskami i pozornie opuszczony.

Ale jakież rozległy. Dość rozległy, żeby go można było przekształcić w dom publiczny. Łatwo i szybko dostępny z muzeum... dzięki tunelowi. Pod zatłoczonymi ulicami, pełnymi powozów, koni i prostytutek. A Kinkade spotkał się z nim w Królowej Czech, tuż przy tym teatrze.

Mezza Luna... czyli po włosku Półksiężyc. A na tym obrazie też był półksiężyc.

Odwrócił się i szepnął Rozalindzie wprost do ucha:

- Myślę, że tu może być tunel.

Zrozumiała. Białka jej oczu załśniły w mroku. Przyszło mu na myśl, że w krowim zadzie krył się wizjer i że nawet w tej chwili ktoś może stamtąd ich obserwować. Ale gdyby ów ktoś stał po drugiej stronie malowidła, powiew nie mógłby się tamtędy wydostawać.

Objął Rozalindę ramieniem i odsunął ją na bok, choć z pewnością nikt nie byłby w stanie rozpoznać ich w tym mroku. Czy nie powinien jednak ponownie zapalić świeczki i spojrzeć przez krowi zad?

A jeśli, nie daj Boże, ujrzy tam cudze oko?

Czekał i nadśluchiwał. Ostrożnie odwrócił się i raz jeszcze dokładnie przyjrzał całemu otoczeniu. I raz jeszcze jego wzrok natrafił na wylupiaste oczy wstrętnej marionetki.

- Może by pan nacisnął tę mosiężną tabliczkę nad ramą? - wyszeptała kukła życzliwym tonem.

- Niech to wszyscy diabli!

Chase rzucił się ku marionetce i wycelował w nią pistolet, gotów roztrzaskać ją w drobny mak.

- Proszę nie strzelać! Nie strzelać! To tylko ja!

Kukła poruszyła się na półce, wydając zgrzytliwy dźwięk, zakołysała głową w lewo i w prawo, potem zaś do tyłu, jakby nie chciała paść na posadzkę muzeum i za wszelką cenę usiłowała zachować stojącą pozycję.

Było to coś okropnego. Po prostu okropnego. Chase poczuł, że lodowaty dreszcz przebiega mu po grzbiecie.

Rozalinda, trzymając go mocno za łokieć, również z zimną determinacją wycelowała pistolet w lalkę. Uścisk jej ręki powstrzymywał Chase'a, ale i dodawał mu otuchy. Serce waliło mu jak oszalałe.

- Nienawidzę marionetek! - wymamrotał.

- Któż by się tego domyślił? - wyszeptała.

O mało się nie uśmiechnął.

Dziwne, ale uścisk drobnej dłoni Rozalindy trzymającej jego łokieć sprawił, że poczuł się tak, jakby nic na świecie - nawet ta niesamowita marionetka - nie było mu w stanie zagrozić. Nadal

jednak czuł się nieswojo, jak nie w swojej skórze. Jakby wręcz lewitował ze zgrozy.

Dumny był jednak z tego, że ręka, w której trzymał pistolet, nie drgnęła. Pistolet był odbezpieczony i wymierzony w cel. Owo tajemnicze coś zaszurało, wyprostowało się, a potem znów przechyliło, wydając tak odrażający pisk, jakby naprawdę w nie strzelił.

Rozalinda jeszcze mocniej ścisnęła jego łokieć. A spoza marionetki, która osunęła się na ziemię, wyjrzał Myrtleberry. - Niech no pan tylko podejdzie bliżej, to zabiję! - warknął Chase.

- Ech, po co mnie zaraz zabijać, kapitanie Eversea? Przecież ze mnie tylko biedny lalkarz!

Obydwoje nie byli w stanie oderwać od niego wzroku. Obecność lalkarza w tym miejscu nagle zaczęła nabierać sensu.

- Nieźle pan tu sobie poczynał, kapitanie Eversea - powiedział szeptem Myrtleberry, bez wątpienia rozbawiony.

- Co u diabła pan tutaj robi? Od jak dawna pan tu jest?

- Właśnie przyszedłem. Wreszcie znalazłem plany tego budynku, kapitanie. Montmorency zbudował tunel między swoją siedzibą a teatrem Mezza Luna. Kiedyś pracowałem w wielkim majątku, gdzie pełno było różnych tajemnych przejść, ukrytych drzwi i tym podobnych rzeczy. Na pewno za tym obrazem są drzwi i w jakiś sposób można je otworzyć.

Chase odwrócił się ku malowidłu.

- Rozalindo, może byś...

Ona jednak pomyślała o tym wcześniej. Zatknęła palcem otworek w krowim zadzie, na wypadek, gdyby ktoś chciał przez niego zajrzeć do ich sali.

Chase przyłożył ucho do płótna, ale nie usłyszał niczego z tamtej strony. Ani chichotów, ani kroków czy krzyków. Nie szła też tamtędy z łoskotem żadna grupa uzbrojonych mężczyzn.

Zaczął przesuwać palcami po krańcach ramy. Uniósł ją nieco, szukając jakiejś spoiny, jakichś zawiasów - czegokolwiek, co mogłoby wskazywać, że była czymś innym niż tylko ścianą marnego muzeum, na której wisiało szkaradne malowidło.

Naciskał ostrożnie płótno palcami w rozmaitych miejscach. Aż wreszcie opuścił je niżej i wyczuł pod nimi mosiężną tabliczkę.

Myrtleberry znów powiedział:

- Może powinien pan ją nacisnąć, żeby...

Coś cicho zgrzytnęło i ściana gwałtownie przekreśliła się o sto osiemdziesiąt stopni, a Chase'a i Rozalindę wchłonęła mroczna czeluść.

## 20

Ściana zasunęła się za nimi błyskawicznie. Rozalinda potknęła się na stopniu i usłyszała jednocześnie głośnie stęknienie i głuchy łoskot. Był to bez wątpienia odgłos ciała padającego na twardy grunt.

- Chase!

Z zaskoczeniem stwierdziła, że klęczy na czymś, co okazało się brudną posadzką tonącego w półmroku pomieszczenia. Na szczęście nie wypuściła z rąk pistoletu.

- Chase!

- Jestem tutaj.

Nic mu się nie stało i jak zawsze zachował zimną krew. Nachylił się, żeby chwycić ją za ramię. Wciąż jeszcze kręciło się jej w głowie i ledwie mogła złapać oddech.

Spojrzała z niedowierzaniem na drzwi. Wyglądały jak ściana!

- Możesz wstać? Nic ci się nie stało?

Pokręciła głową. To był błąd, bo wszystko wokół niej znów zaczęło wirować.

- Mam lekki zawrót głowy i straciłam oddech. Poza tym nic mi nie jest. Poczekaj chwilę.

Wiedziała już, że trzeba relacjonować mu tylko gołe fakty.

- Słyszałem, że ktoś upadł.

- Ja również.

- No więc, kto...

Na chwilę zamilkli ze zdziwienia, a potem Chase pomógł jej wstać, gdy dała mu znak głową. Mogła już swobodnie oddychać. Obydwoje rozglądali się wokół ze zdumieniem.

Przejście - niewątpliwie zamaskowany tunel - było wąskie i, zdawało się, ciągnęło się w nieskończoność. Oświetlały je wetknięte w kinkiety pochodnie, które migotały i rzucały długie cienie. Pachniało w nim ziemią i dymem.



Lekki przeciąg doleciał do nich gdzieś z daleka, zapewne z miejsca, gdzie przejście się zaczynało. A kończyło się, oczywiście, na krowim zadzie.

- Przysięgłabym, że słyszałam, jak ktoś...

Coś lekko dotknęło jej kostek. Krzyknęła, usiłując to z siebie strząsnąć, i rzuciła się w tył. Gdy uważniej wpatrzyła się w półmrok, zrozumiała, że było to tylko ptasie pióro, ciemnoczerwone i niemal tak długie jak jej ramię. Przyjrzała mu się jeszcze dokładniej i ujrzała, że było przytwierdzone do wielkiego kapelusza, który leżał na ziemi niczym martwe stworzenie wywrócone do góry brzuchem. Nakrycie głowy, jakie mógłby nosić król Henryk VIII.

Zaczęła się uważnie przypatrywać kapeluszowi.

Wtedy dopiero dostrzegli ciało. Był to mężczyzna. Miał na sobie watowany kaftan, długi płaszcz... i renesansowe, szerokie górą spodnie. W szesnastowiecznym stylu. Kapelusz spadł mu zapewne z głowy, kiedy niechcący uderzyli w niego zamaskowanymi drzwiami.

- Widocznie chciał wyjść, a wtedy drzwi trzasnęły go tak mocno, że stracił przytomność.

Chase ukląkł i ujął bezwładną rękę leżącego, szukając pulsu.

- Żyje.

Rosalinda wspięła się na palce i wyjęła jedną pochodnię z kinkietu, a potem nachyliła się nad leżącym mężczyzną, żeby oświetlić twarz. Była okrągła, z niemodną już krótką bródką. Oczy o długich rzęsach miał zamknięte. Gdyby nie spory guz na czole, mógłby uchodzić za kogoś, kto sobie spokojnie śpi.

- Czy wiesz, kto to jest? - spytała.

- Ireton - szepnął z niedowierzaniem Chase. - Przyjaciel Kinkade'a. Cóż on, u licha...

Nagle wśród mroku znów dał się słyszeć upiorny śmiech, który mógł przyprawić o dreszcze. Rozbrzmiewał w całym tunelu, jakby chciał ich zaatakować jakiś pomyleniec.

Chase skrzywił się, zirytowany, ale bez cienia lęku.

- Powinienem go stąd przenieść w inne miejsce, nim ktoś będzie tędy znów przechodził. Ciekaw jestem, czy wyjrzał wcześniej przez wizjer, czy tylko chciał wyjść.

- Widziałam go, był tamtego dnia w bibliotece! Pamiętasz?

Krepego, solidnie zbudowanego i muskularnego Iretona niełatwo byłoby przenieść. Można go jednak było odsunąć od wyjścia z tunelu. Chase wziął od Rozalindy pochodnię i oboje zdołali jakoś, stękając, zaciągnąć Iretona za nogi do kąta przy drzwiach. Kapitan oparł go o ścianę.

Ireton osunął się na ziemię jak tamta przeklęta kukła.

Rozalinda podniosła kapelusz i ostrożnie zakryła mu nim twarz. Pióro uniosło się ku górze. Ktokolwiek by się teraz na niego natknął, doszedłby do wniosku, że Ireton po prostu za dużo wypił. A potem spojrzeli w głąb zdumiewającego tunelu.

Wydawało się, że nie ma końca, ale mogło to być złudzenie spowodowane migotaniem pochodni i przeraźliwym mrokiem.

Znów dał się słyszeć śmiech płynący zewsząd i znikąd, jakby zrodzony z ciemności. Echo, od którego włosy mogły stanąć na głowie i dreszcz przebiec po grzbiecie.

Rozalinda z trudem zaczerpnęła tchu.

Chase ujął ją za rękę, żeby dodać jej otuchy, ale wyczuła w tym geście zniecierpliwienie. O mało się nie roześmiała. Król Henryk VIII nie był zatem widmem. Miał nazwisko. Zwał się Ireton.

Chichot stał się teraz głośniejszy i z pewnością pochodził z tego, a nie z tamtego świata. Najwyraźniej z drugiego końca tunelu. Zadrżeli i znieruchomieli. Usłyszeli, że ktoś się zbliża. Chase ścisnął mocniej pistolet.

Rozalinda uznała, że ten ktoś musi chyba słyszeć, jak bije jej serce, bo dudniło niczym wojenny bęben.

Jak Chase to robił, że był taki opanowany?

W tunelu zamajaczyło coś białego. Najwyraźniej szło wprost na nich. Rozalinda chętnie by się teraz rozplynęła w powietrzu lub zawisła gdzieś na skraju otchłani, między niedowierzaniem a zgrozą, usiłowała jednak przekonać samą siebie, że wszystko to jest całkiem normalne.

Czymże bowiem mogła być jasna, mglista plama wyłaniająca się z mroku, jeśli nie widmem? Kroki stawały się coraz głośniejsze i za chwilę ujrzeni przed sobą mężczyznę odzianego w togę.

- Dobry wieczór! - pozdrowił ich jowialnie.

Wieniec ze złotych liści lśnił na jego gładkiej niczym perła łysinie, a wielkie owłosione nogi obute były w sandały przywiązane

rzemykami do grubych łydek. Przez ramię miał przewieszzone coś, co wyglądało na opończę. W drugiej ręce trzymał zwykły kapelusz oraz parę butów i wyglądałby jak rybak wracający do domu po pracy, gdyby nie toga i wieniec. Innymi słowy, nie był widmem.

- Przeprowadziłeś jakąś nową? - spytał i spojrzał na Chase'a.

Wyraźnie go nie rozpoznawał. Wyglądał bardzo dobrodusznie. Zerknął na Rozalindę, która skuliła się i zrećnie zasłoniła pistolet połą sukni. \

- Tak, zupełnie nową - odparł pogodnie Chase.

- Całkiem imponująco się prezentuje - stwierdził zachęcającym tonem mężczyzna. - Bywajcie!

Nasadził na głowę kapelusz takim ruchem, jakby chciał ich pozdrowić, i odszedł. Stali bez ruchu, zaintrygowani. Widzieli wyraźnie, że zajrzał w wizjer.

- Dużo wygodniejsze wyjście niż tamto od strony Covent Garden - powiedział mężczyzna w tymże tonem zwyczajnej rozmowy. - Bliżej tędy do mojego domu. Mogę tam dojść w porę, żeby uciąć sobie drzemkę, a potem zasiąść do śniadania razem z żoną. Nie cierpię wyjścia na Covent Garden. Niebezpiecznie chodzić tamtędy.

A więc istniało i drugie wyjście! Wyjaśniałoby to, dlaczego niektórzy goście wchodzili do muzeum, ale potem z niego nie wychodzili, i na odwrót. Liam miał rację.

Rozalinda poczuła nagle dumę, jakby to chodziło o rodzzonego syna.

Mężczyzna odziany w togę obejrzał się przez ramię i zauważył bezwładnego Iretona w kapeluszu z wielkim piórem.

- He, he, pan Woodcock dogodził sobie za bardzo!

Potem pociągnął do góry kinkiet, nie fatygując się bynajmniej wyjęciem z niego pochodni, a ściana obróciła się, ukazując mroczne wnętrza muzeum.

- Nie zapomnij, chłopcze, zawiązać jej oczu! Zepsujesz wszystko, jeśli tego nie zrobisz!

Rozalinda wyciągnęła szyję i zdołała jeszcze dostrzec tę przekłątą, toporną marionetkę. Mężczyzna wyszedł przez otwarte wejście, później zaś pchnął zamaskowane drzwi, a te zamknęły się cicho za nim w sekundę później i wróciły na swoje miejsce tak gładko, jakby ich tam w ogóle nie było.

Przez chwilę stali, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- Niech mnie... wszyscy diabli... - mruknął Chase.

Anglia ma długą, piękną historię związaną z ukrytymi przejściami i tunelami, ale to było zdumiewająco oryginalne rozwiązanie.

W budynku tym mieszkał wcześniej Montmorency. Komu przedtem służył tajemny tunel? Przemysłownikom? Ukrywającym się katolikom? Najpewniej Montmorency używał go w dokładnie takim samym celu, jakiemu służył teraz, skoro tunel kończył się w Covent Garden na teatrze Mezza Luna. Mogli już tylko ruszyć przed siebie albo wycofać się tą samą drogą, którą weszli. Żadne jednak nie myślało o odwrocie, bo na drugim końcu przejścia czekała odpowiedź. Dobra lub zła.

Chase uśmiechnął się do Rozalindy z chytrą miną. Ten uśmiech był jaśniejszy niż pochodnia. Bardziej pocieszający niż pewność, że rankiem znów wszędzie słońce.

Przeklęty Chase promieniał dumą i uważał, że wkrótce wygra, choć wcale na to nie wyglądało! Rozalinda nie mogła jednak uwierzyć, by tak się właśnie stało. Jak zwykle, jego pewność stała się jej pewnością.

Odwzajemniła mu uśmiech. Jakże mogłaby tego nie zrobić?

Ujął ją ostrożnie za rękę - tę, w której nie ścisnęła spoconą dłonią odbezpieczonego pistoletu. Trzymał ją tak przez chwilę, a potem uniósł do ust i ucałował delikatnie końce jej palców. Żeby ją uspokoić.

W tejże chwili zrozumiała, że pocałunek był również przeprosinami, bo za chwilę Chase ściągnął z szyi halsztuk ze słowami:

- Muszę ci przewiązać oczy. Domyślam się, że gdy prowadzili tędy dziewczęta, robili z nimi to samo, tak by nigdy nie wiedziały, gdzie są ani którędy się tam dostały.

Do diaska. Czowała, że Chase mówi prawdę, ale nie uśmiechała się jej perspektywa zawiązania oczu.

Westchnęła.

- No dobrze - zgodziła się z rezygnacją.

- Będę przy tobie, Rozalindo, i nie opuszczę cię.

Nikommu by nie ufała bardziej na całym świecie niż jemu. Westchnęła ponownie i skinęła głową.

Przewiązał jej delikatnie oczy halsztukiem. Mrok stał się jeszcze głębszy. Wokół niej zapanowała ciemność, z lekkim odcieniem czerwieni. Halsztuk był z cienkiego jedwabiu i zostało w nim jeszcze coś z ciepła oraz zapachu jego ciała. Stał się teraz rodzajem zbroi broniącej jej po utracie wzroku.

- Czuwam nad tobą - szepnął uspokajająco. Jak zawsze.

- Ale nadal trzymaj pistolet w ręce - dodał szeptem.

Ujął ją za rękę i bez słowa, z bronią gotową do strzału, zagłębili się w tunel.

- Jeśli ten dżentelmen przechodził tędy przypadkowo, nie jest stąd zbyt daleko do końca - mruknął Chase. - Nie wyglądał na kogoś przygotowanego do długiej wędrówki.

Trudno im jednak było wykrzesać z siebie entuzjazm, skoro nie mieli pojęcia, co ujrzą na drugim końcu tunelu. Warto jednak było tam się zapaść, w nadziei, że zobaczą Lucy całą i zdrową.

Migot pochodni przenikał przez opaskę Rozalindy. Raz było ciemno, raz jasno - tak wyglądała jej wędrówka. Stawiała ostrożnie jedną nogę za drugą, starając się iść tuż za Chase'em. Szła po jakiejś powierzchni ubitej, ale usianej kamyczkami. Kroki ich wzbudzały w tunelu głośnie echo, mimo że stąpali jak najostrożniej.

Jak wtedy, gdy wślizgiwali się do muzeum, zaczęła liczyć własne kroki. Odbierała teraz otoczenie innymi niż wzrok zmysłami. Słyszała oddechy ich obojga, czuła gorący uścisk jego ręki.

Sama zaczęła się czuć jak widmo.

Nie spotkali już po drodze nikogo innego, choć widmowe głosy słyszeli nadal, odbite od ścian i rozbrzmiewające w głębi tunelu. Wybuch męskiego śmiechu sprawił, że Rozalinda aż podskoczyła. Chase ścisnął ją za dłoń, ale nieubłaganie prowadził ją dalej.

Jeszcze raz dał się słyszeć nerwowy chichot. Był teraz głośniejszy i bardziej wyraźny. Zbliżali się do jego źródła. Kolejny wybuch głośnego męskiego śmiechu, po którym nastąpiło gwizdnięcie, rozległ się w tunelu i odbił od jego ścian niczym przerażony nietoperz.

Rozalinda zaczęła oddychać coraz szybciej. Nie sposób było przewidzieć, czym się to wszystko skończy. Co też właściwie myślał Chase, uzbrojony w pistolet, dwa noże, laskę i swoją arogancję?

A potem usłyszeli czyjś krzyk.

Poraził ich nerwy niczym piorun. Rozalinda poczuła, że ogarniają panika. Robiło się jej na przemian zimno i gorąco ze strachu. Zatrzymała się, tłumiąc jęk. Jej oddech zamienił się w serię urywanych wdechów i wydechów.

- Chase!

- Nadstaw ucha, Rozalindo... - nakazał jej surowo.

A potem krzyk się powtórzył. Tym razem zabrzmiał słabiej i trwał trochę krócej. Rozalinda zauważyła, że... brakowało w nim przekonania. Jeśli można coś takiego powiedzieć o krzyku. Zaczęła oddychać nieco swobodniej. Poczuła, że jej strach maleje.

Zabawne, ten dźwięk przypomniawszy jej czasy, gdy wraz z siostrami ułożyła sztukę według powieści gotyckiej, którą czytała im na głos przy kominku. Z początku heroiną miała być Lucy, która powinna



była wrzasnąć na widok ducha. Zagrała to jednak beznadziejnie. Była niestety o wiele lepsza w byciu sobą samą, choć usiłowała z tym walczyć. Jenny za to doskonale udał się krzyk, bo i tak mówiła najgłośniej z nich wszystkich.

To, co teraz usłyszała, zabrzmiało właśnie jak krzyk Lucy. Ani za bardzo nie tchnął strachem, ani też nie wydobywał się z niej pod wpływem dotkliwego urazu. Był całkiem zwyczajny.

Jedyną wskazówką mogła tu być reakcja Chase'a. Nie wyciągnął pistoletu, słysząc ten dźwięk. Oczywiście, nie miał najmniejszego zamiaru narażać jej na niebezpieczeństwo, mimo że ktoś inny był na nie w tej chwili narażony.

Nigdy jeszcze nie znalazła się w tak koszmarnej sytuacji. Jeśli jednak musiało do niej dojść, dobrze było znaleźć się w tej sytuacji razem z Charlesem Eversea.

Szli dalej, ze splecionymi dłońmi, bez słowa. Po jakichś czterdziestu krokach ciszy nie przerywały już nagłe odgłosy śmiechu. Zaczął do nich docierać wyraźny gwar męskich głosów. Gwar, jakiego źródłem może być duża grupa ludzi.

Jakże ona i Chase zdołają stawić czoło całej grupie mężczyzn? Cóż tam zastaną?

Chase gestem kazał się jej zatrzymać.

- Uważaj, jak stąpasz. Stawiaj nogi ostrożnie - szepnął jej do ucha.

Zrozumiała dlaczego. Nierówna powierzchnia pod jej stopą ustąpiła miejsca twardej posadzce. Marmurowej, sądząc z odgłosu, jaki wydawały jej pantofle.

Doliczyła się dziesięciu kolejnych stopni, a gdy po nich wchodziła, czerwony odbłask pochodni zastąpiło ciepłe światło żyrandola, kominka i świec. Ono już nie było chwiejne ani migotliwe.

Gwar przestał być gwarem, zamienił się w odgłos rozmów, ale choć były głośne, nie rozróżniała poszczególnych słów.

- ...co za wspaniały pomysł! Trudno by mi było rozpisać subskrypcję, ale jestem wręcz zachwycony.

W podziemnym przejściu było zimno, wypełniało je chłodne powietrze, tu zaś poczuła ciepło dobrze ogrzanego pokoju i zrozumiała, że zaraz staną przed tym, na co się tutaj mieli natknąć, twarzą w twarz.

## 21

Za dwiema prążkowanymi aksamitnymi kotarami zaczynało się sklepienie, wyłożone marmurem foyer, od którego odchodziło wiele korytarzy. Ciężki kryształowy żyrandol zwisał niczym odwrócona piramida na długim, wąskim haku i huśtał się na nim niczym miecz Damoklesa.

Chase wręcz oniemiał na widok mężczyzny siedzącego za czymś, co okazało się biurkiem recepcjonisty, takim samym, jak biurko sierżanta MacGregora w Montmorency Museum. Był młody, jeszcze niezbyt muskularny, ale wyglądał bardzo oficjalnie. Miał na sobie uniform, który stawiał go w hierarchii społecznej powyżej lokaja, ale poniżej dżentelmena: długi, granatowy surdut ze złotymi galonami i

jasnobłękitne pończochy; guziki surduta zbyt mocno błyszcząły, by można je nazwać gustownymi.

- Czy pan odwiedza nas po raz pierwszy, sir? - spytał uprzejmie, bez widocznego zaskoczenia.

Czy po raz pierwszy skradali się tunelem z muzeum do czegoś, co mogło być burdelem? Odpowiedź brzmiałaby „tak”.

- Tak, istotnie - odparł pogodnie Chase.

- Hm... Nie mówiono mi, by dzisiejszego wieczoru spodziewano się tu kogoś nowego, ale od czasu do czasu może się tak zdarzyć. Czy zechciałby pan wymienić nazwisko wprowadzającego? - padło pytanie.

Niech to wszyscy diabli!

Chase myślał gorączkowo. Mężczyzna w toczce zwrócił się do Iretona, używając słowa „Woodcock”, które dobrze pasowało do całego tego wstrętnego przedsięwzięcia. Sukces takiej potajemnej inicjatywy zależał od zachowania anonimowości, ze względu na to, o jak dużą stawkę tu grano. Wymienienie nazwiska Kinkade'a mogłoby spowodować katastrofę, bo ujawniłoby, że Chase jest tu intruzem.

- Pan Welland-Dowd - rzucił na chybił trafił.

Serce waliło mu jak młotem. Zacisnął kurczowo palce na ręce Rozalindy, chcąc uspokoić zarówno ją, jak i samego siebie. Dłoń miała zwilgotniałą. Mógł wyczuć jej przyspieszone tętno.

- Poślę zaraz po pana Wellanda-Dowda - oznajmił młodzieniec, a Chase poczuł przyływ triumfu.

Młodzieniec przyjrzał się uważnie Rozalindzie i zmarszczył brwi, jakby czegoś nie był całkiem pewien.

- Widzę, że przyprowadził pan ze sobą kobietę, wprawdzie o właściwej aparycji, ale być może nie uprzedzono pana, że to praktyka nieco nieprzepisowa.

Rzeczywiście, praktyka była całkiem nieprzepisowa.

- Panie...

- Wrexion - odparł Chase z wielką godnością. - Hugh G. Wrexion.

- Och, znakomicie, sir! - Twarz recepcjonisty się rozpromieniła.

- Dziękuję - odpowiedział z powagą Chase.

Rozalinda ścisnęła go dwukrotnie za rękę. Był to zapewne jej sposób okazywania rozbawienia.

- Zgodziłem się na płacenie za nieco droższą subskrypcję. Pan Welland-Dowd to potwierdzi. Powinien pan chyba o tym wiedzieć. Obiecał mi, że pana o wszystkim powiadomi.

Chase powiedział to wszystko protekcyjnym tonem, popartym lodowatym spojrzeniem. Mężczyzna spojrzął na niego. Raz i drugi zabębnił palcami po biurku.

- Oczywiście, sir - rzekł krótko. - Zaraz poślę po pana Wellanda-Dowda. Gdyby chciał się pan wpisać do naszej księgi...

Chase nabazgrał „Hugh G. Wrexion” w wykazie gości.

- Doskonale, sir. Zechce pan łaskawie poczekać. Pan Welland-Dowd zaraz przyjdzie. Oprowadzi pana i wszystko pokaże. Salonik gier jest za tą zasłoną... pewnie pan już słyszał, jak świetnie bawią się tam dżentelmeni, a sądząc z wyglądu - najwyraźniej miał na myśli

Rozalindę - chciałby pan zapewne zacząć zabawę od razu. Jeśli tak, to znajdzie pan Pokoje Rozkoszy po lewej.

Chase spojrział w stronę miejsca, które wskazywało mu ramię młodzieńca. Wyłożony czerwonym i białym marmurem hol i drzwi z ciemnego drewna przywodziły raczej na myśl hotel.

Albo też, oczywiście, burdel.

Niektóre z drzwi były otwarte. A z jednych, najbliższych, niósł się właśnie ów niezbyt przekonywający krzyk. Wellanda-Dowda przywołano dzwonkiem, całkiem jakby dzwoniło na służbę. Młody recepcjonista wpatrywał się w Chase'a i Rozalindę jasnym, pełnym życzliwości wzrokiem. Obracał w palcach gęsie pióro i gwizdał bezgłośnie.

Usłyszeli odgłos kroków i słowa, które poprzedziły ukazanie się osoby.

- Panie Twiggenberry, o czym ja tu słyszę... Mężczyzna znieruchomiał na ich widok. Nic dziwnego. Wellandem-Dowdem okazał się bowiem sierżant MacGregor.

Sięgnął po pistolet, lecz Chase i Rozalinda byli od niego szybsi, no i oczywiście mieli broń odbezpieczoną. Rozalind zerwała z głowy opaskę.

- Jeśli dotkniesz pistoletu, MacGregor, pociągnę za spust - powiedział Chase. - Jakim byłbym żołnierzem, gdybym nie miał zapasu prochu i naboju? A umiem strzelać celnie nawet w nocy.

Była to przesada, ale MacGregor zbladł jak ściana.

Rozalinda wymierzyła swój pistolet w Twiggenberry'ego, który zaczął się głupkowato uśmiechać, ale nie opuścił własnego pistoletu.

Chase odwrócił się i rąbnął laską w jego stopę. Twiggenberry wrzasnął, zaskoczony, Chase wytrącił mu broń z ręki, parszkając z pogardą.

A potem sięgnął po złoty sznur podtrzymujący zasłony.

- Rozalinda, zwiąż mu ręce z tyłu i zaknebluj go moim halsztukiem. Niech pan założy ręce za plecy, bo inaczej spotka pana coś złego z mojej strony, jeśli ona nie zdoła się z panem rozprawić wcześniej. Łatwo pociąga za spust i w ogóle jest nieprzewidywalna. No wie pan, jak to kobieta. - Tu Chase mrugnął do Rozalindy, a potem zwrócił się do MacGregora: - Dlaczego akurat ty, MacGregor? Były żołnierz się zachwiał?

- McCaucus-Bigg nie mógł się obejść bez mojej pomocy. Płacił mi, ale też i groził. A ja muszę wyżywić rodzinę.

- O tak, musiał pan cierpieć straszne męczarnie. Bardzo współczuję. Pewnie były interesujące. Gdzie, do diabła, jest McCaucus-Bigg?

MacGregor milczał.

- Gdzie jest Lucy Locke? Milczenie.

- Gdzie jest Meggie Plum? Milczenie.

- Gdzie jest Cora Myrtleberry? MacGregor nadal nie odpowiadał.

- Na Boga, MacGregor, liczę do trzech, a jeśli nie powiesz, to cię zastrzelę i sam ich poszukam.

- Strzał narobił za wiele hałasu - mruknął MacGregor z nadzieją w głosie.

Chase westchnął, a potem powoli wyjął nóż. Noże zabrane ulicznym rabusiom okazały się bardzo użyteczne. Wyłupiaste, bladoniebieskie oczy MacGregora wpatrywały się w ostrze jak zahipnotyzowane. Jakby widział na nim wypisane swoje nazwisko.

- Nożem - wyjaśnił spokojnie Chase - można o wiele ciszej wyprawić na tamten świat niż pistoletem.

- Wyrządził dużo złego mnie i mojej rodzinie - przemówił nagle sierżant. - Nie chcę mu już pomagać. Pani March, on mi kazał pisać listy z pogroźkami. A ja potrafię to robić jak nikt!

- Zauważyłam - odparła Rozalinda.

- On nie będzie więcej krzywdził ani pana, ani pańskiej rodziny. Już ja się o to postaram - odezwał się Chase.

MacGregor wahał się przed podjęciem ostatecznej decyzji.

- Chce pan mi pomóc, prawda, MacGregor?

Na pobladłą twarz sierżanta wystąpił pot, koniec ostrego nosa poróżowiał, grdyka przesuwiała się w górę i w dół. Przymknął oczy. A potem otworzył je i westchnął.

- Tak, sir. Jestem gotów.

- W porządku. A teraz proszę mi powiedzieć, co tu się właściwie dzieje.

- Dziewczeta... no cóż... aresztowano je, a te ładne prowadzono później z zawiązanymi oczami przez...

- Wiem, któredy się tu dostawały - uciął Chase.

MacGregor nawet nie mrugnął.

- Wszystko wygląda tak: one mogą szybciej odzyskać wolność, jeśli się zgodzą zarabiać swoim ciałem i odbędą... pewną liczbę... spotkań. Potem wolno im będzie odejść. - Spojrzał rozpaczliwie i błagalnie na Rozalindę, której oczy były niemal czarne z wściekłości.

- Pan McCaucus-Bigg dość mocno obstaje przy tej regule. Na górze są przeznaczone do tego celu pomieszczenia, Pokoje Rozkoszy. Dziewczęta zamyka się w oddzielnych pokojach na noc i na ten czas, kiedy... nie biorą udziału w zabawie. Ale panna Locke i panna Plum siedzą zamknięte jeszcze piętro wyżej. Dano im tydzień do namysłu, by się zgodziły w tym... uczestniczyć. Zazwyczaj tak się właśnie robi z przyprowadzanymi tu dziewczętami. Panna Myrtleberry zgodziła się w końcu być syreną, ale nie może się powstrzymać od chichotu. A pan Kirkham uznał, że to przeszkadza jego... fantazjom - dodał.

Rozalinda zrozumiała teraz, że to Cora Myrtleberry chichotała. A jej ojciec słyszał ją, ale nie mógł wytropić miejsca, w którym była przetrzymywana. Okropna świadomość.

- Zaprowadź nas do Lucy i Meggie. Ja się zajmę Corą Myrtleberry

- rzucił niecierpliwie Chase, któremu to samo przyszło na myśl.

- Tylko pan McCaucus-Bigg ma klucze do górnych pokojów.

Chase zamyślił się na chwilę.

- Znakomicie. Bardzo bym chciał z nim porozmawiać. Niech go pan tu przyprowadzi. Proszę mu powiedzieć, że Lucy Locke zdecydowała się zapracować ciałem na uwolnienie i chce, żeby on był pierwszym, który z tego skorzysta.



- Chase! - powiedziała cicho Rozalinda.

To było ostrzeżenie. Nie miała pewności, czy można zaufać MacGregorowi.

- Ja też pragnę mu się należycie odpłacić, pani March - zapewnił szczerze sierżant. - To wszystko jest nikczemne i nie chcę mieć z tym dłużej nic wspólnego. Może mi pan wierzyć, sir.

Kiedy czekali na McCaucus-Bigga, zajrzeli do pokoju, skąd dolatywały krzyki. Ujrzeni tam pięknie wykonany statek piracki - dzieło Myrtleberry'ego - z żaglami i masztem, do którego była przywiązana dziewczyna z suknią rozdartą na ramieniu.

Pirat - a raczej mężczyzna przebrany za pirata - przykładał jej do gardła sztylet. Nieprawdziwy, jak się okazało, wyrzeźbiony z drewna i pomalowany tak, żeby błyszczał w świetle lampy.

- Aaach! - darła się dziewczyna z całej siły.

- Każę ci pójść na śmierć z zawiązanymi oczami po desce wystającej za burzę, ty wszawa zdziro!

- Aaach! Aaach! - krzyczała dziewczyna i gwałtownie rzucała głową to w jedną, to w drugą stronę, choć, prawdę mówiąc, wyglądała raczej na znudzoną. Ucieszyła się, gdy stanęli w drzwiach.

Chase dostrzegł, że istotnie była tam deska, a poniżej niej - łóżko. Może piratowi w końcu udałoby się zmusić ją do przejścia po desce?

Nastrój w tym pokoju nie wydawał się zbyt groźny, co najwyżej nieco wyprany z entuzjazmu.

- Co, zgubiłeś się, kochasiu? - zawołała dziewczyna. - Będę wolna za kwadrans! Dla ciebie chętnie wybiorę się na górę i popracuję tam przez całą noc!

- Cora? - spytał niepewnie, żywiąc nadzieję, że to jednak nie córka lalkarza. - Meggie?

- Nie, jestem Cassandra! - prychnęła. - Wiem, wiem, my się wam wszystkie wydajemy jednakowe - dodała z goryczą.

- Jeśli zamierzasz zapracować tyłkiem na uwolnienie, moja miła, to ja jestem pierwszy w kolejce! - zaperzył się fałszywy pirat.

- Odpieprz się, Cox! Znasz przecież reguły. Najwyraźniej wszyscy je tu sobie dobrze przyswoili.

- Jak jeszcze raz powiesz do mnie „Cox”, dowie się o tym McCaucus-Bigg! - W głosie pirata zabrzmiała autentyczna groźba.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Przecież wiesz, że masz mówić: „Precz stąd, kapitanie Cook!” - warknął.

- W porządku! - zgodziła się dziewczyna z rezygnacją. - Precz stąd, kapitanie Cook!

- Lubię, jak do mnie tak mówisz, zdiro! Czegóż ty się po mnie spodziewasz? Rzucaj no tą głową jak należy!

Dziewczyna posłusznie zrobiła, co jej kazał, a rude włosy rozwiały się na tle masztu.

- Lubię, jak mi przykładasz ten nóż do szyi i chcesz mnie nim pchnąć...

Chase odszedł od drzwi.

Cox. To takie oczywiste. Dziwił się, że wcześniej o tym nie pomyślał.

Minęli jeszcze kilkoro drzwi, szukając miejsca, skąd rozlegał się chichot. Tym razem dziewczyna miała na nogach rybi ogon, a na głowie perukę z długich, czarnych włosów, które spadały jej na czoło. Zirytowany Kirkham przebrany był, jak się okazało, za Neptuna i trzymał w ręku trójzab.

- Sam nie wiem, czemu mnie to tak bawi - mówił do niej.

- Cora? - spytał ostrożnie Chase.

Syrena spojrzała na niego. Miała duże, okrągłe oczy swego ojca i miłą pyzată buzię, ale pobladła ze strachu.

- Eversea! - zdumiał się Kirkham.

Zdumienie jego wzrosło jeszcze bardziej, gdy ujrzał wycelowany w siebie pistolet. Rzucił okiem na pistolet, a potem, pytająco, na Chase'a.

Chase okrył Corę swoim surdudem.

- Masz tu jakiś pokój?

Kiwnęła głową.

- W takim razie idź tam i przebierz się we własne ubranie. Zaraz cię stąd zabierzemy. Kirkham, ja na twoim miejscu też bym się zabierał z tego przybytku, i to raz-dwa. Tą samą drogą, którą przyszedłeś.

- Czy nas nakryto?

- Istotnie - odparł Chase z powagą.

Kirkham pobiegł ku drzwiom, nadal trzymając trójzab.

Rozalinda i Chase odwrócili się, z pistoletami w pogotowiu, usłyszawszy kroki. Ktoś zbliżał się do nich szybko po marmurowej posadzce. Ujrzeni dobrze im znaną elegancką męską postać.

Kinkade i O. McCaucus-Bigg byli jedną i tą samą osobą.

Zwolnił kroku na ich widok. Twarz mu zeszywniała i stała się całkiem bez wyrazu, nieodgadniona. Zatrzymał się, odwrócił powoli i spojrzał na MacGregora. Z rozbawieniem i jadowitym uśmiechem.

- Dobra robota, MacGregor - powiedział z zimną ironią. - *Et tu, Brute...* i tak dalej.

Dłoń jego skierowała się ku piersiom ruchem tak dyskretnym, że niemal niezauważalnym. Zza poły surduta wyjrzała lufa pistoletu. Chase wymierzył swój pistolet między oczy Kinkade'a.

- Rzuć to.

Szare oczy, błyszczące i enigmatyczne, patrzyły na niego dłuższą chwilę. Potem, z pełnym złości przekleństwem, Kinkade rzucił pistolet. Chase kopnął jego broń ku Rozalindzie. Podniosła ją.

- Jakże miło mi pana spotkać, McCaucus-Bigg. Proszę nas zaprowadzić do Lucy i Meggie.

Kinkade wchodził po marmurowych stopniach. Trzy pistolety i sześć par oczu śledziły każdy jego ruch.

- A teraz, Chase - rzucił przez ramię tonem zwykłej rozmowy - co mógłbyś mi zarzucić? Tak naprawdę?

- Porwanie, uwięzienie, zmuszanie do prostytucji - zasugerował sarkastycznie Chase.

Kinkade prychnął.

- Większość dziewcząt uczestniczy w tym wszystkim z własnej i nieprzymuszonej woli, gdy tylko się dowiadują, co tu wchodzi w grę. Te z nich, które nie mogą się zdecydować na współpracę w ciągu dwóch tygodni... bo dłużej nie chcę żywić i trzymać tutaj przestępczyń winnych drobnych wykroczeń... wracają do więzienia, doprowadzane tam przez tego samego strażnika, który je aresztował. A te, które o tym mówią... no cóż, jak na razie znalazła się tylko jedna taka. Na szczęście od razu ją potem powieszono. Prawda, MacGregor? Została uznana za winną.

MacGregor poszarzał na twarzy. Nic nie odpowiedział.

- Powiedziała, zdaje się, coś o burdelu i niewoli władzom więzienia - ciągnął Kinkade. - Wzięto jej słowa za obłąkańcze brednie. Nie miała nikogo, ani krewnych, ani męża, i najwyraźniej jej nie uwierzono. Oczywiście, nie znała naszych prawdziwych nazwisk, nie mogła też wiedzieć, w jakim miejscu się to działo, bo wszystkie przyprawiano tutaj z zawiązanymi oczami i nie wypuszczano stąd. Właściwie sama sobie była winna.

- Po co, u diabła, robiliście to wszystko?

- Z nudów, Eversea. Ogółem biorąc, nie kosztowało mnie to wiele. Mężczyzn dobrałem starannie, wszystkich znałem. Mieli wiele do stracenia, gdyby się to rozniosło, więc zachowywali dyskrecję. No i płacili spore sumy za, nazwijmy to, subskrypcję, co upoważniało ich do nieograniczonego folgowania erotycznym fantazjom, które spełniały wybrane przez nich dziewczęta. One zaś nie miały wyboru i

musiały robić, co im kazano, jeśli nie chciały znaleźć się z powrotem w więzieniu.

Dziewczęta, które chciały być uwolnione wcześniej, musiały solidnie na to zapracować. A istnieje mnóstwo ładnych, chętnych do zabawy przestępczyń, kapitanie, których nie przeraża perspektywa zyskania wolności w zamian za kładzenie się na plecach z uniesionymi nogami, gdyby nawet jakiś dżentelmen chciał między nie wetknąć własne nogi. Reguły są jasne, a ja dobrze się obchodziłem zarówno z dżentelmenami, jak i z... damami.

- Jesteś zdeprawowany - powiedział głucho Chase.

- Chciałeś chyba powiedzieć „bystry”. - Kinkade był rozbawiony.

- Nie miałem zamiaru ciągnąć tego zbyt długo. Te rzeczy sprawiają satysfakcję tylko przez jakiś czas. Potem zająłbym się czym innym.

Doprowadził ich do drzwi. Drżącymi rękami, co zdradzało prawdziwy stan jego umysłu, włożył klucz do zamka. Serce Rozalindy zaczęło bić jak młotem.

Drzwi otwarły się ze skrzypieniem.

Na wąskim łóżku, z pobladłą twarzą, z ciemnymi lokami rozsypanymi na ramionach, siedziała Lucy. Spojrzała na nich ze zdumieniem orzechowymi oczami.

- Rozalinda? - odezwała się płaczliwym tonem, wlepiając w nią wzrok. - A coś ty ukradła?

## 22

Kinkade rzucił Chase'owi przeciągłe, zbolące spojrzenie.

- Lucy. - Rozalinda poczuła tak ogromną ulgę, że zrobiło jej się słabo. Głos jej się trząsnął. Chase chwycił ją mocno za ramię, żeby nie upadła. - Lucy, przyszliśmy cię stąd zabrać. Jesteś wolna.

Lucy nadal wyglądała na zakłopotaną.

- Ale ja jeszcze nie postanowiłam, czy będę syreną...

- Owszem, postanowiłaś - powiedział stanowczo Chase.

- Kapitan Eversea? - Wydawała się zaskoczona jego widokiem, ale go rozpoznała.

A potem uśmiechnęła się nieśmiało i nieco zalotnie. Nic na to nie mogła poradzić. Niemożliwa dziewczyna.

- Wracasz do domu z Rozalindą, Lucy.

- To ja mogę stąd wyjść? - Lucy wstała ostrożnie, patrząc niepewnie na Kinkade'a. - Jesteś pewien?

Kinkade milczał, zasepiony.

Lucy prześlizgnęła się obok niego przez drzwi. A potem padła Rozalindzie w ramiona i wybuchnęła płaczem.

- Czy wy go chcecie zabić? - spytała pośród szlochów. Zauważyła, że są uzbrojeni w pistolety, i wodziła wzrokiem od Chase'a do Kinkade'a z zaciekawieniem niepozbawionym pewnej zawziętości. - Rozalindo, ja myślałam że on jest uroczy i przystojny, a tymczasem okazał się taa... taaki podły!

- Wiemy o tym, Lucy - wyjaśniała cierpliwie Rozalinda, poklepując ją po plecach.

Kinkade posłał Chase'owi spojrzenie, które mówiło: „Wiesz, co o tym myślę? Ma dziewczyna pstro w głowie i tyle”. Rozalinda trzymała siostrę w ramionach.

Może młodsza siostra była niemądrą trzpiotką, ale - jej trzpiotką i basta. A łzy Lucy wprost ją rozjuszyły. Chętnie zabiłaby Kinkade'a, bez wahania.

Kinkade westchnął i powiedział:

- No cóż, to cała Lucy.

I podał kółko z kluczami Chase'owi. Chase zawahał się, ale wziął je, choć był lekko zaskoczony. W ciszy, jaka teraz zapadła, słychać było tylko szloch Lucy w ramionach Rozalindy.

Wszyscy patrzyli na Kinkade'a. Domyślił się, że żądają od niego wyjaśnień.

- Naprawdę zamierzasz mnie zabić, Eversea? - spytał z rozbawieniem. - Z pewnością masz podstawy, żeby mnie wyzwąć na pojedynek, jeśli za wszelką cenę chcesz chronić honor i tak dalej oraz postępować uczciwie. Obydwaj znakomicie strzelamy. Zapewne dalibyśmy sobie radę bez szpad, ale cóż, nie jesteś już tak sprawny, z przestrzeloną nogą. Musiałbyś jednak strasznie dużo ludzi pozabijać, gdybyś miał zamiar zacząć ode mnie. Każdy mężczyzna tutaj jest uzbrojony. Czy ci się zdaje, że wyszlibyście stąd żywi, ty, pani March i reszta?

Chase, rozbawiony, zaśmiał się, odchylając w tył głowę.

- Pójdę o zakład, Kinkade, że każdy z tych mężczyzn jest o wiele bardziej zainteresowany ratowaniem własnej skóry niż twojej lub



dalszym zapewnieniem sobie tego szczególnego rodzaju rozrywek. Założę się, że wszyscy, a na pewno niektórzy z nich, nie mieliby zbyt wiele do stracenia, gdyby wszystko wyszło na jaw. Czyż nie? Ty byś nie żył, burdel by zamknięto, a oni wprawdzie straciliby pieniądze, które zainwestowali w twój mały sekret, ale nie reputację i źródło utrzymania. Czuję zatem, że śmiało mógłbym cię zabić. Ale nie zdecydowałem jeszcze, czy tego chcę.

I zwrócił się do siostry Rozalindy:

- Lucy...

Lucy nadal głośno szlochała, kołysząc trzymaną w dłoniach głową.

- Lucy! - krzyknęli jednocześnie Chase i Rozalinda.

Osuszyło to łzy Lucy bardzo skutecznie. Spojrzała na nich zaskoczona.

- Czy jesteś cała i zdrowa? - ciągnął Chase. - Czy się dobrze czujesz? Czy ktoś ci wyrządził krzywdę? Odpowiedz uczciwie, bo jeśli nie, to poznam się na tym. Opowiedz mi, własnymi słowami, co cię tu spotkało.

Głos jego był donośny i spokojny. Jak głos sędziego. Nikt nie mógł udzielić niezgodnej z prawdą odpowiedzi, gdy Chase go pytał.

- No cóż, aresztowano mnie. Za kradzież bransoletki. Złotej, z...

Chase zachnął się na znak zniecierpliwienia. Rozalinda potrząsnęła energicznie siostrą.

- W każdym razie zabrali mnie do sędziego pokoju, a potem zamknęli w więzieniu. O Boże, jak tam jest okropnie! Jak brudno!

Wszyscy wrzeszczeli i byli strasznie niechlujni. Billy usłyszał o tym i przyszedł, żeby się ze mną zobaczyć. Tylko raz. Powiedział, że moja sprawa wygląda fatalnie i że proces nie skończy się dobrze, bo ta bransoletka była wyjątkowo wartościowa, a jubiler się rozzłościł. Przysięgam ci, że ja jej wcale nie ukradłam!

Lucy przerwała, być może przypominając sobie, że ma mówić prawdę.

- No dobrze, nie miałam zamiaru jej kraść. Wszystko się stało tak nagle, że nawet sobie dokładnie nie mogę przypomnieć, jak - dodała pośpiesznie i beztrosko. - Tylko że ta bransoletka była po prostu śliczna!

Rozalinda poczuła szczerą chęć, żeby przełożyć siostrę przez kolano i sprawić jej solidne lanie.

- Ale Billy powiedział, że może mnie stamtąd wyciągnąć, jeśli zechcę mu oddać pewną przysługę, i wyjawiał mi wszystko o... o tamtym miejscu. O muzeum. O ścianie. O obrazie. Powiedział, że mówi mi to, bo jestem jego dobrą przyjaciółką. Dał mi tydzień, żebym się zastanowiła, co chcę zrobić. Mówił też, że mogłabym... ee... nosić fantazyjne stroje, albo też, jak się wyraził, zarobić na... - odkaszlnęła - ...na moją wolność własnym ciałem. - Powiedziała to ostrożnie i w taki sposób, jakby kogoś cytowała. A potem zarumieniła się i pochyliła głowę. - Tak się bałam, Ros. Nie mogę powiedzieć, żeby coś mi się stało, ale co ja czułam!

Rozalinda spojrzała na Kinkade'a złowrogo.

- Skoro sprawy zaszły tak daleko, Kinkade - powiedział Chase z niesmakiem - czemuż w takim razie po prostu jej nie wypuściłeś?

Kinkade się zaśmiał.

- Chase, na Boga, ty chyba pomyliłeś mnie ze sobą. Wchodził tu w grę honor. Zupełnie nie bierzesz tego pod uwagę. Chciałem zdobyć Lucy, nie widzisz tego? Byłbym jej pierwszym mężczyzną. Pragnąłem tego, odkąd pozwoliła mi wcześniej pomajstrować przy swoim staniku.

Lucy spojrzała na Rozalindę z poczuciem winy. A potem znów ukryła twarz w dłoniach.

- Lucy nadawała się tu idealnie. Mężczyźni byliby nią zachwyceni, a ona zapewniłaby temu miejscu dobrą opinię. No, bo uczciwie mówiąc... spójrz tylko na...

Chodziło, rzecz jasna, o piersi Lucy, bo na nie właśnie skierował wzrok. Lucy spojrzała na Kinkade'a, a Kinkade na nią.

Chase, Rozalinda i niespokojny MacGregor odwrócili wzrok.

- Czy sądzisz, że chciałbym stracić sposobność do dogodzenia sobie pod tym względem, Eversea? Czyś ty zwariował? Ona już była bliska kapitulacji, nieprawdaż, Lucy?

Kinkade uśmiechnął się tak lubieżnie, że Lucy jeszcze mocniej przywarła do Rozalindy.

Chase spojrzał na Rozalindę ostrzegawczo, bo wyraźnie miała ochotę dać Kinkade'owi w twarz.

- Nie były ci bynajmniej niemiłe moje awanse, co, Lucy? Chase kazał ci przecież mówić całą prawdę.

- Kapitan Eversea kazał mi mówić całą prawdę jemu - odparła Lucy z rzadką u niej przytomnością umysłu.

Równało się to jednak przyznaniu, że przyjmowała te awanse raczej życzliwie. Kinkade spojrział znów na Chase'a tak jakby chciał powiedzieć: „A widzisz?”

- Przecież mi na tobie zależało - lamentowała Lucy.

- Tak, tak, oczywiście, moja droga. - Kinkade wydawał się znudzony. - Mnie na tobie też. Byłoby to wspaniałe, daję ci słowo. Ale nie jestem gwałcicielem. Tylko mężczyzną obdarzonym sporą inwencją i zdolnością perswazji, a jeśli bardzo czegoś zapragnę, zazwyczaj to dostaję. - Ogółem biorąc, w tych bardzo niekorzystnych okolicznościach... a mogę dodać, że sama ściągnęła kłopoty na swoją głowę... pannie Lucy Locke została przedstawiona całkiem rozsądna opcja - ciągnął Kinkade. - Korzystniejsza niż innym dziewczętom. Nie mogłem uratować jej przed powieszeniem lub zesłaniem, gdyby sąd uznał, że taki ma być jej los, a wymiar sprawiedliwości w naszym pięknym kraju sprawiłby, że prędzej by ją powieszono, niż uwolniono od winy. Skoro ktoś coś ukradł, jest złodziejem. Anglia chce się zaś pozbyć kryminalistów, jak już o tym mówiliśmy, Eversea.

- Ale ja nie jestem taka jak te inne dziewczęta! - wybuchnęła Lucy.

- Lucy... - wyjaśniał Kinkade z przerażającą, ostentacyjną cierpliwością - kradnąc, upodobniłaś się do nich.

- Przecież to była tylko bransoletka!

- Tylko bransoletka! Tylko chleb! Tylko guzik! Tylko koszula, co się suszyła na sznurze! Moja droga, sądom to jest doprawdy obojętne.

- Na miłość boską, Kinkade - głos Chase'a wprost zionął pogardą - coś z tobą jest nie w porządku.

Kinkade odwrócił się ku niemu.

- Myślisz, że mnie się to podoba, Eversea? Kradzieżom nigdy nie ma końca. Złodziejkom nic nie pomoże, nic ich nie uratuje i nic nie powstrzyma. Kradną codziennie! Nie są święte. Nie są też złe. Niektóre z nich okazują się beznadziejnie zepsute, inne znów miały pecha albo wybrały złą porę. Ale każda z tych dziewcząt mogłaby równie dobrze już teraz nie żyć. Zmarłyby na oceanie, podczas transportu do Botany Bay. Nic na to nie poradzę. Żywiłem je i kazałem im się przebierać...

- Za kobiety piratów! - jęknęła ze zgorzeniem Lucy. - I za koboldy!

Chase zastanawiał się, który z jego znajomych lubił oglądać kobiety przebrane za koboldy. Nie przypuszczał zresztą, żeby istniało coś takiego jak koboldy rodzaju żeńskiego.

- ...i w zamian za krótkie igraszki lub błahe rozłożenie nóg zyskiwały szansę na wolność... jeśli tylko spodobały się klientom. Gdyby zaś ci się skarżyli, no cóż, wtedy byłyby przegrane i wiedziały o tym, wiedziały też, co je czeka, gdy wrócą do więzienia, mimo że im o tym nie wolno było mówić. A ja przez jakiś czas wcale dobrze się bawiłem, podobało mi się to i czerpałem z tego spore zyski.

Nielatwo przecież utrzymać te budynki, jeśli się ich nie używa, a ja w końcu znalazłem sposób na ich wykorzystanie.

Chase słuchał tego wszystkiego z rosnącym niedowierzaniem i znużeniem. Skrzywił się ironicznie.

- Ach tak, rzeczywiście prawdziwy z ciebie zbawca. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że kobieta może cię wynieść w górę lub zniszczyć?

- Czy działałeś w fałszywym przekonaniu, że kobiety mogą mnie zniszczyć, Eversea? - spytał Kinkade z pogardą i rozbawieniem. - Zbijałem tu fortunę i wspaniale się bawiłem. Zastanawiałem się, czyby cię w to nie wciągnąć, ale zrezygnowałem. Czuję, że byłbyś przerażony. Bo ty jesteś niesłychanie prawy, kapitanie Eversea. I taki... pełen honoru. Nieprawdaż, Chase?

Cóż za ironia.

- Nie, Kinkade - odparł po namyśle - nie sądzę, by kobieta mogła cię zniszczyć. Nie można cię zniszczyć, bo... nie ma już w tobie niczego, co nadawałoby się do zniszczenia. Ręczę, że jest tam tylko odbicie tego, co cię otacza, niczym w pełnej błota kałuży. Odbija się w tobie honor albo zepsucie, jeśli to właśnie cię otacza. A pozostawiony samemu sobie dbasz jedynie o własną przyjemność. Tyle tylko z tego wynika.

Chase mówił spokojnie, jakby od niechcienia, ale między nimi obydwoma narastało groźne napięcie, zabójcze jak trucizna. Wszyscy zamarli, przerażeni.

Kinkade bardzo powoli wycodził przez zęby:

- Bardzo błyskotliwa przemowa o honorze, jak na kogoś, kto przyprawiał rogi swemu dowódcy.

Rozalinda gwałtownie nabrała powietrza do płuc. Lucy spojrzała na siostrę, zaciekawiona. Kinkade rzucił Rozalindzie zimne i pogardliwe spojrzenie.

- A więc ty mu doniosłeś - rzekł cicho Chase.

Mimo wszystko Rozalinda wyczuła w głosie Chase'a rozgoryczenie. Został zdradzony przez przyjaciela. I ona miała teraz ochotę zabić Kinkade'a.

- Musiałem, Eversea - zaśmiał się Kinkade.

Chase stał bez ruchu, oswajając się z tą prawdą.

- Czy koniecznie musiałeś zranić jego, zranić Rozalindę i, zapewne, zniszczyć mnie? - spytał głuchym, pełnym napięcia głosem.

- Musiałem cię ocalić, ty głupcze - odparł Kinkade z rozdrażnieniem. - A także resztę regimentu. Nie jestem taki, jak ty. Nikt zresztą nie jest. Wiedziałem, jak bardzo on, jak my wszyscy, polegał na tobie. Widziałem też, jak na nią patrzyłeś, Eversea, a ona na ciebie. A potem zobaczyłem... no cóż, widziałem, jak się tamtego dnia ściskaliście ze sobą. Macałeś ją jak szalony. Ty idioto! Przecież to tylko kobieta! Wiedziałem, że ona ci odbierze rozum, a ja chciałem za wszelką cenę przeżyć wojnę. Powiedziałem więc o wszystkim pułkownikowi. A on cię przeniósł gdzie indziej.

Nastąpiła cisza, podczas której słychać było jedynie popłakującą Lucy.

Potem zaś MacGregor zasłonił nos dłonią, starając się stłumić kichnięcie.

- Przepraszam - szepnął.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

A wówczas odezwała się Rozalinda, skupiając na sobie spojrzenia.

- Mathew mi wybaczył - wyjaśniła pogardliwie Kinkade'owi. - Wybaczył także Chase'owi. Znał go, jak również mnie, na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nasze własne sumienie ukarze nas o wiele surowiej, niż on mógłby to zrobić. Ale nigdy nie wybaczył tobie, Kinkade. Nie wiedziałam, że to zrobiłeś ty, bo Mathew mi nie wyjawiał nazwiska osoby, która nas zdradziła, ale on rozumiał jedno: różnicę między ludźmi o mocnym i słabym charakterze. Dał Chase'owi do zrozumienia, że przenosi go ze względu na jego czyn, ale także na jego dumę. Mój mąż uważał, że twoja wina była większa, bo pojmował prawdziwe powody twego działania i pogardzał tobą z ich przyczyny.

Kinkade milczał, odetchnął tylko z wolna i zakrył oczy dłońmi, a potem ledwo dosłyszalnie westchnął. Potem zaś opuścił ręce. Twarz miał poszarzałą i znużoną.

- Kinkade... - spytał Chase osobliwym tonem - ...czy ty mnie... znieawdziłeś?

Jego dawny przyjaciel parsknął śmiechem.

- Nigdy cię nie znieawdziłem, Chase. Niekiedy chciałem być podobny do ciebie, ale ręczę ci, że obciążone wyrzutami sumienie



byłoby czymś zbytnio dla mnie kłopotliwym. Wolę wygodę od honoru i rozkosz od obowiązkowości. Ale ty o tym wiesz. Świat nie jest taki czarno-biały, jakim chciałbyś go widzieć. Nie wszyscy mogą być tacy jak ty. Wyobraź sobie, jakie by to było nudne! Nie mówiąc już o tym, że ludzie tacy jak ty nie uważaliby nikogo za godnego rozstrzygnięcia i osądzania innych.

Kinkade uśmiechnął się gorzko.

- Aaach! - dobiegł ich krzyk pirackiej branki z dołu.

Chase zdrętwiał z gniewu i determinacji.

- Skończysz z tym wszystkim natychmiast - rzekł tonem ostatecznej groźby.

- A co ty zrobisz, Eversea? Puścisz złodziejki z powrotem do Londynu? Nie wszystkie są takimi nędznymi beksami, jak ta tutaj:

- Ja... - zaczęła Lucy z oburzeniem.

Rozalinda wbiła w jej ramię palec.

- Przynajmniej połowa z nich to zatwardziałe przestępczynie, choć nie dopuściły się poważnych zbrodni - ciągnął Kinkade. - Nigdy nie uciekały się do przemocy, w przeciwnym razie nie ośmieliłbym się podsuwać ich moim klientom. Ale znów zaczną kraść! Możesz paść ich ofiarą ty sam lub ktoś z twoich bliskich.

- Eversea nigdy nie padną niczyją ofiarą, Kinkade, i dowiodą tego swoim życiem.

Co zresztą stało się naprawdę i wszyscy w pokoju o tym wiedzieli.

Kinkade najpierw milczał, a po chwili powiedział:

- Miałem cię za przekonanego o tym, że po zbrodni musi nastąpić kara i tak dalej. Ilu twoich podkomendnych wychłostano za kradzież?

- Teraz już nie ma wojny. Jeśli te dziewczęta zaczną znów kraść i zostaną przyłapane, będą musiały poddać się wyrokowi angielskiego sądu. Nie twoim.

- Jesteś więc sędzią?

- Czemu nie? Ty też nim byłeś.

- W takim razie wszystkie je czeka śmierć, Chase - stwierdził ze znużeniem Kinkade. - Jeśli nie na szubienicy, to na statku, podczas rejsu przez ocean.

Wszyscy wiedzieli, że tak się może stać.

- Nie masz jednak prawa wykorzystywać niedoskonałego systemu praw dla własnej przyjemności ani gnębić i nękać bezbronnych. Opuścisz kraj i popłyniesz do Botany Bay na statku, który wyrusza tam jutrzejszego dnia.

- Nie możesz mi zrobić czegoś podobnego! - prychnął Kinkade.

- Mogę.

- Lucy pójdzie wtedy pod sąd - warknął Kinkade. Oczy zapłonęły mu gniewem. - Zobaczysz! Wszyscy świadkowie zeznali, że popełniła kradzież.

- Jubiler dostanie solidne odszkodowanie, dużo wyższe niż to, które zyskałby po kradzieży bransoletki, i z pewnością nie wniesie przeciw niej powtórnego oskarżenia.

- Ale przecież ja nie... - zaczęła protestować Lucy.

A potem westchnęła, bo prawda nie była jednoznaczna, przynajmniej w jej przekonaniu.

- Nie wierzę, żebyś gdziekolwiek mógł działać coś dobrego, Kinkade. Ale, jak sam mówiłeś, Anglia chce się pozbyć kryminalistów, a tym samym i ciebie. Zrobisz to dobrowolnie i w ten sposób można cię będzie uznać za bohatera. W tył zwrot! - warknął.

Rozalinda zrozumiała: kapitan Eversea objął teraz dowództwo.

- MacGregor!

MacGregor wiedział, co robić. Zerwał z szyi halsztuk, a Chase związał nim Kinkade'owi ręce z tyłu, wepchnął go do pokoiku zajmowanego wcześniej przez Lucy i zamknął drzwi na klucz.

- Wyprawimy go jutro na ten statek - rzucił MacGregorowi.

- Rozkaz, sir! - odparł MacGregor, a jego twarz znów nabrała zdrowych kolorów. Zwrócono mu honor.

MacGregorowi pozostawiono też powiadomienie dżentelmenów piętro niżej, żeby poszli do domów najprędzej jak mogą, wyjściem od strony Covent Garden - na szczęście kończyło się ono tuż koło Śmiertelnego Całunu - bo zagraża im niebezpieczeństwo.

Wszyscy zapomnieli o swoich fantazjach i w panice rzucili się do ucieczki, niektórzy nadal poprzebierani w dziwaczne kostiumy. Znajdowali się jednak w Covent Garden, dzielnicy, w której skupiały się londyńskie teatry. Nikogo tam nie mógł zdziwić osiemnastowieczny pirat biegnący chyłkiem po ulicy.

Chase i Rozalinda, ciągnąc za sobą Lucy, chodzili od drzwi do drzwi, przerywając „rozrywki”, jeśli to było konieczne, nawet w

trakcie ich trwania, póki wszyscy mężczyźni i kobiety nie znaleźli się osobno. Zaskoczonym dziewczętom - w tym owej „pirackiej zdzirze” - powiedziano, że mają zmykać, jeśli nie chcą wrócić do więzienia. I one pospiesznie wymknęły się na zewnątrz tym samym wyjściem.

Żadnej nie trzeba było powtarzać polecenia dwa razy.

Pozostały jedynie Meggie Plum i Cora Myrtlebeny, której zwrócono jej suknie. „Nie mówcie tylko mojemu papie, że przebierałam się za syrenę”, prosiła lękliwie, zapewnili ją więc, że tego nie zrobią. Obydwie wraz z Rozalindą, Chase'em i sierżantem MacGregorem wróciły tunelem do muzeum. Ireton najwyraźniej odzyskał przytomność i zniknął.

Tylko że zapomniał kapelusza.

- Och, Ireton zawsze szedł nie w tę stronę, co trzeba - wyjaśnił im MacGregor. - Nie miał wyczucia kierunku. Pewnie chciał wyjść na Covent Garden, ale omyłkowo zabrnął aż tutaj.

Wyjaśnialoby to, czemu przemykał się chyłkiem przez muzeum tamtego dnia.

- Chcesz go może zachować na pamiątkę? - spytał Chase, podając Rozalindzie kapelusz Iretona. Musnął ją lekko pod brodą piórem.

- Lepiej zostawmy go przyszłym pokoleniom, które go tu może wykopią. Z pewnością będą nim zdumieni.

- Doskonała myśl.

Pozostawili więc kapelusz tam, gdzie leżał, a Chase pociągnął za kinkiet i po raz ostatni przeszli przez muzealną ścianę. Zamknęła się za nimi z głuchym szmerem.

Chase po namyśle zdjął z niej obraz Rubinetta i zabrał go ze sobą. Miał pewne zamiary co do niego.

Cora Myrtlebeny wpadła w objęcia uradowanego ojca, który z zapartym tchem czekał na ich powrót, i obydwójce pospiesznie zniknęli, bez wątpienia wracając do teatrzyku kukielkowego.

Meggie Plum zwrócono zachwyconemu Liamowi w domu kuzyna Adama Sylvaine'a, gdzie dziewczyna padła na kolana i uściskała brata tak mocno, że omal go nie zadusiła. A potem trochę sobie popłakała.

- Och, te dziewczyny - mruknał Liam pogardliwie, choć oczy miał podejrzenie błyszczące.

Rozalinda postanowiła zabrać Meggie i Liama do siebie.

Jej cichy uprzednio domek zapełnił się nagle ludźmi. Lucy, uspokojoną już i potulną, położono zaraz do łóżka i dano jej herbaty. Liam i Meggie mieli zajmować drugi pokój, przynajmniej przez tydzień. Było to całkiem miłe, ale też nieco męczące. Rozalinda pomyślała, że jeśli to potrwa, częściej będzie jej potrzebna pomoc służącej.

Chciała zaparzyć herbaty, ale oczy same się jej zamykały.

- Chyba mam już wszystkiego po uszy - usłyszała.

Spojrzała na Chase'a. Przypomniały jej się jego słowa: „No cóż, już po wszystkim", po ich pierwszym miłosnym akcie w muzeum.

- Czemu się uśmiechasz? - spytał.

Pokręciła tylko głową.

- Rozalindo...

- Ehm... o co ci chodzi?

Zawahał się.

- Czy on nam naprawdę wybaczył?

- Naprawdę. Jediną osobą, która nie może ci tego wybaczyć, jesteś ty sam.

Chase odchylił głowę daleko w tył, a potem energicznie nią kiwnął. Zrozumiał. A potem spojrzał na nią surowo, jakby chcąc ją ukarać za tę zbyt przenikliwą uwagę. Zyskał tylko tyle, że ją rozśmieszył.

- Ciężko mi było zostawiać cię samą, Rozalindo. Miałem pewność, że on wiedział o nas.

- Och, jakoś to zniosłam, choć nie były to przyjemne chwile, ale on wszystko przeżył ciężiej, niż można by sądzić. Cierpiał, wierzę jednak, że nas rozumiał. Kochał nas oboje i wiedział, że czuję się strasznie, bo go zraniłam. Zawsze wiedziałam, że jestem podległym słabościom człowiekiem. Może nawet za mocno tym słabościom ulegałam. Ale... choć powinnam poczuć skruchę z tego powodu, że mnie wtedy całowałeś, nie mogłam się na nią zdobyć.

Chase się zawahał.

- Ja też - powiedział cicho.

Kapitan Eversea przyznał się, że nie są mu obce ludzkie uczucia. A potem zamilkli. Jakby się już żegnali.

Chase spojrzał ku drzwiom, ale znów się zawahał.

- Czy słusznie postąpiłem, pozwalając tym dziewczętom odejść i skazując Kinkade'a na zsyłkę do Botany Bay bez publicznego upokorzenia?

- Cóż jest słuszne, a co nie? Uszczęśliwiłeś ogromnie kilka osób. Naprawiłeś kilka szkód. Kiedy reguły zawodzą, trzeba ufać instynktowi. A ja zawsze ufam instynktom tych, których kocham, Chase.

Uśmiechnął się niepewnie.

- Twoja ufność jest zaszczytem, Rozalindo.

Spojrzała w jego niewiarygodnie błękitne oczy. On też był znużony.

- Muszę ci coś wyznać - rzekł. - Wiem, że naprawiłem kilka szkód. Uczyniłem to dla ciebie.

Było to zachwycające wyznanie.

- Dopiąłeś swego. Różnymi sposobami.

- Dziękuję za wszystko - powiedziała miękko.

Miała na myśli różne sprawy - od Lucy po zlikwidowanie burdelu, a także to, co przeżyła w łóżu z zasłonami, choć wydawało się jej, że od tamtego czasu minęła wieczność. Była mu też wdzięczna za to, że poczuła się w pełni kobietą, bardziej niż w całym swoim dotychczasowym życiu. I za jego stanowczość. I za to, że był niezwykłą osobą.

- A ja tobie dziękuję za to, że broniłaś mnie przed marionetką.

Roześmiała się.

Ujął jej twarz w dłonie i delikatnie pocałował, ciepłymi, rozchyłonymi ustami, muskając jej język swoim. Przyłgnęli do siebie ustami i raz jeszcze Rozalinda całą sobą stopiła się z jego ciałem.

On pierwszy oderwał usta od jej ust, bo ona nie miała siły tego uczynić.

- Wracam jutro do Sussex, żeby się pożegnać z rodziną.

Odsunęła się od niego. Przez chwilę oswajała się z tą myślą.

- Czy... czy przyjdiesz się ze mną pożegnać przed podróżą do Indii? - spytała w końcu.

Nagle znieruchomiał.

- Tak.

Uśmiechnął się słabo. Był to uśmiech nie całkiem dla niej zrozumiały. Ironiczny. Nie ujrzała uśmiechu w jego oczach.

- Przyjdę się z tobą pożegnać.

## 23

A cóż to takiego?

Colin trzymał w rękach Abraz Rubinetta i wpatrywał się w niego ze zdziwieniem.

- Przypominał mi o tobie. Widzisz? Powietrze wydostawało się przez wizjer umieszczony w krowim zadzie. - Chase zademonstrował mu to dmuchnięciem.

- Coś wspaniałego! - Colin był zachwycony prezentem.

Chase opowiedział mu o wszystkim, licząc, rzecz jasna, na dyskrecję brata pod każdym względem i pomijając, ze względu na Rozalindę i siebie samego, kilka bardziej intymnych szczegółów. A wszystko przez ten wyraz zaciekawienia w oczach Colina. Brat nie był już hulaką. Teraz był farmerem i mężem.



- Przyszło mi do głowy, żeby ci to podarować jako pamiątkę ode mnie. Nigdy bym nie zajrzał krowie pod ogon, gdyby nie ty.

Colin wzruszył się tak bardzo, że łzy stanęły mu w oczach.

Byli już po wielu pożegnalnych kuflach wypitych Pod Świnką i Ostem i siedzieli teraz w salonie wraz z matką, ojcem oraz całym rodzeństwem - Olivią, Genevieve, Ianem i Markusem. Wszyscy uznali, że humor mu się bardzo poprawił. Nie przyjęli wprawdzie z zadowoleniem wiadomości o jego wyjeździe do Indii, ale skoro właśnie wyjazd był przyczyną poprawy jego humoru, to trudno. Pogodzą się jakoś z jego decyzją.

Choć nigdy mu tego wyraźnie nie powiedzą i będą o tym wspominać tylko między sobą.

- Przepraszam za moje nieznośne zachowanie.

Przeprosiny nie były jego mocnym punktem. Wypadły nieco drętwo.

- Nigdy nie uważałem, że było nieznośne - zełgał Colin.

Chase utkwił w nim wzrok i czekał na dalszy ciąg.

- Wszyscy tak uważaliśmy. - I Colin uśmiechnął się szeroko.

Martwili się więc o niego; dopiero teraz to zrozumiał. Jak zawsze, lepiej wiedzieli, co dla niego najlepsze, wysyłając go do Londynu. Mieli rację. Żaden z braci jednak nawet o tym nie wspomniał. Byłoby to zachowanie godne bab.

Czuł teraz wzruszenie, że go wysłali do pastora. Podejrzewał, że wie, dlaczego tak zrobili. Martwili się, bo on myślał, że dłużej już

tego bólu nie zniesie, w znaczeniu dosłownym. Być może naprawdę by nie zniósł.

- Czy spodoba się nam pastor?

- Sądzę, że bardzo.

Nie podzielił się z Colinem swoimi uwagami na temat pastora i nie wspomniał o tym, co poczuł, gdy kuzyn podał mu rękę. Mógł się z tego zwierzyć tylko Rozalindzie. W każdym razie sprowadzenie Adama Sylvaine'a do Pennyroyal Green mogło sprawić, że nie będzie tam nudno podczas nieobecności Chase'a.

- Lepiej wyglądasz.

- Pod jakim względem? - spytał Chase.

- Jesteś spokojniejszy. - Colin często mówił coś tak zaskakująco wnikliwego, że nie dawał rozmówcy czasu na sarkastyczną odpowiedź. Chase podejrzewał, że brat szybko zaprzyjaźni się z pastorem.

Nagle poczuł żal, że nie będzie tego świadkiem. Mimo że zamierzał niczego nie żałować. Skierował swoje myśli ku Indiom, bo tam się miało teraz toczyć jego życie.

- Robię to, do czego jestem stworzony. Uformowała mnie wojna, ja sam miałem tu niewiele do powiedzenia. A ty i Ian...

- My walczyliśmy i wróciliśmy do domu. Ty zaś jesteś urodzonym żołnierzem. Kraj, pod jakimkolwiek dowódcą i w jakikolwiek sposób mu służyłeś, odnosił z tego powodu ogromną korzyść. Jednak naprawdę uważam, że powinieneś się ożenić.

Chase spojrział na Colina posepnie. Naszły go niewesołe myśli. Rozważał, czy nie powiedzieć Colinowi, że się oświadczył, ale nie chciał mącić jego małżeńskiego błogostanu, obarczając brata częściowo za swe rozczarowanie. Rozumiał teraz, że Colin nie był wcale nieznośny: po prostu szczerze pragnął, by Chase był tak szczęśliwy jak on.

- Może powinienem to zrobić - odparł spokojnie.

Colin był zaskoczony. A wtedy Chase przypomniał sobie, o co zamierzał go zapytać.

- Czy masz jeszcze ubiór skazańca, w którym mieli cię powiesić?

- Och, jest chyba teraz w kiepskim stanie, ale mógłbym odszukać wszystkie jego części.

- Czy zechciałbyś mi je dać?

- Potraktuj to jak prezent pożegnalny, braciszku.

Rozalinda przerwała pakowanie kufra na podróż powrotną do Derbyshire, żeby przygotować tacę: czarna herbata, dwie filiżanki. Czekala. Niemal podskoczyła, gdy zapukano do drzwi, mimo że wiedziała, kto przyszedł.

Wprowadziła Chase'a, z kapeluszem i z laską w ręce, do bawialni. Jak zwykle, wydawało się, że zajął sobą całą przestrzeń.

Zasłony były częściowo zaciągnięte, ale popołudniowe słońce, przenikające przez okno, raziło w oczy. Siedział sztywno. Wydawał się znużony. Bruzdy w kącikach oczu stały się teraz wyraźniejsze, podobnie jak wpadnięte policzki. Mógłby się lepiej ogolić: słaby cień

zarostu widniał na jego brodzie i policzkach. Wyglądał na swój wiek. Ale nadal był bardzo przystojny.

- A więc odpływasz za kilka godzin - powiedziała.

Dlaczego nie zacząć rozmowy od tak oczywistego stwierdzenia, skoro on najwyraźniej nie miał wcale ochoty jej zaczynać?

- Odpływam za kilka godzin - potwierdził.

Wydawało się, że na tym skończą rozmowę.

Siedli obydwoje przy sobie na sofie, choć nie dotykali się kolanami. Zachowywali się bardzo przyzwoicie, jakby porcelanowy dzbanek z herbatą był przyzwoitką zapewniającą właściwe zachowanie.

- Lucy umieściłem w zakładzie dla trudnych dziewcząt prowadzonym przez pannę Mariettę Endicott.

- Dziękuję ci, że się tym zająłeś. Ale czy ona nie jest już trochę za duża na taką szkołę?

- Panna Endicott uczyniła dla niej wyjątek. A jeśli ktokolwiek może coś zrobić dla Lucy, to panna Endicott jest taką właśnie osobą.

Uśmiechnęli się obydwoje.

- Myrtleberry i MacGregor zdemontowali mechanizm ściany w muzeum, tak że już się nie obraca, i wisi tam teraz lepszy obraz. Nie ma na nim żadnych krów ani aniołów. Darowałem muzeum strój skazańca, w którym Colin miał zostać powieszony. Scedowałem też na MacGregora wszelkie zasługi, tak że zarząd podniósł mu znacznie pensję, no i po raz pierwszy w dziejach muzeum ustawiła się do niego kolejka zwiedzających.

- Doskonały pomysł.

Skwitował jej ironiczną pochwałę energicznym kiwnięciem głowy.

- Liam i Meggie będą odtąd mieszkać w Pennyroyal Green. Chyba znajdzie się dla Meggie jakieś zajęcie w gospodzie Pod Świnką i Ostem, a Liamowi pozwoli się pomagać na plebanii. Przywiozłem ich jednak ze sobą do Londynu, bo Meggie zamierza zabrać jakieś rzeczy z ich mieszkania, a Liam chciał zobaczyć, jak odpływa mój statek.

- Będą oboje odtąd żyli długo i szczęśliwie?

Spróbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło. Zapadło milczenie. Rozalinda wykorzystała tę chwilę, napełniając filiżanki herbatą. Za bardzo jednak drżała jej ręka, by się to w pełni udało. Podała mu uprzejmie filiżankę, unosząc brwi.

Pokręcił odmownie głową.

Ona też zresztą wcale nie miała ochoty na herbatę. Postawiła filiżankę na spodku ze zbyt głośnym stuknięciem. Chętnie by do niego krzyknęła: „No, powiedzże coś!” Nie był jednak z natury wymowny. Więcej mówiło jego ciało, czy to na wojnie, czy to w miłości. Przypomniała sobie, jak dokładnie dał jej do zrozumienia przed laty, co wobec niej czuje, nie mówiąc ani jednego słowa.

Powinna była powiedzieć mu „do widzenia” i skończyć z tym wszystkim. Byłoby to łatwiejsze, a rezultat okazałby się taki sam. Przeciągające się pożegnanie w niczym nie pomagało i nie zostawiłoby jej po sobie wspomnień, które pragnęła zachować, prócz

tych, jakie już się z nim wiązały. Patrzyła na znużonego kapitana Eversea i oczami wyobraźni widziała, jak jego rzeczy, spakowane w kufrze, czekają, by je wniesiono na pokład „Śmiałka”.

Nie mogła sobie jednak wyobrazić, jak on się starzeje za oceanem, z dala od niej. To było nie do pomyślenia. Nie widzieć, jak siwieją mu skronie, jak coraz mocniej zarysowują się bruzdy na jego twarzy, nie oglądać go już więcej. Nie zmieni się jego uparta, niezwykła osobowość. Może poślubi jakąś egzotyczną, ciemnoskórą dziewczynę lub przynajmniej weźmie sobie którąś z nich za kochankę. Słyszała, że są swawolne i swobodne, przynajmniej te znad Pacyfiku. Te, o których pisywał Miles Redmond.

Nagle stwierdziła, że kładzie dłoń na jego policzku. Zaskoczyło to ją samą. Czuła się jak niewidoma, która nie wie, w jakim ma pójść kierunku. Lecz przez te wszystkie lata, które minęły, odkąd go pierwszy raz dotknęła tak samo niepewnie, znała, wyczuwała siłę pragnień skrytą pod tą niesłychaną samokontrolą. Chciała się przekonać, czy był obdarzonym wrażliwością człowiekiem z krwi i kości. Zdawało się, że nie lęka się niczego. Choć wiedziała już teraz, że nie było to prawdą. Napędzała go odwaga potrzeba czynienia tego, co dobre i prawe. Przeważała nad strachem. Był człowiekiem z zasadami.

Był kimś zdumiewającym.

A teraz, jak wtedy, zachwyciły ją cień zarostu na jego policzku, czysta linia podbródka, ciepło skóry, tętno pulsu. Dotknęła Charlesa Eversea. A on znów wtulił twarz w jej dłoń.

Przez chwilę nie odejmowała jej, wreszcie powoli to zrobiła. A potem, po chwili wahania, spróbowała dotknąć jego brwi. Siedział bez ruchu, zaskoczony. Przesunęła palcem wzdłuż łuku brwiowego aż do nasady nosa, a potem zatrzymała się i opuściła dłoń na kolana. Spuściła oczy.

Chyba się cicho zaśmiał. Był zdziwiony.

Prawdę mówiąc, nie wiedziała, którą część jego twarzy by wybrała, gdyby miała go dotknąć tylko raz i gdyby miało to być po raz ostatni. Powinna dać sobie spokój z tym wszystkim i uprzejmie powiedzieć mu „do widzenia”. Szybko, energicznie. Tak jak on.

Leżcie spokojnie, poradziła w duchu swoim rękoma. Istotnie, leżały teraz bez ruchu na jej kolanach, jakby zapoznając się na nowo z życiem, które wiodła, nim po raz drugi wszedł w nie Chase. Nim zaczęły się tak skwapliwie zaznajamiać z jego ciałem i dotykać go swobodnie. Będzie mogła to roztrząsać później, dużo później. Chciała, żeby już było po wszystkim.

Nagle przysunął się ku niej. Drgnęła i się cofnęła.

Uśmiechnął się słabo, ale wyraźnie. Aha, pomyślała. Coraz łatwiej panu to przychodzi, kapitanie Eversea.

Teraz on cofnął się, niezdecydowany.

Och, Boże. Obydwoje byli wręcz komiczni.

Sekundę później zdjął jej nieruchome dłonie z kolan, ruchem tak ostrożnym, jakby były z kruchej porcelany, i uniósł je do warg.

Ucałował - lekko, z szacunkiem - jedną z nich, a później delikatnie pozaginał jej palce. Złożył następny pocałunek - tym razem gorący, długi - na drugiej, co wzbudziło w jej ciele odzew.

Następnie pozaginał palce i tej drugiej. Potem odjął ręce, a jego pocałunki paliły ją we wnętrzu zaciśniętych dłoni.

Były to dwa sposoby zachowania pamięci o nim. Za nic nie chciała płakać. Uśmiechnęła się takim uśmiechem, jak ktoś walczący ze łzami. Nie mogła powiedzieć, czy serce jej pęka, czy też jest tak przepełnione żalem, że już się nie może zmieścić w jej ciele.

Cała czuła się teraz obolała.

Kącik jego ust też się uniósł. Potem na jego twarzy pojawiło się zamyślenie, a jeszcze później stanowczość. Odetchnął głęboko i zaczął się podnosić z sofy, posługując się przy tym laską.

Udawała, że nie widzi, jak wyciągnął rękę, żeby i jej pomóc wstać z sofy. Nie chciała podać mu dopiero co ucałowanych przez niego rąk. Pragnęła zachować w sobie ostatni dotyk jego warg.

Wstała bez jego pomocy.

Bez słowa zdjął kapelusz i surdut z krzesła. Odwrócił się ku niej. Stał na tle okna, rysy miał skąpane w popołudniowym świetle, oczy błyszczące.

- Dowi...

Nie pozwoliła mu tego powiedzieć. Nic na to nie mogła poradzić. Objęła go za szyję. Zdumiewająco miękkie włosy musnęły wierzch jej dłoni. Tak twardy jak on mężczyzna nie powinien mieć miękkich włosów. Powiedzieliby sobie dziś „do widzenia” niczym ludzie



żegnający się w czasie wojny, niewiedzący, czy to ostateczne rozstanie.

I jak tamtego dnia, pięć lat temu, w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób ich wargi się zetknęły.

Przycisnął ją do siebie z całą mocą, bo oczywiście ich ciała nie były im posłuszne; to nie ich umysły mogłyby teraz rozstrzygać o tym, jak oni mają - lub nie mają - dotykać się po raz ostatni. Tym razem pocałunek był wyrafinowany. Z początku delikatny i miękki, wzajemne muśnięcie warg. Jakby mieli dla siebie wieczność, a nie kilka godzin. Znali się teraz oboje. Całowali się więc powoli, świadomie przedłużając chwilę zetknięcia się języków.

Jęknęła, gdy to nastąpiło. Przyciągnęła jego twarz bliżej ku sobie, a jego dłonie powędrowały w dół i przyciągnęły jej ciało do jego ciała. Rozłączyła ręce splecione na karku Chase'a i sięgnęła ku guzikom jego koszuli.

Chciała ujrzeć kapitana Eversea nagiego w swojej bawialni.

Zrzucił surdut, a jej ręce pracowicie odpinały guziki, póki nie poczuła pod dłonią gołej piersi.

- Tutaj - powiedział.

Surdut i kapelusz wylądowały na sofie. Koszula również. Potem spodnie osunęły się w dół, ale buty pozostały na nogach, bo żadne z nich nie chciało tracić czasu na ich zdejmowanie, i Chase stał, wprawdzie obnażony, ale w butach i ze spuszczonej spodniami.

Drżące palce Rozalindy z trudem rozsnuwały nową suknię, a potem jego dłonie oswobodziły ją z niej. Jej strój legł w postaci

bezkształtnego stosu na podłodze. Kopnęła go lekko, żeby jej nie zawadzał.

Siadł ponownie w krześle, które nieznacznie zatrzeszczało. Zaskoczyło ją, że wydał się jej taki duży.

- Chodź tu.

Rozchyliła jego masywne uda - jedno z nich było zmaltretowane i pełne blizn - i przeciągnęła po nich dłonią, jakby chcąc się ich nauczyć na pamięć. Przywarła do jego męskości, ale jej nie ścisnęła; jego dłonie delektowały się jej piersiami, trącąc kciukami końce sutków. Gdy jęknęła, zaciskając powieki, a jej oddech stał się krótki i urywany - jego ręce na piersiach sprawiły, że poczuła się wręcz rozpasana - znalazła się w jego ramionach niczym w kołysce.

Pełna żaru błogość przeniknęła jej ciało, gdy jego wargi zetknęły się z jej piersiami. Przyciągnął ją ku sobie. Mogła teraz obserwować grę światła na jego twarzy, widzieć zachwyty widoczny w jego oczach, napięte mięśnie szyi. Uniósł ją ku górze, a ona opadła na niego, póki jej do głębi sobą nie wypełnił.

Powoli zaczęła unosić się na nim jak amazonka na koniu. Nie mogli jednak długo utrzymać tego wolnego tempa i wkrótce stało się ono szybsze, aż wreszcie zamieniło się w falowanie ciał w szybkim rytmie, nad którym już nie panowali. Chase dotarł do szczytu, odrzucając gwałtownie głowę w tył, z gardłowym jękiem wypowiadając jej imię, a ona cała zadrżała.

Jeszcze przez dłuższą chwilę obejmowali się w milczeniu. Głowa Chase'a wtuliła się w jej zgięte ramię, czuła jego oddech na pokrytej potem skórze.

Rozdzielili się bez słowa, w zupełnej ciszy, i bez słowa też ubierali. Podniosła swoje rzeczy leżące w stosie na podłodze. Spojrzał na nią z powagą. Trudno było odczytać, co on myśli. Zaczęła podejrzewać, że im mniej wyraża twarz Charlesa Eversea, tym więcej myśli kłębi mu się w głowie.

Patrzył na nią nadal, roziskrzonymi niebieskimi oczami, wstrzymując oddech. Zdołała się uśmiechnąć, słabo i niewesoło.

Chase, nadal milcząc, skinął jej głową, skrzywił usta w czymś, co przypominało uśmiech, i lekko, niemal oficjalnie dotknął runda kapelusza. A potem sobie poszedł. Jak zwykle, zdawało się, że wychodząc, zabrał ze sobą połowę światła i powietrza z pokoju.

Z jakiegoś niejasnego powodu Rozalinda starała się nie ruszać. Czuła, że jest pusta w środku. Po kilku następnych sekundach bezruchu zdała sobie sprawę, że powodem tego był jej lęk. Bała się poruszyć.

Jak ktoś, kto spadł z bardzo wysoka. A potem zrozumiała, że to moment błogiego odrętwienia przed męczarniami, które teraz nastąpią. Jeszcze sobie nie zdawała sprawy, jak głęboko została zraniona. Ani jak trwale.

Czuła się dziwnie odseparowana od swego ciała, ale instykt nakazał jej unieść drżące ręce ku twarzy. Pozostał na nich jeszcze zapach jego ciała. Wdychała go, zaciskając powieki. Ach, teraz już

czuła tę udrękę. Wraz z dławiającą świadomością: to nie Charles Eversea był twardy i bezwzględny. To nie Chase lękał się własnej wrażliwości. Tylko ona sama.

To ona nie była zdolna poddać się miłości, a on o tym wiedział. Bronił się przed zranieniem, nawet gdyby miał ją kochać na wszelkie znane mu sposoby: z cierpliwością, która na pewno musiała go zabijać, z intuicją, z czułością i namiętnością, z determinacją, że ona zyska to, czego chciała, że będzie bezpieczna, że będzie szczęśliwa. Ona zaś była tak przerażona perspektywą poddania się temu wszystkiemu, tak się obawiała, że znów go utraci, tak się lękała samej możliwości utraty, że długo wzdragała się przed nim, nawet gdy już się ze sobą kochali. Z lęku przed złamaniem serca, co by ją z pewnością zabiło. Bo go przecież kochała, na Boga.

Od chwili, gdy pięć lat temu ujrzała go po raz pierwszy. I tak się tej miłości bała, że pozwoliła mu odejść. Jak ostatnia oślica. A on, jak ostatni osioł, odszedł. Wciąż jej pragnął, a jednak odszedł.

A że tym razem stanowczo chciała osiągnąć to, czego pragnęła, podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież. Tylko po to, żeby ujrzeć masywną pierś Charlesa Eversea.

- Rozalindo.

Był bardzo poważny, zdeterminowany. Niezbyt łagodnym ruchem pochwycił ją wpół, żeby uchronić oboje przed spadnięciem ze schodów. A potem pomógł jej wejść z powrotem do domu, nie spuszczać z niej oczu.

Patrzyli oboje na siebie. Jego oczy wydały się jej wyjątkowo błyszczące. Zdała sobie sprawę, że przez kontrast z bladością twarzy.

Kapitan Eversea był zdenerwowany. Bardzo. Stał na lekko rozstawionych nogach. Uznała, że zaraz jej coś powie. Założyła więc ręce na piersi i czekała, przygryzając język. Sama też przygotowała przemowę, na wszelki wypadek.

- Rozalindo... - zaczął opanowanym głosem - ...myliłem się, mówiąc, że najlepiej zrobię, służąc memu krajowi. Myliłem się, mówiąc, że właśnie do tego jestem stworzony. Nie całkiem się wprawdzie myliłem, ale jednak nie miałem racji. Ja jestem stworzony do... - Tu urwał i głęboko, mocno zaczerpnął tchu. Potem odchrząknął, a gdy znów zaczął mówić, głos jego stał się ochryply. - ...do miłości i opiekuńczości. Zwłaszcza zaś do tego, żeby kochać i chronić ciebie.

Czekał. Nie mogła wydobyć z siebie głosu, tak gwałtownie biło jej serce, ale wyraz jej twarzy musiał go ośmielić, bo ciągnął dalej:

- Wiem, że chciałaś sama decydować o tym, czego pragniesz. Ale ja chcę tylko jednego: być tam, gdzie jesteś ty. Obojętne, co by to miało oznaczać i czym mogłoby to być. Jeśli więc mnie zechcesz, to tutaj zostanę. Tak długo, jak będziesz tego chciała. Jeślibyś mnie tylko chciała. Bo... - tu westchnął - ...ja cię kocham.

Powiedział to z absolutną pewnością i stanowczością. W taki sposób, w jaki mówił wszystko.

Zapadła cisza brzemienna w niewypowiedziane cudowne słowa. Wpatrzyli się w siebie, a ona czuła się tak, jakby unosiła się nad

ziemią. Kusiło ją, żeby spojrzeć przez ramię, czy nie wyrastają jej skrzydła, jak lubieżnemu aniołowi na obrazie Rubinetta.

Wprost niewiarygodne: kapitan Charles ofiarowywał jej swoje wielkie, dzielne, wspaniałe serce. Chętnie by oddała życie, byle tylko mieć zaszczyt chronienia jego serca po wieczne czasy.

- Chase...

A on czekał, poblady, z zaciśniętymi ustami, z rozjarzonymi błękitnymi oczami.

- Ja też cię kocham. - Jego głos brzmiał zbyt energicznie. Jej z kolei był niemal szeptem. Niech to lichy!

Niecierpliwie otarła wierzchem ręki łzy, bo nie chciała, by choć przez sekundę mieć teraz zamglony wzrok. Uśmiechnął się, bardzo powoli. Czekał. Chyba wstrzymywał oddech.

Zapragnęła, żeby tym razem to ona wydawała rozkazy.

- Powinniśmy się pobrać.

Chase znieruchomiał. Coś dumnego i wspaniałego zarysowało się na jego twarzy. A potem zamknął oczy i odetchnął tak głęboko, jakby to był jego pierwszy w życiu oddech. Gdy znów otworzył oczy, pokręcił głową z niedowierzaniem. Wiedziała, co on teraz myśli: Że też mogło mnie spotkać takie szczęście.

Uśmiechnęli się oboje tak promiennie, jak dzieci, a potem Chase zaskoczył ją, przebywając odległość między nimi jednym długim krokiem. Delikatnie, jakby była kruchym przedmiotem, niepewnie, świadomy, jak nowe było to wszystko dla nich obojga, wziął ją w ramiona, nadal nie wiedząc, czy ją w nich zdoła zatrzymać.

Upewniła go w tym, przywierając do niego skwapliwie i mocno. Objął ją z całej siły, a jego oddech, tuż przy jej policzku, przypominał raczej westchnienie. Było w tym dźwięku coś ostatecznego, coś na zawsze związanego z domem.

Rozalinda objęła go za szyję i wsunęła dłoń w jego włosy, wargami odnalazła jego usta. Pocałunek zaczął się zrazu lękliwie, potem stał się zuchwały, głęboki, aż wreszcie zwolnił tempo. Zabrzmiały w nim echa lat, kiedy znali się oboje, więc się nie spieszyli. Ten pierwszy pocałunek wart był bowiem wszystkich następnych.

Liam, jak można się było spodziewać, czekał na niego, a Chase kilka minut później powiadomił kapitana „Śmiałka”, że nie popłynie tym statkiem, choć zostało to wcześniej ustalone. Był do szaleństwa zakochany, ale też obowiązkowy. Rozalinda to aprobowała.

- Skąd się tu wziąłeś? - spytał chłopca.
  - Szedłem za panem - odparł Liam, bardzo z siebie zadowolony.
  - Ach, tak? - mruknął Chase.
  - Ale pan zasował, kapitanie Eversea - stwierdził malec z szelmowskim błyskiem w oku. - Prawie jak w tańcu, można by rzec.
  - Leciałem z wiatrem, można by rzec.
  - Widział się pan z tą damą?
- Co za spryciarz.
- O, tak. Widziałem się z nią.
  - Czy to teraz pańska kobita?

- Owszem, Liam, ona jest już moją kobietą. No, a teraz... - I Chase się odwrócił. Miał za sobą morze, a przed sobą Rozalindę. Widziała go, jak szedł, i czekała na jego powrót. Ostateczny powrót.

- A to ci dopiero! - powiedział Liam i aż podskoczył. - Od początku o tym wiedziałem!

### *Podziękowania*

*Na mnóstwo wyrazów wdzięczności zasługuje mój redaktor May Chen. Wiele ich należy się też mojemu agentowi literackiemu Steue'owi Axelrodowi za mądrość oraz iście olimpijski pragmatyzm; a także zespołowi redakcyjnemu wydawnictwa Avon za jego ciężką pracę; jak również Kim Castillo za życzliwą, znakomitą pomoc. To dzięki niej ta książka powstała. Dziękuję też wszystkim moim Czytelnikom za to, że pisanie sprawia mi tyle radości.*